

Polskie piekło Kolumbijczyków

Pokój i niepokoje w Gazie • Nawrocki superstar
Partie sezonowe • Mieszkaniowy feudalizm • Mit CPK

POLITYKA.PL

POLITYKA

NAGRODY NAUKOWE ROZDANE

TYGODNIK, nr 43 (3537), 22.10–28.10.2025

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO



NOTARIUSZE STANU CYWILNEGO

Batalia o związki partnerskie, uproszczone rozwody, alimenty i opiekę nad dziećmi



„Ustawa o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu" zakłada, że po notarialnym potwierdzeniu „statusu osoby najbliższej" i po zgłoszeniu tego faktu do USC rejestrujący się zyskają możliwość:

Dowiadywania się o stanie zdrowia oraz dostępu do dokumentacji medycznej, organizacji pogrzebu (i do zasiłku); do dziedziczenia testamentowego, ustanowienia wspólnoty majątkowej, wspólnego rozliczania się z podatków, otrzymywania alimentów po rozstaniu, objęcia partnera ubezpieczeniem zdrowotnym, uzyskania renty po zmarłym, uzyskania zasiłku opiekuńczego, zwolnienia z podatku od spadków, uzyskania prawa do mieszkania.

eprasa.pl e445b60032

ISSN 0032-3500

Wydanie w sprzedaży do 28.10.2025

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki POLITYKI





Październikowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl e445b60032



© MIKOŁAJ BUJAK/KPRP

16 Nawrocki superstar

Tematy tygodnia

12 Agnieszka Zagner **Czy to koniec wojny – co dalej z Izraelem i Palestyną?**
16 Mariusz Janicki **Kogo i dlaczego zachwyca prezydent Nawrocki**
20 Martyna Bunda **Związki po nowemu**

Polityka

24 Michał Danielewski **Dlaczego „trzecie siły" tak szybko więdną**
27 Rafał Kalukin **Lewicowe kuksańce**

Społeczeństwo

30 Marcin Piątek **Jak żyją studenci**
34 Artur Domosławski **Kolumbijczycy w Polsce: wyzyskiwani, oszukiwani, ignorowani**
38 Rozmowa z **Łukaszem Walą** o świecie z perspektywy wózka i jak o tym opowiadać w sieci
40 **Adam Laska** i **Paweł Siemaszko** o tym, jak zmienia się kultura picia kawy
43 Katarzyna Kaczorowska **Elastyczne biura: czym są i kto w nich pracuje**

Rynek

48 Marek Serafin **CPK: mit, nie lotnisko**
51 Joanna Solska **Samozbiory po nowemu**

Świat

58 Paweł Reszka UKRAINA **Relacja z frontu**
62 Łukasz Wójcik **Mieszkaniowy feudalizm**
66 Rozmowa z byłym premierem Izraela **Ehudem Olmertem** o sytuacji w Strefie Gazy i tym, dlaczego Izrael zatracił się w odwecie
68 Mateusz Mazzini USA **Trump kontra kartele**

Nauka/projektpulsar.pl

70 Na czym polega ewolucyjna rola wyglądu oczu – opowiadają dr hab. **Dariusz Danel**, dr hab. **Sławomir Wacewicz** oraz dr **Juan Olvido Perea-García**
74 Rozmowa z prof. **Michaelem Morrisem** o tym, czym są instynkty plemienne i jak na nas oddziałują

Historia

76 Janusz A. Majcherek **Ziemie Odzyskane: przemilczana rocznica**
79 Rozmowa z **Agatą Czarnacką** o tragicznych dziejach czarownic

Kultura

86 **Maja Kleczewska** o swoim spektaklu „Sublokatorka" i tym, dlaczego powinniśmy słuchać Hanny Krall
93 **Jeremy Allen White** o tym, jak się gra Springsteena
96 **Krytycy o tym, kto powinien wygrać Konkurs Chopinowski**
102 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Nagrody Naukowe POLITYKI

106 **Laureaci jubileuszowej 25. edycji**

Ludzie i style

110–113 • **Polowanie na trufle**
• **Opór w wersji pop**
• **Co jest tuff**
• **Przetasowania na wybiegach**
• **Czas na szarlotkę**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **22**, **23**, **105**, **114** Galeria POLITYKI • **82** Afisz
• **103** Lis • **104** Agata Passent • **105** Mizerski
• **108** Do i od redakcji • **114** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl e445b60032



Robić i gadać

Mariusz Janicki

Jak przewidywano, obchody drugiej rocznicy przełomu z 15 października nie były huczne, nawet przy takiej okazji liderzy koalicji nie wystąpili ze wspólnym oświadczeniem. Premier Tusk najpierw napisał na X m.in.: „Koalicjanci podciągną szyki i jedziemy dalej. Pesymizm to strata czasu", a potem w Piotrkowie Trybunalskim próbował jeszcze zaszczepić wiarę w powodzenie całego demokratycznego projektu: „My nie skapitulujemy. Walka o lepszą Polskę trwa i zawsze będzie trwała". Widać było trochę pozytywnej energii, ale trudno dziś orzec, czy to znak nowego otwarcia, bo całościowej opowieści o tych rządach i pokazania nowego politycznego sensu wciąż brak.

Rocznicowym prezentem dla wyborców stał się projekt o „statusie osoby najbliższej" (więcej na s. 20), efekt długotrwałych negocjacji wewnątrz koalicji, między Lewicą a PSL, i będący bardzo okrojoną wersją obietnicy o związkach partnerskich. Donald Tusk skomentował to następująco: „Mamy coś, co nikogo nie zachwyci, ale daje coś więcej niż cień szansy". Ta opinia jakoś pasuje do całych dwóch lat koalicji 15 października. Hasłem powtarzanym ostatnio przez posłów PO było „robimy, nie gadamy", co jest maksymą – jeśli potraktować ją jako instrukcję – chybioną, gdyż w dzisiejszej polityce obowiązuje inna: robić i nieustannie o tym gadać.

Okazja do „gadania" zdarzy się już niedługo. Dwie główne siły polityczne, Platforma i PiS, mają wkrótce swoje ważne eventy. Partia Jarosława Kaczyńskiego organizuje konwencję programową, podczas której, według zapowiedzi, ma się odbyć kilkanaście paneli i ponad sto debat, to przymiarka do kampanii parlamentarnej. Z drugiej strony Platforma planuje kongres zjednoczeniowy, gdzie ma nastąpić formalne już przyłączenie do niej Nowoczesnej i Inicjatywy Polskiej pod szyldem Koalicji Obywatelskiej (chyba); nazwa PO ma przejść do historii, co zresztą nie wszystkim się podoba, np. założycielowi Platformy Andrzejowi Olechowskiemu.

Ale Donaldowi Tuskowi potrzebny jest jakiś restart, choć pytanie, czy fuzja z Nowoczesną, która od lat już nie funkcjonuje samodzielnie i nie jest notowana w sondażach, oraz z formacją Barbary Nowackiej, która w rankingach nie pojawiła się chyba nigdy, stanie się istotnym wydarzeniem. Chyba że, podobnie jak w przypadku PiS, będzie to raczej okazja do przedstawienia nowych programowych propozycji, odświeżonego wizerunku, energii i optymizmu.

Tu jednak od razu pojawia się kolejna obawa, bo potem, już w grudniu, mają się zacząć wewnętrzne wybory na wszystkich partyjnych szczeblach nowego ugrupowania. A wiadomo, że nic tak nie absorbuje działaczy jak walka o swoją pozycję w partyjnej hierarchii, zwłaszcza po fuzji, która oznacza w jakiejś mierze nowe personalne rozdanie. Może to oznaczać, że przez kilka tygodni, przechodzących w miesiące, odnowiona Koalicja Obywatelska będzie zajęta sama sobą – a to ma opanowane do perfekcji – zamiast organiczną pracą nad efektownymi koncepcjami i poprawą notowań wśród wyborców.

Bo nie jest tak, że opozycyjna prawica ściera się z samym rządem – to nie rząd startuje w wyborach. Ta batalia jest zawsze partyjna, to PiS walczy z Koalicją Obywatelską, udział w rządzie nie zwalnia partii z takiej samej aktywności, jakby była w opozycji. Wciąż bowiem trwa ten sam główny spór PO/KO z PiS, w tym konflikcie nadal nie ma zmienników, a wobec głębokiego kryzysu partii koalicyjnych główny ciężar odpowiedzialności spoczywa na Platformie. Zdaje się to podkreślać Tusk, powtarzając ostatnio, że realizuje taki procent obietnic, ile jego partia dostała w wyborach w 2023 r., czyli jedną trzecią, za co zresztą spotkała go ostra krytyka.

Narzekania na hegemonię dwóch partii wynikają w dużej mierze z bezsilności innych ugrupowań, które nie potrafią mimo wielu szans przełamać dominacji PiS i Platformy, które do dzisiaj wymieniają się w sondażach dwoma pierwszymi miejscami z wynikiem oscylującym wokół 30 proc. Najwyraźniej to wciąż te dwie formacje, którym stuknie w przyszłym roku ćwierćwiecze, najlepiej wyrażają emocje Polski prawicowej, narodowo-katolickiej, oraz tej liberalnej, prounijnej. Spór między nimi, jaki rozpoczął się w 2005 r., nie jest tylko zmaganiem dwóch nestorów, Tuska i Kaczyńskiego, którzy nie mogą sobie wybaczyć pewnych spraw – jak wielu twierdzi – ale jest obrazem istotnych różnic w pojmowaniu państwa, praworządności, roli instytucji, miejsca w polityce międzynarodowej itd.

Warto się skupić na powodach trwania obecnego duopolu, dlaczego tak nisko lokowani w rankingach zaufania politycy jak Kaczyński i Tusk przewodzą najbardziej popieranym formacjom, kiedy inne partie, mające „przewrócić stolik", „osuszyć bagno przy Wiejskiej" i „odesłać starszych panów na emeryturę", zapadły się po kilku latach. To prawdziwy fenomen, nie mniej fascynujący niż 15 proc. Konfederacji (więcej o partiach sezonowych na s. 24).

Płynie z tego istotny wniosek. Ta „wojna polsko-polska" wciąż będzie miała dwóch głównych aktorów, ze spoglądaniem na trzeciego – Konfederację, i na prezydenta Nawrockiego (więcej o tym s. 16). Jest już za mało czasu, aby ktoś podmienił PiS i KO w tych rolach. Polityczna kondycja tych dwóch ugrupowań zdecyduje zatem o wyniku wyborów w 2027 r. Dlatego ważny będzie nowy program PiS, kierunki ataków na siły liberalno-demokratyczne, wymyślone wątki tematyczne, marketingowe przekazy – to może się już wkrótce okazać. Pytanie, jaka mocna będzie riposta formacji Tuska, na ile szybko będzie mogła, po organizacyjnym ogarnięciu, przejść do ofensywy, z jakimi koncepcjami i ludźmi. Platforma nie ma już z czego przegrywać, pozostaje jej odbicie i pokazanie planu B. PiS ma swoje problemy, ale to on jest na „nastrojowej" fali. Tusk nie ma teraz przed sobą ważniejszego zadania niż tę falę przeciąć.

eprasa.pl e445b60032



Albatros travel

Korea Południowa

Gdzie tradycja spotyka nowoczesność

2 posiłki dziennie

Zapraszamy na wyjątkową podróż przez Koreę Południową – od futurystycznego Seulu po historyczne Gyeongju i nadmorski Busan.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Seulu. Targ Gwangjang i kolacja powitalna. **Dz. 3** Seul. Zwiedzanie miasta, wjazd na wieżę Seul Tower. Wycieczka do strefy zdemilitaryzowanej. **Dz. 4** Seul – Dangjin – Jeonju. Wino ryżowe i wioska Hanok. **Dz. 5** Jeonju – Jeongup – Yeongam. Park Narodowy i nocleg w świątyni. **Dz. 6** Yeongam – Boseong – Yeosu. Wizyta w najstarszej wiosce i na plantacji herbaty. **Dz. 7** Yeosu – Busan. Targ rybny, wieża w Busan i targ Ggangtong. **Dz. 8** Busan – Gyeongju. Spacer po szklanym moście Skywalk, nadmorska świątynia i skarby Gyeongju z listy UNESCO. **Dz. 9** Gyeongju. Świątynie i natura w doskonałej harmonii. **Dz. 10** Gyeongju – Seul. Przejazd szybkim pociągiem i czas na zakupy w Seulu. **Dz. 11** Seul – Warszawa. Powrót do domu. **Dz. 12** Przylot do Warszawy.

NOWOŚĆ

12 dni
Wylot z Warszawy
14/05 2026

16.998,-









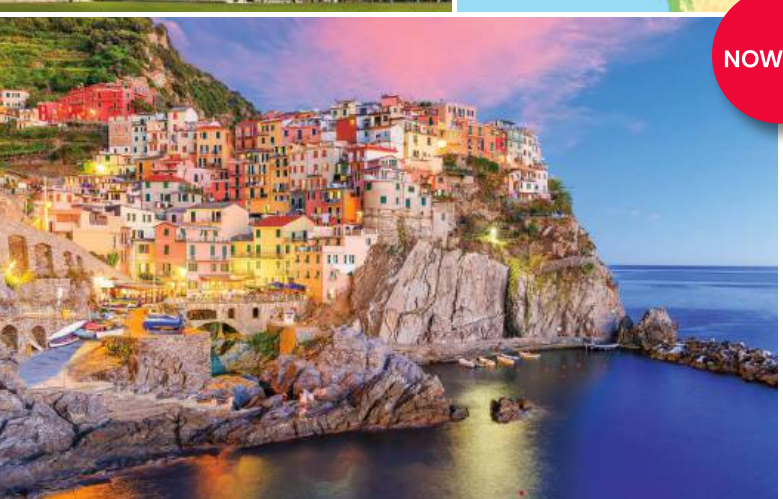

NOWOŚĆ

6 kolacji w cenie

Klasyczna Toskania i Cinque Terre

Historyczne miasta, góry z marmuru w Carrara i malownicze wybrzeża Ligurii od Portofino aż do Pizy.

Program wycieczki: Dz. 1 Przylot do Florencji (lub Pizy) i przejazd do Montecatini Terme. **Dz. 2** Lucca i Piza – historyczne perły Toskanii. **Dz. 3** Florencja – kolebka renesansu. **Dz. 4** Dzień wolny lub wycieczka fakultatywna do San Gimignano z wizytą w winnicy. **Dz. 5** Montecatini Terme – marmury Carrara – lardo w górskim miasteczku Colonnata – Cavi. **Dz. 6** Rapallo, Portofino i San Fruttuoso – Rejs wzdłuż liguryjskiego wybrzeża. **Dz. 7** Cinque Terre – podróż pociągiem przez pięć wyjątkowych miasteczek. **Dz. 8** Powrót do domu.

8 dni | Wylot z Warszawy 14/04 2026 | 6.598,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL40**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl e445b60032

Doktryna żółwia



MICHAŁ DANIELEWSKI: **– Donald Tusk pochwalił się sondażem OGB, w którym KO ma aż 6 pkt proc. przewagi nad PiS, ale jej koalicjanci nie przekraczają progu wyborczego. Premier skomentował, że partnerzy muszą „podciągnąć szyki". Komunikat mobilizujący czy chodzi o coś innego?**

MARCIN DUMA, SZEF AGENCJI BADAWCZEJ IBRIS: – Kilka warstw. Pierwszy przekaz: „Jesteśmy przed PiS-em i to wyraźnie, PiS się pogubił, a Platforma nie straciła poparcia – wręcz przeciwnie, umocniła się przez dwa lata rządów". Drugi: „koalicjanci podciągną" – tylko co to znaczy? Czy chodzi o wspólną listę, czy o poprawę wyników w sondażach? Dochodzi do tego Konfederacja jako wielki i znaczący nieobecny w słowach premiera. W lipcu 2023 r. jej wysokie notowania przekładały się na narrację, że „na pewno wejdzie w koalicję z PiS-em", co było wygodne dla tych, którzy chcieli spychać partię Mentzena na prawy margines, ale niekoniecznie prawdziwe. Konfederacja nie była wtedy skazana na rolę koalicjanta Kaczyńskiego i teraz też nie jest.

Realny wydaje się scenariusz, że KO buduje jeden duży blok, w którym są współliderzy, ale dominującą pozycję ma Tusk. I wtedy nie ma znaczenia, czy w tym bloku znajdą się wszyscy: Kosiniak-Kamysz, Polska 2050, Lewica. Bo nawet jeśli mniej lub bardziej szeroka koalicja nie zdobędzie większości mandatów, może być konkurencyjnym graczem dla PiS w hipotetycznych rozmowach z Mentzenem. Jak mówi prof. Jarosław Flis, Kaczyński byłby szczęśliwy, gdyby PiS był beneficjentem osłabienia ugrupowań rządzących. Ale nie jest.

Lewica, PSL i Polska 2050 mają w ogóle szansę się odbić?

Pojawiają się obiektywne przeszkody. Jeśli Razem poczuje się silne, nie wejdzie w alians z Nową Lewicą, co może osłabić szansę obu formacji na wejście do Sejmu. PSL od lat drepcze w miejscu. Odpowiedzią na to jest „doktryna żółwia": ludowcy skaczą z jednego żółwia na drugiego, na grzbiecie którego ponownie wjeżdżają do parlamentu. A Polska 2050 to partia Schrödingera: żywa w Sejmie, martwa w sondażach.

Czy po wyborach 2027 r. możliwa jest koalicja rządowa w obecnym składzie?

Nie. Ale możliwe jest, że Jarosław Kaczyński nie będzie miał władzy po 2027 r. To jest realne i mam wrażenie, że on też to rozumie. Jego szarża na Konfederację nie jest przypadkowa. To nie emocje, to kalkulacja. Wie, że choć jest liderem PiS, po wyborach nacisk ludzi za jego plecami będzie ogromny: „Jarek, robimy tę koalicję z Konfederacją, musimy wziąć władzę". A to może być niemożliwe, bo Mentzen przy dobrym wyniku zażąda „ziemi i wody", niekoniecznie oferując wejście do rządu. Od Tuska też. Tyle że dla Tuska to będzie OK, a dla Kaczyńskiego – nie.

„Po pierwsze, jest pan wolny"

Rozprawa ekstradycyjna **Wołodymyra Żurawlowa**, Ukraińca ściganego przez Niemcy za udział w wysadzeniu gazociągów Nord Stream 1 i 2, ściągnęła w ostatni piątek do warszawskiego Sądu Okręgowego dziesiątki dziennikarzy. Rozpoznający sprawę sędzia Dariusz Łubowski, mający duże doświadczenie w postępowaniach ekstradycyjnych, wydał postanowienie o odmowie wydania Ukraińca – bo czyn, za który jest ścigany, nie jest przestępstwem według prawa polskiego. Uzasadniając postanowienie, sędzia zaznaczał, że wysadzenia rosyjskiego gazociągu nie można oddzielać od „trwającej od 2014 r. krwawej i ludobójczej napaści Rosji na Ukrainę". Że trzeba sięgnąć do fundamentów prawa międzynarodowego i prawa wojny. I przywołał prawną koncepcję wojny sprawiedliwej, czyli toczonej w słusznej sprawie lub obronie własnej. „Ukraińscy żołnierze i wszyscy działający w ramach sił zbrojnych Ukrainy, także sił specjalnych, albo na zlecenie sił specjalnych, nie mogą być uznawani za terrorystów czy sabotażystów, albowiem realizując wszelkimi sposobami cel, jakim jest obrona ich ojczyzny – osłabiają wroga" – tłumaczył. „W konsekwencji zniszczenie tych gazociągów miało głęboki sens militarny, bo osłabiło potencjał zbrojny Rosji. Pośrednio państwo niemieckie, kupując gaz z Rosji i transferując miliardy euro w czasie już pełnoskalowej agresji militarnej i znanych już przed tym zdarzeniem, także stronie niemieckiej, aktów ludobójstwa dokonywanych przez Rosję na ukraińskiej ludności cywilnej, państwo niemieckie współfinansowało tę agresję. Zachowanie Niemiec było z tego punktu widzenia wrogie wobec Ukrainy".



I podkreślał: „Ukraina, o ile to Ukraina i jej siły specjalne, w tym ścigany, czego sąd nie przesądza, zorganizowała zbrojną misję zniszczenia rurociągów wroga, to działania te nie były bezprawne. Przeciwnie, były uzasadnione, racjonalne i sprawiedliwe. Działanie w ramach wojny sprawiedliwej uznać należy za wyłączające odpowiedzialność karną".

Sędzia Łubowski rozprawił się z niemieckim wnioskiem o ekstradycję, konstatując m.in., że: „Niemcy usiłują ścigać Wołodymyra Żurawlowa za zniszczenie rosyjskiej własności". Stwierdził też, że państwo niemieckie nie ma prawa do ścigania jakiejkolwiek osoby fizycznej za spowodowanie eksplozji i nie miało podstaw do użycia prawa unijnego, wydając europejski nakaz aresztowania.

Zmieniła się również sytuacja innego Ukraińca ściganego przez Niemcy za wysadzenie gazociągu i aresztowanego przez włoskie władze. Kilka dni temu włoski Sąd Kasacyjny uchylił zgodę sądu na jego ekstradycję i skierował sprawę do ponownego rozpatrzenia. (VK)

© ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, WOJCIECH RADWAŃSKI/AFP/PAP, JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Po co Kaczyńskiemu Mejza?

Lista zarzutów, które kompromitują posła PiS **Łukasza Mejzę**, wydłużyła się właśnie o jazdę samochodem z prędkością 200 km/h. Zasłaniając się immunitetem, odmówił przyjęcia mandatu. Kiedy sprawa wyszła na jaw, zrzekł się immunitetu, a Jarosław Kaczyński uznał, że „jeszcze do tego przeprosił", więc wszystko jest w porządku. Kiedy na komitecie wykonawczym PiS Mejzę zaatakowało młodsze pokolenie polityków, szef klubu Mariusz Błaszczak zaczął go bronić.



Cierpliwość prezesa, który według naszego rozmówcy z PiS „z obrzydzeniem patrzy na wyczyny Mejzy i unika z nim kontaktu", da się łatwo wyjaśnić. Polityk z kręgów Nowogrodzkiej mówi nawet, że to oczywiste, jeśli rozumie się taktykę prezesa. Kaczyński traktuje Mejzę jako narzędzie do budowania większości, która będzie mu potrzebna po wyborach. Jak zabraknie szabel, to trzeba łowić wszędzie. – *Prezes pokazuje, że jest lojalny wobec tych, którzy mu pomagają, że nie zostawia nikogo na lodzie nawet wtedy, kiedy wychodzą jakieś straszne sprawy. Kaczyński powie, że wobec takiego Mejzy był lojalny, nie wyrzucał z klubu, dał miejsce na listach, to i ty możesz czuć się bezpiecznie* – wyjaśnia polityk PiS.

Przypomnijmy, że cztery lata temu po odejściu Jarosława Gowina z koalicji z PiS to właśnie Mejza pomógł Kaczyńskiemu uratować sejmową większość. Prezes zrobił z niego wiceministra sportu, choć już wtedy ciągnęły się za nim kontrowersyjne historie. Rodzicom poważnie chorych dzieci obiecywał wyleczyć je za niemałe pieniądze; miał wyłudzać dotacje unijne na fikcyjne szkolenia; podawać nieprawdę w oświadczeniach majątkowych i awanturować się w restauracji sejmowej. Tegoroczne wakacje Mejza spędzał zaś z Patrykiem M., znanym jako „Wielki Bu", który odsiedział wyrok za porwanie, a miesiąc temu został aresztowany w związku z podejrzeniami o udział w zorganizowanej grupie przestępczej handlującej narkotykami.

Podobno fotografowanie się z Wielkim Bu ma podbić stawkę Mejzy, bo ten planuje wystąpienie na… gali freak fight MMA. Patryk M. jest zresztą niejedynym zawodnikiem z przeszłością więzienną, który jest znany w świecie tego pseudosportu. – *Mejza opowiadał, że chce wystąpić na gali i zarobić grubą kasę, którą przekaże na cele społeczne. Tak chce się wybielić w oczach opinii publicznej i prezesa Kaczyńskiego* – mówi dobry znajomy posła. Ale w oczach prezesa wcale nie musi się wybielać, ten i tak wszystko mu wybacza. (DĄB.)

Prawicowa wojna o butelki

Czy system kaucyjny działa? Nie wiadomo, bo na półkach praktycznie wciąż nie ma butelek i puszek objętych kaucją. Mimo tego w sondażu UCE Research i Shopfully z ubiegłego tygodnia 12 proc. ankietowanych zadeklarowało, że już skorzystało z systemu kaucyjnego. Jak to możliwe? Pewnie oddali puste opakowania do automatów tych sieci, które prowadzą testowo od kilku miesięcy zbiórkę wszystkich butelek plastikowych i puszek. Producenci deklarują, że większe partie napojów objętych kaucją trafią do sprzedaży jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia. Natomiast dopiero w styczniu płacenie i odbieranie kaucji staną się powszechne.

Skoro system kaucyjny problemów nie sprawia, bo tak naprawdę jeszcze nie działa, część polityków – już na zapas – stara się go konsumentom obrzydzić. Celuje w tym prawica, chociaż to przecież PiS zdecydował w 2023 r. o wprowadzeniu w Polsce systemu kaucyjnego. Teraz stara się zrzucić winę za ewentualne niepowodzenia na rząd Tuska, jednak politycy Konfederacji, najostrzej krytykujący pomysł oddawania opakowań (jak i wszystkie ekologiczne inicjatywy), przypominają wyborcom o odpowiedzialności PiS. Mogliby jeszcze dodać, że to ta partia wymyśliła wyjątkowe na skalę europejską rozwiązanie: wielu prywatnych operatorów systemu kaucyjnego zamiast jednego, narodowego. Teraz krytycy kaucji straszą, że zagraniczni właściciele tych operatorów (jak browary czy sieci handlowe) będą wyprowadzać zyski za granicę. To nieprawda, bo chociaż część kaucji nie zostanie odebrana przez klientów, operatorzy mogą z niej co najwyżej finansować swoją działalność. Nie wolno im osiągać zysków, ale spiskowa teoria o tym, jak kaucja osłabi polską suwerenność, idealnie pasuje do narracji antyeuropejskich ugrupowań.

Na razie większe emocje niż opakowania objęte kaucją wzbudzają te, które pozostaną poza systemem. To np. kartony typu tetrapak, mylnie wyrzucane często do pojemników na papier. Firma Oshee,



produkująca napoje izotoniczne, zaczęła niedawno część swoich wyrobów sprzedawać właśnie w takich opakowaniach. W ten sposób chce pozostać w ofercie sieci, które z powodu wprowadzenia kaucji zrezygnowały ze sprzedaży napojów w butelkach i puszkach. Dlaczego? Dzięki temu nie będą musiały zbierać pustych opakowań. Chodzi np. o drogerie Rossmann czy hipermarkety budowlane Leroy Merlin. Takie obchodzenie systemu kaucyjnego, chociaż w pełni legalne, może okazać się dla niego większym zagrożeniem niż głupota polityków. (CK)

eprasa.pl e445b60032

TYDZIEŃ W POLITYCE

Dlaczego elektoraty twardnieją



Przmysław Sadura

Socjolog, profesor UW, kurator instytutu badawczego Krytyki Politycznej

Minęły miesiące od przegranych przez rządzącą koalicję wyborów prezydenckich. Opadł bitewny kurz, a sytuacja na froncie politycznym zaczyna się stabilizować. Sam Nawrocki jeszcze w trakcie pojedynku wyborczego złapał prąd wznoszący i z niego korzysta. Nieważne, co zrobi, zyskuje aplauz i kolejnych zwolenników. Czy zawetuje serię ustaw, czy pojedzie do Wolanowa na kebab i umówi się z młodzieżą na wspólne oglądanie meczu. Tak się dzisiaj robi politykę i zyskuje sympatię wyborców.

Na tle rosnących słupków Nawrockiego reszta sceny politycznej wydaje się uśpiona. Obraz sytuacji, jaki można wynieść z lektury sondaży, wskazuje na wejście polaryzacji w fazę wojny pozycyjnej. Notowania KO utrzymują się w okolicach 30 proc. Można powiedzieć chudawo, ale stabilnie. Akurat tyle, żeby oprzeć na tym nową strategię formacji Tuska: „Za dwa lata wykręcimy 30 proc., a potem się zobaczy". Pytanie, czy chcemy to oglądać. Notowania PiS ustabilizowały się tylko na odrobinę niższym od KO poziomie, co oznacza, że o tym, kto będzie rządził po 2027 r., zdecyduje wyborczy wynik drugiego planu, tzn. partii spoza duopolu, przede wszystkim Konfederacji i Lewicy, a w mniejszym stopniu sierot po Trzeciej Drodze. Tu, jak dotąd, partia Mentzena i Bosaka trzyma się mocno, a partie Czarzastego i Zandberga – osobno. Rezultat łatwo przewidzieć.

W takich okolicznościach nie dziwi radykalizacja po prawej stronie. To tu bowiem może się rozstrzygnąć proporcja sił w nowej koalicji. Konfederacja próbuje obejść PiS z prawej strony. Kiedy PiS zwołuje marsz przeciwko uchodźcom i wzywa konfederatów do udziału, ci bojkotują inicjatywę i wypominają środowisku Kaczyńskiego aferę wizową. PiS, chcąc pozostać w grze o radykalnego wyborcę, oddaje przestrzeń faszystom pokroju Bąkiewicza, którego mowa nienawiści szykuje grunt pod przyszłe pogromy. Ta gra w bycie prawdziwym prawakiem powoduje, że aby zostać w miejscu, trzeba coraz szybciej biec.

Walka po prawej stronie paradoksalnie pomaga partii Tuska. 30 proc. KO nie jest wynikiem pozytywnej oceny działań rządu, ale lęku przed drugą stroną. Tak jak kiedyś walka klasowa miała się nasilać w miarę budowy socjalizmu, tak dziś polaryzacja nasila się w miarę budowy społeczeństwa populistycznego. Badania, które publikowaliśmy w instytucie Krytyki Politycznej ze Sławomirem Sierakowskim, pokazywały, że w epoce rządów PiS ponad jedną trzecią jego elektoratu stanowili wyborcy fanatyczni, tożsamościowo i ideowo przywiązani do partii Kaczyńskiego. Dziś w przypadku KO taki twardy, ideowy elektorat to już ponad połowa wyborców. Ta tendencja do twardnienia elektoratów wynika z logiki populistycznej sceny politycznej. Nie ma tam miejsca na dawne, umiarkowane partie, szukające zdrowego rozsądku i największego wspólnego mianownika. Dziś w erze nowych mediów i świecie, którym rządzą algorytmy, liczy się to, żeby się radykalnie odróżnić. Dlatego przyszłość może tylko nasilać tendencje do radykalizacji wszystkich uczestników politycznej gry. Będzie się działo.



Wymazywanie Grassa

Z mapy Gdańska ma zniknąć kolejna instytucja pod patronatem noblisty **Güntera Grassa**. Jakby po latach jego wczesna młodość w SS miała większe znaczenie niż szanowany na całym świecie dorobek „pisarza z Gdańska-Wrzeszcza".

Grassa wymazuje się po cichu; ot, zmiany organizacyjne. Najpierw zlikwidowano Gdańską Galerię Güntera Grassa (część Gdańskiej Galerii Miejskiej). W tym czasie utworzono Dom Chodowieckiego i Grassa, poświęcony noblistce i XVIII-wiecznemu gdańskiemu malarzowi. Tyle że placówka miała raczej upowszechniać artystyczne dialogi pogranicza, także ze współczesnymi artystami, większość pamiątek po Grassie, do tej pory wystawianych w Galerii, wylądowała więc w kartonach. Pytania z tworzącej się Rady Kultury Gdańskiej o materiały dotyczące noblisty trzymane w magazynach, długo zbywano komentarzami, że „jeszcze nic nie jest przesądzone", a także że „Grass nie jest jedynym gdańskim pisarzem".

A tymczasem planowana jest kolejna fuzja. Połączenie Gdańskiej Galerii Miejskiej, czyli formalnego opiekuna pamiątek po Grassie, i Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia. W nowym wariancie wiodąca ma być Łaźnia, promująca także twórczość niezwiązaną z Gdańskiem. Realizowany już plan scalenia placówek, których nie łączy nic ponad hasło „sztuka", wywołał ogromne protesty. Pod listem sprzeciwu podpisały się najważniejsze osoby gdańskich środowisk twórczych.

Na pytanie, skąd pomysł na fuzję, Ministerstwo Kultury opowiada o oszczędnościach kadrowych, ale gdańska interpretacja jest inna – że chodzi również o Grassa. I pamiątki, których już nie będzie komu wyjąć z kartonów. Choć zasługi noblisty dla Gdańska są nie do przecenienia, dziś pisarz uważany jest przez wielu za dziedzictwo kłopotliwe. W 2006 r. przyznał się do służby w Waffen SS; gdzie został wcielony jako 17-latek. Lech Wałęsa nawoływał wówczas, by odebrać mu tytuł honorowego obywatela miasta Gdańska, ale zdecydowana większość gdańszczan zagłosowała, żeby dać pisarzowi spokój. Historia w tym regionie była, jaka była.

A jednak im silniejszy staje się prąd przepisywania gdańskiej historii na lokalny język, opowiadania o „Naszych chłopcach" bez cenzury, tym silniejszy jest trend odwrotny, wedle którego „nasi" to byli w powstaniu, zaś słowa „Polak", „patriota", zawsze znaczą „bohater". A to z kolei waży więcej niż „noblista". (MB)

© RAFAŁ MALKO/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl e445b60032

PROMOCJA

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej

Przychodzisz do nowej firmy, masz za sobą lata praktyki, ale w świetle prawa zaczynasz od zera? **Znamy to i mamy na to rozwiązanie.**

Paulina, copywriterka

- 7 lat w agencji reklamowej na umowie-zleceniu
- 3 lata samozatrudnienia
- 1,5 roku na etacie

Staż pracy dzisiaj: **1,5 roku**

Staż pracy na nowych zasadach: **11,5 roku**



Patryk, kucharz

- 10 lat pracy na umowie-zleceniu
- 5 lat prowadzenia jednoosobowej działalności gospodarczej

Staż pracy dzisiaj: **0**

Staż pracy na nowych zasadach: **15 lat**

W przeszłości pracowałeś:

- **na umowie-zleceniu**
- **prowadząc działalność**
- **wykonując za granicą pracę zarobkową inną niż zatrudnienie**

Twoje doświadczenie się liczy - niezależnie od formy zatrudnienia.

Już wkrótce wszystkie te przepracowane lata będą liczyły się do Twojego stażu pracy. **Co to oznacza w praktyce? Prawo do dłuższego urlopu, do nagród jubileuszowych, dostęp do stanowisk wymagających potwierdzonego doświadczenia zawodowego.**

Dowiedz się więcej:

eprasa.pl e445b60032



Tomahawki odleciały do Budapesztu

Donald Trump znowu zmienił pogląd na wojnę w Ukrainie. Zamiast niedawno prognozowanego zwycięstwa Kijowa, teraz chce jak najszybszego końca wojny, by na swojej „noblowskiej" tablicy wyników zaznaczyć dziewiąty zakończony konflikt. Zygzaki amerykańskiego prezydenta na drodze do pokoju najmniej dziwią chyba Ukrainę, która przeżyła już skrajne wahania nastroju swojego najważniejszego międzynarodowego partnera (bo o adekwatność słowa „sojusznik" w odniesieniu do Stanów Zjednoczonych trwają w Kijowie spory).

Tym razem zwrot był bolesny: Trump zdecydował się porozmawiać z Władimirem Putinem, gdy w Waszyngtonie z kolejną wizytą był już **Wołodymyr Zełenski**. Po rozmowie ocenił, że jednak nie przekaże Ukrainie pocisków Tomahawk. A w dodatku wprosił się na szczyt z Putinem do Budapesztu, europejskiej stolicy najbardziej niechętnej Kijowowi. Zamiast zwiększenia presji militarnej na Moskwę Zełenski musiał znowu wysłuchiwać o tym, jak to Putin chce pokoju, że dobrze byłoby się z nim polubić i że jego gra na czas to nic wielkiego, ot negocjacyjna normalka.

Prezydent Ukrainy wyjechał z pustymi rękoma i niepewnością, jak Trump zamierza rozegrać drugą rundę bezpośrednich negocjacji z Putinem. Runda pierwsza, z Alaski, mimo bombastycznych planów nie przyniosła niczego poza frustracją Trumpa, którą Ukraina przyjęła z nadzieją. Przez pewien czas Putin był w Waszyngtonie na cenzurowanym, a karty Zełenskiego zdawały się silniejsze. Do drugiej rundy Trump przystępuje w aureoli ojca pokoju między Izraelem i Hamasem, z jeszcze silniejszym apetytem na Nagrodę Nobla. W dodatku wobec narastającego konfliktu gospodarczego z Chinami Trump może jeszcze bardziej dążyć do „dealu" z Rosją.

Data planowanego spotkania w Budapeszcie nie została ustalona, ale mówi się, że Trump ma negocjować z Putinem w drodze powrotnej z azjatyckiego szczytu APEC w Korei Południowej (31 października – 1 listopada), gdzie spotka się lub nie (bo kluczy w tej sprawie) z Xi Jinpingiem. Chiny zdetonowały właśnie w relacjach z Zachodem surowcową bombę atomową, niemal blokując eksport niezbędnych w zaawansowanym przemyśle pierwiastków ziem rzadkich. Trump w odpowiedzi przywrócił ponad 150-procentowe cła na chińskie towary, choć sam mówi, że taka wojna handlowa zaboli wszystkich. Rosja od początku kusi USA dostępem do swoich minerałów, a z Kijowem Waszyngton zawarł już umowę o ich wykorzystaniu – na horyzoncie Trump ma więc podwójny sukces w wojnie, tylko nie tej, którą tak bardzo chce skończyć

Zawieszenie na włosku



Nie był to spokojny tydzień **w Strefie Gazy**. Od 10 października, gdy weszło w życie zawieszenie broni wynegocjowane przez prezydenta USA Donalda Trumpa, zginęło tam – według strony palestyńskiej – 97 osób. Krytyczny był weekend, gdy zdaniem Izraela jego żołnierze zostali zaatakowani przez „terrorystów" w pobliżu Rafah w południowej części Strefy (dwóch zginęło), na co odpowiedziano kolejnymi bombardowaniami. Hamas twierdzi, że nic nie wiedział o tych atakach. W niedzielę zarówno Trump, jak i przedstawiciele izraelskiego MSZ zapewniali jednak, że zawieszenie broni znów jest przestrzegane.

Już wcześniej realizacja pierwszej fazy tzw. planu Trumpa przebiegała z zakłóceniami. Po uwolnieniu wszystkich 20 żyjących zakładników – w zamian za wypuszczenie przez Izrael ok. 2 tys. palestyńskich więźniów – Hamas opóźniał zwrot ciał tych, których zabito w niewoli; w co najmniej jednym przypadku pomylono zwłoki. Do poniedziałku w rękach izraelskich było tylko 16 z 28 ciał (o zakładnikach piszemy więcej na s. 12). Hamas tłumaczył się problemami z dostępem do grobów przykrytych gruzami i domagał się otwarcia granic Strefy dla pomocy humanitarnej, co było zapisane w umowie. Izrael twierdzi, że wypełnił już ten punkt. Tak jak inny, dotyczący wycofania żołnierzy z ok. 50 proc. terytorium Strefy Gazy.

Realizacja kolejnych punktów planu Trumpa przebiega różnie. Nie wygląda na to, by Hamas rozpoczął zapisane w umowie rozbrojenie. Przeciwnie, reaktywował i uzbroił lotne oddziały, które w ostatnim tygodniu dokonały wielu publicznych egzekucji na Palestyńczykach podejrzanych o współpracę z Izraelem oraz na członkach wrogich klanów. Jednocześnie trwa organizowanie sił pokojowych, które mają przejąć kontrolę nad Gazą. W ich skład mają wejść żołnierze z Egiptu, Jordanii i Turcji. Nadzorować to będzie trumpowska „Rada Pokoju", która ma się składać – oprócz przewodniczącego w osobie prezydenta USA – z 6–8 polityków „o międzynarodowej renomie". Na dziś niemal pewny jest udział byłego brytyjskiego premiera Tony'ego Blaira. Codzienny zarząd nad Strefą ma natomiast przejąć grupa kilkunastu doświadczonych urzędników z państw arabskich.

Hamas, który najwyraźniej złapał drugi oddech, twierdzi jednak, że na razie zgodził się tylko na wymianę zakładników za więźniów. A pozostałe punkty – w tym przede wszystkim ten o oddaniu kontroli nad Stefą Gazy – są „do negocjacji".

eprasa.pl e445b60032

Luwr, szlifierka i szmaragdy







Paryskie zabytki nie mają ostatnio szczęścia do remontów. Kilka lat temu podczas renowacji spłonęła spora część katedry Notre Dame. Teraz do pobliskiego Luwru włamała się czwórka rabusiów przebranych w kombinezony ekipy remontowej. Atakowali od strony Sekwany. Niewzbudzającym podejrzeń podnośnikiem dostali się na balkon Galerii Apollina. Szlifierką kątową rozcięli szyby. W środku sterroryzowali ochronę, strażnicy wyprosili zwiedzających, a napastnicy rozbili dwie gabloty. Wynieśli monarszą biżuterię z XIX w., w tym naszyjnik ze szmaragdami i parę kolczyków cesarzowej Marii Luizy (drugiej żony Napoleona), tiarę i broszkę należące do cesarzowej Eugenii (żony Napoleona III) oraz diadem, **naszyjnik i kolczyk z szafirowego zestawu królowej Marii Amelii** (żony Ludwika Filipa).

Osiem przedmiotów, „francuskich klejnotów koronnych", ozdobionych jest m.in. tysiącami diamentów. Choć zuchwała siedmiominutowa akcja wyglądała na zleconą i starannie zaplanowaną, to sprawcom nie wszystko się udało. Porzucili dwa precjoza, w tym **koronę cesarzowej Eugenii**. Nie zdołali spalić podnośnika. Z sobie tylko znanego powodu nie wynieśli też przechowywanego w Galerii Apollina „Diamentu Regenta", wycenianego na ponad 60 mln dol. (ponad 200 mln zł). Mimo tych nieporadności złodzieje uciekli na szybkich skuterach. W śledztwo zostało zaangażowanych co najmniej 60 policjantów. Szef MSW Laurent Nuñez mówi o utracie „nieocenionej wartości dziedzictwa". „Ponieśliśmy porażkę" – przyznał minister sprawiedliwości Gérald Darmanin.

Luwr jest najchętniej odwiedzanym muzeum na świecie. A wielkie muzea to także wielkie kradzieże. W 1911 r. Vincenzo Peruggia pod fartuchem wyniósł stamtąd „Monę Lisę". Dobrze znał obraz, ponieważ pracował przy konserwacji jego ramy. Wywiózł Giocondę do Włoch, wróciła po dwóch latach. Do dziś nie odnalazł się za to zdjęty w 1998 r. ze ściany olej Corota „Droga w Sèvres". Luwr nie jest też jedynym francuskim muzeum obrabowanym w ostatnim czasie. W połowie września – też o poranku i też przy użyciu szlifierki kątowej – wykradziono złoto z galerii geologiczno-mineralnej Narodowego Muzeum Historii Naturalnej. Także we wrześniu z muzeum w Limoges w środkowej Francji zniknęła chińska porcelana warta 9,5 mln euro (40 mln zł). Stąd mowa wręcz o fali kradzieży we francuskich placówkach.

Owoc zakazywany



Premier Danii **Mette Frederiksen** zapowiedziała w parlamencie zakaz korzystania z mediów społecznościowych dla osób poniżej 15 lat. Przytoczyła niepokojące dane: 60 proc. 11–19-latków nie ma żadnego kolegi, z którym by się spotykali po lekcjach, a 94 proc. przed ukończeniem 13 lat (wbrew regulacjom) miało swój profil w tych mediach i spędzało tam średnio ponad trzy godziny dziennie. Wielu ma kłopoty z koncentracją i czytaniem, panuje istna epidemia lęków i depresji, słowem „uwolniliśmy potwora".

Ograniczenia mają wejść w życie w 2026 r., a od początku tego roku we wszystkich szkołach i na zajęciach sportowych obowiązuje zakaz używania telefonów komórkowych. Podejście do nowych mediów jest wielotorowe, bo dopuszczono do korzystania z internetu i AI na maturze z angielskiego (w ramach przygotowań do wypowiedzi na zadany temat, żeby sprawdzić umiejętność korzystania ze źródeł).

W czerwcu Grecja wystąpiła z inicjatywą, aby w Unii Europejskiej obowiązywał jednolity „wiek dojrzałości cyfrowej". W grupie roboczej przygotowującej projekty wspólnych przepisów są też Hiszpania, Włochy i Francja. Prezydent Emmanuel Macron zapowiedział, że jeśli Bruksela szybko nie upora się z tym problemem (a nic na to nie wskazuje), Francja wprowadzi własne ograniczenia. Wszystkie oczy skierowane są na Australię, gdzie 10 grudnia wejdzie w życie pionierski zakaz korzystania m.in. z YouTube, Facebooka, TikToka, Instagrama i Snapchata poniżej 16 lat.

Wystąpienie premiera Anthony'ego Albanesego podczas sesji ONZ o przygotowaniach do „godziny zero" spotkało się z wielkim zainteresowaniem. Kluczowa jest kwestia skuteczności egzekwowania zakazu. Młoda osoba naruszająca przepisy nie będzie karana, surowe kary (rzędu 50 mln australijskich dol.) grożą natomiast dostarczycielom usług. Z australijskich doświadczeń wynika, że nie ma idealnej weryfikacji: zgoda rodziców czy dokument tożsamości mają istotne wady, a testowane ustalanie wieku na podstawie obrazu twarzy sprawdza się w 92 proc. w grupie wiekowej 18+, ale obarczona jest dużym błędem w grupie poniżej 16 lat. Gdyby jednak Australijczykom udało się pokonać przeszkody, lawina zakazów ruszy na całym świecie.

© ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES, ALI JADALLAH/ANADOLU/GETTY IMAGES, KIRAN RIDLEY/GETTY IMAGES, MUSÉE DU LOUVRE/BESTIMAGE/EAST NEWS (2), PAP/EPA

eprasa.pl e445b60032

Plac Powracających

Dla wielu Izraelczyków prawdziwym końcem wojny stał się powrót zakładników ze Strefy Gazy. Triumfuje Trump, triumfuje Netanjahu. Tylko co dalej z Izraelem i Palestyną?



Nadlatuje helikopter z kolejnym uwolnionym zakładnikiem, Tel Awiw, 13 października

eprasa.pl e445b60032

AGNIESZKA ZAGNER **Z JEROZOLIMY**

Tego dnia wielki zegar na placu Zakładników w Tel Awiwie wskazywał 738 dni. Tyle czasu upłynęło, odkąd 7 października 2023 r. Hamas zaatakował Izrael, zabijając 1195 cywilów i funkcjonariuszy rozmaitych służb, w tym żołnierzy. Do niewoli trafiło wówczas 251 osób, nie tylko żywych, lecz również ciała zabitych. Dwa lata później, w poniedziałkowy wieczór 13 października, 20 ostatnich żyjących zakładników wracało właśnie do Izraela.

Gdy nad placem przelatywał helikopter z kolejnym zakładnikiem, ludzie zrywali się z miejsc, podnosili wysoko biało-niebieskie flagi, rozlegały się brawa i okrzyki: „Nasi bohaterowie wracają do domu!". – *To wielki dzień. Przychodzę na plac od dwóch lat, właściwie zacząłem już tracić nadzieję. Netanjahu zwodził nas, przeciągał wojnę. Jego miejsce jest w więzieniu* – mówił Gonen. Cecilia Leibovitz, laborantka z pobliskiego szpitala Ichilov, po zakończeniu pracy zamiast do domu też przyszła tutaj: – *Nie wyobrażam sobie być gdzieś indziej. Dziś wszyscy jesteśmy z zakładnikami.*



© CHRIS MCGRATH/GETTY IMAGES

Ta spora przestrzeń bez własnej nazwy przed Telawiwskim Muzeum Sztuki w północnej części miasta już w październiku 2023 r. stała się bazą walczących o powrót porwanych. Wkrótce pojawiły się tu stragany z gadżetami i napisami „BringThemHome", żółtymi wstążkami, a z czasem książkami o 7 października. W każdy sobotni wieczór po zakończeniu szabatu przychodzili tu krewni porwanych, a także tysiące ludzi, by domagać się ich uwolnienia. Na placu stanęła kilkunastometrowa betonowa makieta tunelu, w którym odtwarzane są nazwiska porwanych i odgłosy wybuchów. Można tu też znaleźć „drzewo życzeń" ze zdjęciami zakładników i wiadomościami do nich, instalacje ogromnych żółtych wstążek, a także jeden ze spalonych 7 października samochodów.

Nie jest to przypadkowe miejsce – nieopodal znajduje się Kirja, główna siedziba ministerstwa obrony, a naprzeciwko niej słynny „Kaplan", punkt regularnych protestów antyrządowych jeszcze sprzed wybuchu wojny, a potem antywojennych demonstracji. – *Ludzie wciąż kupują gadżety, chociaż w tej chwili już jako pamiątkę* – mówiła Naomi pracująca na jednym ze stoisk. – *Obawiamy się, że opinia publiczna straci zainteresowanie, bo nie czekamy już na żywych.*

W dzień po uwolnieniu żywych zakładników i czterech pierwszych ciał porwanych panował na placu piknikowy nastrój. Wtorek był dniem wolnym, stawiły się całe rodziny. – *Będziemy tu przychodzić do powrotu ostatniego zakładnika* – zapewniały dwie starsze panie. Z każdą godziną pojawiało się coraz więcej osób, rozstawione w kilku miejscach ekipy telewizyjne co chwilę nadawały relacje. W wieczornych informacjach kolejne części programu były poprzedzielane tablicami „Nareszcie w domu!". Skrajnie prawicowy minister finansów Becalel Smotricz tego dnia miał wpiętą w klapę wstążeczkę w kolorze biało-niebieskim, odpowiadającą barwom izraelskiej flagi. Z okazji święta Simchat Tora był w Sderot przy granicy z Gazą. Przekonywał, że nie będzie już ani Hamasu, ani zagrożenia z tej strony: „W Strefie Gazy będzie osadnictwo żydowskie".

Ela Haimi urodziła się i wychowała w niewielkim kibucu Nir Icchak, 4 km od Strefy Gazy. Tam poznała Tala, pobrali się w 2012 r., dwa lata później urodziły się im bliźnięta Nir i Ejnaw, w kolejnym roku – syn Udi. Tal pracował w kibucowej fabryce nabiału jako inżynier, Ela była menedżerką HR. – *Nie potrzebowaliśmy nic więcej. Zwykłe, dobre życie* – mówi Ela. Tal był dowódcą zespołu szybkiego reagowania.

Najgorszy scenariusz zakładał, że do kibucu może wedrzeć się jeden, dwóch terrorystów. W tamtą „czarną sobotę" Ela wraz z dziećmi ukryła się w pokoju bezpieczeństwa, Tal wziął broń i wyszedł. Wokół panował chaos, słychać było odgłosy wybuchów, strzelaniny, krzyki. Po godzinie Tal odebrał telefon, ▶

eprasa.pl e445b60032

▶ przekonywał, że jest dobrze, ale nie może rozmawiać. To była ich ostatnia rozmowa. Wieczorem, gdy w kibucu pojawiło się izraelskie wojsko, żołnierze poinformowali Elę, że telefon Tala zlokalizowano w Chan Junis w Strefie Gazy. – *Powiedzieli, że to dobra wiadomość, bo może żyje i do nas wróci. Pokazałam dzieciom na mapie, jak blisko jest ich tata i że „zaraz wróci”* – opowiada Ela. Jeszcze tego samego wieczora poinformowała rodzinę Tala, że jest w drugim miesiącu ciąży, Lotan urodził się siedem miesięcy później.

Rodzinę, podobnie jak większość mieszkańców z przygranicznych kibuców, ewakuowano do jednego z hoteli w Ejlacie. Dwa miesiące później wojsko poinformowało ją, że Tal nie żyje. Ze względu na dzieci postanowiła urządzić pogrzeb. – *Dzieci potrzebowały symbolicznego pożegnania* – mówi Ela. Rodzina wróciła do Nir Icchak kilka miesięcy temu, dzieci tęskniły za domem. – *To historyczne dni, czekamy, by sprowadzić Tala i pochować go w naszej ziemi. Musi wrócić do domu* – dodaje. Nie wiadomo dokładnie, jak zginął Tal – wojsko znalazło jego hełm, prawdopodobnie został postrzelony w głowę, walczył do samego końca.

Wielu Izraelczyków się obawia, że jeśli Hamas nie odda ciał wszystkich 28 zabitych zakładników, wojna rozpocznie się na nowo. Chociaż niektórzy przyznają, że niekoniecznie musi to wynikać ze złej woli Hamasu, ale z trudnych warunków, przede wszystkim grubej warstwy gruzów pokrywającej większość Gazy. Do pomocy przy lokalizacji ciał zaangażowali się egipscy specjaliści, również Izrael pomaga je znaleźć.

To może jednak nie wystarczyć. Już w pierwszych dniach rozejmu przekazane szczątki okazały się nie pasować do DNA żadnego z nieżyjących zakładników, co w Izraelu wywołało jak najgorsze skojarzenia. Osiem miesięcy temu Hamas oddał ciało rzekomo należące do Sziri Bibas, matki dwojga maleńkich dzieci, jak się potem okazało, również brutalnie zamordowanych w Gazie. Tamta „pomyłka” wywołała w Izraelu powszechne oburzenie, nazajutrz Hamas oddał właściwe ciało.

Tym razem sprawa jest bardziej skomplikowana, ponieważ minęło więcej czasu, a do oddania było 28 ciał. Sytuację próbowali wykorzystać radykalni ministrowie w rządzie Beniamina Netanjahu, domagając się, by Izrael zablokował transporty z pomocą humanitarną dla Gazy, dopóki wszystkie ciała nie zostaną zwrócone. Problem polega na tym, że 21-punktowy plan Donalda Trumpa nie przewidział, co się stanie, jeśli Hamas nie wywiąże się z umowy w tej sprawie. Sam prezydent USA zapowiedział, że w tej sytuacji da Netanjahu zielone światło, by uderzyć ponownie. Dla Eli to brzmi jak zły sen: – *Mieszkamy na granicy. Na wieść o porozumieniu dzieci pytały mnie, czy świat się znowu skończy. Boję się, że ten koszmar powróci. Chcemy tylko spokoju. Wiem, że ludzie po drugiej stronie też go chcą. Wszyscy zasługujemy na spokojne i bezpieczne życie.*

Jedno z dzieci Eli na wieść o powracających zakładnikach stwierdziło: „Mamo, cieszę się z powodu innych, ale jest mi też okropnie smutno”: – *Tak wygląda nasze życie: radość i smutek splecione w jedno* – mówi Ela. To dziś dość powszechne odczucie w Izraelu po uwolnieniu zakładników. – *Dokładnie taka sama umowa mogła być zawarta 11 miesięcy temu, co zaoszczędziłoby cierpienia wielu zakładnikom, ich rodzinom, żołnierzom, a także ludziom w Gazie* – uważa prof. Jael Berda, socjolożka i badaczka z Uniwersytetu Hebrajskiego w Tel Awiwie.

W dzień uwolnienia na pierwszym planie była jednak radość. – *Dziś piję tylko wódkę* – odparła na propozycję kawy Szir, przyjaciółka Roma Braslavskiego, która od rana czekała na jego powrót w liceum w Pisgat Zew, jednym z żydowskich osiedli we wschodniej Jerozolimie. Zgromadzili się tu nie tylko znajomi i krewni Roma. Ich radość mieszała się z niepokojem, ponieważ na opublikowanym przed dwoma miesiącami nagraniu Rom z powodu skrajnego wycieńczenia nie był w stanie nawet chodzić. Wychudzona twarz 21-latka o odstających uszach i z grymasem cierpienia na twarzy natychmiast pojawiła się na banerach podczas protestów. – *To nasz bohater, który tamtego dnia uratował wielu ludzi. Nie mogliśmy doczekać się dnia jego powrotu* – mówił w poniedziałek rano jego kuzyn Adam Hadżadż.

7 października Rom pracował jako ochroniarz na festiwalu Nova koło Reim tuż przy granicy z Gazą. Został wzięty do niewoli z ok. 40 innymi osobami, na miejscu zginęło prawie 400 osób. – *Służąc niedawno w Gazie, zostawiałem mu na murach różne wiadomości po hebrajsku. Miałem nadzieję, że może to zobaczy, że doda mu to otuchy* – przyznaje Adam. Te nadzieje nie były całkiem bezpodstawne. Idit, matka innego zakładnika, Alona Ohela, przekazała, że jej syn w niewoli przypadkiem zobaczył ludzi trzymających jego zdjęcie, co dodało mu sił do przetrwania. 22-letni wówczas Alon został porwany z tzw. schronu śmierci nieopodal festiwalu Nova, w którym zabarykadowało się kilkadziesiąt osób. Przeżyła zaledwie garstka. On wrócił ze szrapnelem w oku, lekarze walczą o jego wzrok.

Powrót zakładników dla większości Izraelczyków stał się świętem. Większość kanałów telewizyjnych pokazywała relacje z pierwszych spotkań z rodziną, łzy szczęścia. Uwagę przykuwało zwłaszcza nagranie z powitania Awinatana Ora i jego partnerki Noi Argamani porwanych z festiwalu Nova. Zdjęcie tej dziewczyny, wrzuconej przez terrorystów na motocykl, wyciągającej ręce w kierunku ukochanego, obiegło cały świat. „Od tamtej chwili nasze drogi w niewoli się rozeszły. Jednak oboje wbrew wszelkim przeciwnościom wróciliśmy do domu i znowu się spotkaliśmy” – mówiła Noa po powrocie Awinatana z niewoli. Sama przed ponad rokiem została uratowana przez izraelskich żołnierzy.

Izraelskie media sporo uwagi poświęciły też Ejnat Zangauker, matce Matana Zangaukera, która ze zwolenniczki rządzącego Likudu stała się symbolem oporu przeciw Netanjahu – zarzucała mu, że zapomniał o zakładnikach dla własnych korzyści. „Moje życie, mój bohaterze” – mówiła, tuląc w ramionach syna po jego uwolnieniu z Gazy. Matan został porwany wraz ze swoją partnerką Ilaną Grizevski z domu w kibucu Nir Oz. Dziewczynę uwolniono kilka tygodni później. Przyznała publicznie, że była molestowana seksualnie przez porywaczy.

– *Oni w pewien sposób należą do nas wszystkich. Nie do końca jest to prywatna sprawa, skoro tyle osób zaangażowało się w ich uwolnienie* – mówi Omer, czterdziestokilkulatek z Jerozolimy, który oglądał powrót zakładników w telewizji. Tamtego wieczora często powtarzano, że zakładnicy przez wiele miesięcy byli głodzeni, ale tuż przed uwolnieniem dostawali więcej jedzenia, by w świat nie poszły zdjęcia ich wychudzonych ciał. Obyło się też bez upokarzających „ceremonii” uwolnienia, torebek z „prezentami” od Hamasu czy „certyfikatów wolności”. Zakładnicy zostali przekazani w trzech turach pracownikom Czerwonego Krzyża, a następnie izraelskim żołnierzom, którzy przewieźli ich do bazy Reim, skąd helikopterami odlecieli do szpitali.

eprasa.pl e445b60032



Donald Trump z podpisanym planem pokojowym na szczycie w egipskim Szarm el-Szejk, 13 października

Jeden z uwolnionych zakładników, Omri Miran, opowiadał, że w ciągu ostatnich tygodni walki dosłownie toczyły się nad jego głową. „Na szczęście udało się osiągnąć porozumienie przed katastrofalnym zakończeniem" – stwierdziła jego żona Lishay Miran-Lavi. Zarówno ona, jak i wielu innych bliskich zakładników dziękowało za ich powrót głównie Donaldowi Trumpowi. Nazwisko Netanjahu w zasadzie nie padało. Anat, matka uwolnionego żołnierza Matana Angresta, stwierdziła wręcz, że umowa była możliwa „wbrew izraelskiemu rządowi, a nie dzięki niemu".

„Donald Trump jest Aleksandrem Wielkim naszych czasów" – ogłosił „Jerusalem Post" po uwolnieniu zakładników. Słynny macedoński wódz jako jedyny nie-Żyd zdobył uznanie Żydów, bo pokonał Persów (obecny Iran) i podbił Judeę, ale traktował ich religię z szacunkiem. Ze względu na zasługi Trumpa w zakończeniu wojny angielskojęzyczny dziennik stwierdził też, że jest on „Zbawcą Izraela", i zaproponował, by imię Donald zostało uznane za żydowskie.

Na fasadzie Muzeum Przyjaciół Syjonu w Jerozolimie pojawił się ogromny baner z podobizną Trumpa i napisem „Cyrus Wielki żyje", co jest nawiązaniem do postaci króla Persów słynącego ze swych wojennych osiągnięć i uznanego w Biblii za boskiego pomazańca. W poniedziałkowe popołudnie trudno było na placu Zakładników znaleźć kogokolwiek, kto uważałby, że amerykański prezydent nie zasłużył na pokojowego Nobla.

Szczególny stosunek do Trumpa w Izraelu widać na każdym kroku. Rzucało się to także w oczy podczas jego godzinnego wystąpienia w Knesecie w dniu uwolnienia zakładników. Amerykański prezydent zachowywał się swobodnie, żartował. „Cygara i szampan, kogo to do cholery obchodzi?" – rzucił niby mimochodem z mównicy, nawiązując do jednego z wielu zarzutów o korupcję ciążących na izraelskim premierze. „Mam pomysł: dlaczego nie ułaskawicie Netanjahu?" – zwrócił się do prezydenta Jicchaka Herzoga. Nazwał też izraelskiego premiera „jednym z wielkich prezydentów czasów wojny". Wyraźnie zadowolony Netanjahu nie sprostował pomyłki.

Izraelskie społeczeństwo wychodzi z tej traumy poobijane. Chociaż – jak zauważa Jael Berda – popularne jest przekonanie, że to dzięki ludziom na ulicach udało się doprowadzić do uwolnienia zakładników. – *Prawica przypisuje zasługi głównie wojsku, a Netanjahu coraz głośniej przekonuje, że to jego osobiste zwycięstwo.*

Otwarte pozostaje pytanie, czy izraelski premier ma szanse na polityczne przetrwanie. Z jednej strony bez wojny będzie mu o wiele trudniej utrzymać w ryzach koalicję. Dziś nic nie wskazuje na to, by groziły mu przyspieszone wybory parlamentarne, ale pojawia się coraz więcej głosów wzywających do rozliczenia polityków za porażkę 7 października. – *Problem polega na tym, że nie widać alternatywy dla Netanjahu. Kogoś, kto byłby w stanie nadać nowy, właściwy kierunek. Można znaleźć polityków mniej skorumpowanych, ale to, czego naprawdę potrzebujemy, czyli rozwiązania kwestii palestyńskiej, wydaje się dalekie od osiągnięcia* – uważa Gideon Lewi, jeden z czołowych publicystów dziennika „Haarec".

Nie wszyscy Izraelczycy wierzą, że tym razem to już naprawdę koniec wojny. Poruszenie wywołały zamieszczane w mediach nagrania publicznej egzekucji przeprowadzonej przez Hamas na członkach palestyńskich milicji oskarżanych o kolaborację z Izraelem. – *Zobacz, uzbrojeni są po zęby* – zauważa Omer, śledząc wieczorne wiadomości. – *Sprawa jest prosta: albo sami się rozbroją, albo my ich rozbroimy. Tym razem nie będzie żadnej litości.*

Tymczasem władze Tel Awiwu planują, by po powrocie ostatniego zakładnika nazwę placu przed muzeum zmienić na plac Powracających. W ten sposób pamięć o tych dniach ma pozostać i w sercach, i na mapach.

AGNIESZKA ZAGNER

© CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES

eprasa.pl e445b60032



Nawrocki superstar

MARIUSZ JANICKI

Prawica robi z Karola Nawrockiego wielką gwiazdę, co nie dziwi. Jednak także duża część drugiej politycznej strony, co widać w mediach społecznościowych, wykazuje coraz większą fascynację nowym prezydentem. Może to zdecydować o wyniku wyborów w 2027 r.

eprasa.pl e445b60032



© BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Przedłuża się miodowy miesiąc Karola Nawrockiego. Słychać, że drugą kadencję zdobędzie już w pierwszej turze, i trzecią też, gdyby była. Niemal wszystko, co robi, jest w zasadzie trafione, świetnie pomyślane i wykonane: Nawrocki z rodziną, na meczu, na kebabie, w siłowni, w kościele, u Trumpa, u Macrona, u Meloni, która na rozpowszechnianym na X zdjęciu patrzy na niego podobno rozmarzonym wzrokiem. W porządku jest pokazywanie palcem, nieprzesadny angielski, skórzana kurtka i dżinsy – w przeciwieństwie do „trzyczęściowego garnituru", w jakim siedział na konkursie szopenowskim Rafał Trzaskowski. Powtarzają się, zwłaszcza po słynnym kebabie z młodzieżą, komentarze typu: „Nie głosowałem na niego, ale świetnie mu idzie", „To, co robi Nawrocki, to majstersztyk", „Wciąż nie pojęliśmy, dlaczego Trzaskowski przegrał wybory". „Otoczenie Trzaska nadal w szoku, że nie wygrał. Jakby wyszli poza warszawkę i zobaczyli, jak świat wygląda...", „Małe grzeszki, rysy na wizerunku stają się siłą", „Nawrocki niestety radzi sobie lepiej niż dobrze", „Przed wyborami byłem za Trzaskowskim, ale teraz uważam (o Nawrockim – przyp. red.), że to był w miarę dobry wybór" itd.

Zdarzają się głosy otrzeźwienia: „Ładne zasięgi robicie Nawrockiemu i pięknie aktywizujecie jego elektorat, tańczycie tak, jak oni zagrają. Wszystko, co widzicie, jest wyreżyserowane do ostatniego guzika". „Zaraz TikTok zostanie zalany filmikami, jaki on jest cacy i w ogóle miód malina. A młodzi to łykną, jak pelikan na wiosnę", budują „wizerunek swojskiego chłopa, z którym można konie kraść. Na piwo pójdzie i na kebsa, w dziąsło zapoda, a jak będzie trzeba, to w nos przyłoży. Oni już walczą o reelekcję". Ale wyrazów podziwu dla zręczności Nawrockiego i jego ludzi jest bardzo wiele: że dotrzymuje obietnic (trudno powiedzieć, jakich), że „zrobił ogromne postępy", „jest autentyczny", „ma społeczną intuicję", „umie się odnaleźć". Ocenie podlega forma, treść jest w dalekim tle.

I chociaż to chwalenie Nawrockiego ma służyć niby jako przestroga i impuls dla obozu demokratycznego, aby się bardziej starał, widać, że ta troska coraz mniej się różni od autentycznego podziwu dla nowego prezydenta. Wielu z tych, którzy wcześniej wspierali Trzaskowskiego i rządzącą koalicję, może też dla przekory i z frustracji po przegranej kandydata KO, teraz z widoczną satysfakcją chwali Nawrockiego. Tyle że ta przekora staje się coraz bardziej bezobjawowa, bardziej przebija się uznanie dla marketingu Nawrockiego, a to się w końcu zlewa z docenieniem samego obiektu tych piarowych zabiegów – że taki pojętny.

Teflonowy, nietykalny

W efekcie praktycznie już nic złego o Nawrockim nie wypada powiedzieć, bo zaraz zaczyna się atak, że się niczego z ostatnich wyborów nie zrozumiało, że takie „napaści" tylko wzmacniają prezydenta i całą prawicę, pogłębiają niechęć do nadętych liberałów, pokazują bezsilność itd. Dobry, bo ludowy, jest zatem publiczny snus, ubrania pierwszej damy nie podlegają krytyce, praca syna prezydenta w prawicowej stacji telewizyjnej nie wykracza poza normę, a podniesiony głos Nawrockiego, na granicy krzyku – od którego obecna władza się chwieje, jak w znanym memie z Tuskiem w samolocie – znamionuje po prostu siłę i witalność. Nastąpiło niemal zupełne wymazanie pewnych epizodów z biografii Nawrockiego, a jeśli czasami jeszcze jakieś wątki powracają w mediach, są obcesowo zbywane. Z satysfakcją wręcz odebrano zapowiedź wytoczenia procesu Onetowi za rewelacje tego portalu o przeszłości prezydenta z czasów jego pracy w sopockim Grandzie. Wybór na prezydenta niejako uświęcił Nawrockiego, wyczyścił jego życiorys, wracanie do tamtych spraw uznaje się teraz za nietakt, wyraz złośliwości i nieprzetrawionej traumy.

Podobnie jest z poglądami prezydenta – wiele osób z demokratycznej bańki w ogóle o nich nie wspomina. Zanika świadomość, że Nawrocki to katolicko-narodowy fundamentalista, za którego kadencji żaden liberalno-demokratyczny projekt ustrojowy, sądowniczy czy obyczajowy nie ma szans na zatwierdzenie. Dominuje zajmowanie się cienką, zewnętrzną warstwą prezydentury, sferą behawioru, wrażeń, jakichś miniprzewag i niemierzalnych, subiektywnych osiągnięć Nawrockiego, bo ten „się podoba", „daje radę", gdzieś tam „ustał". Pytanie, jako kto ustał, w jakiej naprawdę istotnej sprawie, co z tego wynika dla państwa, jego pozycji w polityce europejskiej i światowej, dla sytuacji gospodarczej, obronności.

Ci, którzy wcześniej śmiali się z Donalda Trumpa, po zwycięskich dla Nawrockiego wyborach zauważają z wyraźną admiracją, że polski prezydent umiejętnie naśladuje amerykańskiego, co ma być teraz główną zaletą. Mówi się o jego sprawczości, skuteczności, choć zupełnie nie wiadomo, jakie są na to twarde dowody. Może dlatego się tę sprawczość dorabia, jak w przypadku rzekomej interwencji Nawrockiego u Ursuli von der Leyen w sprawie relokacji imigrantów.

Widać jeszcze jedno zjawisko: wyjmowanie prezydenta z układu politycznego, stawianie go w jakimś innym porządku, przy stosowaniu specyficznych ▶

eprasa.pl e445b60032





Z prezydentem Donaldem Trumpem w Białym Domu, 3 września 2025 r. Na strzelnicy w Lublewie Gdańskim podczas kampanii wyborczej, 10 lutego.

▶ kryteriów. Tę zasadę widać było już w przeszłości, ale szczególnie w przypadku Dudy i teraz Nawrockiego. Postrzeganie głowy państwa „ponad podziałami" może miało jeszcze jakiś – niewielki – sens w okresie, kiedy polaryzacja nie była tak duża, jak w ostatnich 10 latach, jednak dzisiaj traktowanie Nawrockiego jako osoby „spoza duopolu", który ma szansę na złagodzenie konfliktu, jest przejawem albo przebiegłej strategii, albo zupełnego zagubienia w politycznej materii. Nawrocki jest teraz największą nadzieją twardej prawicy, spodziewanym łącznikiem pomiędzy PiS a Konfederacją i Braunem. To z nim pertraktuje Sławomir Mentzen w kwestii ewentualnego paktu senackiego prawicy. To w stu procentach gracz integralnego konserwatyzmu, który w wolnych chwilach mruga do drugiej strony politycznego sporu i sam jest pewnie zaskoczony, że to działa.

Stare kompleksy

Przy okazji odezwały się wszystkie znane od dawna kompleksy demokratycznego obozu. Znowu „wybraniec ludu" jest tym lepszym politykiem od „faworyta elit". Wracają stare frazy: trwa wojna plemion, a ludzie chcą spokojnie żyć, co na to powie PiS albo Konfederacja, rząd (kiedyś opozycja) nie ma programu, w Polsce trwa spór prawny, może czas już na jakiś kompromis, bo ile można itd. Wyborcy Nawrockiego są oczywiście nietykalni, bo ogólna racja jest po ich stronie, zawsze była. Wielkie miasta mają mieć wyrzuty sumienia, bo to prowincja przechowuje prawdziwe wartości. Wielu demokratów po zwycięstwie Nawrockiego jakby cofnęło się do okresu, który wydawało się, że już minął po 15 października dwa lata temu. Znowu słychać, że „niczego się nie nauczyliśmy", że wystawienie Trzaskowskiego było potwornym błędem, bo to panicz, że Sikorski też by nie dał rady, bo to „dziedzic z Chobielina", a nastał czas prostych chłopaków z podwórka i znowu to Jarosław Kaczyński wie więcej o polskim społeczeństwie. Podniesiona głowa sprzed dwóch lat zdaje się ponownie opadać. Powrócił mit mistrzów z PiS, naturalnych zwycięzców, którzy tylko przez nieuwagę na chwilę oddali władzę.

Trwa samobiczowanie się liberalnych środowisk, przyznanie się do bezradności na tle osiągnięć prawicy, pogodzenie się już teraz z dwiema kadencjami Nawrockiego. W przymiarkach do wyborów prezydenckich w 2030 r. słychać, że trzeba znaleźć kogoś takiego jak obecny prezydent, żeby był z ludu, obce języki znał tylko prywatnie, nie występował na tle regału z książkami, żeby chodził na „siłkę", nie obnosił się z wykształceniem i elitarnymi hobby. Takie rady mają niby wynikać z zimnej kalkulacji i przebiegłości, po to by wreszcie chytrze zwyciężyć i przywrócić w pełni demokrację. Ale to w istocie obraz wielkiej kapitulacji sporej części liberalnych, proeuropejskich środowisk. Okazuje się, że po dwóch dekadach kraju w Unii Europejskiej trzeba szukać w demokratycznym obozie populistycznego „prawdziwka", żeby wygrał z kimś podobnym z drugiej strony.

To prawda, że Nawrocki ma bardzo zdolną ekipę doradców, którzy w segmencie tradycyjnej prawicowej publiczności poruszają się z wielką swobodą. Ta sprawność jest tak efektowna, że działa i robi wrażenie także poza tą bańką. Jednak nie da się przenieść tej metody, retoryki, chwytów jeden do jednego do innego politycznego ekosystemu. Prawica ma swój specyficzny język, który jest wiarygodny tylko w przypadku właściwego wykonawcy z tego samego kręgu. Prezydent to nie tylko „swój chłop", ale też nośnik wizji państwa, gwarant tego, co podpisze, a czego nie, kogo mianuje, a kogo zablokuje. A teraz, na gruncie podziwu dla tężyzny i siły Nawrockiego, odbywa się spłaszczanie tej roli, w istocie zachęcanie wyborców, aby ci kopali jak najpłycej, unikali sięgania do ustrojowego sedna swoich decyzji, kierowali się tym, czy prezydent to brat łata i można mu przybić piątkę. Co więcej, taki komunikat – zwłaszcza po evencie z kebabem – jest wyraźnie kierowany do młodszych wyborców, to oni właśnie mają w ten sposób odbierać politykę, publiczne sprawy i wartości, mają kierować się takimi prostymi kryteriami – jest im to wprost rekomendowane.

Jeszcze bardziej na prawo

Specyficzna fascynacja Nawrockim, gdyby dalej trwała, może wyznaczać także w Polsce nowe, trumpowskie standardy postrzegania polityki jako dziedziny niejako fizykalnej, czysto emocjonalnej, a nie intelektualnej. Złudne jest wrażenie, że można wymyśleć demokratyczną odmianę Trumpa. Przyzwolenie, nawet jeśli nie wprost, na reguły, jakie wyznacza amerykański prezydent, a w Polsce chce lansować Nawrocki, oznacza zgodę na pole gry, na którym naturalnie będzie wygrywać prawica. Kibicowanie tej tendencji, wzmacnianie takich „siłowych" oczekiwań po demokratycznej stronie jest ryzykowne.

Widać w obozie demokratycznym skłanianie się ku kultowi mocy, może nawet pewnej bezwzględności, i wiąże się to z jakąś gloryfikacją pisowskiego „oryginału", czyli Nawrockiego, przyznaniem, że trzeba równać do niego. W polityce liczą się podskórne nastroje, wyczuwanie trendów. Nawrocki startował w wyborach z jawną agendą, był twardym konserwatystą i nie

eprasa.pl e445b60032







Z wizytą w Nowym Sączu, 22 stycznia. Na kebabie z uczniami w Wolanowie, 4 października. Podczas meczu Polska–Finlandia, 8 sierpnia.

udawał nikogo innego. Trzaskowski próbował zaś nawiązywać do zewnętrznego elektoratu, którego zupełnie nie czuł, był w tym mało wiarygodny. Polityka wymaga pragmatyzmu i elastyczności, nie zawsze można ulec godnościowemu wzmożeniu bez względu na koszty, jednak garnitur musi być dopasowany do kandydata. Teraz widać, że podoba się garnitur Nawrockiego i szuka się pretendenta z antyPiSu, któremu można go założyć. Ale to tak nie działa.

PiS korzysta na traumie demokratów. Organizm w depresji łatwiej ulega infekcji – dotyczy to też polityki. Rzeczywiście w pewnym sensie nastąpił koniec historii i nastał czas farsy, chaosu wartości, politycznego cyrku. Po październiku dwa lata temu wydawało się, że wydarzenia mają logiczny ciąg: odspawanie PiS od władzy, potem zmiana prezydenta i odnowienie demokratycznego ustroju. Ta linia się załamała, bo nagle pojawił się Nawrocki z tego starego pisowskiego świata i na zasadzie szoku zaczął organizować wyobraźnię także drugiej stronie.

To działa, co pokazują sondaże sympatii do prezydenta sięgające ostatnio 58 proc., i co wyraźnie przekracza łączne notowania PiS, Konfederacji i Korony Brauna. Znaczna większość uważa, że będzie lepszym prezydentem od Andrzeja Dudy, który długo cieszył się wysokim zaufaniem, wykraczającym poza pisowskie rewiry. Nawrocki eksploruje więc jeszcze śmielej nowe tereny, także ze strefy politycznego centrum, zyskuje niemal we wszystkich segmentach wiekowych i socjologicznych. Może zatem widać już w tych wynikach efekt tej „centrowej" fascynacji prezydentem, który sam jest bardzo odległy od centrum. Wygląda to na stare zjawisko – łagodnie mówiąc – pożytecznych niezorientowanych, którzy uczestniczą w budowaniu obcej legendy w przekonaniu, że sprzyjają interesom własnego politycznego środowiska.

Lepsza wersja Andrzeja

PiS wiele sobie obiecuje po „projekcie Nawrocki", nawet jeśli Kaczyński tradycyjnie obawia się zerwania się prezydenta ze smyczy. To nowa, lepsza wersja Andrzeja Dudy, który uwodził warszawską inteligencję w 2015 r. – mówiono wówczas „nie straszcie Dudą". Niesamowite, że podobny manewr, jak widać, udaje się 10 lat później, po dekadzie z PiS, kiedy wiadomo już, co robili Duda i Kaczyński ze swoją ekipą, do jakiej dewastacji doprowadzili instytucje i procedury państwa prawa. Wtedy też Duda był nowy, świeży, nieopatrzony. Podnosił i modulował głos, zadzierał głowę, podwijał rękawy, tańczył, łapał hostię, pozował z gospodyniami, robił miny, „nie był z PiS", „ściskał ręce i dawał nadzieję", no i był idealnym kandydatem na zięcia, tak jak teraz Nawrocki jest wzorcowym szwagrem.

To wszystko już było. Ale polityczna pamięć jeszcze raz okazuje się zaskakująco krótka, wszystko się kasuje i rozpoczyna od nowa. Etapy się powtarzają: zauroczenie, potem zapewne pierwsze rozczarowania, nie taki zły, jak mógłby być, dajmy mu jeszcze szansę, Kaczyński go podporządkował i zmuszał, może się jeszcze odnajdzie, czasami zrobi coś niezależnego, to jednak prezydent, ktoś go wybrał. To wszystko już było i ta powtarzalność reakcji jest dziwną cechą polskiej polityki. Kiedy PiS przegrywa, staje się potem jeszcze bardziej agresywny, utwardzony w swoich racjach i pewny siebie, ale kiedy niepowodzenie spotyka demokratów, ci popadają w depresję, zwątpienie i chęć naśladowania przeciwnika, „bo on coś wie". PiS nigdy nie naśladował Platformy i znowu idzie po władzę. W miękkiej materii wpływu, perswazji PiS rzeczywiście jest dobry, ale dziwne jest to, że podziwiają za to ludzi Kaczyńskiego ci, którzy właśnie temu wpływowi ulegają. To naprawdę wyższa szkoła jazdy.

Nawrocki odegra dużą rolę przed wyborami w 2027 r. Dzięki przychylności czy neutralności politycznego środka będzie rozmywał „wojnę polsko-polską", zarazem uczestnicząc w niej aktywnie po jednej stronie. Wyborcy PiS nie mają wątpliwości, że Nawrocki to ich człowiek, za to druga strona jak zwykle zacznie się łamać, „dawać szansę", „przebijać bańki", „szukać kompromisu" itp. Takie „unormalnianie" radykalnego, prawicowego polityka powoduje przesuwanie się głównego nurtu jeszcze bardziej w prawo, za czym chcąc, nie chcąc, podążają bardziej umiarkowane siły. Potem jest zdziwienie, że centryści w różnych sprawach próbują równać do radykałów. Ale to także reakcja na robienie z ludzi w typie Nawrockiego „fajnych gości", a z innych – „nieudaczników". Przesuwanie normy w prawo to urabianie gruntu na kampanię parlamentarną. Jeśli Nawrocki pozostanie na dłużej w kategorii superstar, to polityczni rywale PiS będą się starali do niego upodobnić, i z powodu niskiej wiarygodności takich zabiegów jeszcze bardziej narażą się na szyderstwa prawicy.

Gdyby wybory wygrał Trzaskowski, PiS od pierwszej chwili urządziłby mu piekło takie, jakie stale jest udziałem Tuska. Nie byłoby mowy o jakimkolwiek podziwie czy docenianiu żony, ponieważ prawicowy elektorat jest politycznie uświadomiony, nie ulega wrogim przejęciom i wie, czego chce. Do wyborów parlamentarnych zostało jednak trochę czasu i może tym razem spryt Szefernakera i Bielana, cieszących się ze swojego nowego zmyślnego projektu, napotka w końcu twardy opór.

MARIUSZ JANICKI

© RADEK PIETRUSZKA/PAP, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, DAMIAN RADZIAK/REPORTER, TIKTOK.COM/NAWROCKIPL, MIKOŁAJ BUJAK/KPRP

eprasa.pl e445b60032



Rodzina na swoim

Zmiany w przepisach dotyczących rozwodów, alimentów, spadków i opieki nad dziećmi są konieczne. Wprowadzenie regulacji chroniących prawa ludzi w związkach partnerskich – niezbędne. Ale opór przed zmianami jest ogromny. Bo w Polsce nic tak nie podsyca politycznych burz jak wzmianka o rodzinie.

MARTYNA BUNDA

Ustawa o związkach partnerskich została wstępnie wynegocjowana. Sekretarz stanu w Kancelarii Premiera Katarzyna Kotula ogłosiła to jako sukces: udało się osiągnąć trudne porozumienie pomiędzy PSL a Koalicją Obywatelską. Zważywszy na konserwatywne podejście ludowców do rodziny oraz ich deklarowane głośno zastrzeżenia do projektu, to i tak sporo, choć ten projekt już budzi krytykę zainteresowanych środowisk jako kunktatorski i daleki od obietnic z kampanii wyborczej.

W ramach wewnątrzrządowego porozumienia na początek zmieniono nazwę ustawy, zastępując „związki partnerskie" „osobą najbliższą". Z pierwotnie planowanych zapisów zostały podstawowe sprawy – po notarialnym potwierdzeniu „statusu osoby najbliższej" rejestrujący się zyskają możliwość dowiadywania się o stanie zdrowia bez przeszkód; prawo do organizacji pogrzebu (i zasiłku); do dziedziczenia jak rodzina. Otworzy się możliwość ustanowienia wspólnoty majątkowej – kupna domu czy wzięcia kredytu. Wreszcie rozliczania się wspólnie z podatków. Możliwe będą też alimenty po rozstaniu – ale tylko w wyniku porozumienia stron, a nie jak dla małżeństw, z mocy prawa.

Tymczasem z Kancelarii Prezydenta już słychać lekceważące komentarze, że z powodu tego „bubla prawnego" dwóch sąsiadów, Kazek z Józkiem, będzie się rejestrować jako osoby najbliższe, żeby zaoszczędzić na podatkach. Jakby nie istniały miliony osób pozostających w stałych, bliskich, ale nieformalnych relacjach z osobą innej lub tej samej płci. Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu

© GETTY IMAGES

eprasa.pl e445b60032

wielokrotnie zwracał Polsce uwagę, że te sprawy trzeba uregulować, bo brak przepisów jest najczystszą formą łamania praw człowieka. Nie wiadomo jeszcze, co zrobi prezydent Nawrocki, choć prezes PiS już dał wytyczne, pisząc, że projekt rządowy jest sprzeczny z konstytucją, a Paweł Szefernaker, szef gabinetu Karola Nawrockiego, dodał, że „prezydent nie zgodzi się, by budować alternatywę dla małżeństwa".

Nawet jeśli, zdaniem zwłaszcza środowisk LGBT, zupełnie nie o to im chodziło (o związki bez prawa do celebry i oprawy, bez prawa do wspólnego nazwiska i przysposobienia dzieci) i nawet jeśli wiele problemów nadal pozostanie nierozwiązanych (np. małżeństwa jednopłciowe zawarte za granicą w Polsce wciąż nie będą uznawane) – w dzisiejszej rzeczywistości nic więcej nie dało się ugrać.

Pomijając wszystkie minusy, z perspektywy osób najbliższych ogłoszony projekt ma jeden ważny plus: rozwiązanie związku, tak jak oświadczenie o jego istnieniu, przeprowadza się u notariusza. Bo w Polsce rodzina to temat drażliwy na dowolnym etapie jej istnienia – albo nieistnienia.

Rozwody

W kolejce obok „ustawy o osobie najbliższej" czekają inne duże zmiany, dotyczące np. ucywilizowania rozwodów. Procedowana w Kancelarii Premiera ustawa partnerska powstawała z boku głównego nurtu kompleksowej reformy prawa rodzinnego przygotowywanej w departamencie ministra Waldemara Żurka.

Najgłośniej komentowana, przygotowana już zmiana z tego ministerialnego pakietu dotyczy przeniesienia części rozwodów do urzędów stanu cywilnego. Jeśli małżonkowie są bezdzietni, po ślubie dłużej niż rok, i samodzielnie ustalili wszystkie szczegóły dotyczące rozstania, będą je mogli urzędowo poświadczyć. Taka forma nie odchodzi na krok od ducha prawa; wbrew powszechnemu mniemaniu sądy w Polsce nie decydują, czy dadzą komuś rozwód, czy nie – one jedynie potwierdzają, czy małżeństwo jest, czy go nie ma. I jeśli obiektywnie wspólnota nie istnieje, żaden sąd nie może odmówić obywatelom rozwodu. Zgodnie z wyrokami Sądu Najwyższego nawet wówczas, gdyby jedna ze stron nie wyrażała zgody na rozstanie.

Rozwody made in Poland trafiają aż do sądów okręgowych. Przed wielu laty na fali polityczno-prawicowego wzmożenia przeniesiono je tam z wydziałów rodzinnych sądów rejonowych – żeby było drożej i trudniej; czy też żeby „dostatecznie oddać ważność instytucji rodziny", jak oficjalnie argumentowano. Ale chodziło też o odciążenie wydziałów prawa rodzinnego, gdzie w sprawach wymagających natychmiastowej reakcji, bo związanych np. z fizycznym bezpieczeństwem dziecka w rodzinie, czekało się długo na termin.

Przy rosnącym od lat przeciążeniu sądów okręgowych problem jeszcze urósł. Na datę pierwszej rozprawy rozwodowej czeka się wiele miesięcy, czasem rok. A przecież ponad 40 proc. podobnych przypadków to właśnie pary bez dzieci, przychodzące do sądu tylko po to, żeby uzyskać formalne potwierdzenie tego, co już i tak jest faktem. Sądy miałyby czas na pozostałe sprawy.

Miałyby go tym więcej, że wśród planowanych reform jest też likwidacja największego pożeracza sądowego czasu, czyli orzekania o winie. – *Proponowane zmiany to jedynie odpowiedź na obserwacje praktyków – sędziów i kuratorów, którzy wchodzą w skład naszej komisji. W większości krajów zachodnich zmiany w prawie już dawno poszły w tym właśnie kierunku. Przejście procedury rozwodowej takiej, jaką mamy dziś, w praktyce wywołuje zaskakująco wiele negatywnych skutków* – mówi prof. Magdalena Szafranek, szefowa Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Rodzinnego, opracowującej koncepcję zmian dla ministra sprawiedliwości.

– *Rozwody są częścią życia, nie da się ich uniknąć. Niejednokrotnie też pozwalają położyć kres dysfunkcjom systemu rodzinnego i w tym sensie są w interesie wszystkich członków rodziny, także dzieci. Ważne jest, żeby rodzice zachowali na tyle pozytywne lub choć neutralne relacje, żeby dalej wspólnie wychowywać dziecko. Ale procedura rozwodowa jest tak zaprojektowana, że popycha ludzi w kierunku konfrontacji.*

Skoro trzeba wiarygodnie uzasadnić, dlaczego uratowanie małżeństwa nie jest już możliwe, mówi się o tym, co w dawnym partnerze odstręcza albo obrzydza, używa się zwrotów kategorycznych, a on, ona muszą tego wszystkiego wysłuchać. Resztę dopowiedzieć może każdy, kto się w życiu rozwodził. – *W najgłębiej pojętym interesie społecznym leży, żeby państwo oszczędzało obywatelom i obywatelkom takich sytuacji* – dodaje prof. Magdalena Szafranek.

Wina

Tyle tylko, że wyrzucenie tego klocka z układanki powoduje, że trzeba będzie pozmieniać masę innych zapisów. Bo na pojęciu „orzeczenia o winie wyłącznej" jednej albo drugiej strony dziś opiera się np. cały system alimentów pomiędzy byłymi małżonkami.

Tu zatrzymajmy się na chwilę. To, co z perspektywy pobierających się ludzi uchodzi za rytuał wieńczący ich uczucie, z perspektywy państwa jest rodzajem polisy ubezpieczeniowej. Państwo daje obywatelom pewne przywileje, za to zdejmuje z siebie odpowiedzialność. Obywatel stracił zdrowie i nie jest w stanie sam się utrzymać? Zachorował psychicznie? Narobił długów i nie może ich spłacić? Nie trafi na garnuszek państwa. Będzie go karmił, opierał i ubierał albo też spłacał długi małżonek. W pewnych sytuacjach również – były. Nawet wówczas, gdyby małżeństwo trwało jeden dzień i zakończyło się dekady temu. Więcej jeszcze; jeśli dawny małżonek nie ma z czego płacić, rachunki pokryje jego aktualny mąż czy żona.

Orzeczenie o winie, które w powszechnym pojęciu uchodzi jedynie za rodzaj etycznego zadośćuczynienia, w praktyce otwiera drogę do roszczeń wręcz bez ograniczeń. Jak w historii słynnego ▶

Co uzyskają osoby najbliższe

„Ustawa o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu" zakłada, że po notarialnym potwierdzeniu „statusu osoby najbliższej" i po zgłoszeniu tego faktu do USC rejestrujący się zyskają możliwość:

- Dowiadywania się o stanie zdrowia oraz dostępu do dokumentacji medycznej
- Organizacji pogrzebu (i do zasiłku);
- Do dziedziczenia testamentowego
- Ustanowienia wspólnoty majątkowej
- Wspólnego rozliczania się z podatków
- Otrzymywania alimentów po rozstaniu
- Objęcia partnera ubezpieczeniem zdrowotnym
- Uzyskania renty po zmarłym
- Uzyskania zasiłku opiekuńczego
- Zwolnienia z podatku od spadków
- Uzyskania prawa do mieszkania

eprasa.pl e445b60032

▶ polskiego polityka. Jego druga żona po ich burzliwym rozstaniu uległa wypadkowi (według polityka sama go spowodowała, sąd uznał jednak dowody, które przedstawiał polityk, za niewystarczające, by to stwierdzić z pewnością). W efekcie pozostała na utrzymaniu eksmęża przez okres znacznie dłuższy, niż trwało ich małżeństwo. A ponieważ czuła się jego ofiarą, robiła, co mogła, żeby eksmęża ośmieszyć, poniżyć, uniemożliwiając mu otrzymanie pracy w międzynarodowych instytucjach.

W przypadku rozwodu jest więc dziś o co walczyć, bo „wina" to polisa na przyszłość. Tyle tylko, że tę winę niezmiernie trudno jest uchwycić zerojedynkowo; wszak mowa o małżeństwach trwających czasem dekady; o rolach, w które ludzie wchodzą ze względu na okoliczności. Jeszcze trudniej jest tę winę bez wątpliwości udowodnić. Sądy nie mają narzędzi, żeby prześwietlić czyjeś życie. Mają za to prosty wyznacznik winy: zdrada. Ludzie walczą więc na śmierć i życie o tę „winę", wchodząc coraz głębiej w konflikt, a i tak ponad 90 proc. spraw kończy się orzeczeniem winy obustronnej, pozostawiając uchyloną furtkę do przyszłych roszczeń.

Wedle optyki przyjętej na potrzeby reformy każdy dorosły człowiek jest zobowiązany, by utrzymywać się sam. Oczywiście gratyfikacja finansowa dla tego z małżonków, który np. poświęcił życie na wychowanie dzieci, wciąż byłaby możliwa – ale na podstawie przepisów o zasadach współżycia społecznego i niekoniecznie wypłacana jako alimenty, lecz równie dobrze jako jednorazowa kwota. Sąd nie działałby jak automat. Z pewnością byłby to system sprawiedliwszy i bardziej racjonalny – pod warunkiem że sądy miałyby czas na wnikliwą analizę. Żeby to mogło zadziałać, konieczna jest więc wyprowadzka z sądów spraw prostych, bezspornych.

Notabene już dziś możliwe jest rozwiązanie swoich porozwodowych spraw finansowych nie w sądzie, ale u notariusza. Tyle że jest to usługa droga, bo uzależniona od wartości majątku. Za rozwód w sądzie wciąż płaci się symbolicznie – po 150 zł od głowy lub po 300, jeśli sąd orzeka o winie. Możliwe jest też podzielenie u rejenta spadku – ale to jest droższe. Te sprawy również miałyby raz na zawsze wyprowadzić się z sądów. Zastrzeżonych do badania przypadków konfliktów.

Prawo rodzinne

Najtrudniejszą częścią konfliktów rodzinnych są sprawy związane z prawem do opieki nad dziećmi. Od kilkunastu lat, żeby rozwód mógł zostać orzeczony, rodzice muszą przedstawić plan opieki nad dzieckiem – albo też wypracować go na mediacji. Ale obok nowych wytycznych w kodeksach wciąż tkwią stare zapisy; np. sąd musi ustalić stałe miejsce zamieszkania dziecka – pisze się: „zawsze przy ojcu" albo „zawsze przy matce".

Wedle założeń reformy do Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego ma trafić zapis o „pieczy współdzielonej" jako podstawowym modelu opieki. Pod tym pojęciem kryje się coraz bardziej popularna formuła, wedle której dziecko spędza część tygodnia (lub miesiąca) pod opieką jednego z rodziców, część pod opieką drugiego. W wariancie najbardziej zaawansowanym rodzice wymieniają się w dawnym mieszkaniu, dziecko nie przeprowadza się, ale u jego boku zamieszkuje raz jeden rodzic, raz drugi. Co oczywiste, ta formuła wyklucza „zamieszkanie każdorazowo...".

Wedle psychologów rozwiązanie sprawdza się dobrze, choć pod pewnymi warunkami (wśród których jest np. wiek dziecka), w sądach też stosowane jest coraz powszechniej, ale nie bez obaw i często ciągle jeszcze z uwzględnieniem „miejsca zamieszkania każdorazowo". „Piecza współdzielona stanie się jednoznaczną podstawą prawną, niebudzącą niczyich wątpliwości. Projekt takich zapisów został już przekazany do Departamentu Legislacyjnego MS celem opracowania przez legislatorów" – informuje Ministerstwo Sprawiedliwości.

Wśród przygotowywanych zmian są narzędzia dla sądów rodzinnych, które mają zapobiegać izolowaniu dzieci od któregoś z rodziców. Trzy, cztery dekady temu nie uważano relacji z biologicznymi rodzicami za prawo człowieka, dziś przeciwnie, prawo do wiedzy o swoim pochodzeniu i prawo do budowania tych relacji uważa się za jedno z praw podstawowych. Ale zawsze są to przypadki złożone.

Zgłębianie samych tylko mechanizmów powodujących, że dzieci odmawiają spotkań z rodzicem, zajęło sądom 20 lat.

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl e445b60032

W pierwszej połowie lat 2000. rozpoczęto szeroko zakrojone szkolenia dla sędziów z pojęcia „alienacji rodzicielskiej”, czyli rzekomo indukowanej dziecku przez jednego rodzica niechęci do tego drugiego; niebawem pojęcie „alienacji” podważono, podobnie jak skompromitowano jego twórcę, a jednak wrażliwość sądów na prawo dziecka do kontaktu z obojgiem rodziców diametralnie wzrosła. Stanęło na tym, że kontakt z obojgiem rodziców to prawo – ale dziecka, nie rodzica. Współczesne rozumienie przepisów opiera się na założeniu, że jeśli władza rodzicielska nie została przez sąd ograniczona z powodu przewin dorosłego, dziecko ma prawo do budowania z nim więzi i jest to prawo szczególnej wagi.

W kolejnych latach próbowano różnych systemów: grzywien nakładanych przez sądy na rodziców, którzy by takie kontakty utrudniali, potem kwot wyznaczanych odgórnie za każdy „kontakt niezrealizowany”. Przed nami powrót do grzywien. Ale jakkolwiek by ten system wyglądał, znów – nowoczesne założenia wymagają czasu i uwagi. Sądy rodzinne są tymczasem jeszcze bardziej przeciążone niż przed laty. Na terminy tu też czeka się miesiącami.

Sądy rodzinne (czy też wydziały rodzinne sądów rejonowych) zajmują się ustalaniem kontaktów z dziećmi, wyznaczaniem alimentów, dzieleniem majątków po rozwodzie, alimentami od dorosłych dzieci na rodziców albo od dziadków na dzieci, czy też od rodzeństw (pod pewnymi warunkami jest to możliwe). Zajmują się także ubezwłasnowolnieniami, ustalaniem zasad kontaktów z osobami niesamodzielnymi, unieważnianiem małżeństw. Również przysposobieniami albo ich rozwiązywaniem, rodzicielstwem zastępczym, demoralizacją, przestępczością nieletnich, niektórymi aspektami przemocy w rodzinie (gdy np. w grę wchodzi konieczność ograniczenia albo odebrania władzy rodzicielskiej). Dużo tego.

Rozwiązywać te problemy ma projektowana przez Ministerstwo Sprawiedliwości zmiana kolejna – oddanie części spraw w ręce sądowych asesorów. Gdy budowano system, wychodzono z założenia, że praca w sądzie rodzinnym wymaga szczególnej dojrzałości i ogromnego doświadczenia. W tych sprawach zakazano więc sądzić asesorom, czyli sędziom na początku kariery. Reforma ma pozwolić asesorom wyrokować w tych sprawach. Projekt czeka na złożenie w Sejmie.

Ale jednocześnie wydziały rodzinne pozostają jedynymi, których brakuje na poziomie sądów okręgowych. Wybrani doświadczeni sędziowie od najtrudniejszych spraw są więc jedynymi, dla których brakuje ścieżki awansu. Zaczynają i kończą kariery na tych samych stanowiskach. Założenie kolejne to powołanie wydziałów rodzinnych w sądach okręgowych. W których doświadczeni sędziowie rodzinni zajmowaliby się bardziej skomplikowanymi rozwodami.

Co dalej

Wszystko to słuszne postulaty. Które najlepiej byłoby wcielić w życie jedną dużą, skoordynowaną reformą, uchwalając jednocześnie wszystkie potrzebne ustawy, by uniknąć sytuacji, że wyjęcie klocka w jednym miejscu spowoduje, że w innym miejscu system się posypie.

Tymczasem mamy efekt paraliżu dotykającego niemal każdego aktu prawnego, w którym pada słowo „rodzina”. Już nawet nie w Sejmie, gdzie opozycja buduje swoją tożsamość na „świętości rodziny”, rozumianej jako twór patriarchalno-proklerykalny, z pełną ślepotą na to, jak wyglądają i z kogo się składają polskie rodziny. Ale nawet w rządzie.

Gdy przyszło do pracy nad prostym, technicznym wręcz paragrafem, odsyłającym pewną grupę Polaków po dokumenty rozwodowe do urzędów stanu cywilnego, podlegające PSL ministerstwa początkowo zaopiniowały projekt negatywnie. Ministerstwo Obrony Narodowej dowodziło w oficjalnym piśmie, że „o ile odformalizowanie niektórych obszarów codziennego życia jest uzasadnione i oczekiwane, to w przypadku instytucji małżeństwa przyniesie negatywne społecznie skutki i jednocześnie uczyni z małżeństwa instytucję fasadową”; Ministerstwo Infrastruktury dodało, że „projektowane regulacje nie odpowiadają zasadniczemu znaczeniu instytucji małżeństwa w Konstytucji RP ”, a Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi dodawało od siebie, że „ułatwienie rozwiązania małżeństwa (...) może prowadzić do dewaluacji (tej) instytucji”.

Wygląda więc na to, że rząd i parlament przez najbliższe lata będą przemycały mikroustawy, a w nich – po jednym albo drugim zapisie, co tam akurat uda się wynegocjować, i z nadzieją, że prezydent tym razem ich nie zablokuje. Bo rodzina w Polsce budzi tak wielkie ideologiczne emocje, że aż przysłania krytyczne myślenie. Pojęcie tak mocno zakorzenione w społeczeństwie świetnie sprawdza się jako paliwo polityczne. Ale w końcu zawsze trzeba przejść do konkretów. Wrócić do rzeczywistości. I zadać sobie pytanie: czy prawo i sądy są dla polityków, czy dla ludzi?

MARTYNA BUNDA

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE”

eprasa.pl e445b60032



Szymon Hołownia



Andrzej Lepper



Janusz Palikot

Mają być trzecią siłą, a są jak popowe hity wakacji: nucimy je z przyjemnością, by za chwilę o nich zapomnieć. Z politycznej playlisty właśnie wypada Polska 2050. Pojawi się coś nowego?

Słabość trzecich sił

MICHAŁ DANIELEWSKI

Mieliśmy w ostatnim ćwierćwieczu tyle politycznych start-upów, że czasami można pomylić Polskę z Doliną Krzemową. Budzący grozę wśród elit Andrzej Lepper miał skończyć z Wersalem w Sejmie i zadbać o zwykłych ludzi. Udało mu się tylko to pierwsze. Janusz Palikot miał budować nowoczesną Polskę na gruzach klerykalnej zaściankowości, ale nie poradził sobie nawet z własnym klubem. Paweł Kukiz obiecywał oddać władzę obywatelom, a skończył jako przystawka władzy. Ryszard Petru, orędownik wolnego rynku, stracił pakiet kontrolny i musiał oddać władzę w partii własnego imienia. Robert Biedroń miał przynieść wyborcom i polityce wiosnę, ale jako samodzielna siła polityczna nie dotrwał nawet do jesieni. No i przypadek ostatni, Szymon Hołownia, nad którym ostatnio już chyba wystarczająco się poznęcano.

Wszyscy ci bohaterowie mogli mieć nadzieję, że to właśnie im się uda trwale wbić na scenę polityczną. Mieli swoje atuty. Charyzmę, łatwość komunikacji, dobre wyczucie nastrojów społecznych, początkową determinację. Instynktownie odczytywali, w jaki sposób mogą być medium, przez które będzie się wyrażać gniew i rozczarowanie, ale też aspiracje i nadzieje. Dlaczego więc polegli? Chyba najbardziej obrazowo wytłumaczył to Szymon Hołownia, gdy w chwili szczerości stwierdził w Radiu TOK FM: „Być może bardziej się nadaję do ONZ niż do tej durnej polskiej politycznej nawalanki”.

Być może. Być może Lepper byłby lepszym przywódcą związkowym, Kukiz z całą pewnością był lepszym wokalistą, Palikot eseistą, Biedroń aktywistą, a Petru publicystą ekonomicznym. Ale wybrali politykę, w której ponosili łudząco podobne klęski.

Andrzej pierwszy groźny

To była główna zmora od początku III RP: perspektywa populistycznego ruchu wyprowadzającego lud na ulice. Kiedy więc w kwietniu 2004 r., tuż przed wejściem Polski do UE, Samoobrona w sondażu Ipsos uplasowała się na pierwszym miejscu, osiągając 25 proc. poparcia, wydawało się, że koszmar się urzeczywistnia.

U zarania sukcesu Leppera poza rosnącą społeczną frustracją był – jak wiele razy później – sprzeciw wobec organizującego politykę, dominującego i polaryzującego sporu – między partiami postsolidarnościowymi i postkomunistycznymi; Lepper przecinał ten węzeł gordyjski hasłem „Wszyscy won, niezależnie skąd jesteście”.

Lepper potrafił wykorzystywać szanse, jakie podsuwał mu los. W wyborach 2001 r. wykorzystał upadek AWS i Unii Wolności, cztery lata później – kompromitację rządzącego SLD. Kto wie, gdyby nie dał się uwieść Jarosławowi Kaczyńskiemu i nie uległ pokusie blichtru władzy, być może Samoobrona do dzisiaj byłaby istotnym elementem sceny politycznej. Bo Lepperowi udało się o wiele więcej niż jego następcom z formacji, które prof. Jarosław Flis nazywa TUP – Tymczasowymi Ugrupowaniami Protestu.

Jako jedyny przywódca TUP zdołał dwukrotnie samodzielnie wprowadzić swoją partię do Sejmu, utrzymując do tego liczbę

eprasa.pl e445b60032


Paweł Kukiz



Ryszard Petru


Robert Biedroń

głosów z wyborów na wybory (1,3 mln). Jakby tego było mało, w 2005 r. został prezydenckim kingmakerem, bez głosów jego wyborców Lech Kaczyński nie wygrałby z Donaldem Tuskiem. Zniszczyła go dopiero koalicja z Prawem i Sprawiedliwością, niecierpliwość i osobista ambicja.

Był też Lepper ostatnim przywódcą spontanicznego protestu klasy ludowej. Od momentu jego upadku bunt mas pokrzywdzonych przez transformację ustrojową został zinstytucjonalizowany przez PiS i Jarosława Kaczyńskiego. Lud znalazł swoją przystań, a Tymczasowe Ugrupowania po Lepperze i Samoobronie były już tylko wynikiem rozczarowań, aspiracji i pragnień polskiego mieszczaństwa.

Antyklerykalny Janusz

Trendsetterem tego segmentu politycznego był przez kilka lat Janusz Palikot, który stworzył wzór liberalnej partii antysystemowej. Skrzyknięcie się wokół lidera i jego nazwisko w nazwie partii, miszmasz programowy, odwołujący się do kategorii nowoczesności, podkreślanie wagi nowych ludzi w polityce, opisywanie dominującego układu politycznego jako czegoś starego, nieprzystającego do dynamicznie zmieniających się czasów – to wszystko definiowało Ruch Palikota i było później kopiowane przez kolejne polityczne inicjatywy.

Palikot po wyjściu w 2010 r. z Platformy Obywatelskiej przedstawił ofertę dla młodej, wielkomiejskiej klasy średniej, zirytowanej zachowawczością PO w sprawach światopoglądowych. Tam gdzie Platforma mówiła coś półgębkiem, tam Palikot krzyczał na całe gardło, zacierając granicę między happeningiem a polityką. Jeśli Donald Tusk mówił, że nie będzie klęczał przed księdzem, bo do klęczenia jest kościół, Palikot nazywał biskupów pasibrzuchami, zarzucał im krycie pedofilii i wzywał do antyklerykalnego buntu. Zdecydowanie mówił też o związkach partnerskich i brutalnie wykorzystywał traumę po katastrofie smoleńskiej, gdy pojawiło się społeczne zmęczenie żałobą. Wszystko to doprawiał liberalnym frazesem: o ograniczeniu biurokracji, odblokowaniu przedsiębiorczości i oddaniu głosu obywatelom przez wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych. Słyszeliśmy to później jeszcze wiele razy.

Palikot miał też na początku dużo szczęścia. Wybory parlamentarne w 2011 r., w których Ruch Palikota zdobył nieco ponad 10 proc. głosów, były największym w historii III RP triumfem partii odwołujących się do liberalizmu i lewicowości. PO, Ruch Palikota i SLD zdobyły razem ponad 57 proc. głosów i 274 mandaty w Sejmie. Rządziła jednak kolejną kadencję koalicja PO i PSL, a Palikot tak jak wcześniej wytyczył drogę do spektakularnego, chwilowego sukcesu, tak następnie napisał wzór szybkiej klęski. W opozycji nie miał cierpliwości do mozolnego budowania struktur, nie odnajdował się w prozie politycznego życia, nie sprawdził się jako lider, wikłając się w wewnętrzne, niezrozumiałe dla opinii publicznej konflikty. Z nowej obiecującej siły stał się irytującym sejmowym dziwadłem.

Gniewny Paweł

W ciągu kilku lat zdążył poprzeć Platformę, Tuska, Hannę Gronkiewicz-Waltz, Marka Jurka i wspólnie z ONR wspierać Marsz Niepodległości. Paweł Kukiz był jednocześnie i prawicowy, i liberalny, wolnorynkowy, ale wrażliwy społecznie. Antysystemowość nie przeszkadzała mu brylować w największych i jak najbardziej systemowych prywatnych telewizjach, gdzie w rozmaitych talk-show piętnował partyjniactwo i zabetonowaną scenę polityczną rządzoną przez klanowych wodzów. Uwodził charyzmą, był kolorowy i plastelinowy: każdy mógł sobie z Pawła Kukiza ulepić własną postać, projektując na niego polityczne frustracje i nadzieje. I to właśnie te projekcje przyniosły mu sukces, choć sam Kukiz uwierzył, że ludzie pokochali jego ideę jednomandatowych okręgów wyborczych. To była nawet urocza naiwność.

Kukiz był kolejną po Palikocie postacią, która skorzystała na niedostatkach PO, zmęczonej w 2015 r. ośmioma latami rządów, poharatanej walką ze skutkami kryzysu z 2008 r., zagubionej po odejściu Donalda Tuska do Brukseli. A odklejona od realnych problemów kampania prezydencka Bronisława Komorowskiego jeszcze podbiła polityczną atrakcyjność Kukiza. Zdobył prawie 21 proc. poparcia, co było szokiem. Ale szybko okazało się, że każde poparcie można zmarnować, a polityka to maraton, nie sprint.

Ruch Kukiza miał być w założeniu aideologiczny i apolityczny, jednak w praniu wyszło inaczej. Czar „fajnego Pawła" pryskał. ▶

© LESZEK ZYCH, MICHAŁ DYJUK/REPORTER, FILIP NAUMIENKO/REPORTER (2), MARIUSZ GACZYŃSKI/EAST NEWS, ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl e445b60032

▶ Ekipa, z którą poszedł do wyborów parlamentarnych, była miksem osób przypadkowych i rozbitków ze skrajnie prawicowych partii. W efekcie skład jego klubu parlamentarnego był wesołą cyrkową trupą, w której raper Liroy spotykał się z weteranem opozycji antykomunistycznej Kornelem Morawieckim i Robertem Winnickim z Ruchu Narodowego. Zresztą w ciągu kilku miesięcy z ponad 20 proc. poparcia Kukizowi zostało ledwie 8 proc. Jak na nową formację sporo, ale był to znak, że schyłek tego projektu rozpoczął się jeszcze przed tym, nim na dobre się uformował.

Parlamentarna historia ruchu Kukiza była niczym kalka Ruchu Palikota: szamotanina, wewnętrzne kłótnie, ambicje, frakcje i podziały umiejętnie rozgrywane zwłaszcza przez Jarosława Kaczyńskiego. W maju 2018 r. ruch Kukiza mógł liczyć na ledwie 5 proc. głosów. Machina polityczna pożarła kolejnego śmiałka, nie szczędząc mu przy tym upokorzeń. W wyborach 2019 r. wystartował w sojuszu z PSL, który chwilę wcześniej wskazywał jako najdorodniejszy okaz partyjniactwa, aby w 2023 r. skończyć na listach PiS.

Nowoczesny Ryszard

Zdarzyło się to w październiku 2015 r. w miejscowości o nazwie Nowy Konik, która, zauważmy, idealnie definiuje fenomen nowych graczy w polskiej polityce. Działacze Nowoczesnej Ryszarda Petru zebrali się tam, by uruchomić dźwig rozbijający mur ozdobiony logotypami partii: PO, PiS, PSL i SLD. Lider formacji ogłosił przy okazji, że będzie kruszył zabetonowaną scenę polityczną, rozbijał mury urzędnicze, uwalniał przedsiębiorczość oraz generalnie „lepiej urządzi Polskę za te same pieniądze".

Wszystkie nutki w opowieści nowo powstałej formacji Petru układały się po raz kolejny w ten sam narracyjny szlagier: trzeba odblokować scenę polityczną dla nowych ludzi, uwolnić przedsiębiorczość Polaków. Znów punktem odniesienia była głównie Platforma Obywatelska, w tej opowieści zbyt skostniała, zachowawcza, zdradzająca ideały liberalizmu, zabierająca pieniądze z OFE. Petru różnił się jednak od Palikota i Kukiza jako lider: mniej narwany, z przeszłością w sektorze bankowym, chłodny profesjonalista, który po prostu wie, co zrobić, aby w Polsce było lepiej.

Sondaże przed wyborami nie wróżyły Nowoczesnej wielkiego sukcesu, pokazywały między 8 a 9 proc. poparcia i to się ostatecznie potwierdziło: uzyskała 7,6 proc. Gdy Kukiz najlepiej komunikował się z najmłodszymi wyborcami ze średnich miast, Petru przemówił do 30-latków z wielkich aglomeracji. I jak wielu antysystemowców na początku miał szczęście: po klęsce SLD stał się niespodziewanie najbardziej progresywną siłą w Sejmie. Potrafił z tego korzystać, zwłaszcza że jako punkt odniesienia miał kompletnie rozbitą PO. Petru przez rok po wyborach brylował w czołówce rankingów zaufania, a Nowoczesna szybko przekroczyła 20 proc. w sondażach. Jak wiemy, ta historia skończyła się szybko i banalnie malowniczym wyjazdem do Portugalii w szczycie kryzysu sejmowego na początku 2017 r. Bańka pękła z hukiem, a nowoczesna jakość polityki rozpłynęła się w PO.

Jedno mgnienie Wiosny

Być może z punktu widzenia technologii politycznej w tym projekcie zgadzało się najwięcej. Robert Biedroń w polityce był nie od wczoraj, miał doświadczenie z Sejmu, gdzie był dobrze ocenianym posłem Ruchu Palikota. Z krajowej polityki dobrowolnie odszedł do samorządu, wygrywając wybory prezydenckie w Słupsku. Swój ogólnopolski projekt odpalił z wielkim hukiem w dobrym czasie, by uzyskać efekt nowości: ledwie kilka miesięcy przed wyborami europejskimi. Pierwsze sondaże dawały jego Wiośnie nawet 16 proc. poparcia, a sukces we Francji Emmanuela Macrona pokazywał, że nawet w starych demokracjach młody centrolewicowy polityk może spektakularnie wbić się w zastany partyjny układ.

Program Wiosny powstawał podczas konsultacji i spotkań, a wizerunek formacji był utkany ze znanych już elementów: rozpoznawalnego lidera jako centralnej postaci, braku jasnej definicji ideowej (Wiosna nie przedstawiała się jako lewicowa, tylko progresywna) i szczypty liberalnego frazesu w rodzaju postulatów o likwidacji ZUS i KRUS. Do tego Wiosna nie miała konkurencji po lewej stronie sceny, bo SLD roztopiło się w szerokiej Koalicji Europejskiej, a partia Razem szorowała po sondażowym dnie. Po prostu nie mogło się nie udać, a jednak nie wypaliło.

Z kilkunastu procent w sondażach w dniu wyborów zostało 6 proc., Wiosna została zmiażdżona przez starcie PiS z KE. Natomiast Biedroń okazał się fatalnym liderem, nie wytrzymał presji po porażce i ewakuował się do Brukseli, wbrew wcześniejszym obietnicom, że nie przyjmie mandatu europosła i zostanie w polskiej polityce. Projekt, który wydawał się pomyślany na lata, w praktyce zwinął się bez walki po kilku miesiącach, zamiast białej flagi wywieszając unijną.

Przymiarki do skoku

Po tym jak Szymon Hołownia zapowiedział odejście z polityki, kończy się dziś po kilku latach kolejny projekt z ambicjami do bycia trzecią siłą w kontrze do partyjnego duopolu. Ale z pewnością nie kończy się serial, którego łudząco podobne odcinki śledzimy od dwóch dekad. Nowy sezon może jednak przynieść nową fabułę.

Do tej pory obserwowaliśmy ten sam schemat. Po pierwsze, kolejne inicjatywy dość łatwo przekraczały próg wejścia na scenę polityczną, ale nie potrafiły się na niej utrzymać, miażdżone przez doświadczenie, struktury i pieniądze, którymi dysponują partyjni hegemoni. Po drugie, to, co było komunikowane jako sprzeciw wobec duopolu, tak naprawdę było wymierzone tylko w jedną jego część – w Platformę Obywatelską. To konserwatywno-liberalni i liberalno-lewicowi wyborcy wynosili kolejne nowe formacje do ich krótkich chwil chwały. Po trzecie, każda z nich była zbudowana wokół charyzmatycznego przywódcy, gdy zawodził, natychmiast sypał się cały projekt.

Dziś mamy inną sytuację, z dwiema sejmowymi partiami, które mają ambicję, by rosnąć w sprzeciwie wobec legendarnego dwupartyjnego betonu: to silna sondażowo Konfederacja i słaba w procentach poparcia partia Razem. To formacje budowane „po bożemu", od podstaw, oparte na realnych, skonsolidowanych środowiskach i słabszych bądź mocniejszych strukturach.

Z tego punktu widzenia ciekawa jest zwłaszcza Konfederacja jako pierwsza od dawna potencjalna trzecia siła partyjna, która może skutecznie żerować na terenie zajętym od lat przez PiS. To nowa sytuacja dla Kaczyńskiego, który po skonsumowaniu elektoratu Samoobrony nigdy później nie musiał już się mierzyć z partią protestu, bo sam ją skutecznie odgrywał.

I zostaje jeszcze paradoks. Dwójka hegemonów coraz mocniej przypomina formułę TUP – partii, opartej w całości na autorytecie i charyzmie lidera. Jak sobie w przyszłości poradzą bez przywódców, to zagadka. Ale kandydaci do zajęcia sceny mogą się ujawnić już w najbliższej kampanii.

MICHAŁ DANIELEWSKI

eprasa.pl e445b60032



ILUSTRACJA **MAX SKORWIDER**

Lewice podadzą prawice?

W jedności niekoniecznie siła? Po okresie coraz trudniejszej współpracy lewice Czarzastego i Zandberga znów ze sobą rywalizują i na razie żadna na tym nie traci. Ale też nie jest to rywalizacja na tyle ostra, żeby w przyszłości się nie dogadać.

RAFAŁ KALUKIN

Od kiedy wspólny dawniej projekt rozczłonkował się na części, wszystko po lewej stronie zrobiło się na opak. Przede wszystkim mamy bowiem starą lewicę Włodzimierza Czarzastego, czyli formalną sukcesorkę PZPR i SLD, która ukryła się za szyldem Nowej Lewicy. Dalej jest Partia Razem Adriana Zandberga, która powróciła do tradycji bycia osobno. A ostatnio jeszcze doszła Nowa Fala Joanny Senyszyn, którą wbrew artystycznym skojarzeniom wspiera co najwyżej paru skłóconych z Czarzastym eseldowskich weteranów.

O dziwo, podział wyszedł jednak lewicowcom na dobre, oczywiście w ich skali. W ubiegłym roku skonsolidowana formacja borykała się przecież z zawstydzająco słabym poparciem 6,3 proc. w wyborach samorządowych i europejskich. Ale już w tegorocznych prezydenckich troje lewicowych kandydatów nieoczekiwanie zebrało łącznie ponad 10 proc. Z czego zrobił się trend, gdyż w partyjnych sondażach wyniki Nowej Lewicy i Razem regularnie się odtąd sumują na podobnym poziomie.

Na powrót do współpracy dziś jednak liczy jedynie Włodzimierz Czarzasty. I chociaż na razie się na to nie zanosi, lider Nowej Lewicy zdaje się promieniować największym spokojem. Z paru powodów. Najpierw wykaraskał się z problemów zdrowotnych. Na początku tego roku przeszedł poważną operację, odzyskując wigor i fizyczną formę. O podtrzymanie której zabiega przestrzeganiem diety i regularną aktywnością fizyczną. Młodszym współpracownikom zdarza się nawet pokpiwać z 65-latka, który miał się poczuć młodym bogiem, chociaż jeszcze niedawno zapowiadał schyłek politycznej kariery. Ale to śmiech przez łzy, gdyż stary wyjadacz właśnie kolejny raz ograł napierające młode pokolenie.

Nic bowiem nie wskazuje, żeby na grudniowym kongresie Nowej Lewicy ktokolwiek był w stanie odebrać Czarzastemu przywództwo. Chociaż kandydatów do sukcesji nie brakuje. Oficjalnie zapowiedziała już swoje kandydowanie rządowa trójka, czyli wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski, szefowa resortu rodziny Agnieszka Dziemianowicz-Bąk oraz odpowiedzialny za szkolnictwo wyższe Marcin Kulasek. A do tego jeszcze znany z mediów poseł Tomasz Trela. Chociaż wszyscy wiedzą, że wygra ten, który się jeszcze nie zdeklarował. Czyli Czarzasty. ▶

eprasa.pl e445b60032

▶ Za wizerunkiem nieco rubasznego wujaszka kryje się bowiem przebiegły gracz, który wykorzystuje każdą okazję do wzmocnienia swojej pozycji. Kiedy wszyscy żyli prezydencką rywalizacją, on po cichu objeżdżał partyjne regiony. Jako „dziaders" miał alibi, żeby się trzymać jak najdalej od kampanii Magdaleny Biejat. Objazdy oficjalnie były zresztą po to, żeby uzyskać akceptację dla zmian w partyjnym statucie. Tak naprawdę Czarzasty mobilizował jednak stary eseldowski aktyw do poparcia swojej kandydatury na zjeździe.

Już poprzednią kadencję przedłużył sobie dzięki wyrafinowanemu trikowi, jakim było połączenie SLD i Wiosny w Nową Lewicę. Wszyscy się dziwili, po co oddaje rachitycznemu środowisku Roberta Biedronia połowę miejsc w kierownictwie na wszystkich szczeblach organizacji. Ano po to, żeby kupić sobie jego wdzięczność na głównym kongresie. Na wypadek gdyby jego własne środowisko zdecydowało się poprzeć kogoś młodszego.

Teraz konstrukcja partii podzielonej na frakcje już jest niepotrzebna. Niedobitki po Biedroniu już zdążyły się roztopić w starej eseldowskiej strukturze. Czas więc zakończyć tę fikcję i po to są zmiany w statucie, które Czarzasty tak pracowicie rzekomo negocjował, że aż ustawił pod siebie cały kongres.

Młodym niespecjalnie to się podoba, chociaż nikt głośno nie protestuje. Nieprzypadkowo jednak Biejat nie zapisała się do Nowej Lewicy, chociaż Czarzasty na to liczył. Wcześniej związana z Razem, porzuciła Zandberga i spółkę, gdyż nie chciała wraz z nimi przechodzić do opozycji. Po wyborach prezydenckich wolała jednak założyć własne stowarzyszenie, niż wiązać się z Czarzastym. Co zapewne ma związek z kalkulacjami jej rówieśniczek w Nowej Lewicy.

Szczególnie Agnieszki Dziemianowicz-Bąk, która chciałaby zostać sukcesorką Czarzastego, co znowu jej się oddaliło. W partyjnych strukturach niewiele bowiem znaczy i jeżeli dopnie kiedyś swego, to najpewniej z namaszczenia starego lidera. Oczywiście kiedy już zdecyduje się odejść, tyle że tych „ostatnich" kadencji Czarzastego może być jeszcze parę. Toteż w otoczeniu Dziemianowicz-Bąk i Biejat pojawiły się głosy, że być może przyjdzie kiedyś pomyśleć o założeniu własnej formacji. Na razie to jednak mgliste sugestie, gdyż potencjał młodości chwilowo wykorzystuje Zandberg, a struktury i pieniądze pozostają w zasobie Nowej Lewicy.

Czarzastego najbardziej cieszy dzisiaj fotel marszałka Sejmu. Bo jeśli wszystko pójdzie zgodnie z rozkładem jazdy, Czarzasty zostanie marszałkiem już 19 listopada. Oczywiście pod warunkiem że poprze go większość, co nie jest do końca pewne. W klubie Polska 2050 pojawiły się już głosy pojedynczych posłów, że nie poprą „postkomunisty", a sam Szymon Hołownia – chociaż podobno ma odejść z polityki – takie obawy dodatkowo podsycił. Warunkiem koalicyjnej lojalności jest oczywiście awans Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz na stanowisko wicepremierki.

Do czego premier Donald Tusk wyraźnie się nie kwapi, gdyż współpraca z szefową resortu funduszy układa mu się kiepsko. Ale czy zdecyduje się zaryzykować kolejny konflikt i jeszcze zantagonizuje ogólnie lojalnego Czarzastego? W Nowej Lewicy uważa się, że Tusk raczej przełknie gorzką pigułkę i przynajmniej formalnie wyniesie Pełczyńską-Nałęcz. A po głosowaniu zmarginalizuje albo wręcz odwoła.

Czarzasty lubi podkreślać, że prestiż marszałkowskiej laski będzie służyć całej lewicowej formacji. Ale nie jest tajemnicą, że liczą się również jego osobiste ambicje. To wymarzone dla niego zwieńczenie długiej drogi byłego działacza PZPR, który znalazł się po złej stronie historii, jeszcze bardziej nabroił przy aferze Rywina, a teraz się symbolicznie rehabilituje na stanowisku drugiej osoby w państwie.

Co nie oznacza, że będzie zabiegał o powszechny poklask. Za kulisami opowiada, że nie interesuje go kontynuacja stylu Hołowni, który starał się nawiązywać do tradycji stojącego ponad podziałami parlamentarnego *speakera*. Czarzasty nie będzie „marszałkiem wszystkich Polaków", lecz strażnikiem politycznych interesów obecnej większości. Stając na pierwszej linii wojny z ośrodkiem prezydenckim, gdyż zamierza bez ceregieli odsyłać do sejmowej zamrażarki wszystkie prezydenckie projekty Karola Nawrockiego. Zwłaszcza te kosztowne dla budżetu.

Plan o tyle ryzykowny, że już dzisiaj brutalnie wetujący kolejne rządowe ustawy prezydent z pewnością dodatkowo się utwierdzi w słuszności swego postępowania. A to przecież koalicja bardziej od niego powinna wykazywać się sprawczością. Tyle że rząd dysponuje alternatywną ścieżką w postaci rozporządzeń, którymi jest w stanie wprowadzać w życie wetowane rozwiązania. Może czasem na wątpliwej podstawie prawnej, ale któż to może dzisiaj stwierdzić, skoro praktycznie nie mamy Trybunału Konstytucyjnego?

I Tuskowi taki konfrontacyjny marszałek też będzie na rękę. Sam musi zabiegać o w miarę poprawną relację z prezydentem, gdyż opinia publiczna oczekuje od nich współpracy w sprawach bezpieczeństwa. Nawrockiemu tak samo zresztą nie wypada odrzucać polubownych gestów premiera, co ma wywoływać gniewne reakcje Jarosława Kaczyńskiego. A każde kolejne spięcie na linii Pałac Prezydencki–Nowogrodzka niewątpliwie będzie dla Tuska źródłem politycznej rozkoszy. Z drugiej strony nie można za bardzo bratać się z Nawrockim i rozmywać polaryzacji. Złym policjantem będzie więc teraz zapewne Czarzasty.

Tymczasem Nowa Lewica ma nadzieję dostać od prezydenta zielone światło dla związków partnerskich. Co byłoby realizacją jednego ze sztandarowych lewicowych postulatów, którego niespełnienie stanowiło dotąd bolesną drzazgę. Firmowany wspólnie przez Nową Lewicę i PSL projekt ustawy o statusie osoby najbliższej został właśnie ogłoszony. I chociaż formalnie nie znalazła się w nim definicja związku partnerskiego, de facto w tę stronę zmierza, zapewniając zawieranym notarialnie związkom wiele praw rezerwowanych do tej pory wyłącznie dla małżeństw (więcej na s. 20).

Projekt jest efektem dyplomacji Czarzastego, który wykorzystał rozpad Trzeciej Drogi i ogólne zdegustowanie Hołownią do odbudowania dobrych relacji z PSL. A to właśnie ludowcy byli do tej pory hamulcowymi związków partnerskich. Czarzasty miał przekonać Władysława Kosiniaka-Kamysza argumentem o irracjonalności tego hamulca, który lewicy podcinał skrzydła, nic konkretnego nie dając dołującemu w sondażach Stronnictwu. Gdyby jeszcze PSL realnie rozważał samodzielny start w wyborach, jego lider pewnie by się obawiał stygmatu „tęczowego Władka". Tylko że wszystko wskazuje, iż ludowcy zabiorą się na wspólne listy z Tuskiem i najbardziej tradycjonalistycznie nastawionych wiejskich wyborców tak

eprasa.pl e445b60032

czy inaczej sobie odpuszczą. I tak ludowiec dał się przekonać, chociaż zapewne nie za darmo.

Współautorstwo PSL okazało się przydatne, gdyż Kosiniak-Kamysz ma niezłe relacje z prezydentem. I podobno miał właśnie uzyskać od Nawrockiego wstępną deklarację, że ten byłby w stanie podpisać ustawę o statusie osoby najbliższej. Oczywiście pod warunkiem że nie będzie ona w formie i treści „lewacka", co też się stało.

Może się więc okazać, że każda ze stron będzie mniej lub bardziej zadowolona, że problem jest już z głowy. Ale najbardziej oczywiście formacja Czarzastego, bo byłoby to znakomitym punktem wyjścia na drugą połówkę kadencji, w której oczkiem w lewicowej głowie będzie głównie ruszający właśnie program budowy tanich mieszkań na wynajem. Czuwa nad nim młody wiceminister rozwoju Tomasz Lewandowski, a z finansowaniem też nie ma problemu. Wręcz można się obawiać, że trudno będzie w całości wydać przewidziane na ten cel 8 mld zł. Drugim z lewicowych priorytetów jest realizowany przez resort rodziny pilotażowy program skrócenia czasu pracy, który – jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem – w roku wyborczym ma zostać zwieńczony ustawą obejmującą już cały kraj.

Ale lewica stara się również wyszukiwać doraźne legislacyjne szczeliny, żeby w nie wchodzić ze swoimi projektami. Kiedy w Warszawie wybuchła awantura o nocną prohibicję, natychmiast skorzystano z okazji, żeby wyjść z inicjatywą ogólnopolskiego zakazu nocnej sprzedaży alkoholu. A ostatnio formacja Czarzastego wsparła nawet Polskę 2050 w jej jałowej szarpaninie z Tuskiem o wprowadzenie asystencji osobistej. Projekt jest prospołeczny, więc po co oddawać go Hołowni?

To również atuty w rywalizacji z Partią Razem, która opuściła przecież lewicowy sojusz pod pretekstem braku skuteczności. Tym bardziej że ekipa Adriana Zandberga nie osiadła na laurach po udanej prezydenckiej kampanii jej lidera. Na co ludzie Czarzastego po cichu liczyli, bo też lider Razem uchodził dotąd za polityka leniwego i zdolnego jedynie do sporadycznych zrywów. Tym razem jednak zmobilizował się do systematycznej pracy jak nigdy wcześniej.

Przede wszystkim dostrzegł możliwości mediów społecznościowych oraz wyczuł ich poetykę. Kiedyś z rzadka zamieszczał nudnawe perory na Facebooku. Teraz niemal każdego dnia wrzuca dynamiczną rolkę z nośnym komunikatem. Z zasięgami podobno już nie jest jednak aż tak imponująco jak w kampanii prezydenckiej. Wtedy jednak produkcje Zandberga przekazywały dalej konta pisowskie, gdyż szkodziły głównie Rafałowi Trzaskowskiemu. A teraz tego wsparcia już nie ma.

Idące łeb w łeb lewice nie będą miały szansy się zjednoczyć. Lewica Czarzastego musi więc zdominować lewicę Zandberga. I o to będzie szła rozgrywka.

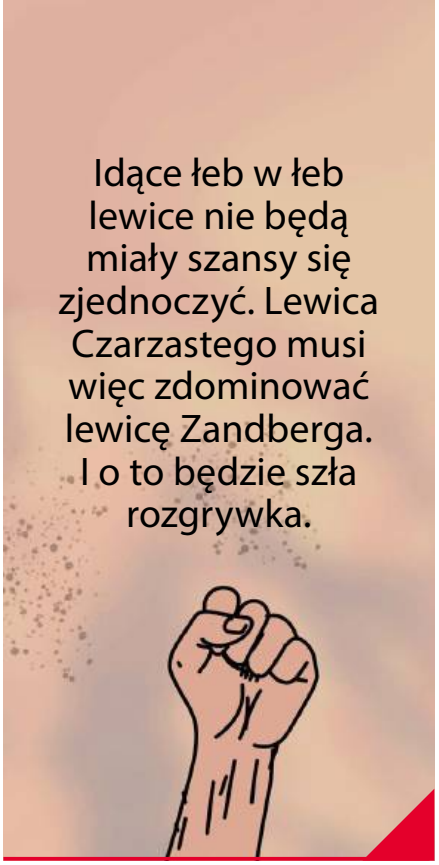

Co nie zmienia tego, że Razem zmieniło swój *modus operandi*. Porzucając zamiłowanie do toczenia sekciarskich dyskusji, poszło w ustawiczną agitację. Ale też partia zmieniła się kadrowo, po wyborach zapisało się do niej dwa tysiące nowych członków, przeważnie sporo młodszych od zblazowanych wiarusów z pokolenia Zandberga. Trzeba więc było znaleźć dla nich nową formułę i estetykę.

„Walczymy o to, by bez Razem nie dało się stworzyć rządu" – przekonywał Zandberg w rozmowie z „Krytyką Polityczną". Chociaż widać, że sam najlepiej się czuje w roli wiecznego opozycjonisty, który przedstawia optymalne rozwiązania i nie musi się liczyć z rzeczywistością. Chociaż nawet teraz dosięgają go czasem prozaiczne trudności. Niedawno pięcioosobowe koło Razem w Sejmie postanowiło odkurzyć projekt ustawy o dożywianiu dzieci w szkołach, który został zresztą napisany jeszcze w poprzedniej kadencji, kiedy cała Lewica była w jednym klubie. Problem w tym, że pod projektem musi podpisać się aż 15 posłów, żeby można mu było nadać tryb legislacyjny. Ratowano się więc podpisami dziesiątki posłów PiS, co praktycznie uczyniło ten projekt pisowskim.

Chociaż na systemową współpracę z prawicą orientuje się co najwyżej Paulina Matysiak, która podobno miała się już nawet dogadać na start z listy PiS. Czego nie można wykluczyć, gdyż posłanka z Kutna już teraz jest w swoim macierzystym środowisku w najlepszym razie tolerowana; bez niej nie udałoby się po prostu sklecić choćby sejmowego koła. Na trwałe zbliżenie Razem z obozem Kaczyńskiego nie ma jednak szans. Tak samo zresztą z przyczyn ideologicznych, jak pragmatycznych.

Nieprzypadkowo zresztą Zandberg w swoich antyrządowych filipikach skupia się na rządzie Tuska, raczej stroniąc od osobistych wycieczek pod adresem niedawnych lewicowych partnerów. Bo chyba nie warto mu palić za sobą mostów. Dzisiaj Razem cieszy się poparciem na poziomie 3–4 proc., co daje nadzieję na samodzielne pokonanie progu po udanej kampanii. I takie ryzyko formacja Zandberga z pewnością podejmie, w najgorszym razie lądując poza Sejmem, ale z subwencją budżetową w ręku. Czyli musi mieć pewność, że nie spadnie poniżej 3 proc. Gdyby jednak takiej pewności nie było, zawsze będzie można pogodzić się z Nową Lewicą.

Co z kolei dla Czarzastego jest scenariuszem najbardziej oczekiwanym. I właśnie po to szef Nowej Lewicy nie boczył się na uciekającego partnera, tylko konsekwentnie zabiega o dobre relacje z Zandbergiem. Obiecując mu (a przy okazji też partyjce Senyszyn) partnerski układ w koalicyjnym komitecie wyborczym za dwa lata, z oficjalnie uzgodnionym podziałem miejsc na listach oraz pieniędzy z subwencji. Chociaż zapewne zdaje sobie sprawę z tego, że idące łeb w łeb dwie lewice raczej nie będą miały szansy ponownie się zjednoczyć. Żeby do tego doszło, lewica Czarzastego musiałaby z powrotem zdominować lewicę Zandberga. I o to toczyć się będzie aksamitna rozgrywka.

A jak się Czarzastemu nie uda i sam poczuje się zagrożony, zawsze będzie miał wyjście awaryjne w postaci dołączenia do wielkiego bloku wszystkich sił demokratycznych. Chociaż to dla niego opcja ostatniego wyboru, o której nikt w jego formacji głośno dzisiaj nie powie. Po cichu niektórzy już jednak o tym myślą.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl e445b60032

Nauka przetrwania

Nowy rok akademicki zaczął się dla studentów starymi problemami: gdzie mieszkać, z czego się utrzymać i jak połączyć konieczność pracy z nauką. Jak sobie radzą, czy jest lepiej, czy gorzej?

MARCIN PIĄTEK



ILUSTRACJA **PAWEŁ SMARDZEWSKI**

eprasa.pl e445b60032

Przed koniecznością odpowiedzi na słynne pytanie paprykarza: „Jak żyć?" staje grubo ponad połowa z 1,2 mln studentów. W ubiegłym roku sytuacji bytowej studentów przyjrzała się Pracownia Ewaluacji Jakości Kształcenia, działająca na Uniwersytecie Warszawskim. Ankiety wypełniło ponad 14 proc. osób kształcących się na UW (chętniej robiły to kobiety stanowiące dwie trzecie grupy badawczej). Aż 18 proc. pytanych określiło swoją sytuację finansową jako złą lub bardzo złą, 40 proc. uznało ją za przeciętną. Niemal identyczne wyniki (ok. 40 proc. uważających swoją sytuację finansową za dobrą lub bardzo dobrą) dało ogólnopolskie badanie Portfel Studenta, realizowane przez Związek Banków Polskich.

Wydatki studentów na zaspokojenie podstawowych potrzeb – zakwaterowanie i wyżywienie – wciąż rosną. W 2016 r. na utrzymanie wystarczało miesięcznie niespełna 1600 zł. Następnie koszty gwałtownie przyśpieszyły wskutek inflacji. W dwóch ostatnich latach – według raportu ZBP – wydatki studentów uczących się w trybie stacjonarnym stanęły na poziomie niespełna 3,5 tys. zł. Co trzeci student deklarował, że jest zmuszony ograniczyć zakupy do niezbędnego minimum.

Socjal i słoiki

Anna Pawlak, kształcąca się w Olsztynie na Wydziale Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej, a przy tym rzeczniczka prasowa studenckiego samorządu Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, dokonuje cudów gospodarności: – *Przynajmniej do grudnia, kiedy spływa kumulacja stypendium socjalnego, za trzy miesiące. Jestem wtedy w stanie ograniczyć miesięczne wydatki do około tysiąca złotych. Przede wszystkim dzięki aprowizacji otrzymywanej od mamy. Czyli słoikom* – opowiada.

Gdyby z realiami życia polskiego studenta zapoznał się jego amerykański odpowiednik, zmuszony do zaciągania na edukację pożyczek idących w dziesiątki tysięcy dolarów, mógłby poczuć ukłucie zazdrości. Przede wszystkim z powodu systemu stypendiów socjalnych przeznaczonych dla studentów, którym się w domu nie przelewa. – *Jego stawka jest uzależniona od dochodu na głowę w rodzinie. Ja mam akurat maksymalną wysokość, 1900 zł miesięcznie. Bez niego nie byłabym w stanie się utrzymać* – mówi Anna Pawlak. Za zwiększenie wymiaru socjalu odpowiada inflacja i wzrost płacy minimalnej. – *Jakieś pięć lat temu wynosił on nieco ponad tysiąc złotych* – dodaje Karolina Wierzba, przewodnicząca Uczelnianej Komisji Ekonomicznej samorządu studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Maksymalny próg dochodowy na członka rodziny, brany pod uwagę przy rozdziale stypendiów, to aktualnie nieco ponad 1900 zł. Załapuje się na nie tylko kilka procent studentów, zresztą są sygnały, że liczba beneficjentów maleje. Przykładowo na Uniwersytecie Rzeszowskim uprawnionych do pobierania socjalu jest więcej niż na uczelniach w Krakowie czy Warszawie (choć jednocześnie widać spadek: w 2020 r. w Rzeszowie było to 3571 osób, a w ubiegłym roku 1850, co można odbierać jako dowód na to, że społeczeństwo się bogaci).

Garstka biednych i jednocześnie mających w indeksach wysokie oceny jest w stanie studiować na koszt państwa. Na Politechnice Łódzkiej maksymalna wysokość stypendium socjalnego i rektorskiego (za wyniki w nauce) wynosi nieco ponad 3,5 tys. zł miesięcznie, ale na UWM w Olsztynie to aż 4,6 tys. Rekordzista z UJ zainkasował w grudniu 2024 r. 5,3 tys. zł. – *A gdy dodać do tego jeszcze, że przy rozdziale miejsc w akademikach również bierze się pod uwagę sytuację materialną, można powiedzieć, że system wyrównywania szans działa* – uważa Karol, student drugiego roku chemii na UW, który z przekąsem mówi o sobie, że jest „za bogaty na socjal, a za biedny, by nie pracować". – *Ale na akademik się załapałem. Dorabiam, rozkładając towar w marketach. Wpada za to jakieś 2 tys. co miesiąc. Mam też trochę zaskórniaków z pracy wakacyjnej w firmie budowlanej wujka.*

Marzenia o pracy

Na Uniwersytecie Warszawskim pracuje, przeważnie dorywczo, dwie trzecie studentów. Bez tego nie byliby się w stanie utrzymać w stolicy. Uczący się stacjonarnie poświęcają na pracę średnio 20 godzin tygodniowo. To pół etatu. Twierdzą, że są przemęczeni i że łączenie konieczności zarobkowania z nauką jest trudne, a wręcz przygniatające (87 proc. odpowiedzi). Łukasz, student drugiego roku ekonomii na UW: – *W ubiegłym roku zatrudniłem się w sklepie sportowym na trzy czwarte etatu. Mój grafik wyglądał mniej więcej tak: trzy dni w pracy, trzy dni na uczelni, tylko niedziela wolna. Zarabiałem jakieś 2,5–3 tys. zł miesięcznie. Na roku wiele osób mówiło, że z myślą o karierze dobrze byłoby się gdzieś zahaczyć. Albo przynajmniej dorobić. Ale na ogół kończyło się na gadaniu. Są nieźle sytuowani, nie mają presji. Niewykluczone też, że na studia do Warszawy idą dzieciaki z bogatszych domów.*

Zdecydowana większość uczących się na studiach dziennych skazana jest na prace dorywcze: w branży gastronomicznej, w recepcjach, handlu, jako kurierzy. Często powtarzający się schemat: praca sezonowa w wakacje, stypendium socjalne, ewentualnie dorabianie w ciągu roku akademickiego. Marzeniem jest podłapanie choćby cząstki etatu związanego z kierunkiem nauki.

Kuba, student czwartego roku Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego: – *Asystentura to byłoby coś. Na moim roczniku znam tylko trzy osoby, którym udało się ją zdobyć. Niektórzy dorabiają, udzielając korepetycji. Generalnie jednak większość moich znajomych z medycyny jest nieźle sytuowana, nie mają presji zarobkowania. Mnie utrzymują rodzice, a to, co zarobię, zwłaszcza podczas pracy wakacyjnej, mam na własne wydatki* – opowiada Kuba z lekarskiej rodziny, który jednak pieniędzmi nie szasta. – *Od rodziców dostaję 3 tys. zł. Połowę na życie, połowę na pokój w dużej poniemieckiej willi, gdzie na trzech piętrach i w piwnicy mieszka jakieś 20 osób. W razie potrzeby rodzice coś mi jeszcze blikną* – mówi.

Karolina Wierzba, która po licencjacie z historii rozpoczęła studia ekonomiczne na UJ: – *Do marca pracowałam jako barmanka. W tym roku akademickim postanowiłam poszukać pracy związanej z kierunkiem studiów. Ale na razie nie ma żadnego odzewu. Jeśli do końca października nic się nie trafi, będę musiała wrócić do gastro. Bez pracy się nie utrzymam.*

Fundamentalna życiowa potrzeba studenta to dach nad głową. Według badań ZBP w akademikach mieszka 10 proc. studentów. W stosunku do 2022 r. odnotowano wzrost o 2 proc., co jednak nie zmienia faktu, że w dalszym ciągu odbiegamy od unijnej średniej (13 proc.). W czasie kampanii wyborczej przed wyborami parlamentarnymi 2023 r. kandydaci Polski 2050 podnosili hasło „akademik za złotówkę", ale podobnie jak z wieloma innymi postulatami obecnej koalicji rządzącej skończyło się na obietnicach. Minister nauki i szkolnictwa wyższego Marcin Kulasek (Nowa Lewica) powiedział niedawno w jednym z wywiadów, ▶

eprasa.pl e445b60032

▶ że akademiki za złotówkę byłyby możliwe w „idealnym świecie", a nie obecnie, z galopującym deficytem budżetowym.

W ankietach realizowanych wśród studentów UW powracał też wniosek, że jeśli chodzi o dostępność tanich stołówek jest wręcz fatalnie. – *Sytuacja jest zróżnicowana, ale trudno ją nazwać fatalną czy bardzo złą, bo prawie wszędzie jest dostęp do miejsc, gdzie można podgrzać przyniesiony z domu posiłek oraz są barki i stołówki z „akceptowalnymi", a nawet niskimi cenami posiłków* – mówi doktor Joanna Konieczna-Sałamatin z zespołu realizującego badania.

Przyznają, nie przyznają?

Analitycy działającej na rynku nieruchomości firmy JLL szacują, że popyt na tanie miejsca w domach studenckich zaspokojony jest mniej więcej w 20 proc. Przydałoby się 400 tys. dodatkowych. Do opinii publicznej regularnie przebijają się narzekania na to, że miejsc w domach studenckich jest za mało w stosunku do potrzeb i że nowych przybywa zbyt wolno. Nie podoba się również trend budowania „wypasionych" akademików, za które trzeba słono płacić (1100 zł za tzw. pokój jednoosobowy o podwyższonym standardzie w nowym akademiku UW; na drugim cenowym biegunie są miejsca w pokoju dwuosobowym – 480 zł – w starych akademikach).

O kryteriach branych pod uwagę przy rozdziale miejsc decydują rektorskie zarządzenia i czasami na tej liście znajdują się dość dyskusyjne pozycje, jak np. otrzymywanie stypendium rektora lub ministra (co w końcu poprawia sytuację materialną aplikanta) lub zdobycie medalu w zawodach rangi mistrzostw Polski. Na UW dopiero od tego roku bierze się pod uwagę odległość od miejsca zamieszkania. Na UJ w tym roku kryteria uproszczono. – *Liczy się przede wszystkim dochód na osobę w gospodarstwie domowym* – informuje Marcin Kubat, rzecznik prasowy Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Karol, student chemii: – *Największy problem to oczekiwanie na odpowiedź do ostatniej chwili. Przyznają, nie przyznają? Szukać na mieście, a jak szukać, to gdzie i z kim? Odmówili, ale przecież jeszcze jest odwołanie, no i może się uda. Kto czeka z wynajęciem mieszkania albo pokoju do ostatniej chwili, może mieć problem. Słyszałem, że w Warszawie na porządku dziennym są castingi na współlokatorów albo oferty z drugiej ręki, czyli rodzice przykładowego Jasia wynajmują mu całe mieszkanie, a potem on szuka współlokatorów, żeby ściąć koszty.*

Z informacji przekazanych przez kilka państwowych uczelni wynika, że miejsc w domach studenckich przybywa, choć nie jest to wzrost imponujący. Uniwersytet Jagielloński: od 2023 do 2025 r. pula powiększyła się z 3062 do 3165 miejsc. Politechnika Wrocławska (z uwzględnieniem filii w Wałbrzychu, Legnicy i Jeleniej Górze): z 1442 do 1536. Uniwersytet Warmińsko-Mazurski: z 2031 do 2091. Na Uniwersytecie Rzeszowskim liczba miejsc trzyma się mocno: 1963. Ale na Politechnice Łódzkiej zasób skurczył się z 2591 do 2457. Ewa Chojnacka, rzeczniczka prasowa PŁ: – *To efekt przekształcenia pokoi dwuosobowych w jednoosobowe oraz podniesienia standardu, chociaż wciąż dominują „dwójki", stanowiące ponad 80 proc. miejsc. Wszyscy studenci ubiegający się o zakwaterowanie otrzymali je.*

Również na Uniwersytecie Rzeszowskim nikt z aplikujących nie został na lodzie. Ale na Politechnice Wrocławskiej smakiem musiało obejść się aż 757 studentów. Na UW – 532. Jednak, jak informuje Anna Modzelewska, rzeczniczka prasowa uczelni, są to wnioski, które nie kwalifikowały się do przyznania ani jednego punktu. Na UMW w Olsztynie negatywnie rozpatrzono



eprasa.pl e445b60032

339 podań. Anna Pawlak: – *Jeśli odwołanie się nie powiedzie, studenci skazani są na wynajem mieszkań. A na rynku robi się coraz drożej. Za dwa pokoje w dobrej lokalizacji płacimy z partnerem 2500 zł. Ceny zbliżają się do tych w Gdańsku.* Zdarza się też, że studenci narzekający na niedobór miejsc sami komplikują sytuację. Na Politechnice Wrocławskiej aż 150 lokatorów akademików nie stawiło się w wyznaczonym terminie kwaterunku. Dwie trzecie tych miejsc już rozdysponowano.

Baletów minął czas

Podstawową motywacją do ubiegania się o miejsce w domach studenckich jest sytuacja materialna. Z ankiet, na które odpowiedzieli w zeszłym roku studenci UW, wynika, że zaledwie co dziesiąty złożył podanie o akademik przede wszystkim ze względów towarzyskich.

Rafał, czterdziestoparolatek, studiujący na przełomie tysiącleci socjologię na Uniwersytecie Łódzkim: – *Mieszkałem w słynnej Balbinie, a słynnej z tego powodu, że swego czasu jej lokatorem był Skiba z Big Cyca. Trzyosobowy pokój o powierzchni kilkunastu metrów kwadratowych, po lewej od wejścia aneks kuchenny wielkości metr na metr, czyli tak zwany, za przeproszeniem, rzygownik. Na pierwszym roku nie było oczywiście wiadomo, na jakich współspaczy trafisz, czysty totolotek. Trzeba się było jakoś dogadać. W zasadzie mieszkało nas czterech, bo przez ładnych parę miesięcy waletował kolega. Mieliśmy na piętrze wspólną toaletę i łazienkę z czterema prysznicami, w godzinach szczytu kolejka była standardem. Kuchnia też wspólna. Na piętrze znałem po imieniu większość osób, życie toczyło się na korytarzu, właściwie nie było wieczoru bez imprezy. Jak ktoś chciał się pouczyć, mógł iść do pokoju nauki, tzw. stukalni. Wspomnienia mam na całe życie, ale na czwartym roku przeniosłem się na miasto, bo nawet balety mogą się znudzić.*

Wydatki studentów na zaspokojenie podstawowych potrzeb – zakwaterowanie i wyżywienie – wciąż rosną. W 2016 r. na utrzymanie wystarczało miesięcznie niespełna 1600 zł. W dwóch ostatnich latach wydatki studentów uczących się w trybie stacjonarnym stanęły na poziomie niespełna 3,5 tys. zł.

W tamtym czasie na uniwersyteckim osiedlu akademickim w Łodzi oddawano już do użytku wyremontowane domy studenckie, gdzie z uwagi na podwyższony standard obowiązywały reguły: trzeba było zgłaszać gości na portierni, po 23.00 musieli się ulotnić, korytarzowe imprezy miały mniejszy rozmach albo ochrona akademika ucinała je w zarodku. Rafał mówi, że każdy szanujący się student powinien choć pół semestru pomieszkać w Balbinie. – *Gdy opowiadam o tych realiach córce, która w maju zdaje maturę i przebąkuje coś o studiach w Gdańsku, czyli 300 km od domu, mówi, że akademik mogłaby rozważyć, ale tylko pod warunkiem że pokój będzie miał standard kawalerki* – śmieje się.

Anna Pawlak: – *Ludzie nie chcą mieszkać z kimś z przypadku. Stąd trend przerabiania pokoi wieloosobowych na jedynki. Słyszałam o przypadkach lokatorów z jednego segmentu, czyli dwa pokoje ze wspólną kuchnią i łazienką, którzy się nawet nie znają. Na osiedlu akademickim jeszcze jakiś czas temu działały cztery kluby, ostał się jeden. Wydaje mi się, że to ilustracja tego, na co zwracają uwagę badacze społeczni: dzisiejsze młode pokolenie jest skryte i nieufne, żyje w postpandemicznym stresie urazowym.*

Z relacji studentów: życie towarzyskie straciło na intensywności, ale też zmieniła się jego natura. Jest mniej spontaniczne, preferuje się zamknięte, dobrze znane i oswojone grono znajomych, domówki są częstsze niż wyjścia do miasta, no i alkohol już nie leje się strumieniami, a abstynenci (prowadzący tzw. zdrowy tryb życia) wcale nie należą do rzadkości.

Młodzi dorośli nie tak sobie wyobrażali czas studiów. Łukasz: – *Z opowieści rodziców i ich znajomych wynikało, że to najpiękniejszy czas życia. Beztroska, spontan, dobra zabawa, wyjazdy. Żyło się biednie, ale razem. Moje doświadczenia są inne: towarzysko jest raczej marnie, czuć za to dużą presję na to, żeby mieć swoją kasę. Że kto ma cienki portfel, ten jest przegrywem.*

Anna Pawlak: – *Im bliżej końca studiów, tym większe ciśnienie, by załapać się gdzieś na etat pokrewny z kierunkiem nauki. Na moim roku są osoby pracujące w lokalnych mediach, jeden z moich znajomych w kółko powtarza, że jeśli nie pójdę w ich ślady, po studiach będzie już za późno. Bo rynek się nasyci, a w Olsztynie nie jest zbyt duży.*

Z badań wynika, że aż 20–25 proc. studentów bierze pod uwagę rezygnację z nauki. Powody są różne: rozczarowanie poziomem kształcenia, trudności z utrzymaniem, perturbacje osobiste, złapanie tzw. poważnej pracy. Jeszcze dwie, trzy dekady temu kolejność była jasna: najpierw studia, potem praca, a nawet jeśli się pojawiała w trakcie nauki, była epizodem, żeby podreperować budżet. Łączyć studia dzienne z pracą na pełen etat to wciąż praktycznie niewykonalne. Karolina Wierzba: – *Komfort wyboru, studia czy praca, mają przede wszystkim studenci uczelni technicznych. Jeden znajomy informatyk jak tylko dostał atrakcyjny etat, przełożył egzamin licencjacki. Inny wziął urlop dziekański, obstawiam, że już nie wróci. Mój dyplom z historii szału nie robi, stąd decyzja, by iść na ekonomię. Bo ten kierunek przynajmniej stwarza iluzję, że znajdę etat.*

Łukasz w tym roku akademickim przeniósł się ze studiów dziennych na zaoczne. Podobnie jak jego dziewczyna studiująca prawo na jednej z prywatnych warszawskich uczelni. – *Miała fatalnie ułożony grafik, zresztą doszła do wniosku, że materiał do nauki to czysta pamięciówka, więc na zajęcia dzienne szkoda jej czasu. Na razie pracuje w recepcji i szuka stażu w jakiejś kancelarii, ale nie jest łatwo. Starsi znajomi, już z dyplomem, odpowiadają na dziesiątki, może i setki ogłoszeń, a rozmowa kwalifikacyjna, o ile w ogóle do niej dojdzie, kończy się na pytaniu o doświadczenie zawodowe. Jeśli o mnie chodzi, od wakacji pracuję na pełen etat w firmie ubezpieczeniowej. Wkręciłem się po znajomości. W dwa tygodnie nauczyłem się tam więcej niż na pierwszym roku ekonomii. Niebawem chcę podejść do egzaminu brokerskiego. Na zaocznych mam takie same przedmioty jak na dziennych, ale materiał jest bardziej skompresowany. Wszyscy na zaocznych pracują, parę osób ma nawet własne biznesy, ale są starsze ode mnie o parę lat. To motywujące.*

I tak studencka beztroska ustępuje tzw. fokusowi na karierę. Zwanemu też niekiedy kulturą zap...olu.

MARCIN PIĄTEK

© ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER

eprasa.pl e445b60032



Nicolas (na fot. z narzeczoną Bleydis) po wypadku na budowie jest sparaliżowany od pasa w dół. Nie miał ubezpieczenia, po pobycie w szpitalu jest zadłużony na ok. 90 tys. zł. Zbiórka na pomoc dla Nicolasa:

Polski sen okazał się koszmarem

Tysiące Kolumbijczyków, którzy coraz częściej szukają lepszego życia w Polsce, padają ofiarą oszustw pośredników, wyzysku pracodawców, a nawet handlu ludźmi.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Pilar pracowała w call center w Bogocie, ale marne zarobki skazywały ją na życie od pierwszego do pierwszego w wersji więcej niż ascetycznej. Chłopak, który od kilku miesięcy pracował w Hiszpanii – a to na budowach, a to w knajpach – namówił ją, żeby do niego przyjechała. Gdy w Hiszpanii nie znaleźli zatrudnienia, kolega przekonał ich, by pojechali do Polski. Powiedział, że tam naprawdę dobrze płacą.

Po kilku miesiącach pracy w tartaku – na lewo, na kilkunastogodzinnych zmianach, bez środków ochrony – maszyna ucięła Pilar mały palec lewej ręki. Na miejscu nie było nawet apteczki. Nie wezwano pogotowia. Zanim ktoś zawiózł ją do odległego szpitala, było za późno, by palec dało się przyszyć. Pracodawca zmusił ją do podpisania oświadczenia, że skaleczyła się przez nieuwagę. Zwolnił jej partnera i wyrzucił go z hotelu pracowniczego, gdy temperatura oscylowała wokół zera stopni. Mężczyzna spędził trzy noce owinięty w folię termiczną na tylnym siedzeniu samochodu.

Okazało się, że pracodawca, który obiecał uzyskać dla obojga pozwolenie na pracę, nie zdobył go. Stowarzyszenie Nomada, które pomaga migrantom i uchodźcom, wywalczyło dla Pilar odszkodowanie – ok. 14 tys. zł.

Koszmar przeżył – i wciąż przeżywa – Nicolas, lat 40, z karaibskiej miejscowości Santa Marta, który pracował na budowie pod Lublinem. Po wędrówce przez wiele kręgów wyzysku, głównie przy obróbce kurczaków, dostał w końcu lepszą, jak sądził, pracę – na budowie. Tam spadło mu na głowę żelazne ramię pompy betonu. Jest sparaliżowany od pasa w dół.

Dwa miesiące spędził w szpitalu, a że nie miał ubezpieczenia, jest zadłużony na ok. 90 tys. zł. Gdyby nie pewien ksiądz, który zaofiarował mu dach na głową, nie wie, co by z nim było. Szczęście

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl e445b60032

w nieszczęściu, że jest z nim na miejscu narzeczona Bleydis, która pełni teraz funkcję jego stałej pielęgniarki.

* * *

Przyjeżdżają, żeby zarobić. Kolumbia mimo zabiegów progresywnego rządu wciąż zmaga się ze znacznym bezrobociem i niewygasłymi konfliktami zbrojnymi w interiorze. Szlak do Stanów jest tłoczny i niebezpieczny. Europa, w tym Polska, wydają się bezpieczniejszym wyborem.

Osobiste sytuacje kolumbijskich migrantów są różne. Leonardo (czeka na deportację) wyjechał z Bogoty z powodu rodzinnej wojny o spadek – przyrodni brat groził mu śmiercią. Mailid, pochodząca z regionu Catatumbo, gdzie działają różne grupy zbrojne i wymuszają haracze, musiała sprzedać ostrzelany wcześniej sklepik i uciekać. Dwoje członków rodziny zostało zabitych, więc wiedziała, że rekieterzy nie rzucają słów na wiatr.

W historiach Kolumbijczyków w Polsce splatają się sprawy globalne i lokalne – migracje za pracą, międzynarodowy handel ludźmi, lokalne standardy prawa pracy, słabość organów kontrolujących nadużycia w miejscach pracy i na rynku ofert, europejskie nastroje antyimigranckie.

* * *

Schemat rekrutacji do pracy w Polsce jest powtarzalny. Kolumbijscy lokalni rekruterzy lub przedstawiciele agencji pośrednictwa oferują przyjazd „na turystę", obiecując legalizację zatrudnienia na miejscu. Do zeszłego roku można było przylecieć bezpośrednio z Kolumbii bez wizy dla pracowników i na miejscu legalizować pracę.

Ze względu na rosnącą liczbę kolumbijskich migrantów za pracą Polska wprowadziła ograniczenia wiz pracowniczych – „turysta" pozwolenia na pracę nie dostanie. Wielu decyduje się na podjęcie pracy bez niego, zwłaszcza że pośrednicy lub pracodawcy w Polsce obiecują je załatwić. Oczywiście nie za darmo. System można jeszcze obejść z innej strony: przyjechać na studia lub do szkoły policealnej. To wybieg, który podpowiadają Kolumbijczykom niektórzy pracodawcy zainteresowani tanią siłą roboczą. Osobie uczącej się łatwiej zalegalizować dłuższy pobyt.

* * *

Rekruterzy z Kolumbii organizują całą podróż i nie są tani. Ceny ich usług wyliczane w złotówkach wahają się od kilku do kilkunastu tysięcy (bilet do Polski wliczony). Żeby je opłacić, ubodzy Kolumbijczycy sprzedają wszystko, niekiedy zadłużają się u rodziny i znajomych – a czasem też u pośredników – i zaczynają wędrówkę obciążeni długiem, który potem w nieskończoność rośnie.

Na pierwsze ogłoszenie o pracy w Polsce potencjalni pracownicy natrafiają zazwyczaj w mediach społecznościowych. Wabikiem są superwysokie zarobki: 7–8 tys. zł miesięcznie, co w Kolumbii stanowi sumę realnie dużo większą. W praktyce nawet tam, gdzie uczciwie płacą, Kolumbijczycy dostają najwyżej połowę spodziewanych zarobków.

Profesjonaliści, którzy decydują się na przyjazd, ubolewają, że w Kolumbii wykonując swój zawód, zarabiali nie więcej niż kolumbijską płacę minimalną, która w 2024 r. wynosiła odpowiednik ok. 1,2 tys. zł. W Kolumbii wystarcza to ledwie na pokrycie podstawowych kosztów życia. Gdy jednak okazuje się, że w Polsce zarabiają realnie 1,5–2 tys. zł – a tak dzieje się często – cała wyprawa staje się bezsensowna.

Niektórzy jeszcze w Kolumbii podpisują wstępne umowy lub płacą za zaproszenia od pracodawcy, które niemal zawsze okazują się fałszywe. Na miejscu okazuje się, że trzeba dopiero załatwiać pozwolenie. Ale migranci zaczynają, oczywiście, pracę od razu. Zostają zwykle rozlokowani w domach jednorodzinnych lub niewielkich blokach czy hostelach, po kilka lub kilkanaście osób w jednym pokoju, czasem bez ogrzewania, z rozpadającymi się łóżkami, w marnych warunkach higieniczno-sanitarnych (np. jedna łazienka na kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt osób).

Agencje i indywidualni pośrednicy tworzą nieformalną sieć: ktoś nawiązuje kontakt z potencjalnymi pracownikami w Kolumbii; ktoś inny organizuje przelot; na miejscu – już w Polsce – kolejni w łańcuchu mają już ugadanych pracodawców szukających taniej siły roboczej i kierują migrantów do zakładów pracy. Zdarza się, że pośrednicy i pracodawcy zabierają paszporty „na czas załatwienia formalności", co ogranicza mobilność, samodzielność i wprawia w stan niepokoju. Nieznajomość języka, jak i nowego kraju – od geografii, przez prawo, po obyczaje – czasem też odległość od większych ośrodków miejskich (gdy zakłady pracy i mieszkania położone są na odludziu), prawdziwy lub fikcyjny dług za podróż i mieszkanie tworzą elementy pułapki, w jaką wpada wielu pracowników z Kolumbii. Gdy pojawiają się jakiekolwiek problemy, zdrowotne czy losowe, niemal regułą jest, że pracodawcy i pośrednicy odmawiają pomocy i wsparcia.

* * *

Relacje pracowników z Kolumbii są podobne: długie zmiany (11–16 godzin), krótkie przerwy, praca fizyczna ponad siły i bez odpowiedniego szkolenia.

Franklin, 34 lata, przyjechał do Polski w 2022 r. – legalnie, z obietnicą pracy w fabryce: – *Mówili, że będę pracował 8 godzin dziennie. Mieszkanie będzie czyste, wygodne, że zarobię na spokojne życie. Fabryka wymagała, żebym pracował 12 godzin, czasem 16. Nikt nie pytał, czy dam radę. Byłem jak maszyna. W zakładzie temperatura bliska zera, produkty wymagały chłodzenia. Po kilku godzinach nie czułem nóg. Bolały mnie plecy, ręce, kości. W Kolumbii też ciężko pracowałem, ale tutaj wysiłek był inny – jakby człowiek pracował wbrew swojemu ciału. Agencja pośrednicząca zabierała część wynagrodzenia. Najgorsze było poczucie, że nie mam wyboru. Jeśli się sprzeciwię, stracę pracę i wizę. A wtedy deportacja.*

Powrót z niczym oznacza dla wielu restart z bagażem długu. Y., młoda kobieta, zapożyczyła się u rodziny, bo pośrednicy w Bogocie obiecali jej ośmiogodzinną legalną pracę w komfortowych warunkach. W Polsce zamiast wygodnego mieszkania czekał na nią hotel robotniczy na odludziu. Zamiast 8 godzin pracy – kilkanaście. Zamiast obiecanych dokumentów – niepewność i groźba utraty legalnego statusu. Kupiła „bilet do raju", a znalazła się w pułapce. Chciała wrócić, ale nie mogła – nie miała pieniędzy, a agencja w Kolumbii przestała odbierać telefony. W końcu uciekła. Pomogli jej znajomi, którzy wcześniej wyjechali z Polski. Teraz Y. ostrzega innych: nie wierzcie agencjom, które obiecują złote góry. Polska nie jest miejscem, gdzie łatwo się dorobić.

Patricia wylądowała na fermie: – *Polska jest bezpieczna, spokojna, czysta, ale praca, którą wykonywałam, była koszmarem. Codziennie wchodzisz do hali, gdzie światło nigdy się nie zmienia, krzyki przełożonych zagłuszają twoje myśli. W Kolumbii też jest ciężko, ale masz prawa, znasz system. Tutaj jesteś nikim, zależnym od kaprysu pracodawcy i agencji pośrednictwa.* ▶

eprasa.pl e445b60032

* * *

▶ Już w sierpniu 2024 r. okładka najbardziej opiniotwórczego tygodnika w Kolumbii „Semana" zaanonsowała specjalny raport w środku numeru następującym tytułem „Kolumbijczycy: piekło w Polsce". Autorka Vanessa Ruggiero pisze: „Uciekając przed kryzysem gospodarczym i polityczną niepewnością w swoich krajach, tysiące Latynosów zdecydowało się wyruszyć w pogoni za »polskim snem«. Zamiast spełnienia marzeń natrafili jednak na koszmar: praca ponad siły, nieuczciwe agencje, nieludzkie warunki życia. Migranci opowiadają, że są traktowani jak niewolnicy. Ich historie – udokumentowane nagraniami i poruszającymi świadectwami – są pełne bólu, strachu i rozczarowania". Opisuje historie Kolumbijczyków, którzy pracowali w tartakach, przetwórniach spożywczych, głównie mięsa, w piekarniach, na budowach.

Ci z tartaków wskazują na brak zabezpieczeń i zdarzające się wypadki – od zmiażdżeń po przecięcia. Nie mogą liczyć na odszkodowanie, zwłaszcza gdy ich sytuacja prawna nie jest uregulowana (np. pozwolenie o pracę dopiero w trakcie załatwiania albo i nie).

W fabrykach przetwórstwa mięsnego Kolumbijczycy przenoszą ciężkie ładunki, wykonują powtarzalne ruchy, które kończą się urazami i długotrwałą niemożnością powrotu do pracy; pracodawcy nie chcą słyszeć o rekompensatach za nadgodziny. W piekarniach u kobiet dźwigających żelazne formy mnożą się urazy palców.

Upiornie ciężka praca, można ją nazwać wyzyskiem, łączy się niekiedy z przemocą. Po zażądaniu zapłaty przez pracownika grożono mu bronią („Semana" zamieszcza zrobioną telefonem fotografię takiego zajścia); nadzorcy grożą wyrzuceniem na bruk, a pewien pracownik jest szarpany i ciągnięty po podłodze za odmowę podpisania umowy.

Co grozi Kolumbijczykom w Polsce? Raport „Semany" formułuje to tak: „Wpadnięcie w sieci osób zajmujących się wyzyskiem siły roboczej, spanie na ulicy, wyczerpujące godziny pracy, okresy bezrobocia, groźby, a także niepełne lub bardzo niskie wynagrodzenie. Krótko mówiąc, stanie się ofiarą współczesnego niewolnictwa. (...) Najczęściej jest się »uwięzionym« w miejscach bez dostępu do jakiegokolwiek transportu (...) dlatego uwięzieni po drugiej stronie świata, obciążeni długami lub perspektywą braku pieniędzy, nie wiedzą, co robić. Jeśli odważą się odejść, grozi się im nawet bronią".

* * *

Według danych ZUS legalnie pracuje w Polsce ok. 16,5 tys. Kolumbijczyków, ale rzeczywista liczba nieformalnych pracowników jest kilkakrotnie wyższa; padają różne liczby: 40, 50, nawet 60 tys. To obecnie jedna z najliczniejszych narodowości wśród pracowników migrantów. Jak mówi w „Semana" prawnik pomagający latynoskim pracownikom w Polsce, rosnące zainteresowanie naszym krajem wynika z faktu, że zaczyna brakować siły roboczej, m.in. z powodu wojny w Ukrainie. A pracownicy z Ameryki Łacińskiej są tańsi niż polscy. Kolumbijczyków i innych mieszkańców Globalnego Południa przyciąga do Europy większe bezpieczeństwo pod każdym względem, lepsze usługi społeczne, większa stabilność niż w kraju wstrząsanym konfliktami.

Kluczową częścią procederu są agencje pośrednictwa – i to ich praktyki budzą największe podejrzenia o nadużycia, a nawet działalność przestępczą. Zdarza się, że nie są w ogóle zarejestrowane. Kilkoro moich rozmówców mówi o pośrednikach per mafia. Pokazują w telefonie ostrzeżenia (czytaj: pogróżki), formułowane przez pośredników na wypadek, gdyby poszkodowani chcieli zgłaszać nadużycia policji czy inspekcji pracy. Rozmówcy błagają, by nie identyfikować ani ich, ani tych, którzy ich zastraszali – „bo dojdą kto i mnie zabiją". Ale skargi na nadużycia pośredników i pracodawców do Państwowej Inspekcji Pracy jednak się zdarzają. Do zeszłego roku było ich kilkadziesiąt.

W Polsce w latach 2021–24 straż graniczna zidentyfikowała 88 osób jako potencjalne ofiary handlu ludźmi. Wiosną tego roku w Radomiu ruszył proces czterech osób oskarżonych o proceder handlu ludźmi i zmuszanie do niewolniczej pracy pięciorga Kolumbijczyków w jednym z lokalnych zakładów mięsnych. Jak podała lokalna strona Twój Radom, z ustaleń śledczych wynikło, że Kolumbijczycy doświadczali przemocy fizycznej; przymuszano ich do wykonywania obowiązków niezależnie od stanu zdrowia, pozbawiono paszportów i zabierano pieniądze. Nie mieli prawa swobodnie wychodzić z hostelu. Jeden z Kolumbijczyków doznał urazu nogi, gdy nadzorujący zrzucił mu na stopę skrzynkę z mięsem. Kolumbijka w ciąży mimo złego samopoczucia była zmuszana do pracy.

– *Poszkodowani podpisali umowy, ale ich zatrudnienie miało wszystkie znamiona pracy przymusowej* – mówił lokalnej „Wyborczej" prokurator Cezary Ołtarzewski z radomskiej prokuratury rejonowej.

Podejrzani w sprawie radomskiej nie przyznają się do winy. Grozi im kara pozbawienia wolności od 3 do 20 lat.

* * *

Latynosi założyli w 2023 r. Związek Zawodowy Pracowników i Pracowniczek Ameryki Łacińskiej w Polsce. Pomaga członkom, ale też tym, którzy do niego nie należą. Związkowcy głoszą, że „każdy, kto chce przyjechać pracować w Polsce, powinien to zrobić z wizą pracowniczą, dzięki której będzie miał lepsze zabezpieczenia i ochronę w miejscu pracy".

Wiele osób, które podzieliły się swoimi opowieściami ze związkiem, pracowało na umowę-zlecenie. Mając taką formę zatrudnienia, pracownicy są narażeni na pracę powyżej 8 godzin dziennie, bez wynagrodzenia za przepracowanie

Dokąd po pomoc

Nadużycia pracodawców i pośredników pracownicy z krajów Ameryki Łacińskiej mogą zgłaszać do Związku Zawodowego Pracowników i Pracowniczek Ameryki Łacińskiej w Polsce (WhatsApp: +48 502 838 433); informacje: **https://www.facebook.com/share/19nvGhEFH2/?mibextid=wwXIfr**
Konsultacje prawne dot. zatrudnienia dla pracowników zagranicznych oferuje Stowarzyszenie Nomada z Wrocławia (możliwe niewielkie wsparcie materialne – wyżywienie, leki – oraz krótkie, interwencyjne zakwaterowanie).
W jęz. ukraińskim i rosyjskim: +48 536 149 008; e-mail: **help@nomada.info.pl** ;
w języku angielskim: +48 791 576 459; e-mail: **counselling@nomada.info.pl**
Telefon zaufania Fundacji La Strada (przeciw handlowi ludźmi i niewolnictwu): +48 22 628 99 99

eprasa.pl e445b60032







„Kolumbijczycy: piekło w Polsce" – okładka kolumbijskiego tygodnika „Semana" z sierpnia 2024 r. Obok: **polskie kadry z „Semany" zrobione ukrytym telefonem – grożenie bronią pracownikowi, bo zażądał zapłaty; Kolumbijczyk wleczony po podłodze za odmowę podpisania umowy.**

dodatkowych godzin. Godziny pracy na umowę-zlecenie zależą od ustaleń między zleceniodawcą a zleceniobiorcą. Nie ma gwarancji płatnego urlopu, a zobowiązania związane z ubezpieczeniem są opcjonalne.

Działacze związku podkreślają, że nadużycia popełniane są najczęściej przeciw tym, którzy korzystali z ofert pracy pojawiających się w mediach społecznościowych.

* * *

Czy to oznacza, że państwo polskie nie ma tu nic do roboty i wystarczyłoby, żeby migranci zarobkowi zachowali ostrożność, gdy wyruszają w podróż do nieznanego kraju? – *Państwo umywa ręce* – mówi Maria Świetlik z Inicjatywy Pracowniczej, która współpracuje z syndykatem Latynosów.

Można zacząć od wszechstronnej i łatwo dostępnej w kilku językach informacji dla zagranicznych pracowników; sprawniejszej obsługi urzędniczej. (W 2024 r. pracownicy cudzoziemscy z pomocą Inicjatywy Pracowniczej i Stowarzyszenia Nomada zorganizowali protest w Urzędzie Województwa Dolnośląskiego we Wrocławiu). Przydałyby się przyjazne, przejrzyste i szybsze procedury dla ubiegających się o wizy pracownicze – to odcięłoby tlen tym, którzy żerują na naiwności i desperacji szukających pracy w Polsce. Bo niedostatek informacji, powolność procedur, biurokratyczne przeszkody to recepta na powiększanie szarej strefy. Według Państwowej Inspekcji Pracy w jednym z dużych miast na 2,4 tys. pracowników z 26 krajów aż 2 tys. naruszyło przepisy o legalności pobytu lub zatrudnienia.

Filip Rakoczy, prawnik Nomady, sugeruje m.in. dofinansowanie PIP (więcej inspektorów i więcej kontroli), jak i zwiększenie jej kompetencji. PIP mogłaby ukrócić np. powszechną praktykę potrąceń z pensji w przypadku umów-zleceń – za kwaterunek, ubrania, załatwianie pozwoleń itp., a także sprawdzać umowy i rzeczywiste warunki pracy.

Kolumbijka, która wiele przeszła w Polsce, zwraca uwagę, że obecne kontrole PIP – których była świadkinią – to pokazówki. Według jej słów przemocowy szef deleguje zaufanego pracownika, który składa zeznanie przed urzędnikiem PIP na jego zamówienie.

Przydałyby się też regulacje i kontrole ograniczające nadużycia agencji pośrednictwa. – *Warto w ogóle pomyśleć o zmianie systemowej, dotyczącej nie tylko Kolumbijczyków* – mówi Rakoczy. – *Obecnie w odniesieniu do cudzoziemców mamy system „pańszczyźniany", tj. przywiązania pracownika do pracodawcy. Pracownik migrant najczęściej dostaje pozwolenie na pracę w konkretnej firmie. Gdy pada ofiarą nadużyć, odejście i poszukiwanie nowej pracy jest bardzo utrudnione, ponieważ wiąże się z koniecznością uzyskania nowego zezwolenia, co jest długotrwałym procesem, w trakcie którego nie można podjąć się legalnej pracy.* W założeniu obecne przepisy miały chronić miejsca pracy dla obywateli polskich. – *Dzisiaj teza, że cudzoziemcy odbierają pracę Polakom, to mit* – mówi Świetlik. Polacy nie rwą się do wielu zajęć.

* * *

Jakby nie dość było pytań i problemów, w Polsce narastają nastroje antyimigranckie. Te przeciw Kolumbijczykom pojawiły się po bójce, do jakiej doszło latem w Nowem (woj. kujawsko-pomorskie), w czasie której Kolumbijczyk pchnął śmiertelnie nożem obywatela polskiego. W bójce brali udział też inni Polacy, ale wrogość z automatu uderzyła w Kolumbijczyków. Na skrajnej prawicy podniosły się głosy o odpowiedzialności tych, którzy ściągają Kolumbijczyków do Polski.

Sami pracownicy z Kolumbii nawołują w mediach społecznościowych do obserwowania się nawzajem i zgłaszania aktów agresji, kradzieży czy innych niepokojących zachowań. Wiedzą, że w obecnej aurze społecznej wykroczenie jednej osoby może uderzyć w całą społeczność.

Migracje zarobkowe do Polski – z Kolumbii i innych odległych światów – to część globalnego trendu poszukiwania lepszego życia; znak nierówności między krajami i regionami. I sygnał, że Polska stała się krajem względnie zamożnym.

W łańcuchu społecznych aktorów i czynności – od rekrutacji za oceanem po pracę w Polsce – najsłabszym ogniwem są pracownicy migranci, ponoszący największe ryzyko i koszty. Najsilniejszym zaś są ci, którzy spieniężają ich marzenia, naiwność, desperację. Patologiom tego rodzaju zdolna jest stawić czoła tylko władza państwowa, a ta umywa ręce, bo temat „migrantów w Polsce" jest politycznie niewygodny.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Niektóre relacje zaczerpnąłem z raportu „Voces latinas" (Latynoskie głosy), przygotowanego przez Stowarzyszenie Nomada i związek latynoskich pracowników, oraz z tygodnika „Semana".

© TYGODNIK SEMANA (3)

eprasa.pl e445b60032

Test na empatię

Skąd w was tyle pesymizmu? – pyta Łukasz Wala, poruszający się na wózku twórca internetowy, którego na TikToku śledzi ponad 1,2 mln osób.

FILIP ZAGOŃCZYK: **– Zorganizowałeś wyprawę wózkiem przez całą Polskę. Jaki był jej cel?**

ŁUKASZ WALA: – Od zawsze miałem zacięcie sportowe. Już w wieku pięciu lat trenowałem dżudo. Później zdobywałem medale na mistrzostwach Polski i należałem do kadry narodowej. Wiele osób myślało, że po wypadku nie będę już w stanie podejmować poważnych wyzwań sportowych. Udowodniłem, że jest inaczej.



Łukasz Wala (ur. 1999 r.) – były dżudoka, po wypadku w 2018 r. porusza się na wózku inwalidzkim. W 2024 r. w 14 dni pokonał na nim 700 km z południa na północ Polski. Filmy o tej i kolejnych podróżach zamieszcza w internecie.

W dwa tygodnie pokonałeś kilkaset kilometrów z Zakopanego do Gdańska. Jak to wpłynęło na twój organizm?

To był ekstremalny wysiłek. Z operatorem Kacprem Bednarczykiem pokonywaliśmy 50 km dziennie. Kacper jechał rowerem elektrycznym, na którym wiózł cały sprzęt, jedzenie, leki i elektronikę niezbędną do kręcenia i montażu filmu dokumentalnego. Ja nie miałem dodatkowego obciążenia, ale musiałem pchać wózek. Po kilkudziesięciu kilometrach odpadały mi ręce i czułem, że wszystkie mięśnie płoną. Z pewnością miałem też gorączkę. Ogromnym wyzwaniem logistycznym było dla nas znalezienie miejsca noclegowego, bo po całym dniu w trasie każde 500 metrów robi różnicę. Kilka razy się zdarzyło, że 50. kilometr trasy wypadał w szczerym polu i musieliśmy zrobić parę dodatkowych kilometrów, żeby znaleźć hotel lub chociaż kwaterę robotniczą. Warto przy tym pamiętać, że nasz dzień na tym się nie kończył. Po dotarciu do pokoju Kacper szedł jeszcze na zakupy, żeby uzupełnić prowiant, a potem zrzucaliśmy i sortowaliśmy filmy, które wysyłaliśmy do montażystów tak, żeby widzowie byli na bieżąco z naszą podróżą. Trwało to wszystko kilkanaście godzin – i tak przez dwa tygodnie. Po dziesięciu dniach dostałem zapalenia pęcherza, co jest bardzo częste u osób z uszkodzonym kręgosłupem. Ostatnie cztery dni jechałem z gorączką. Zwykle w takim stanie leżę w łóżku, ale powiedziałem sobie, że nie mogę zrezygnować.

Dlaczego? Czy okazywanie słabości to jakaś ujma?

Nie. Chodzi o to, żeby walczyć do końca o osiągnięcie celu. Taka wyprawa jest wyzwaniem dla mnie, ale przecież może stanowić inspirację także dla innych, sprawnych i mniej sprawnych, żeby zrobić coś ze swoim życiem.

Brzmisz jak człowiek niezłomny, a przecież przeżyłeś straszny wypadek. Czy chcesz powiedzieć, że pozostał bez wpływu na twoje życie?

To nie tak. Wypadek, zwłaszcza na początku, wywraca wszystko do góry nogami. Pamiętam, jak w 2018 r. byłem pełen energii i determinacji, żeby intensywnie trenować dżudo. Psycholog sportowy, z którym się spotkałem, powiedział mi, że w porównaniu ze światową czołówką, do której się odwołuję, trenuję ciągle za mało. Postanowiłem więc, że będę to robił jeszcze bardziej intensywnie

© ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl e445b60032

i pojechałem z bratem do Japonii, żeby szlifować formę. Czułem się naprawdę mocny. Za dwa tygodnie miałem startować w ogólnopolskich zawodach i właśnie wtedy po 24-godzinnej podróży samolotem z Japonii do Polski, wracając autem z lotniska do domu, wpadliśmy w poślizg. Samochód dachował. Nic z niego nie zostało.

Obudziłem się po kilkunastu godzinach w szpitalu i usłyszałem, że odtąd będę jeździł na wózku, bo jestem sparaliżowany od barków w dół. To był szok, choć początkowo jeszcze to wszystko do mnie nie docierało. Byłem na silnych lekach przeciwbólowych. Kiedy rozmawiałem z lekarzem, twierdziłem, że za dwa tygodnie mam zawody i muszę być gotowy do walki. Patrzył na mnie jak na kosmitę i nie komentował moich wywodów. Odwiedził mnie także psycholog, który w opinii napisał, że jestem napięty, niechętnie ujawniam swoje myśli i nie przyjmuję do wiadomości stanu, w jakim się znajduję. W końcu przyjechał do mnie kolega klubowy z medalem na szyi, żeby udowodnić mi, że zawody, o których mówię, już dawno się odbyły i że nie wezmę w nich udziału.

W tej bardzo ciężkiej sytuacji pomogła mi rodzina. Byli przy mnie przez cały czas. Mama ubierała mnie i karmiła. Zorganizowali zbiórkę pieniędzy, bo intensywna rehabilitacja trwała dwa lata i kosztowała ok. 1 mln zł. Wszystkiego musiałem się uczyć od początku i mam tu na myśli każdą podstawową czynność, siadanie, ubieranie się, korzystanie z prysznica, przesiadanie z wózka na łóżko itd. W końcu jednak powiedziałem sobie, że mam siłę, jestem młody i mogę jeszcze w życiu osiągnąć bardzo dużo.

Skąd pomysł na publikowanie filmików w internecie?

Namawiali mnie do tego przyjaciele. Twierdzili, że zawsze ciekawie opowiadam i mam dużo do przekazania. Zachęcali, żebym podzielił się tym z ludźmi. To był strzał w dziesiątkę. Bardzo wiele osób interesuje to, jak sobie radzę z barierami i wyzwaniami na co dzień.

Wyprawa przez Polskę to niejedyna ciekawa podróż, jaką zaliczyłeś. Podróżowałeś też autostopem przez Mołdawię. Jak wspominasz ten kraj?

Mołdawia to bardzo ciekawe, ale i bardzo biedne miejsce. Sam pomysł, żeby jechać tam autostopem, okazał się szalony. Ludzie nie są tam przyzwyczajeni, że ktoś na wózku prosi o podwiezienie. Większość sądziła, że chcę od nich pieniędzy, i było z tego powodu wiele nieporozumień. Jadąc przez Mołdawię, widzi się na każdym kroku, że to jest inny świat. Dziurawe drogi, stare, rozpadające się bloki to widok, jaki możemy zaobserwować niemal wszędzie. Tylko w centrum Kiszyniowa jest trochę nowoczesnych budynków i kilka dobrze wyglądających ulic, ale to przecież stolica i niewielki fragment kraju. Rodzice wspominają, że tak to wszystko wyglądało i u nas jeszcze przed przełomem 1989 r., ale sam nie mogę tego pamiętać, bo urodziłem się w końcówce lat 90.

W Mołdawii zdarzały mi się też różne niebezpieczne sytuacje. Któregoś dnia zabrał mnie do samochodu facet, który nie chciał się zatrzymać. Dopiero gdy zdesperowany zagroziłem, że zsikam mu się w samochodzie, stanął na stacji benzynowej, ale jeszcze kilka godzin trwały między nami negocjacje, zanim zdecydował się zostawić mnie w spokoju. Rozmawiałem też z młodymi ludźmi, którzy opowiadali, że w Mołdawii nie ma dla nich życiowych perspektyw. Nie mówiąc już o możliwości swobodnego podróżowania. Byłem także w Naddniestrzu. Formalnie jest częścią Mołdawii, ale ma swoją walutę, wojsko i uważa się za państwo, choć nikt go za państwo nie uznaje. Ta wyprawa, którą zakończyłem na granicy z Ukrainą, była ciekawa, ale i przygnębiająca.

Wróćmy do Polski i codziennego życia. Czy zauważyłeś jakąś zmianę podejścia ludzi do ciebie, odkąd stałeś się osobą z niepełnosprawnością?

Myślę, że budzę większe zainteresowanie, ale może to być spowodowane filmikami, które publikuję. Mieszkam obecnie w Katowicach i bardzo często podchodzi do mnie jakiś człowiek, mówiąc: „Świetna robota, oglądałem pana w internecie". To, co pokazuję, ma wartość edukacyjną. Robiłem też testy na empatię, symulując np. awarię wózka. Okazało się, że Polacy chcą pomagać i są wrażliwi na drugiego człowieka. Niedługo przejadę się do Madrytu i Berlina, żeby zobaczyć, jak na podobne sytuacje reagują Hiszpanie i Niemcy.

A jak z barierami architektonicznymi, które musisz pokonywać?

Przyznaję, to jest problem. Mimo obowiązujących od dawna przepisów ciągle mamy w Polsce wiele budynków niedostosowanych. Nie ma podjazdów, są za to schody i wysokie progi. W takiej sytuacji nie pozostaje nic innego, jak prosić o pomoc innych ludzi. Nie mam z tym problemu. Alternatywą byłoby siedzenie w domu i załamywanie rąk, a to zupełnie nie w moim stylu. Uważam, że dziś w Polsce mamy coraz więcej osób poruszających się na wózkach, które prowadzą aktywne życie. Wychodzą z domu, pracują, spotykają się ze znajomymi. Całe szczęście, że tak jest, bo tylko w ten sposób ludzie pełnosprawni mogą się przekonać, że niepełnosprawność to nie najważniejszy aspekt życia.

Wróćmy do internetu. Skąd bierzesz pomysły na filmiki i czy dobrze się na nich zarabia?

Zarabiam całkiem przyzwoicie, można powiedzieć, że ponadprzeciętnie, ale i dużo pracuję. Wiele firm chce pokazywać swoją wrażliwość społeczną i otwartość na ludzi z niepełnosprawnością. Chcą się u mnie reklamować, ale muszę dbać o widzów i publikować przynajmniej cztery do pięciu filmików tygodniowo. Sam montaż czy nagrywanie to sprawa czysto techniczna i nie jest problemem. Z pomysłami jest dużo trudniej. Ciągle trzeba kombinować, jak zainteresować publiczność. Bywa też, że pomysł na filmik przychodzi spontanicznie, kiedy spotykam jakąś przeszkodę lub widzę problem, który trzeba nagłośnić.

Jakie są twoje plany na najbliższe tygodnie?

Niezwykle ciekawa wyprawa do Liechtensteinu. Wybieram się tam z moim tatą, który postanowił również usiąść na wózku i przejechać ten kraj razem ze mną. Powiedział mi, że chce się sprawdzić i poczuć, z czym muszę zmagać się na co dzień. Szykuje się więc piękna rodzinna wycieczka. Uwielbiam podróżować. Odwiedziłem już 32 kraje. Ta wyprawa będzie dużo krótsza niż podróż wózkiem przez całą Polskę, bo na to po raz drugi nie miałbym już chyba siły.

Po raz pierwszy w tej rozmowie przyznajesz, że coś może być za trudne. To chyba znak, że czas już kończyć, ale powiedz, jakie jest twoje generalne przesłanie do ludzi po tych wszystkich doświadczeniach, które w życiu zebrałeś?

Żeby cieszyli się z każdego pięknego momentu, jaki mają, bo czasem jedna sekunda może zmienić wszystko. Często ludzie w komentarzach zadają mi pytanie: „Skąd w tobie tyle optymizmu mimo utraty nóg?". Odpowiadam: „A skąd w was tyle pesymizmu, mimo że macie dwie nogi?". ■

eprasa.pl e445b60032

Mała, czarna i kapryśna

O tym, jak w Polsce zmieniała się kultura picia kawy, co nam leją do filiżanek i dlaczego tak łatwo nas na tym oszukać, mówią Adam Laska i Paweł Siemaszko, biznesmeni z branży kawowej.

JULIUSZ ĆWIELUCH: **– 12 zł za espresso to dużo czy mało?**

PAWEŁ SIEMASZKO: – Z perspektywy klienta to pewnie dużo.

ADAM LASKA: – Ale za chwilę może być mało.

Brzmi jak groźba.

A.L.: – Każdy może wejść na stronę giełdy w Nowym Jorku i zobaczyć wykres ceny ziarna kawowca. Od dwóch lat cena rośnie. I nie mówimy o jakichś drobnych korektach, ale rekordowych wzrostach. W 2011 r. padł rekord za funt kawy – 310 centów. Obecnie właściwie nie spada poniżej 380 centów. Jesteśmy w przededniu skoku cen, który właściwie jest nieuchronny. Rynek nie reagował dotychczas gwałtownymi podwyżkami, bo najwięksi gracze kontraktują cenę ziaren z góry na dwa lata i korzystali z tego kosztem plantatorów. Ale kontrakty już się pokończyły albo właśnie się kończą i nie da się uciec przed podwyżkami.

24 zł za małe espresso?

A.L.: – Tyle klient nie uniesie, więc kawiarnie wezmą część tej podwyżki na siebie. Ale tylko część.

P.S.: – Sami tak zrobiliśmy w zeszłym roku. Zamierzaliśmy kupić własną ziemię pod palarnię kawy, ale zamiast tego włożyliśmy te pieniądze w stabilizowanie ceny. Cały rynek się tak zachowywał. Polacy są bardzo wrażliwi na cenę.

A na jakość?

A.L.: – To się właściwie okaże.

P.S.: – Rozmawialiśmy z farmerami w kilku krajach i ich litania problemów jest bardzo długa, począwszy od kosztów pracy, a skończywszy na kosztach transportu. Jedno jest pewne. Kawa nie wróci już do ceny sprzed lat. A jednocześnie mimo wysokiej ceny w wielu krajach i tak produkcja jest na granicy opłacalności.

A.L.: – Przez wysokie ceny duzi gracze skupowali z rynku nawet to ziarno, po które kiedyś nie sięgali. Ktoś to będzie musiał wypić.

To jak z niedojrzałych ziaren zrobić dojrzały napój?

A.L.: – Gorszej jakości ziarno można próbować używać jako wypełniacz do tanich blendów, w których lepsze ziarno będzie niosło smak, próbując przykryć złą jakość wypełniacza. A czy ludzie to wyłapią? Obawiam się, że wiele osób może nie dostrzec różnicy.

Na serio?

P.S.: – Moja droga do świata kawy wiodła dosyć nietypowo, bo przez herbatę. Na przełomie wieków skończyłem towaroznawstwo na SGGW i postanowiłem, że poświęcę się właśnie herbatom. Napisałem na ten temat pracę licencjacką. A nawet zatrudniłem się w herbaciarni, która zajmowała się również kawą. I tam się zorientowałem, że to kawa mnie fascynuje, bo w kawach ciągle można jeszcze wiele dokonać. A w herbatach właściwie już nic albo niewiele. Po drodze odbyłem długą rozmowę z kiperem herbacianym, czyli człowiekiem od oceniania jakości, ale też komponowania smaków. Pracował dla dużej i bardzo znanej na polskim rynku marki i jego zadaniem było, żeby ta herbata zawsze smakowała tak samo; czyli żeby nie była zbyt wybujała w aromacie, nie miała dominującej nuty smakowej.

Żeby była nudna?

P.S.: – Powiedzmy, żeby smakowała każdemu. No, prawie każdemu, bo są jednak ludzie, którzy mają większą wrażliwość na smak, wyostrzony węch, poszukują czegoś więcej. Ale przeciętny odbiorca dostawał ciągle tak samo skomponowany produkt, który miał się niczym nie wyróżniać.



Lata temu z badań wynikało, że ludzie przywiązują większą wagę do tego, czy herbata się szybko zaparza, niż do tego, jak smakuje. Tego ostatniego niektórzy nie potrafili nawet opisać.

A.L.: – Myślę, że w kawie jeszcze do niedawna można było zrobić takie same badania z takim samym wynikiem. Zwłaszcza w Polsce, gdzie piło się tzw. parzuchę – z reguły za mocną, zalewaną zbyt gorącą wodą. Do dziś wielu ludzi pije jakieś przepalone ziarna, smakujące jak żużel. Zachwycają się, że to mocna, porządna kawa.

P.S.: – Ja mam w sobie rodzaj poczucia misji i kiedy otworzyłem pierwszy lokal, to zachęcaliśmy do niesłodzenia kawy. Cukier dominuje jej smak i traktujemy go bardziej jako przyprawę. Prawdziwą charakterystykę danej kawy można jedynie poczuć bez dodatków.

Widziałem u was cukierniczki.

P.S.: – No tak. Ale baristom nie wolno przedłużać espresso ani robić kilku innych sztuczek, na które próbują ich namówić klienci. Kawa wbrew pozorom jest bardzo delikatnym napojem. To jak z winem, dolewanie wody nie jest mile widziane.

Biznes, w którym klient ma niewiele do gadania, łatwo zdusić.

P.S.: – To nie jest tak, że nasz klient ma niewiele do powiedzenia. Po prostu pomagamy mu nie popełniać podstawowych błędów. Edukujemy, aby nasi goście wiedzieli, że kawę można pić inaczej, ale decyzje i tak podejmują sami.

W Polsce najlepiej sprzedają się ekspresy do kawy z funkcją spieniania mleka albo takie, które robią latte jak z obrazka.

P.S.: – Moja kawowa ortodoksja bierze się z tego, jakie wzorce mnie kształtowały. Z drugiej strony podoba mi się, że ludzie w Polsce mają potrzebę poszukiwania nowych smaków. Nie jestem fanem kawy kapsułkowej, bo nie wiem, co naprawdę jest w środku. No i kawa, która zawsze smakuje tak samo, kojarzy mi się z tą herbatą, o której mówiłem. Ale dla mnie szklanka jest do połowy pełna. Na rynku, na którym jeszcze całkiem niedawno niewiele się działo, mamy wręcz zatrzęsienie małych palarni. Jest coraz więcej małych kawiarni serwujących najlepsze kawy na świecie. Kto ma ochotę poeksperymentować, z pewnością się nie zawiedzie.

W sumie z tą kawą to ciągle świeża sprawa. W 2000 r. do Polski weszła pierwsza kawowa sieciówka. Nietypowo, bo pierwszy lokal otworzyli w Gdańsku, a nie w Warszawie. Nawet Starbucks najpierw otworzył kawiarnię w dużo mniejszych Czechach, później w Bułgarii, a dopiero w kwietniu 2009 r. w Warszawie. Widocznie nie byliśmy dla nich obiecującym rynkiem.



Adam Laska (ur. 1989 r.) na co dzień zajmuje się prowadzeniem palarni kawy Kafar, gdzie odpowiada za wypalanie kawy i kontrolę jakości.

Paweł Siemaszko (ur. 1984 r.) swoją przygodę z kawą zaczął od warszawskiej kawiarni Filtry Cafe, jednej z pierwszych kawiarni speciality w Polsce. W 2011 r. założył kawiarnię Kafo w Gliwicach, a od 2015 r. współtworzy palarnię kawy Kafar.

P.S.: – Sieciówki to nie są najlepsze miejsca do smakowania kawy i nie mówię tego jako potencjalna konkurencja, bo nią nie jesteśmy i nie chcemy być. W kawiarniach sieciowych liczy się powtarzalność. U nas też jest ważna, ale priorytet ma jakość. Ale to prawda, że Polska była na swój sposób kawową pustynią. Jak poszedłem lata temu na rozmowę o pracę do bardzo wówczas popularnej sieci kawiarni, to kiedy posłuchali, co mówię, stwierdzili, że u nich to ja już się za wiele nie nauczę.

Właściwie to jesteście jedną wielką rodziną, bo rozwój branży odbywał się głównie przez pączkowanie. Jedni uczyli się od drugich, a później zakładali własne kawiarnie albo palarnie.

A.L.: – W 2013 r. skończyłem malarstwo na Akademii Sztuk Pięknych i krótko po tym wylądowałem w kawiarni u Pawła jako barista. Nie wiedziałem, że to będzie moja pasja i że tym będę żył. Ale pamiętam, że już wtedy odstawaliśmy od światowej czołówki.

A jednocześnie od wieków kawa w Polsce była napojem statutowym. Najpierw pijała ją szlachta, co zresztą pięknie opisał Mickiewicz w „Panu Tadeuszu", później piciem kawy szczyciła się elita.

A.L.: – No tak, tylko po drodze mieliśmy jakiś milion historycznych zwrotów akcji. I PRL, w którym towary się zdobywało, a nie wybierało.

P.S.: – Moim zdaniem bardzo trudne były też lata 90. zeszłego wieku.

Ja ten okres nazywam życiem instant. Rozpuszczalne zupki, rozpuszczalne kisielki i zmora kawoszy – rozpuszczalna kawa.

P.S.: – Kawa rozpuszczalna to produkt wojenny. Amerykańska armia potrzebowała kawy, żeby pomóc żołnierzom przetrwać trudy wojennego życia. Czegoś, co można było szybko i w każdych warunkach podać ludziom dla dodania im energii, otuchy albo na rozgrzewkę. Dla mnie problemem nie jest sama idea kawy rozpuszczalnej, tylko jej jakość. A z tą było w latach 90. średnio. Zresztą nie mogło być inaczej, bo na nasz rynek wjechały najpierw marki ekonomiczne. Było biednie, to i smaki były biedne. Mnie fascynuje metoda liofilizacji i chętnie pochyliłbym się nad dobrze zrobioną kawą rozpuszczalną premium. Taką dla wytrawnych znawców, bo to jest nisza.

A.L.: – To, co się teraz dzieje w kawie, nazywane jest „trzecią falą". Wcześniej kawa była produktem jak każdy inny.

P.S.: – Przychodziło się do sklepu i pytało, czy jest kawa. A jak była, to kupowało się taką, jaka była. Później była kawa w żółtym opakowaniu i w niebieskim.

I z reklam wiedzieliśmy, że w żółtym to raczej do śniadania, a w niebieskim raczej dla gości. ▶

© HAKAN ELIACIK/SHUTTERSTOCK, JULIUSZ ĆWIELUCH

eprasa.pl e445b60032

P.S.: – Jak ktoś miał trochę więcej pojęcia, to jeszcze się ewentualnie mógł dopytać, czy to arabika, czy robusta. Tylko że samej arabiki jest ponad 120 odmian. I jedna od drugiej potrafi się drastycznie różnić. Począwszy od wielkości ziarna, a skończywszy na profilu aromatu, rodzaju kwasowości czy body.

Body?

P.S.: – No właśnie, wchodzimy na grząski grunt smaków, nut i całego tego języka, w którym porusza się świat kawy speciality, a który – jak rozumiem – dla wielu osób może być zbyt hermetyczny, czasem wręcz śmieszny.

A.L.: – Każda branża buduje swój język i on zawsze jest specyficzny. Gdybym szukał podobieństw, to w kwestii smaków trzecia fala świadomości kawowej może być porównywana do tego, co dzieje się w winach. Tam też jest zatrzęsienie szczepów, są różne metody obróbki, no i na końcu różne metody serwowania.

To nieco burzy świat wielu ludzi, którzy wiedzą, że trzeba kupować arabikę i będzie OK.

A.L.: – Robusta przez lata miała słabszy PR, co obecnie się zmienia. Była kojarzona jako ziarno z mniejszym potencjałem smakowym. Jego profil był opisywany jako ziemisty, nieco słonawy, wpadający lekko w gorzką czekoladę, jednak zdecydowanie bardziej płaski niż w przypadku wielu odmian arabiki. Z drugiej strony była grupa klientów, którym ten profil odpowiadał.

P.S.: – Na początku siłą rzeczy ma się małą wiedzę, szuka się po omacku, ewentualnie powtarzając jakieś opinie po innych. Jedną z takich opinii jest, że jeśli arabika, to koniecznie odmiany gesha. A tym czasem ta sama odmiana z Gwatemali może mieć zupełnie inny profil smaku niż gesha z Panamy, co dziś już może większości osób nie zaskoczy. Ale gesha z Gwatemali może mieć zupełnie inny smak ze względu na inne warunki atmosferyczne oraz glebę. Dla niektórych to zaledwie niuanse. A dla innych to może być totalnie inny napar.

A.L.: – Kluczem do tego, co się teraz dzieje w kawie, jest właśnie poszukiwanie smaku, świadomość różnic, ale nie można zapominać o aspekcie etycznym.

A to ma aż takie znaczenie?

P.S.: – Ma, i to na wielu poziomach. Jeśli przyjmujesz, że bierzesz odpowiedzialność za swoje wybory ekonomiczne i życiowe, to chyba ma znaczenie, czy ta kawa powstała na plantacji, na której ziarno zbierają dzieci, czy nie.

Biznes już to ogarnął. Jest taki znaczek „fair trade" i ja już się nie muszę niczym martwić.

A.L.: – Taki znaczek pewnie może uspokoić czyjeś sumienie. Ale wątpię, żeby załatwiał kwestie odpowiedzialności, bo to jest dużo bardziej skomplikowane. Zwłaszcza w świecie producentów kawy, których znamy nie tylko z nazwy ich plantacji, ale których ostatnio odwiedzaliśmy, co samo w sobie nie jest łatwe.

P.S.: – Do niektórych plantacji, np. w Gwatemali, przez dużą część roku nie da się dojechać. W porze deszczowej drogi są nieprzejezdne, a często po prostu ich nie ma. Zresztą nawet kulturowo jest to podróż do innego świata, który potrafi szokować na wielu poziomach. Są to nieraz kraje z o wiele większą przestępczością. Z góry poproszono nas o niezabieranie drogich i wpadających w oko przedmiotów, żeby nie prowokować losu. Słyszeliśmy o wielu sytuacjach, gdy plantatorzy padali ofiarą kradzieży ziarna, a także o zorganizowanym szmuglowaniu kawy z krajów, gdzie jest tańsza, by sprzedawać ją jako produkt innego pochodzenia. Zdarza się, że trafiamy na oferty importerów z dziwnie zaniżonymi cenami. W takich sytuacjach istnieje spore prawdopodobieństwo, że etyczne pochodzenie ziarna jest wątpliwe.

Naszą ideą jest, żeby kupować kawę od konkretnych ludzi. Z konkretnych miejsc. Nie skupiać się tylko na tym, czy ziarno ma interesujący profil, ale też czy człowiek, który produkuje kawę, wie, że trzeba zneutralizować wodę po takim procesie, bo jeśli tego nie zrobi, to wyrządzi spore straty w środowisku – po fermentacji ma bardzo niskie pH.

Kawa a kwestia moralności, ciekawe.

P.S.: – Można się z tego śmiać, ale jednym z aspektów tego, że zbiory w tym i poprzednim roku były gorsze, jest kwestia nawozów i ich cen. Co wiąże się również z wojną w Ukrainie, bo zachwiała eksportem nawozów z Białorusi i Rosji.

A.L.: – W kawach speciality najchętniej kupowana jest ta z Brazylii. Po części dlatego, że jest dużo tańsza od tej np. z Etiopii czy Kolumbii. Co nie bierze się znikąd, bo w Brazylii są wielkie plantacje, które ciągną się hektarami. Na dodatek jest stosunkowo płasko i ziarno można zbierać mechanicznie za pomocą kombajnów.

P.S.: – W Gwatemali nie dość, że trzeba zbierać ręcznie, to jeszcze na dużych wysokościach, a ziemia jest wulkaniczna, sypka i ciężko się po niej chodzi, bo się zapadasz. Byliśmy na plantacji, gdzie zbiera się trzy worki kawy z hektara.

Trzy worki to ile kilo?

P.S.: – W Ameryce Południowej mają dwa rozmiary worków. Dominuje worek 60-kilogramowy. Myślę, że skrojony lata temu pod ówczesnego robotnika, który tyle pewnie dawał radę udźwignąć. Ale np. w Kostaryce pakują w worki 69-kilogramowe. I jak się taki worek bierze, to zdecydowanie czuć różnicę.

A.L.: – My kupujemy w workach jutowych, w których dodatkowo ziarno pakowane jest w worki plastikowe, żeby chronić kawę przed wilgocią z zewnątrz, ale też przed utratą wilgoci ziarna. Wilgotność musi być w okolicach 10 proc. Jak spada poniżej, to ziarno przybiera taki drewniany smak.

Robicie cuda na kiju z tą kawą. Pochylacie się nad każdym ziarenkiem. A jednocześnie w Polsce ciągle największą siecią kawiarni jest Orlen. Pamiętam, że kilka lat temu w jednym z komunikatów prasowych ilość sprzedanej kawy podawali w przeliczeniu na baseny olimpijskie. Chyba było to sześć pełnych basenów. A w styczniu tego roku, kiedy przekazywali WOŚP złotówkę od każdej sprzedanej kawy wyszło 4,4 mln zł. Co daje ok. 52 mln kubków kawy rocznie.

P.S.: – Dobrze pamiętam naszą radość, kiedy po raz pierwszy wypaliliśmy 600 kg ziaren w ciągu miesiąca. Teraz są to oczywiście już inne ilości, ale nadal w porównaniu z sieciowymi i popularnymi markami jesteśmy rzemieślniczą produkcją. Ale my w tej lidze gramy świadomie, bo naszym celem od początku było doskonalenie się w jakości.

A.L.: – Na początku mówiłem, że kawy uczyłem się od Pawła. Ale pierwsze kroki w branży stawiałem w pewnej wrocławskiej firmie, która według mojego ówczesnego przekonania miała świetną kawę. I w swojej ignorancji postanowiłem namówić Pawła, żeby tę kawę ode mnie kupował. On zrobił swoją kawę, ja zrobiłem swoją. No i następnego dnia zwolniłem się z tamtej firmy i zacząłem pracę u niego. I to od samego dołu, czyli od pracy baristy. Teraz prowadzimy tę firmę razem, bo w kawie jest dużo happy endów.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ ĆWIELUCH

eprasa.pl e445b60032



Biurka do wynajęcia

Elastyczna praca wymaga elastycznych biur. I dobrej atmosfery, która sprzyja relacjom.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Kiedy Katarzyna Kędzierska, prawniczka i blogerka, otwierała ze swoim ówczesnym partnerem życiowym i biznesowym jedno z pierwszych w Warszawie biur coworkingowych (wspólne dla freelancerów i pracowników różnych firm), pomysł był nowatorski i nowoczesny. Był 2010 r. Pierwsze takie biuro na świecie powstało 15 lat wcześniej w Berlinie – piwnicę, gdzie powstało c-base, czyli Hackerspace, zaadaptowała grupka programistów i zarazem hakerów. W Warszawie drzwi coworkingowi otworzyła para, która chciała uciec z korporacji. Dzisiaj coworking, elastyczne biurka i inne rozmaite formy działania w przestrzeniach biurowych do wynajęcia, przejęły korporacje. Rynek zareagował na oryginalny pomysł i kiedy dostrzegł niszę, wszedł w nią, zagospodarował i przejął.

– *Pracowałam w korporacji i któregoś dnia przeczytałam artykuł o coworkingu. Zafascynowała mnie sama koncepcja takiego biura i pomyślałam sobie, że w takiej przestrzeni chciałabym pracować. To był też moment, kiedy moje serce rwało się do wolności poza korporacją. A gdyby tak wejść w taki biznes i zgromadzić osoby, które szukają podobnej przestrzeni?* – Katarzyna Kędzierska nie kryje, że była wtedy o kilkanaście lat młodsza, a młodym łatwiej podejmować decyzje. Ale też w tej decyzji znaczenie miało to, że Patryk Kozioł, jej ówczesny partner, mógł się tym zająć, a ona przez trzy miesiące wciąż jeszcze była człowiekiem w korpo, by utrzymać finansową poduszkę bezpieczeństwa.

Ten pomysł na inne biuro zmaterializował się na Służewcu, w 160-metrowym domu z ogrodem, który od zwykłego domu odróżniało profesjonalne wyposażenie, a więc recepcja, fotele biurowe, internet, sale spotkań/szkoleniowe i sprzęty biurowe. W sieci wciąż można znaleźć wywiad, jakiego Katarzyna Kędzierska i Patryk Kozioł udzielili w 2012 r. portalowi bizrun.pl, w którym podkreślali, że najważniejszą i absolutnie fundamentalną kwestią w ich biurze jest atmosfera, bo klimat w przestrzeni tworzą pracujący w niej ludzie.

– *Wszystko robiliśmy sami i nie dość, że chcieliśmy sprzedać jakąś usługę, bo przecież zamierzaliśmy też na tym zarabiać, to jeszcze musieliśmy klientowi powiedzieć, dlaczego ta nasza usługa jest fajna i dlaczego warto nam zaufać* – wspomina dzisiaj Katarzyna Kędzierska. Bywało i tak, że w tej służewieckiej sali coworkingowej pracowała ona i jeden klient.

– *Dosłownie jeden, czyli akurat w tamtym momencie jedyny* – śmieje ▶

© LUKE MACGREGOR/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

eprasa.pl e445b60032

▶ się prawniczka, jednocześnie podkreślając, że zaadaptowanie domu na przestrzeń biurową sprawiło, że to biuro naprawdę stało się domem. Ktoś z najemców przychodził do kuchni w kapciach. Były wspólne posiadówki przy herbacie czy kawie. – *I jednocześnie praca w międzynarodowym środowisku. Ktoś był freelancerem realizującym projekty dla światowych korporacji. Dwa miesiące siedział u nas, a kolejne dwa w Puerto Rico. Przyszły do nas osoby z różnych branż technologicznych, z IT. To zresztą specyfika coworkingu, że na całym świecie do takich przestrzeni przychodzą reprezentanci wolnych zawodów, freelancerzy, informatycy, programiści* – tłumaczy. Dzisiaj nie pracuje już w przestrzeni coworkingowej, wynajmuje biuro, ale zasady budowania relacji z biurowymi sąsiadami są takie same jak te, które zbudowały przyjaźnie na Służewcu.

– *Kiedy otwierałam kolejny biznes, lodziarnię, to w temacie kas fiskalnych pomogli mi koledzy z biura obok, którzy te kasy sprzedają. Z rozliczeniami pomaga mi z kolei koleżanka z innego biura, ale w tym samym budynku. Są spece od marketingu internetowego, instagramerzy... Nie tworzymy molocha, w którym giniemy pośród tłumu. Budujemy społeczność – różnorodną, ale dzięki tej różnorodności otwartą i wymieniającą się wiedzą i doświadczeniem* – mówi Kędzierska, która w 2019 r. razem z Patrykiem Koziołem sprzedała coworkingowy biznes koledze Tomaszowi Sławkowi.

– *Przejąłem biuro w 2020 r. w styczniu, w lutym wybuchła pandemia, potem przyszedł lockdown i niewiele brakowało, a zamiast biznesu byłaby katastrofa* – mówi Sławek, który zachował nazwę, pod jaką w 2010 r. ruszył służewiecki coworking. Copoint to dzisiaj przestrzeń elastycznych biur, już nie wynajmowanych pojedynczych biurek.

Kilometry metrów

Rynek elastycznych powierzchni biurowych – pod tym pojęciem kryje się wynajem biur, biurek, sal konferencyjnych, które w zależności od zapotrzebowania, realizowanych projektów czy kondycji firmy można powiększać lub zmniejszać. W 2024 r. w Warszawie operatorzy takich powierzchni wynajęli 28,6 tys. m kw. w 16 lokalizacjach – blisko 70 proc. więcej niż rok wcześniej. Tuż za Warszawą plasują się Kraków, Łódź, Wrocław, Poznań i Gdańsk. Z branżowych raportów można się dowiedzieć, że pod koniec zeszłego roku w stolicy powierzchnia coworkingowa liczyła łącznie 205 tys. m kw. – 85 lokalizacji oferowało ok. 25 tys. stanowisk pracy. Bardziej obrazowo: taka powierzchnia to blisko 30 boisk piłkarskich czy 41 do koszykówki. I dla porównania – oddany w 2023 r. do użytku największy biurowiec na świecie liczy ok. 660 tys. m kw. powierzchni, z czego połowę zajmują biura. To budynek nowej giełdy diamentów Surat Diamond Bourse w Indiach, mieszczący 4,5 tys. biur, w których może pracować ok. 65 tys. ludzi.

Jakub Sarzyński z Brookfield Partners, właściciela portali officelist.pl i officehero.pl, które w swoim portfolio mają ponad 2 tys. biurowców w całej Polsce i doradzają najemcom, jak wybrać najlepsze dla nich biuro, wyjaśnia, że biura elastyczne, choć często zamiennie nazywane są coworkingiem, tak naprawdę z historycznym coworkingiem nie mają już zbyt wiele wspólnego. Coworking bowiem to rozwiązanie, w którym pracowników różnych firm łączy wspólna infrastruktura, media, usługi recepcyjne i sprzątające, czasem też poczęstunek i usługi przyjmowania przesyłek. Jak tłumaczy Sarzyński, to raczej hot deski, czyli gorące biurka, gdzie wystarczy gniazdko, internet, wygodny fotel, lampka i można pracować obok kogoś, kto też właśnie rozsiadł się z laptopem.

– *Coworking dzisiaj na rynku najmu powierzchni biurowych to jednak jest nisza. Popularne są za to biura elastyczne i serwisowane, zapewniające prywatne gabinety. Czyli np. 10-osobowa firma wynajmuje jeden czy dwa gabinety, do których klucze mają jej pracownicy. Ale nadal istnieje przestrzeń wspólna, czyli sale konferencyjne, recepcja, kuchnia* – tłumaczy różnice Jakub Sarzyński. I dodaje, że ten elastyczny rynek rośnie i jest coraz popularniejszy, bo pozwala firmom reagować na zmieniające się warunki pracy. Kiedy zadań przybywa, zawsze można podnająć kolejne pomieszczenia. Kiedy ubywa, wrócić do mniejszej powierzchni.

Rozmowy w kuchni

Na biura elastyczne postawiła ponad 40 lat temu globalna korporacja Regus, która w Brukseli wynajęła piętro biurowca, podzieliła je na pojedyncze gabinety i zaczęła wynajmować chętnym firmom, które nie potrzebowały wielkich powierzchni i szyldów. Przez wiele lat rozwój tego rynku był raczej powolny,



choć stabilny, ale ok. 15 lat temu trend się odwrócił. I dzisiaj można mówić wręcz o ekspansji modelu, który ostro wypromowała na rynku amerykańska korporacja WeWork.

– *Dzisiaj rynek dalej rośnie. W Polsce mamy kilku międzynarodowych graczy, są też lokalni, jak OmniOffice czy The Shire, którzy sobie bardzo dobrze radzą. Tylko w Warszawie mamy kilkadziesiąt takich lokalizacji* – mówi Jakub Sarzyński. Rynek biur elastycznych rośnie, bo generalnie przybywa powierzchni biurowych pod wynajem. Model biznesowy proponowany przez WeWork, skupiony na wynajmowaniu swoich biur pod siedziby dużych korporacji, ostatecznie się nie sprawdził. Firma musiała się dopasować do rynku, bo elastyczny system pracy, który w pandemii wydawał się idealnym rozwiązaniem, kiedy opadł popandemiczny kurz, wrócił do puli wielu możliwości, a nie standardowego rozwiązania.

– *W tym biznesie bardzo istotne są koszty, czyli za ile najmiemy powierzchnię biurową i potem, za ile jesteśmy w stanie ją podnająć mniejszym firmom. Ostatnie pięć lat to ustabilizowany wzrost graczy, którzy ten model biznesowy potrafili przewidzieć i wcielić w życie. Obecnie mamy więc rynek w Polsce podzielony – po połowie na globalnych graczy i lokalne firmy* – mówi Sarzyński. I dodaje, że tworzenie się społeczności w tych biurowych przestrzeniach, elastycznych,

eprasa.pl e445b60032



© GETTY IMAGES

coworkingowych, dla dużych firm i mniejszych, jest naturalne, bo ludzie zawsze szukają kontaktu z innymi osobami, nie tylko z małym gronem z firmy, w której pracują. Stąd znaczenie kuchni w takich biurach, gdzie poznają się ludzie z różnych firm.

– *Ja sam zaczynałem pracę w Regusie w 2010 r. i do dzisiaj mam znajomych, którzy mieli swoje biura na tym samym piętrze. Inną kwestią jest, że dziś operatorzy przykładają uwagę do budowy relacji i zatrudniają ludzi, którzy mają zarządzać społecznością najemców, aktywizując ich w różny sposób* – opowiada Sarzyński. Aktywizowanie polega na organizowaniu spotkań, wspólnych posiłków, tematycznych eventów, konkursów z nagrodami, wykładów czy paneli dyskusyjnych. Bo jak się okazuje, operatorzy, czyli firmy wynajmujące powierzchnie biurowe, różnią się od siebie nie tylko powierzchniami, ale też klientami, jakich do tych powierzchni szukają. Są tacy, którzy propagują bardzo luźny styl pracy, tworząc strefy relaksu z sofami, leżakami, gdzie nikogo nie dziwi pracownik ucinający sobie drzemkę w przerwie. Są też tacy, dla których kluczowy jest profesjonalny charakter miejsca.

– *Start-upowcy podnajmą więc biurka tam, gdzie w ciągu dnia będzie można położyć się na workach sako, a starszym, korporacyjnym klientom takie miejsce kojarzyć się może z rozprężeniem i będą szukać klasycznego biura.* Jakub Sarzyński dodaje, że pandemia wbrew pozorom nie zmieniła tego rynku, choć był to trudny czas dla operatorów stawiających w biurowcach na najem długoterminowy, czyli umowy 5- i 7-letnie. Odkryto bowiem niszę, czyli biura elastyczne, gdzie umowy podpisuje się nawet na trzy miesiące. Po tym czasie można ją przedłużyć. Albo zrezygnować.

– *Po wybuchu wojny w Ukrainie praktycznie wszystkie pustostany w warszawskich biurach elastycznych zostały błyskawicznie wynajęte przez firmy z Ukrainy i Białorusi, w większości informatyczne. I to jest nowa sytuacja* – przyznaje Sarzyński.

Żywy kontakt

Anna, psychoterapeutka z Wrocławia, po powrocie z zagranicy szukała biura na gabinet. Specyfika zawodu podpowiadała warunki brzegowe: dobra lokalizacja z parkingiem lub dojazdem komunikacją miejską, jeśli powyżej drugiego piętra, to winda. I najlepiej, żeby biuro nie sąsiadowało z żadną hałaśliwą działalnością, gdzie będą wędrować tłumy ludzi.

– *Nie chciałam, żeby pacjenci natykali się na przypadkowe osoby ani tym bardziej na takie, które mogłyby ich skojarzyć* – przyznaje psychoterapeutka, która po kilku latach wynajmowania gabinetów w różnych lokalizacjach ostatecznie zdecydowała się kupić mieszkanie, w każdym z pokojów zorganizować zamkniętą przestrzeń i podnajmować ją psychologom i psychoterapeutom. – *Sprawdza się, ale specyfika zawodu powoduje, że nie rozmawiamy za dużo, bo od rozmowy o pacjentach mamy superwizje. Trudno więc mówić o budowaniu jakiejś minispołeczności, choć czasem przy kawie udaje nam się chwilę pogadać* – przyznaje Anna.

Tomasz Sławek: – *Pandemia pokazała nam wszystkim, jak bardzo ważny jest kontakt z drugim człowiekiem. Nie tylko wirtualny, mailowy, telefoniczny, ale także ten jak najbardziej żywy, twarzą w twarz. Dlatego też po pandemii życie do biur – i tych coworkingowych, i tych elastycznych, i tych wielkopowierzchniowych – wróciło. Każdy w tej przestrzeni znajdzie dzisiaj miejsce, w którym będzie się czuł najlepiej; takie, które będzie oddawało charakter jego firmy. I ta możliwość wyboru jest chyba najważniejsza.*

Katarzyna Kędzierska: – *Coworking dla mnie równoznaczny jest z przyjaźnią, inspiracją, kreatywnością. Wszystko to odnajduję dzisiaj w innej przestrzeni, bo ją też tworzą ludzie budujący społeczność, w której chce się pracować.*

Atmosferę takich biurowych społeczności próbują oddawać filmiki na TikToku. Konto Proffcy wrzuca rolki z Anetką, w którą wciela się rosły młody mężczyzna we wściekle różowej, nylonowej peruce. Anetka jeńców nie bierze i problematyczne sytuacje w biurze rozwiązuje z pełną bezwzględnością, z jaką przeciętnemu petentowi biuro może się kojarzyć. Rekordy oglądalności biją rolki z parodią pracy w urzędzie. Służbistka Beata (konto praca.asistwork.pl) nie lubi zdrobnień, nie szkoli nowych pracowników, nie rozmawia w pracy o życiu prywatnym, ale wszystkie te oschłym tonem wypowiadane komunikaty biorą w łeb, kiedy Beatkę prosi do siebie szef.

Rolki nawiązują do popularnego serialu „Office.pl". Starsi widzowie pamiętają inny sitcom „Camera Cafe", który 20 lat temu wprowadzał Polaków w meandry korporacyjnego życia. Centrum zdarzeń, intryg i plotek był automat do kawy. Bo praca w biurze – jakimkolwiek: elastycznym, coworkingowym czy korporacyjnym – to tak naprawdę spory kawałek życia wszystkich pracowników. I jeśli chce im się w pracy i po pracy żartować z pracy, to najlepszy dowód, że biuro może być twórcze. I zabawne.

KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl e445b60032

Serce pod obciążeniem

Prof. **Aleksander Prejbisz**, hipertensjolog tłumaczy, dlaczego otyłość to nie tylko problem estetyczny i skąd czerpać motywację do jej leczenia.



Pracując w poradni kardiologicznej mierzy pan ciśnienie tętnicze swoim pacjentom. A czy ocenia pan również ich wskaźnik masy ciała i mierzy im talię?
Prof. Aleksander Prejbisz: Prowadzę poradnię kardiometaboliczną, która powstała trzy lata temu i jest dość specyficzna, bo zajmujemy się tam nie tylko klasycznymi problemami układu krążenia, ale również leczeniem otyłości. U wszystkich pacjentów wykonujemy więc pomiary ciśnienia, obwodu talii, wzrostu i masy ciała. To standard, bo kontrolujemy wszystkie główne czynniki ryzyka: glikemię, cholesterol, ciśnienie i oczywiście masę ciała z obwodem talii. W naszej poradni każdy pacjent ma też konsultacje dietetyczne, co pozwala spojrzeć na problem kompleksowo. Nie wyobrażam sobie, żeby pominąć którykolwiek z tych elementów – to fundament oceny stanu zdrowia pacjentów.

A czy pacjenci zdają sobie sprawę ze zdrowotnych konsekwencji nadwagi?
Niestety w Polsce wciąż dominuje myślenie, że otyłość to przede wszystkim kwestia wyglądu. Nawet jeśli pacjenci łączą otyłość z problemami zdrowotnymi, często wypierają tę świadomość. Szczególnie mężczyźni mają tendencję do bagatelizowania wpływu stylu życia na zdrowie. Przychodzą do gabinetu i oczekują „cudownej tabletki", która rozwiąże problem, najlepiej jednej i od razu. Nie wierzą, że dieta czy aktywność fizyczna mogą sprawić, że leki staną się zbędne.

To problem kulturowy?
Brakuje nam wiary w sprawczość, w to, że możemy sami wpłynąć na nasze zdrowie. Tymczasem otyłość to nie defekt kosmetyczny, ale poważna choroba przewlekła. W 2023 r. 37 proc. zgonów w Polsce było spowodowanych chorobami układu krążenia, a większość pacjentów z tymi schorzeniami ma nadwagę lub otyłość. One zwiększają ryzyko ponad 200 schorzeń, m.in. cukrzycy typu 2, niewydolności serca i nowotworów, zwłaszcza jelita grubego. Tkanka tłuszczowa, szczególnie trzewna, produkuje substancje prozapalne i promiażdżycowe, które przyspieszają rozwój miażdżycy w tętnicach wieńcowych, prowadzą do przerostu serca, a w efekcie do jego niewydolności czy zaburzeń rytmu. Jeśli ktoś pozostaje w stanie otyłości przez długi czas, zmiany te stają się nieodwracalne.

Ale konkretnie: dlaczego nadmierna tusza ma tak zły wpływ na serce?
Mówimy, że otyłość to wrota do chorób sercowo-naczyniowych. Uruchamia główne czynniki ryzyka: nadciśnienie, zaburzenia lipidowe i cukrzycę. Tkanka tłuszczowa, zwłaszcza trzewna, działa jak narząd endokrynny, produkując substancje prozapalne, które przyspieszają rozwój miażdżycy i włóknienie mięśnia sercowego. Tkanka tłuszczowa wokół tętnic wieńcowych powoduje niestabilność blaszki miażdżycowej, zwiększając ryzyko zawału i udaru. To jak kula śniegowa, która zamienia się w lawinę – raz uruchomiona, jest trudna do zatrzymania.

A czy środowisko kardiologów zwraca uwagę na masę ciała pacjentów, czy koncentruje się głównie na parametrach pracy serca?

eprasa.pl e445b60032

Coraz więcej lekarzy różnych specjalności dostrzega szkodliwe znaczenie otyłości, nawet ci, którzy zajmują się leczeniem zabiegowym. A mamy już dowody, że redukcja masy ciała zwiększa skuteczność zabiegów, takich jak ablacja w leczeniu arytmii, poprzez zmniejszenie ilości tkanki tłuszczowej okołosercowej, która nasila zaburzenia rytmu.

Dopiero teraz stało się to tak oczywiste?
Problemem w przeszłości nie był brak świadomości, ale brak skutecznych narzędzi. Odkąd pojawiły się nowe leki oraz lepsze zrozumienie patofizjologii otyłości, mogło się zmienić podejście do leczenia tej choroby. Nie oznacza to jednak, że kardiolog powinien być jedynym lekarzem odpowiedzialnym za jej terapię. W opiece koordynowanej lekarze rodzinni już mierzą BMI i oferują porady dietetyczne. Kardiolog powinien zwrócić uwagę na otyłość, porozmawiać z pacjentem, wydać zalecenia lub skierować go z nimi do lekarza podstawowej opieki zdrowotnej.

Czyli trzeba pomóc pacjentom tę chorobę zauważyć i skłonić do kuracji?
W naszej poradni kardiometabolicznej lekarze ściśle współpracują z dietetykami. Pacjent podczas wizyty nie tylko spotyka się z kardiologiem, ale tego samego dnia otrzymuje również poradę dietetyczną. To model, który się sprawdza, bo ciężar rozmowy z chorym rozkłada się na dwie osoby. Nie przepisujemy sztywnych diet – pacjent sam wybiera, co je, ale pracujemy nad zmianą jego nawyków żywieniowych, np. rozkładem posiłków w ciągu dnia. W idealnym świecie opieka nad pacjentem z chorobą otyłościową powinna być właśnie zespołowa: lekarz, dietetyk, fizjoterapeuta, czasem psychoterapeuta, bo zmiana stylu życia to proces skomplikowany i wymagający motywacji. Niestety, w ramach ambulatoryjnej opieki specjalistycznej nie ma jeszcze takich możliwości. Dlatego kardiolog może współpracować z lekarzem rodzinnym, który dzięki tzw. opiece koordynowanej ma dostęp do dietetyków i innych specjalistów.

A jak pan motywuje pacjentów do zmiany stylu życia?
Motywacja to klucz i trzeba umieć go dobrać do indywidualnych potrzeb. U mężczyzn po czterdziestce czasem działa strach, ale ja zwracam im uwagę, że jeśli zadbają o prawidłową masę ciała, to np. trzy tabletki na nadciśnienie mogą zamienić się w jedną. U kobiet sprawdza się pozytywna motywacja, np. pokazanie korzyści, takich jak lepsze samopoczucie czy możliwość kupienia mniejszego rozmiaru ubrań. To może brzmi banalnie, ale dla wielu osób fakt, że mogą sięgnąć po ubranie, którego nie nosili od lat, jest ogromną nagrodą. Ważne jest tłumaczenie mechanizmów choroby. Wyjaśniam, że ciśnienie tętnicze jest częściowo zapisane w genach, ale to, czy rośnie, zależy od nas – od diety, aktywności fizycznej, poziomu stresu. Kiedy pacjent rozumie, skąd bierze się jego problem, łatwiej mu się zmobilizować. Mam pacjenta, który w ciągu półtora roku zredukował masę ciała o 40 kg. Przyszedł z czterema lekami na nadciśnienie, teraz bierze półtora tabletki i jest w remisji cukrzycy. To pokazuje, że zmiana jest możliwa, ale wymaga czasu i współpracy.

Dlaczego leczenie farmakologiczne zaczęło wspierać motywację do zmiany stylu życia?
Przez wiele lat brakowało skutecznych leków na otyłość. Przełomem było wprowadzenie analogów receptora GLP-1, które owszem, zmniejszają masę ciała, ale też obniżają ciśnienie tętnicze, poprawiają profil lipidowy i glikemię, a nawet redukują ryzyko zgonu i zdarzeń sercowo-naczyniowych. To rewolucja, porównywalna do badań nad statynami 25 lat temu. Leki te nie są skrótem do zdrowia, ale pomostem. Pacjent, który przez lata bezskutecznie próbował schudnąć, nagle redukuje 3-4 kg i zaczyna dostrzegać „światełko w tunelu". To motywuje do dalszej pracy nad stylem życia. Na przykład osoba z zaawansowaną otyłością, która nie mogła nawet zawiązać sznurowadeł, po redukcji pierwszych kilogramów zaczyna być aktywna fizycznie. Leki ułatwiają więc start, choć nie zastąpią zmiany nawyków. Zresztą redukcja masy ciała to tylko jeden z efektów leczenia otyłości.

Jakie przynosi inne korzyści?
Leczenie otyłości to nie tylko kwestia kilogramów. To poprawa całego profilu metabolicznego: niższe ciśnienie, lepszy profil lipidowy i glikemiczny, mniejsze ryzyko cukrzycy. To także lepsze samopoczucie – pacjent, który redukuje masę ciała, czuje się lepiej, ma więcej energii, poprawia się jego jakość życia. A zatem można śmiało mówić o inwestycji w dłuższe życie bez chorób serca, nadciśnienia czy udaru. Wreszcie to szansa na życie bez leków albo z ich mniejszą liczbą, co dla wielu pacjentów jest ogromną motywacją.

Tylko jak ich przekonać, że leczenie otyłości to nie tylko trud, ale i szansa?
Jest kilka prostych zasad, które zapobiegają chorobom układu krążenia, obejmują one optymalne ciśnienie, cholesterol, glukozę, masę ciała, a także zdrową dietę, aktywność fizyczną, spokojny sen, unikanie stresu oraz nie picie alkoholu i nie palenie tytoniu. Każdy, kto wdroży te zasady, ma szansę żyć dłużej i w lepszej formie. Pokazujemy pacjentom, że nawet niewielkie zmniejszenie masy ciała– ok 5 kg – może sprawić, że poczują różnicę. Mogą więcej, lepiej się czują, a to napędza dalsze zmiany. Wielu naszych chorych dzięki leczeniu farmakologicznemu i zmianie stylu życia zredukowało dawki leków, weszło w remisję cukrzycy, zaczęło aktywniej żyć. To nie tylko zdrowie, ale radość z życia. Jeśli potraktujemy otyłość nie jako stygmat, lecz jak chorobę, którą można skutecznie leczyć, uda się odmienić życie milionów ludzi.

Partnerem materiału jest Novo Nordisk Pharma sp. z o.o. , organizator kampanii edukacyjnej " Porozmawiajmy szczerze o otyłości," której celem jest budowanie świadomości na temat choroby otyłościowej.
Wszystkie przedstawione wypowiedzi są niezależnymi opiniami eksperta.

PL25OB00362

eprasa.pl e445b60032



Mit CPK

MAREK SERAFIN

Decyzja o budowie w szczerym polu wielkiego portu lotniczego CPK, kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy, od początku była motywowana względami politycznymi. Nie chodziło o budowę lotniska, ale mitu, który będzie mobilizował zwolenników. Obecny rząd przejął tę narrację, nie licząc się z kosztami.



Marek Serafin jest ekspertem w dziedzinie rynku lotniczego, wykładowcą kilku uczelni (m.in. SGH, Akademii Leona Koźmińskiego, Uczelni Łazarskiego). Ponad 30 lat pracował w PLL Lot na kluczowych stanowiskach w pionie handlowym. Pracował też jako ekspert m.in. dla NIK.

Rozwiązanie było racjonalne tylko na samym początku, w 2017 r. Kończyła się przepustowość dwóch lotnisk warszawskich – Chopina i Modlina. To drugie doszło praktycznie do ściany. Warunki obsługi rosnącej liczby pasażerów były fatalne. Niewiele lepiej było w głównym lotnisku dla Warszawy i całej Polski. W szczycie sezonu letniego i w najbardziej atrakcyjnych godzinach lotnisko było pełne. Jednak wnioski z tych faktów były już kompletnie oderwane od ziemi. IV RP postanowiła zbudować sobie pomnik na miarę portu w Gdyni, tyle że większy. Już sam projekt miał mieć charakter mityczny, pokazujący ogromne aspiracje naszego kraju. Postaram się to udowodnić.

Budowa lotniska w szczerym polu to wielka inwestycja; w Europie w ostatnich kilkudziesięciu dekadach powstały tylko dwa bardzo duże lotniska o takim charakterze. Najbardziej pouczający jest przykład portu w Atenach. Przez dziesięciolecia to lotnisko było jednym z najdroższych w Europie, a i to nie wystarczało, aby spłacać zaciągnięte kredyty. Rząd grecki musiał wprowadzić specjalne opłaty na wszystkich greckich lotniskach, które nałożono na pasażerów odlatujących z tego kraju. Wspomagały one finansowo nowy port.

eprasa.pl e445b60032

Jest oczywiste, że wielokrotnie tańsze rozwiązanie to rozbudowa istniejącej już infrastruktury. No tak, ale w ten sposób nie buduje się pomnika. Mit wymaga stworzenia czegoś wyjątkowego. Stąd wizja CPK, które jest nie tylko nowym wspaniałym i bardzo dużym, a potem wielkim lotniskiem, ale i centrum transportowym kraju, w którym zbiegają się trasy pociągów kolei dużych prędkości (KDP). To rozwiązanie, które nie zostało przetestowane w żadnym innym kraju. Nie przejęto się nawet tym, że w kolejnych prognozach ruchu IATA (Międzynarodowego Zrzeszenia Przewoźników Powietrznych) przyjęto, że zdecydowana większość polskich pasażerów tranzytowych dolatywać będzie do CPK rejsami krajowymi Lotu, a nie dojeżdżać KDP, czyli sławnymi szprychami, które nabierałyby charakteru dekoracyjnego.

Przy mitycznym charakterze projektu minimalizowane były nawet najbardziej oczywiste ryzyka i zagrożenia. W przypadku CPK model biznesowy zakładał, że będzie to wielkie, najpierw europejskie, a potem globalne centrum przesiadkowe – tzw. hub. I znowu fakt, że Warszawa miałaby stać się nowym hubem, odbierając znaczną część ruchu tranzytowego funkcjonującym gigantom, powinien skłaniać do ostrożności. Ale mitów nie poddaje się tego rodzaju weryfikacjom.

Wiele kluczowych elementów po prostu pominięto. Poczynając od analizy aktualnej sytuacji konkurencyjnej w odniesieniu do ruchu tranzytowego, szczególnie interkontynentalnego. CPK miało stać się hubem dla ruchu Europa–Azja. Tylko że o ten ruch konkuruje bardzo wielu przewoźników, poczynając od trzech globalnych grup europejskich, a na Turkish Airlines i wielkich liniach z Zatoki Perskiej kończąc.

Już pierwszy etap inwestycji zakładał przepustowość 45 mln pasażerów rocznie. Od razu przyjęto, że prawdopodobna jest rozbudowa nawet do 90 mln. A ówczesny prezes PLL Lot Rafał Milczarski mówił w wywiadzie dla Radia Maryja o lotnisku zdolnym do obsługi 200 mln pasażerów! Czyli ponad dwa razy więcej niż obsługuje obecnie największe lotnisko europejskie – londyńskie Heathrow.

Chyba najbardziej jaskrawym przykładem całkowitego ignorowania istotnych problemów była kwestia praw Lotu do wykonywania wielokrotnie większej liczby operacji trasą transsyberyjską do Chin, Japonii i Korei. Rosja sprzedawała te uprawnienia, ale wiadomo było, że może zawsze łączyć je z wątkami politycznymi. „Podbój Azji" przez Lot już na starcie stał się niemożliwy po agresji rosyjskiej na Ukrainę i „awansie" Polski na liście wrogów tego kraju. To także pominięto.

Jaka więc jest alternatywa dla CPK? Zdecydowanie tańszym rozwiązaniem, pozbawionym ryzyka, byłaby maksymalna rozbudowa obu warszawskich lotnisk, a przede wszystkim Modlina. Bo przy wielokrotnie większej przepustowości tego portu, na poziomie kilkunastu milionów pasażerów, możliwy byłby transfer do niego znacznej części taniego ruchu – poczynając od czarterowego – z lotniska Chopina. Najpierw środkami biznesowymi poprzez zmienioną istotnie strukturę opłat lotniskowych w głównym porcie, a gdyby to nie wystarczyło, również administracyjnych. W długim horyzoncie czasowym, szczególnie w szczycie sezonu, lotnisko Chopina powinno obsługiwać jedynie niewielką część tego ruchu. Jednak tę alternatywę całkowicie pominięto.

Aby chronić mit przed krytyką i wymuszać ekspresowe tempo działań, wprowadzono całkowicie nierealną datę uruchomienia CPK: 2028 r. Po latach przyznał to nawet prezes spółki Mikołaj Wild. No, ale skoro lotnisko miało być uruchomione już w 2028 r., to nie było czasu na nic. Na debaty, analizy. W normalnej sytuacji musiałaby najpierw powstać strategia rozwoju polskiego systemu transportu lotniczego, a dopiero z niej mogłaby wynikać potrzeba i zasadność budowy nowego portu. Powinna też powstać, już na wstępnym etapie, wieloletnia strategia rozwoju PLL Lot, bo przecież od jego ogromnego awansu rynkowego był uzależniony, właściwie w całości, sukces rynkowy i finansowy CPK. Ale na to wszystko nie było czasu.

Decyzje określające model biznesowy i datę uruchomienia nowego lotniska zapadły, choć dokumenty były dopiero w przygotowaniu. Skoro wskutek pandemii skurczył się nieco pasażerski listek figowy, to dołożono równie nierealistyczne prognozy cargo, czyli przewozy towarów.

Aby uniknąć dyskusji o finansach, utrzymywano, że to ktoś inny weźmie na siebie ryzyko kapitałowe tej inwestycji. Pierwsi byli inwestorzy chińscy, potem mówiono o innych koncepcjach. Ale zawsze przekonywano, że nas, podatników, nie będzie to nic kosztowało. Święty Mikołaj podaruje nam wspaniałe lotnisko. Dlatego pomijano, że opłaty lotniskowe w CPK będą wielokrotnie wyższe niż w porcie Chopina, nie mówiąc już o Modlinie.



Port w Atenach to przykład, jak port budowany w szczerym polu podnosi koszty podróży lotniczych. Czy CPK (na stronie obok jedna z wizualizacji hali) podzieli jego los? Szansa jest.

Bardzo szybko wprowadzony został wątek pozabiznesowy. CPK to będzie lotnisko konkurujące z hubami niemieckimi i pozwalające na zdobycie przez polski port pozycji lidera w całej Europie Środkowo-Wschodniej. Przekonywano, że jeśli CPK szybko nie powstanie, to Warszawa straci swoje szanse na rzecz Berlina. I co z tego, że Berlin nie jest i nie będzie hubem? Przecież skuteczna konkurencja z Berlinem i z Lufthansą brzmi świetnie.

Nikt nie zareagował na zapaść rynku lotniczego pod wpływem pandemii. Właściwie zignorowano fakt, że w ogromnym stopniu w Polsce, i w nieco mniejszym w Europie Środkowej, w 2024 r. przewozy zbliżały się, a nawet przekraczały poziomy z 2019 r. tylko dzięki rynkowi przewozów czarterowych i tanich, a nie tranzytowych, biznesowych.

A mimo to po objęciu władzy przez koalicję 15 października projektu nie zatrzymano, choć byłby to jedyny sposób, aby przeprowadzić nowe, odpolitycznione i wiarygodne analizy. Zapowiedziano jedynie audyty, w tym najważniejszy – merytoryczny. A do tego czasu nawet nie próbowano informować o wszystkich fundamentalnych błędach projektu ujawnionych ▶

© MP CPK, JUSTYNA ROJEK/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e445b60032

▶ już wcześniej przez parlamentarny zespół powołany w 2023 r. na wniosek posłanki PO Gabrieli Lenartowicz. Poczynając od braku wiarygodnych analiz i nadających się do wykorzystania prognoz ruchu. Mówiono tylko o oczekiwaniu na wyniki audytów. Jednak z tego, co wiemy, to audyt merytoryczny nawet się nie rozpoczął. Tymczasem kampania polityków PiS „Tak dla CPK" była wszechobecna.

Może kiedyś historycy i ktoś jeszcze ustalą, dlaczego w pierwszym półroczu swoich rządów koalicja tak bardzo zmieniła swoje nastawienie. Mam wrażenie, że obecni decydenci postanowili pójść drogą poprzedników: najpierw podejmujemy najważniejsze decyzje, a potem zamawiamy analizy, które mają je uzasadnić. Zignorowano też wymowę dwóch listów otwartych skierowanych w 2024 r. do decydentów i podpisanych przez grono ekspertów – naukowców i praktyków.

Oczywiście należy przyznać, że w kilku ważnych elementach dokonano koniecznych zmian. Zrezygnowano z koncepcji szprych i stworzenia przy nowym lotnisku głównego węzła kolejowego kraju. Odblokowano też inwestycje rozwojowe w porcie Chopina i w Modlinie. Szczególnie istotna była ta druga zmiana. Wbrew księżycowej koncepcji lotnisko w Radomiu nie było w stanie zacząć przejmować części taniego ruchu z portu Chopina. Dalsze blokowanie inwestycji w Modlinie spowodowałoby, że w ciągu trzech–czterech lat główny port warszawski zostałby zapchany tanim ruchem. I nie pomogłyby tu inwestycje zwiększające przepustowość lotniska do 30 mln pasażerów. A co jeszcze ważniejsze, w szybkim tempie zwiększałby się ogromny deficyt infrastruktury lotniskowej do obsługi taniego ruchu. Przekładałoby się to na duszenie polskiego ruchu wakacyjnego, turystycznego i rodzinnego oraz na utrudnienia dla rosnącej grupy turystów zagranicznych.

Już bardzo wstępne analizy pokazałyby, że na początku trzeciej dekady popyt na tanie przewozy z lotnisk warszawskich będzie zdecydowanie większy niż na oferty linii tradycyjnych, takich jak Lot. I na pewno znacznie przekroczy 20 mln pasażerów. A w takiej sytuacji absolutnie konieczna będzie dalsza rozbudowa lotniska w Modlinie do przepustowości co najmniej kilkunastu milionów pasażerów. A dodatkowo w przyszłości, aby nie dusić popytu, konieczne będzie oddanie części infrastruktury nowego lotniska taniemu ruchowi.

I niestety znowu, skoro zdecydowano się już na ustalenie daty uruchomienia nowego lotniska tak szybko, jak się da, czyli w 2032 r., to przy analizach wykonanych post factum okazało się, że aby dopasować prognozy do założeń, konieczna jest manipulacja. Wbrew wcześniejszym i ogłoszonym już planom zatrzymano rozwój Modlina na poziomie 7 mln pasażerów. Dzięki temu na papierze zmuszono znaczną część taniego ruchu do korzystania z nowego portu. I ukryto fakt, że nawet bardzo elastyczni w swoich opiniach konsultanci IATA musieli przyznać: po kilku latach funkcjonowania CPK bardzo wielu pasażerów – ok. 2 mln – zrezygnuje z podróży ze względu na wysokie ceny biletów. A to bardzo ostrożny szacunek oparty na kruchych podstawach.

Gdy o manipulacjach mowa, należy wspomnieć o zaangażowaniu w proces decyzyjny Lot. Istotną przesłanką przy prognozowaniu były informacje przekazywane przez przewoźnika i dotyczące planów rozwoju jego floty. Tymczasem, jak przyznał w maju tego roku prezes Lotu Michał Fijoł, linia opracowała swoją strategię rozwoju dopiero w październiku 2023 r. i dotyczyła jedynie okresu do 2028 r. Czyli przekazywane plany rozwoju floty były papierowe, bez koniecznych pogłębionych analiz. A co jeszcze bardziej szokujące – prezes przyznał, że Lot dopiero pracuje nad nową wieloletnią strategią rozwoju, która będzie ogłoszona pod koniec tego roku i będzie wielowariantowa, gdyż rozwój sytuacji rynkowej jest nieprzewidywalny. To jak można w takiej sytuacji podejmować decyzje dotyczące budowy lotniska przeznaczonego jako baza dla tej linii?

Już na tym etapie analiz było oczywiste, że merytoryczna ocena całości zmodyfikowanego projektu CPK pokazałaby, że gdy lotnisko Chopina rozbudujemy do przepustowości ponad 30 mln pasażerów to, mówiąc delikatnie, wyjątkowo kontrowersyjne i wymagające dodatkowych uzasadnień jest wydanie co najmniej 50 mld zł na nowe lotnisko o przepustowości niewiele większej. Tu trzeba dodać, że Modlin ma ogromne rezerwy inwestycyjne i istnieją możliwości transferu do niego znacznej części taniego ruchu obsługiwanego przez główne lotnisko.

I przy zdecydowanie mniejszych nakładach finansowych i praktycznie zerowym ryzyku finansowym rozbudowujemy lotniska warszawskie do przepustowości nawet 50 mln pasażerów, nie zmuszając znacznej części pasażerów do płacenia zdecydowanie wyższych cen za bilety. Zresztą tanie linie unikają latania z bardzo drogich lotnisk. Nie chodzi tu tylko o poziom opłat lotniskowych, lecz również zdecydowanie wyższe koszty obsługi samolotów.

Popatrzmy na sytuację w Niemczech. Tylko w tym europejskim kraju ruch lotniczy jest nadal o ok. 20 proc. mniejszy niż w 2019 r. A powód jest właściwie jeden: tanie linie Ryanair i easyJet drastycznie ograniczyły swoje oferty w odpowiedzi na wprowadzone dodatkowe podatki i opłaty oraz bardzo wysokie koszty lotniskowe. To przestroga także dla nas, bo pod względem zamożności ustępujemy Niemcom, a Lot to nie jest i nie będzie Lufthansa.

Jest jeszcze jedna szalenie ważna i potencjalnie bardzo groźna kwestia. To właśnie plany dotyczące Modlina. Każdy ekspert przyzna, że obiektywnie rzecz biorąc, czeka port wspaniała przyszłość. Wizz Air będzie już od grudnia tego roku bazował tam dwa samoloty, łamiąc monopol Ryanaira. Irlandzka linia też zapowiedziała duże plany rozwojowe. Kończy się przebudowa dróg szybkiego ruchu do lotniska. Jest przesądzone dociągnięcie linii kolejowej do samego terminala. A jednak? Już manipulacja prognostyczna pokazała, że decydenci zdają sobie sprawę, że bardzo duży Modlin to tak naprawdę konkurencja dla CPK.

I po bardzo złych doświadczeniach prawie 10 lat mamy prawo obawiać się, że aby przykryć jeden błąd, czyli zdecydowanie zbyt wczesne uruchomienie nowego lotniska, decydenci postanowią pójść drogą PiS i zablokują dalszą rozbudowę Modlina. W tym kontekście niebezpiecznie brzmią plany administracyjnego zmuszania części ruchu warszawskiego do korzystania z lotniska w Radomiu.

Na koniec muszę odeprzeć używany już demagogiczny zarzut, że lotnisko Chopina zostanie z nami na zawsze. Nie zostanie. Każdy ekspert przyzna, że w długim horyzoncie potrzebny będzie nowy port. Jednak im lepiej wykorzystamy możliwości rozwojowe istniejącej infrastruktury, maksymalnie dostosowując jej modele biznesowe do radykalnie zmienionej struktury rynku, tym mniejsze będzie ryzyko finansowe związane z budową portu w szczerym polu. A im później powstanie zupełnie nowe lotnisko, tym koszty korzystania z niego dla przewoźników i pasażerów będą zdecydowanie niższe.

MAREK SERAFIN

eprasa.pl e445b60032

Samozbiory



© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Mamy nadprodukcję wielu owoców i warzyw. Ceny w skupie są groszowe. Rolnicy często rezygnują ze zbiorów. I żądają interwencji państwa.

JOANNA SOLSKA

Maciej Siekiera, właściciel dwuhektarowej plantacji w Gałkowicach, woj. świętokrzyskie, został internetowym celebrytą, gdy ogłosił na TikToku, że zaprasza na swoje pole papryki, którą rozda za darmo. Wystarczy zebrać samemu. Rolnika wkurzyła cena, 60–80 gr za kilogram, którą za paprykę przemysłową oferują skupy. Tymczasem stawka dzienna, jaką musiałby zapłacić komuś, kto podjąłby się pracy przy zbiorach, wynosi 300 zł. Żeby się to rolnikowi zwróciło, pracownik musiałby zerwać w ciągu jednego dnia pół tony papryki, więc Siekiera woli oddać za darmo, słusznie licząc na honor Polaków, że jednak coś zapłacą. Frekwencja dopisała, Siekiera był wzruszony – doniosły portale. W sieci ogłoszono zrzutkę na rolnika.

Samoskupową weteranką i gwiazdą sieci od kilku już lat jest facebookowa Mrs Rolnikowa, prywatnie Karolina Pyda z Moszny-Kolonii koło Lublina. Na ogłaszane przez nią w sieci terminy samozbiorów papryki ludzie zjeżdżali tłumnie, z workami, wiadrami, skrzynkami. Prosiła o 2 zł za kg, chętnie zrywali i płacili. Po tej samej cenie sprzedawała cebulę i buraki. Wcześniej zapraszała na zbiory truskawek, potem pomidorów gruntowych. – *Mam paprykę gruntową, bardzo wczesną, żeby szybko zeszła, była gotowa do sprzedaży już we wrześniu, ale przetwórnia zażądała dodatkowych badań na kadm i nikiel i zdążyła zabrać tylko jeden transport* – wyjaśnia Karolina Pyda. Październikowy przymrozek ściął liście papryki i trzeba się było ratować samozbiorem. Przetwórnia przemrożonej nie weźmie, wcześniej też nie chcieli skupować.

Samozbiory są popularne już od kilku lat, ale przebojem stały się dopiero teraz. Ich terminy rolnicy licznie ogłaszają ▶

eprasa.pl e445b60032



Samozbiór buraków w gospodarstwie rolnym w Bieganowie k. Radziejowa

▶ na portalach internetowych, najpopularniejsi mają już stałych klientów. Jak Folwark Solna Pawła Rytelewskiego w gminie Kobierzyce pod Wrocławiem, gdzie mieszczanie przyjeżdżają od kilku lat nie tylko po to, żeby zebrać dla siebie i znajomych fasolkę szparagową, bataty czy inne warzywa, ale spędzić tu z rodziną kilka godzin. City break na polu, z widokiem na górę Ślęża. Zachwycają ich włoskie widoki. – *Jak nie chcą zrywać, mogą to samo kupić w sklepiku Rytelewskich: fasolkę, paprykę, bataty, buraki, pietruszkę czy marchewkę, wszystko po złotówce za kilogram* – zapewnia żona Pawła. Kupują dla siebie i sąsiadów.

Wraz z popularnością samozbiorów klarują się zasady, które obowiązują kupujących. Portal farmer.pl ostrzega, że z rolnikiem trzeba się wcześniej umówić, bo po przyjeździe może się okazać, że owoców czy warzyw już nie ma. Pkt 2 regulaminu mówi, że chętni zbierają się w jednym rzędzie, nie wolno latać po całej plantacji. Pkt 4 – zbierać należy wszystkie dojrzałe, niezależnie od ich wielkości. Jeśli wypadną z rąk, zebrać z ziemi i zabrać. Warto pamiętać o nakryciu głowy i wodzie do picia. Aż się prosi, żeby u rolnika można było kupić także wodę, a może kompot, którego w domu już nikt nie gotuje.

Rolnik może na małą skalę prowadzić RHD (rolniczy handel detaliczny), bez podatku. Po udanych samozbiorach wielu postanawia przygotować się na następne jeszcze lepiej. Zaoferować jakieś danie dla zbieraczy, plac zabaw dla dzieci, może zorganizować pieczenie ziemniaków przy ognisku? Do miło spędzonego dnia nikt nie będzie doliczał kosztów benzyny.

Klęska na życzenie

W dyskontach, inaczej niż w punktach skupu, klęska urodzaju na cenach się nie odbija. Na początku października papryka staniała do 10 zł za kg, kosztowała więc tyle samo co o tej porze rok wcześniej, pięć razy więcej niż u rolnika. Na warszawskich zieleniakach jest droższa, nawet po 15 zł. W sierpniu 2025 r. w dyskontach kosztowała jeszcze 15 zł – spod folii. – *Na pomidorach różnica była mniejsza, z 8 zł w sierpniu cena spadła do 4 zł na początku października* – podaje Edyta Kochlewska, szefowa dlahandlu.pl. Izba Rolnicza Województwa Łódzkiego alarmuje, że w powiecie sieradzkim hurtowe ceny ziemniaków spadły do 25, a niekiedy nawet 5 gr za kg, bo skupy ich nie chcą, podczas gdy w detalu klient płaci za kilogram 2, a nawet 3 zł. Na samozbiorach rolnikowi zapłacić trzeba 1 zł, ale chętnych do kopania brak.

Nie brakuje jednak chętnych do kupna. Duża część rolników organizujących w sieci samozbiory ma w gospodarstwie sklepik, w którym sprzedaje swoje warzywa na co dzień. Po ekologiczne ziemniaki i chleb z własnej mąki do Eko Zagrody Warmińskich Chłopów Bosych przyjeżdża grono stałych klientów z Dobrego Miasta i Olsztyna. Wielu zaczyna od pytania, skąd ta nazwa. Zapewniają, że naprawdę chodzą boso, ale marketing w sieci uprawiają profesjonalnie.

Maciej Siekiera oburza się, że nie ma dopłat państwa do przechowywania, nie ma pomocy dla producentów, którzy zostali z towarem. – *Nie potrzebujemy litości, tylko normalnego rynku i uczciwej ceny* – zapewnia.

Tymczasem rynek popsuli sami rolnicy, zwłaszcza właściciele mniejszych gospodarstw. Część niezadowolonych z utrzymujących się od kilku lat niskich cen zbóż przerzuciła się na warzywa, zwłaszcza najbardziej opłacalną paprykę. Posadzili w gruncie, co mocno zdziwiło producentów z okolic Przysuchy, gdzie paprykę od dawna uprawia się pod folią, jest droższa, smaczniejsza i nie boi się wczesnych przymrozków. Zbyt duża podaż popsuła ceny wszystkim. Ale polski rolnik nie będzie wytykał innemu polskiemu rolnikowi, że nie zna się na uprawie papryki, obie grupy, głosujące na tę samą partię, krzyczą więc głośno, że zawinił import. W tym roku był rekordowy: od stycznia do lipca z Holandii, Hiszpanii, a nawet Niemiec, sprowadzono do Polski 62 tys. ton papryki za 581 mln zł! Żądają, aby rząd położył temu kres!

Dotkniętych klęską urodzaju plantatorów mało obchodzi, że wartość polskiego eksportu żywności, na którym przecież też zarabiają rolnicy, w 2024 r. wyniosła aż 53,5 mld euro. I ciągle rośnie, w pierwszym półroczu 2025 r. zarobiliśmy 28 mld euro, o prawie 7 proc. więcej niż w tym samym czasie rok wcześniej. Więc rząd zrobił unik, minister rolnictwa zwróci się do Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, żeby zbadał, czy przetwórcy polskich owoców i warzyw nie zmówili się, że zapłacą rolnikowi grubo poniżej kosztów. Kłopot w tym, że duża część owych przetwórców to firmy polskie i nie chcą kupować warzyw nawet po bardzo niskich cenach, bo towaru jest po prostu za dużo, nie znajdą na przetwory klientów.

Jakub Jakubczak, specjalista rynku owoców i warzyw z banku BNP Paribas, kwestii zmowy cenowej rozstrzygać nie chce, ale zgadza się z tym, że obecne ceny skupu są rażąco niskie, nieopłacalne dla rolników. – *Drobni plantatorzy, niezrzeszeni w grupy producenckie, są bezbronni nie tylko wobec dyktatu wielkich sieci, ale także małych przetwórni, nie postraszą, że jak nie dostaną więcej, to towaru nie sprzedadzą. Holendrzy czy Niemcy to robią. Tam różnica między cenami skupu a w detalu nie jest tak duża* – zauważa Jakubczak. Polscy producenci pomidorów też stworzyli wielkie grupy – i one mogą się stawiać. Jeśli rolnicy nie zaczną się organizować, to pozorną klęskę urodzaju zaczniemy mieć co roku.

Teraz producenci domagają się interwencyjnego skupu od państwa, wcześniej nie zadbali jednak o to, by się zorientować, komu sprzedadzą swoje plony, zawrzeć umowy kontraktacyjne.

Maciej Kmera, rzecznik rynku hurtowego w Broniszach, pyta, po ile będą kalafiory i brokuły wiosną. Dziś rolnicy nie mogą ich sprzedać nawet za psie pieniądze, bo przywożą na giełdę wszystko, co zebrali z pola. Gdyby mieli profesjonalne przechowalnie, poczekaliby do wiosny, cena będzie lepsza. Małego

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl e445b60032

producenta na przechowalnię nie stać, zwłaszcza jak dopiero teraz przerzucił się na warzywa. Kmera zauważa też, że nie ma żadnych analiz, które wcześniej ostrzegałyby rolników przed rynkowym ryzykiem. Jest odwrotnie – jak kapusta jest droga, to w następnym roku każdy już ma kapustę i wszyscy narzekają na klęskę urodzaju. Mamy więc górki świńskie, kalafiorowe, brokułowe, kapuściane, a tej jesieni najwyższa rośnie kartoflana.

Niemcy atakują ziemniakami

Problem z nadprodukcją ziemniaków dotyka całą Unię, ponieważ niskie światowe ceny zbóż spowodowały, że wiele gospodarstw przerzuciło się ze zbóż na bardziej do tej pory opłacalne ziemniaki. Najwięksi ich producenci w UE, czyli Belgia, Francja, Niemcy i Holandia, zwiększyli areał upraw aż o 7 proc. Tylko w tych krajach tegoroczne zbiory przekroczą 27 mln ton. Polacy zrobili to samo, wcześniej uprawiali ziemniaki na 192 tys. ha, w ubiegłym roku na ponad 210 tys. Teraz jest jeszcze więcej, ale nie wszystkie uprawy są rejestrowane. Rośnie góra kartofli nie do przejedzenia.

Rząd niemiecki, żeby zahamować spadek cen, nakazał rolnikom część zbiorów przeznaczyć na paszę albo oddać do biogazowni, na własny koszt. Wśród polskich rolników poszła plotka, że Niemcy sprzedają u nas kartofle po 10 gr za kilogram. Tomasz Jazdon, rolnik z Wielkopolski, domaga się od rządu i Unii lepszego traktowania Polaków. – *Oni do nas mogą wysyłać swoje ziemniaki na zasadach uproszczonych, ale my na każdą partię musimy mieć świadectwo badania fitosanitarnego* – pomstuje. Rolnik nie dodaje, że badań każdej partii zażądała Wielka Brytania, do której mamy spory eksport. Okazało się bowiem, że polskie ziemniaki często są zarażone, od lat rolnicy nie są w stanie uporać się nie tylko z bakteriozą pierścieniową, ale też z innymi chorobami ziemniaków.

– *Źródłem chorób jest niechęć do kupowania sadzeniaków kwalifikowanych, które są zdrowe, ale droższe* – wyjaśnia Kamil Maniak, prezes zrzeszającego rolników Stowarzyszenia Polski Ziemniak. Każdy sadzi swoje i choroba się roznosi. Roznosicielami są głównie „skoczkowie", drobni rolnicy, którzy swoich upraw nawet nie rejestrują. Obowiązku korzystania z materiału kwalifikowanego nikt jednak nie egzekwuje, żeby rolników politycznie nie denerwować. O malejącym popycie na zdrowe sadzeniaki świadczy fakt, że w całym kraju ich sprzedażą zajmuje się już tylko 169 firm, reszta splajtowała.

Nieakceptowana przez rolników wyższa cena sadzeniaków kwalifikowanych wynika m.in. z konieczności przestrzegania prawa własności intelektualnej. Rolnicy chętnie sadzą nowe odmiany ziemniaków jadalnych, takich jak colomba, lilly czy gala, ładnych, jędrnych i okrągłych, z grubą skórą (odpornych na przerzucanie przez klientów), które zostały wyhodowane pod dyktando dużych sieci handlowych i jako nowe odmiany są chronione; za rozpowszechnianie trzeba płacić. Konsumentom podobają się bardziej niż stare irgi czy irysy, nieobjęte prawem własności intelektualnej. Kupują oczami, potem narzekają, że gorzej smakują.

Klęska urodzaju uderzyła po kieszeni nawet duże firmy, mające umowy ze stałymi odbiorcami, takie jak Polski Ziemniak sp. z o.o. z Lęborka. Polskimi frytkami zajadają się nawet Niemcy, mamy spory eksport. Ze sprzedażą warzyw na frytki dla Farm Frites czy Avico spółka z Lęborka nie ma kłopotów, ale ziemniaków jadalnych dla handlu już nie skupuje. Sieci korzystają z nadprodukcji i wymuszają jak najniższe ceny. – *Polskie Dino zapłaci 63 gr za kg, ale chce, aby były umyte i dowiezione do nich. Jak doliczę koszty transportu i pakowania, to wychodzi mi, że rolnikowi mogę zapłacić 13 gr, tylko że wtedy on pomyśli, że to ja jestem krwiopijcą* – żali się Piotr Górski, szef spółki. Więc Polski Ziemniak sp. z o.o. zjada zyski z lat ubiegłych i czeka na lepsze ceny. W przechowalni, na którą spółka wzięła 20 mln zł kredytu, mają tylko te ziemniaki, które urosły na polach spółki.

Bitwa o marżę

Edyta Kochlewska nie sądzi, że tegoroczna popularność samozbiorów stanie się stałym trendem, a już na pewno, że rozwiąże problemy polskich rolników, niechętnych do budowy kooperatyw czy własnych sieci handlowych. – *Młodzi konsumenci raz czy drugi pojadą za miasto po warzywa do rolnika, zwłaszcza gdy jego historia świetnie nadaje się do opowiedzenia w towarzystwie, ale nawet oni nie chcą być zobowiązani do takiego sposobu robienia zakupów na co dzień. Paliwo i czas też kosztują. Za rok moda na samozbiory może minąć, a klęski urodzaju na własne życzenie nie przestaną gnębić drobnych rolników* – uważa Kochlewska.

Marcin Bancerowski, przedsiębiorca z Wiązowny, nie ma pretensji do handlu i przetwórców, że korzystają z nadpodaży, żeby jeszcze więcej zarobić. Jego też kusi gigantyczna marża na warzywach, która mogłaby zostać w kieszeni rolnika. Bancerowski tworzy aplikację: o każdej porze roku będzie powiadamiał klientów, że z warzyw czy owoców, które im tak smakowały podczas samozbiorów, są już właśnie do kupienia przetwory od lokalnych przetwórni. – *Musi się udać, jeśli tylko będą tańsze niż w dyskoncie* – zapewnia.

Entuzjazm po samozbiorach przyćmiła afera, której ofiarą stał się Piotr Gryta, rolnik z Dąbrownicy na Podkarpaciu, który stracił 150 ton ziemniaków wartych 60 tys. zł. PSL Podkarpacie w sieci ostrzega: „Uważajcie na Konfederatów i ich idiotyczne akcje". Sugeruje, że to konkurent polityczny puścił w internecie plotkę, że zdesperowany rolnik, któremu skup odmówił przyjęcia ziemniaków, wysypał je na polu i można je zebrać za darmo. Chętnych nie brakowało, nie został ani jeden. Rolnik zgłosił kradzież prokuraturze.

JOANNA SOLSKA

REKLAMA

KLINIKA KROJANTY

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398·56·56
tel. (052) 398·56·57
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:
rwę kulszową, wypadnięcia dysków, chroniczne zespoły bólowe kręgosłupa i głowy, powikłania choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa, następstwa i powikłania urazów układu kostnego, wiązadeł i stawów, migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:
po wylewach, po operacjach ortopedycznych, po złamaniach



ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

eprasa.pl e445b60032



Licencja na biznes

Choć nie doczekała się specjalnej ustawy, franczyza to w Polsce popularne rozwiązanie. Franczyzodawcom ułatwia ekspansję, a franczyzobiorcy korzystają z doświadczeń sieci, działając pod znaną marką.

Dokładnych danych brakuje, ale mamy ponad 85 tys. franczyzobiorców (najwięcej w branży handlowej) i ok. 1,3 tys. systemów franczyzowych. Idea jest prosta: franczyzodawca ma atrakcyjny pomysł na biznes i szuka partnerów, którzy będą go realizować. To właśnie franczyzobiorcy – sami nie muszą opracowywać koncepcji biznesowych i mogą skorzystać ze sprawdzonego rozwiązania. Oczywiście w zamian za to są zobowiązani do przekazywania franczyzodawcy części swoich przychodów. Trzeba pamiętać, że co prawda franczyzobiorcy prowadzą działalność pod marką franczyzodawcy, ale na własny rachunek. Oznacza to, że zgodnie z prawem funkcjonują jako samodzielni przedsiębiorcy, a nie etatowi pracownicy.

Podstawą franczyzy musi być zaufanie – i to wzajemne. Z jednej strony franczyzodawca decyduje się powierzyć rozwój swojej sieci partnerom, przekazując im zebraną przez siebie wiedzę i doświadczenie, wspierając przez cały czas i koordynując ich działania. A równocześnie franczyzobiorca inwestuje własne środki finansowe (często niemałe), czas i energię w rozwijanie koncepcji biznesowej należącej do kogoś innego. Poza tym wszystko, co robi, wpływa na wizerunek marki stworzonej przez franczyzodawcę. Obie strony są od siebie uzależnione – muszą grać do jednej bramki, jeśli chcą odnieść sukces.

Dynamiczny rozwój franczyzy w ostatnich latach pokazuje, że ten model jest atrakcyjny. Dlaczego? Skorzystanie z systemu franczyzowego znacznie zwiększa szansę powodzenia, zwłaszcza w przypadku

eprasa.pl e445b60032



© EAKRIN RASADONYINDEE/SHUTTERSTOCK

osób rozpoczynających działalność gospodarczą. Ze statystyk wynika, że ok. 80 proc. franczyzobiorców jest w stanie pokonać początkowe trudności, a w przypadku przedsiębiorców zdających się wyłącznie na własne siły ten wskaźnik wynosi zaledwie ok. 20 proc. – *Naszym franczyzobiorcom zapewniamy kompleksowe wsparcie: operacyjne, marketingowe, logistyczne i technologiczne. Doskonale rozumiemy, że taka współpraca przekłada się bezpośrednio na nasz wspólny sukces. Znaczące jest to, że aż 64 proc. badanych wskazało złożoność regulacji jako główną przeszkodę w prowadzeniu własnej firmy. W takiej sytuacji franczyzodawca, który na bieżąco analizuje zmieniające się przepisy i dzieli się tą wiedzą z partnerami biznesowymi, stanowi dla nich istotne wsparcie, bo pozwala im skupić się na codziennym prowadzeniu biznesu* – mówi Adam Manikowski, CEO jednostki biznesowej Żabka Polska, z pewnością najbardziej znanej sieci franczyzowej w Polsce.

O czym powinni pamiętać wszyscy zainteresowani współpracą z jednym z systemów franczyzowych? – *Wiele problemów wynika z niedostatecznego przygotowania do działalności i weryfikacji danego modelu biznesowego, a także zasad inwestycji w koncept i współpracy z franczyzodawcą. Bardzo często przyszli franczyzobiorcy zbyt optymistycznie podchodzą do wybranego konceptu franczyzowego. Osoby, które wybrały ten pomysł na biznes, nierzadko unikają krytycznego spojrzenia na warunki inwestycji i działalności franczyzowej pod daną marką. Takie podejście powoduje później nieporozumienia i przekreśla szansę na owocną współpracę* – zaznacza Magdalena Kurda, przedstawicielka zarządu Polskiej Organizacji Franczyzodawców.

Podkreśla ona, że przed podpisaniem umowy franczyzowej należy skonsultować jej zapisy z prawnikiem. Chodzi zwłaszcza o różne zobowiązania czy ograniczenia, które łatwo przeoczyć, a które mogą mieć duży wpływ na późniejszą działalność. Warto podjąć próbę negocjowania zapisów, które uważamy za niekorzystne. Magdalena Kurda: – *Franczyzobiorcy zbyt często akceptują wzorce umowy, błędnie myśląc, że negocjacje są niemożliwe. Tymczasem wiele elementów umowy da się zmienić. Są to m.in. zakres terytorialny działalności, warunki wsparcia ze strony franczyzodawcy, zapisy o karach czy obowiązkach marketingowych. Jeśli franczyzodawca nie pozwala na negocjacje, należy się zastanowić, czy warto wchodzić we współpracę.*

Zazwyczaj franczyzodawca przedstawia zainteresowanemu współpracą partnerowi dokładne informacje o otoczeniu biznesowym, założeniach i prognozach. Nie zwalnia to jednak potencjalnego franczyzobiorcy z obowiązku dokonania własnych analiz. Warto zweryfikować dane przekazane przez franczyzodawcę i sprawdzić, czy nie są zbyt optymistyczne albo nieaktualne. Pomóc mogą informacje w mediach, ale także rozmowy z działającymi już w danym systemie franczyzobiorcami. Trzeba też wziąć pod uwagę aktualną sytuację gospodarczą i prognozy ekonomiczne na najbliższą przyszłość. Zwłaszcza ostatnie lata – najpierw pandemia, potem wysoka inflacja – zdecydowanie pogorszyły nastroje konsumentów i skłoniły ich do dużo większej ostrożności przy wydawaniu pieniędzy. Oznacza to, że jeszcze niedawno dobrze działające koncepty franczyzowe mogą dziś być znacznie bardziej ryzykowne.

S ystemy franczyzowe bywają dzielone na miękkie i twarde. Te pierwsze odznaczają się mniej sztywnymi regulacjami i większą swobodą w prowadzeniu biznesu. W takiej formule franczyzobiorca może działać bardziej elastycznie, więc to dobre rozwiązanie dla osób kreatywnych i otwartych na większe ryzyko. Franczyza twarda jest dużo bardziej sformalizowana.

REKLAMA



eprasa.pl e445b60032

FRANCZYZA

To z jednej strony ogranicza decyzyjność franczyzobiorcy, ale też zmniejsza niebezpieczeństwo popełnienia przez niego błędu. Każdy zainteresowany modelem franczyzowym musi sam odpowiedzieć na pytanie, w jakiej formule będzie się lepiej czuł. Często do systemów miękkiej franczyzy wchodzą przedsiębiorcy dłużej działający w konkretnej branży, którzy chcą skorzystać z rozpoznawalnej marki, by lepiej sobie radzić na konkurencyjnym rynku. Z kolei twarda franczyza okazuje się atrakcyjniejsza dla osób bez doświadczenia, które cenią sobie jak największe wsparcie ze strony centrali.

W praktyce wiele firm rozwijających się w modelu franczyzowym prowadzi również część swoich placówek w systemie własnym. – *Franczyza umożliwia szybki i skalowalny rozwój,*



dlatego zdecydowana większość naszych klubów funkcjonuje we współpracy z franczyzobiorcami. Jednocześnie utrzymujemy kilkanaście lokalizacji należących bezpośrednio do nas. To w nich testujemy nowe rozwiązania, poznajemy specyfikę lokalnych rynków i wypracowujemy najlepsze praktyki, które następnie wdrażamy w całej sieci. Obecnie przygotowujemy się do ekspansji międzynarodowej w Europie Środkowo-Wschodniej. W każdym z krajów rozpoczniemy działalność od kilku klubów, a wraz z rozwojem sieci będziemy stopniowo nawiązywać współpracę z partnerami franczyzowymi – wyjaśnia James Cotton, prezes Xtreme Fitness Gyms, największej w Polsce sieci klubów fitness.

Rozpoczęcie współpracy między franczyzodawcą i franczyzobiorcą może przebiegać na różne sposoby. Często to sieci aktywnie poszukują nowych partnerów, ale zdarza się również, że przedsiębiorcy sami decydują się wejść pod skrzydła znanego gracza. – *Wśród naszych franczyzobiorców wyróżniamy kilka grup. Są osoby, które prowadzą już własny biznes i chcą zdywersyfikować działalność, dostrzegając potencjał w branży fitness. Są też tacy, którzy dotychczas pracowali na etacie, ale chcą rozpocząć własną działalność. Mamy również partnerów, którzy po powrocie z zagranicy szukają pomysłu na siebie i chcą zainwestować w sprawdzony model biznesowy. Wszystkich łączy świadomość, że branża fitness w Polsce rozwija się bardzo szybko. Chcą z tego skorzystać, a równocześnie wolą to zrobić z nami niż samemu. Dzięki naszemu doświadczeniu mogą uniknąć błędów typowych dla osób rozpoczynających działalność od zera* – mówi Filip Puchalski, dyrektor handlowy odpowiedzialny za ekspansję i rozwój Xtreme Fitness Gyms i Xtreme KiDS.

Im więcej działa sieci i punktów franczyzowych, tym większe emocje budzi ten temat. Nie brakuje głosów postulujących regulację franczyzy, a nawet stworzenie specjalnej ustawy, która jasno określiłaby prawa i obowiązki obu stron – franczyzobiorców i franczyzodawców. W poprzedniej kadencji parlamentu pojawił się projekt ustawy, ale prace zostały przerwane i już do nich nie powrócono. Teraz do ich wznowienia stara się doprowadzić Zespół Roboczy ds. Franczyzy, działający przy Rzeczniku Małych i Średnich Przedsiębiorców.

Tymczasem pozostaje tzw. samoregulacja branży, czyli zobowiązania składane przez sieci franczyzowe, zwłaszcza te największe. Efektem tej samoregulacji jest Kodeks dobrych praktyk dla rynku franczyzy z 2021 r. Jak głosi jego preambuła, „uzgodnienie zestawu dobrych praktyk dla współpracy w ramach franczyzy leży w interesie całego środowiska franczyzowego, tak franczyzodawców jak i franczyzobiorców, bez względu na różnice w realizowanych modelach franczyzowych. Stworzenie katalogu dobrych praktyk franczyzy i ich przestrzeganie pozwoli na dalszy właściwy rozwój tego modelu biznesowego, który jest źródłem satysfakcji z prowadzonej działalności dla obu stron umowy franczyzy". Przystąpienie do kodeksu jest w pełni dobrowolne, a żadna państwowa instytucja nie może kontrolować, czy strony stosują się do tego dokumentu. Jednak z braku ustawy franczyzowej taki kodeks ma duże znaczenie na naszym rynku. Zawiera katalog rekomendowanych rozwiązań dla franczyzobiorców i franczyzodawców, które powinny być respektowane na każdym etapie – od pierwszych rozmów aż do zakończenia współpracy. Kodeks podkreśla, że relacje między franczyzodawcą a franczyzobiorcą, jako samodzielnymi przedsiębiorcami są kształtowane w ramach swobody działalności gospodarczej. I przypomina, że strony umowy pozostają odrębnymi podmiotami gospodarczymi działającymi pod wspólną marką. A na tym polu dochodzi najczęściej do nieporozumień. Niektórzy franczyzobiorcy uważają, że ingerencja franczyzodawców w ich biznes idzie zbyt daleko, a kary za naruszenie warunków umowy są bardzo surowe. Spory dotyczą też kwestii, czy w przypadku bardzo twardej franczyzy, dokładnie regulującej wszelkie zasady współpracy, franczyzobiorca nie jest raczej pracownikiem niż niezależnym przedsiębiorcą.

Ustawa o franczyzie mogłaby rozwiać wiele wątpliwości i wzmocniłaby pozycję franczyzobiorców. Z drugiej strony jednak zbyt restrykcyjne zapisy mogłyby doprowadzić do spadku liczby umów franczyzowych, bo część sieci uznałaby ten model za zbyt ryzykowny lub nieopłacalny. Wypracowanie odpowiednich rozwiązań nie będzie zatem łatwe, szczególnie w kraju takim jak Polska, gdzie z placówkami franczyzowymi mamy kontakt codziennie, zwłaszcza robiąc zakupy czy jedząc na mieście. Często nawet nie zdajemy sobie sprawy, że sklepy, restauracje, siłownie albo punkty usługowe, które regularnie odwiedzamy, działają właśnie na zasadzie franczyzy. I na tym polega sukces tego rozwiązania – z punktu widzenia klienta każdy lokal danej marki ma zapewniać ten sam poziom obsługi. Bez względu na to, kto i na jakich zasadach nim zarządza.

CEZARY KOWANDA

© DRAZEN ZIGIC/SHUTTERSTOCK, MP

eprasa.pl e445b60032



Mentorzy codzienności – jak lokalni przedsiębiorcy zmieniają przyszłość młodych

Nie wystarczy dziś mieć marzenia, by wystartować w dorosłość. Dla wielu młodych szansa na lepsze jutro to przywilej – niestety nie dla każdego. Program „Dobry Staż", realizowany przez Fundację Samodzielni Robinsonowie i firmę Żabka Polska, oparty jest na prostym założeniu: to nie procedury, a ludzie zmieniają życie. Od dziewięciu lat Żabka daje młodzieży zagrożonej wykluczeniem społecznym i zawodowym nie tylko miejsce płatnych praktyk, ale przede wszystkim mentora, wsparcie i przestrzeń do próby – bez oceniania i lęku.

Socjologia zna pojęcie kapitału społecznego – zasobu relacji, wsparcia i wzajemności, który pozwala funkcjonować w społeczeństwie. Gdy go brakuje – jak u młodzieży z pieczy zastępczej, uchodźców czy osób z niepełnosprawnością – potrzebny jest ktoś, kto ten brak zrekompensuje. Ktoś, kto zamiast wymagać, najpierw pokaże, a potem towarzyszy.

Tak było w przypadku Kariny, 18-latki z Zaporoża, która uciekła przed wojną do Szczecina. Bariera językowa, samotność, nowe środowisko – to nie tylko emocjonalne wyzwania, ale realne ryzyko marginalizacji.

Przełom nastąpił, gdy trafiła do Żabki prowadzonej przez Marka Banasiaka – franczyzobiorcę, byłego harcerza i mentora. – Karina zaczynała nieśmiało, ale z każdym dniem rozkwitała. Starałem się stworzyć miejsce, w którym znów poczuje się bezpieczna – mówi pan Marek.

Bezpieczna przestrzeń – to klucz. Karina odbyła 160 godzin stażu, a potem została w sklepie na dłużej. W krótkim czasie przeszła drogę od wycofanej nastolatki do pracownicy, która wie, że coś potrafi, czuje się potrzebna i ma odwagę planować przyszłość.

Otwarte podejście zamiast schematów

Program „Dobry Staż" działa nie dlatego, że oferuje miejsca praktyk. Działa, bo oferuje ludzi, którzy słuchają bez oceniania, dając czas, cierpliwość i wiarę tam, gdzie przez lata była obojętność.

Mateusz z Grębocina wie, jak wygląda życie z tej drugiej strony. Niepełnosprawność intelektualna, niedosłuch, wady kończyn – wszystko to wystarczy, by zostać zepchniętym poza główny nurt.

Ale to nie była bariera dla Marzeny Wiśniewskiej, franczyzobiorczyni Żabki w Toruniu, która przyjęła go na trzy miesiące stażu. – Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z osobą z niepełnosprawnością. Obawiałam się, ale Mateusz mnie zaskoczył – był punktualny, dokładny, rzetelny, świetnie odnajdywał się w zespole i przy kasie. Klienci go uwielbiali – wspomina.

Codziennie dojeżdżał do pracy dwie godziny w każdą stronę, pracował siedem godzin, wracał zmęczony – ale szczęśliwy. – Cieszymy się, że zdobył nowe doświadczenie, a pani Marzenie jesteśmy wdzięczni za to, że dała mu szansę, bo rodzice dzieci z niepełnosprawnością wiedzą, że tylko ten, kto się oswoi, ten się nie boi – mówi jego mama, Aneta Malinowska.

Mentoring nie był tu dodatkiem – był warunkiem powodzenia. Bez otwartości Marzeny i jej zespołu ten staż pozostałby punktem w dokumentach. Dzięki relacji – stał się wydarzeniem, które ukształtowało młodego człowieka.

– To był super czas. Nauczyłem się wielu rzeczy i chcę teraz pracować w sklepie blisko domu – mówi z dumą Mateusz.

Odzyskać wiarę w siebie

Jak zauważa Anna Żelazowska-Kosiorek, liderka programów Fundacji Samodzielni Robinsonowie, kluczowe jest odbudowanie sprawczości i zaufania – do świata i siebie:

– Nasi podopieczni często nie mają wiary w siebie ani emocjonalnego wsparcia. Lęk przed porażką sprawia, że rezygnują z szans, które mogłyby odmienić ich życie. Dlatego tak ważny jest ktoś, kto rozumie i poprowadzi dalej – podkreśla.

To właśnie emocjonalny i społeczny wymiar pracy z młodzieżą czyni „Dobry Staż" programem wyjątkowym. Praca zawodowa staje się tu narzędziem do odbudowania poczucia własnej wartości i kompetencji życiowych.

– Dla wielu młodych – szczególnie z pieczy zastępczej, rodzin zastępczych czy bez stabilnych warunków domowych – wejście w dorosłość to skok w nieznane. „Dobry Staż" pomaga tę przepaść pokonać. Dzięki naszym franczyzobiorcom dzieją się niezwykłe historie – dodaje Katarzyna Przewęzikowska z Żabka Polska.

Tylko w pierwszym półroczu 2025 roku zrealizowano ponad 100 staży. Od początku programu przeprowadzono już ponad 25 tys. godzin mentoringowych.

eprasa.pl e445b60032

Z przeszłości i z przyszłości

Na tej wojnie nie ma klasycznej linii frontu, zmasowane szturmy są coraz rzadsze. Za to rozszerza się strefa zagrożenia, nawet setki kilometrów w głąb Rosji.

PAWEŁ RESZKA Z KRAMATORSKA

Brygada Szturmowa „Pomsta" rozrzucona jest po Donbasie i Charkowszczyźnie. Żołnierze stacjonują daleko od siebie – jedni pod Kupiańskiem, inni pod Słowiańskiem. Pododdziały dzielą nie tylko kilometry, ale też epoki. Jedne walczą sprzętem pamiętającym drugą wojnę światową, inne są obsadzone żołnierzami z przyszłości – ich wojna to ekrany komputerów, gogle i kontrolery radiowe. Mogą zabijać przeciwnika, siedząc w klapkach i popijając colę. I to oni są w tej wojnie najważniejsi.

Żołnierze przyszłości – Teo, Dima, Kola, Sierhij i Witalik – walczą pod Kupiańskiem. Są operatorami dronów FPV (kamikadze) i bezpilotowców Wampir, które zrzucają na głowy przeciwnika pociski odłamkowe o wadze kilkunastu kilogramów. Ich pozycje bojowe ukryte są pod ziemią, w piwnicach. Żołnierze przyszłości są przeważnie przed trzydziestką. Teo pracował w branży turystycznej, tęskni do żony. Czekając na rozkaz wylotu, leży na kanapie, popija kawę i czyta powieść fantasy.

Do akcji może być gotowy w kilkadziesiąt sekund. Wystarczy wynieść dron na placyk przed piwnicą. Odbezpieczyć ładunek



Okolice Charkowa. Na tej wojnie najważniejsi są żołnierze przyszłości, wyposażeni w komputery, gogle i kontrolery radiowe.

eprasa.pl e445b60032

wybuchowy. Wrócić na dół i wystartować. Takie drony odpowiadają za blisko 80 proc. strat przeciwnika. Niszczą wszystko, co się rusza w ich strefie.

Za to sierżanci Jurij i Aleksandr są ewidentnie z przeszłości. Ich broń to armaty przeciwlotnicze S60. Obie z lat 50. ubiegłego wieku, jedna z Czechosłowacji, druga z Polski. Nawet amunicja, którą strzelają, jest starsza od najstarszego żołnierza w oddziale. Pomocniczy ładowniczego szeregowy Serhij (z zawodu kolejarz) urodził się 18 lutego 1968 r. pod Sumami. A naboje 57 mm, które Serhij ładuje, wyprodukowano w 1964 r.

Załoga składa się z siedmiu–ośmiu wojaków: dowódca, kierowca, celowniczy, ładowniczy. Jedna S60 podróżuje na ciężarówce, druga ma stałą pozycję. Zadanie: strącać rosyjskie Shahedy lecące w kierunku miast. Artylerzyści strzelają seriami w niebo. Starają się razić odłamkami mknące nad głowami drony. Namiary celu dostają od operatorów radarów. Bez nich byliby ślepi.

Skuteczność? – *No, kilka dronów udało się strącić. Na przykład działo stacjonarne w tym miesiącu trafiło dwa razy* – mówi Jurij. Nie jest to wynik imponujący, bo Shahedy latają tu stadami. Ale załogę S60 stanowią 50-latkowie – do szturmów za starzy, do nauki pilotowania dronów być może zbyt oldskulowi. Magazyny są zaś pełne amunicji 57 mm, której nie ma do czego używać. Jeśli S60 coś strąci, to dobrze. Jeśli nie, trudno.

– My jesteśmy tylko jednym elementem obrony przeciwlotniczej, która jest przecież wielostopniowa. Działa i karabiny przeciwlotnicze, drony przechwytujące, systemy walki radioelektronicznej, aż po drogie rakiety Patriot. Kiedy jeden element zawodzi, włącza się drugi. W rezultacie szanse na strącenie celu się zwiększają – przekonuje Jurij.

Na dystans

Na wojnę można patrzeć z różnych perspektyw. Patrząc z tej dalszej, dochodzi się do wniosku, że trudno o jakieś bezpieczne miejsce. Każda ze stron jest w stanie niszczyć cele odległe o tysiące kilometrów od frontu.

Te najbardziej odległe do tej pory najczęściej atakowała Rosja. Na początku października na przedmieściach Lwowa w czasie nalotu zginęła 15-letnia licealistka Anastazja Hrytsiv. To jeden z wielu przykładów, bo Rosjanie codziennie atakują miasta zmodernizowanymi dronami Shahed, pociskami manewrującym dalekiego zasięgu i balistycznymi. Ataki są kombinowane. Z kilku stron nadlatują bezpilotowce (część z nich to wabiki, bez ładunku). Potem lecą rakiety. W jednoczesnym uderzeniu bierze czasem udział nawet kilkaset obiektów. Obrona powietrzna – nawet ta wielostopniowa – nie ma szans zniszczyć wszystkiego.

Celem jest infrastruktura transportowa i energetyczna, ale w nalotach często giną cywile, tacy jak licealistka Anastazja. Chodzi o sterroryzowanie społeczeństwa, zniechęcenie do oporu. Ukraina coraz częściej i skuteczniej odpowiada na te ataki. W połowie roku w ramach operacji „Pawuina" małymi dronami FPV udało się zaatakować rosyjskie lotniska (jedno z nich odległe o 4 tys. km od granicy) i zniszczyć albo uszkodzić warte miliardy dolarów bombowce strategiczne. Była to koronkowa operacja wywiadu, drony startowały z ciężarówek, które podjechały w pobliże celu.

Ukraiński przemysł obronny jest już w stanie produkować broń, która z terytorium Ukrainy może skutecznie atakować cele na głębokich tyłach przeciwnika. Przykładem niedawne uderzenie dronami Lutyj w rafinerię w Tiumeniu (1,7 tys. km od granicy). Wcześniej drony dolatywały do rafinerii w obwodach leningradzkim i orenburskim. Atakowały też rafinerię i fabrykę dronów w Jełabudze w Tatarstanie. Naloty na obiekty położone o kilkaset kilometrów od frontu, jak np. most Krymski czy rafinerie w Riazaniu i Saratowie, są już w zasadzie standardem.

Te ataki mają znaczenie psychologiczne. W Rosji przed stacjami benzynowymi ustawiają się kolejki. Przetwarzanie ropy przenosi się na Białoruś. – *Uderza to w ich budżet, w dodatku są obłożeni sankcjami, więc odbudowa zniszczonej infrastruktury jest kłopotliwa* – mówi Serhij Rahmanin, deputowany do Rady Najwyższej.

Oprócz dronów Lutyj Ukraina wykorzystuje m.in. drony Bóbr, na bezpilotowce przerabiane są lekkie samoloty rolnicze. Najnowszym osiągnięciem przemysłu są odrzutowe pociski manewrujące Flamingo, których zasięg to podobno 3 tys. km. Z kolei ukraińskie drony morskie Magura i pociski manewrujące Neptun kompletnie sparaliżowały rosyjską Flotę Czarnomorską. Przemysł zbrojeniowy wchodzi więc na wyższe obroty. W przyszłym roku ukraiński potencjał produkcyjny może osiągnąć wartość 35 mld dol.

Oczywiście każdy udany atak na terytorium przeciwnika wywołuje w zmęczonej wojną Ukrainie entuzjazm. – *Dobrze, że potrafimy nie tylko się bronić, lecz również atakować* – mówi Anastazja, nauczycielka z Kijowa, który coraz częściej jest obiektem nalotów.

Miasta przyfrontowe

Kijów stał się ostatnio jednym z głównych celów rosyjskich uderzeń. Ukraińska stolica ma jednak najlepszą obronę przeciwlotniczą w kraju. Im dalej na wschód, tym sytuacja jest gorsza. Najbardziej cierpią przyfrontowe miasta, takie jak Konstantyniwka, Pokrowsk, Drużkiwka, Siwiersk czy Kupiańsk. Nękane są przez ostrzały, ataki dronów, brak energii elektrycznej.

W Konstantyniwce prądu nie ma od tygodni. Marianna, która mieszka przy ulicy Tbiliskiej, ciągle nie może się zdecydować: wyjeżdżać czy nie? Jej sąsiedzi na ogół siedzą w kucki na rogu ulicy i palą papierosy. Trochę brodaci, trochę niedomyci, co nie dziwi w okrążonym mieście. Dziś są jednak ubrani z elegancją na czarno. Zaraz będą zakopywać sąsiadkę, której zmarło się pięć dni temu. Po ciała tu od dawna nikt nie przyjeżdża. Córka denatki zdecydowała, że to już za długo. Wezwała więc sąsiadów – o 10 będą zakopywać matkę w ogrodzie. Zgodzili się chętnie – tak po ludzku i także dlatego, że po wszystkim będzie można przysiąść, wspomnieć sąsiadkę, wypić kieliszek za spokój duszy.

Marianna nie mogła widzieć żałobników. Od kilku dni złożona chorobą nie wychodziła. Wolontariusze przyjechali po nią opancerzoną furgonetką, która kiedyś służyła do przewozu gotówki. – No to jedzie pani czy nie? Nie możemy tu stać wiecznie! Wokół domu zaroiło się od ludzi. Do ogrodu przyszły sąsiadki. – Musisz jechać! Bo ile dni już leżysz? Trzeba ci do szpitala – krzyczały przez otwarte drzwi. – Może jutro... – opierała się Marianna.

Nagle zabrzęczał dron. Świat zupełnie się zatrzymał. Wolontariusze zastygli z płachtą, sąsiadki z dobrymi radami. Tylko papierosy w rękach siedzących w kucki żałobników tliły się jakby nigdy nic. Wszyscy patrzyli w niebo, bo wszyscy w rejonie są fachowcami od dronów – ten to był FPV, kamikadze z ładunkiem wybuchowym. Dron minął zgromadzenie. Ale nagle zawrócił. Wisiał w powietrzu. ▶

© ALFONS CABRERA/NURPHOTO/GETTY IMAGES

eprasa.pl e445b60032

▶ Jego rosyjski operator miał przed oczami dom Marianny, furgonetkę i wszystkich wpatrzonych w niego ludzi. Właśnie decydował – czy warto zabić tu obecnych, czy lecieć dalej. Może przy rynku albo w rejonie tego, co zostało z dworca kolejowego, znajdzie się ciekawszy cel? Chociaż zegary odmierzyły sekundę, może trzy, wszystkim na dole wydawało się, że trwa to bardzo długo. Niektórzy mówią, że w tym czasie przypominają się różne sceny z życia.

Ostatecznie rosyjski operator uznał, że nie warto tu zabijać. Dron żwawo ruszył dalej. Podnieśli się też żałobnicy. Bez słowa ruszyli w dół zaułka, gdzie za rogiem mieli kopać grób w ogrodzie. Sąsiadka krzyknęła do Marianny: – Jak nie chcesz wyjeżdżać, to daj uratować chociaż dzieci.

Dzieci? Tutaj są dzieci? Chłopcy siedzieli w zamkniętym pokoju, ukryci przed okiem obcych. Dzieci z terenów przyfrontowych podlegają przymusowej ewakuacji. Timofiej ma 8 lat, Igor 13. Chodzą zdezorientowani po domu. Szukają kurtek i spodni.

– Mamo, gdzie mam buty? – pyta Igor. – Nie mam pojęcia.

Igor na ewakuację pojedzie w crocsach, Timofiej w sandałach i piżamowych spodniach starszego brata. Nie było czasu na dłuższe poszukiwania. Za chwilę mogły nadlecieć kolejne drony.

W Konstantyniwce zostało już niewiele osób, natomiast Kramatorsk żyje jeszcze w miarę normalnie. Niedawno, kiedy jechałem ulicą Aerokłubną, nad głową przeleciały mi dwie bomby KAB. Zadrżała ziemia. Uniosły się dwa grzyby czarnego dymu. Pociski eksplodowały jakieś 700 m ode mnie, w tej części miasta, gdzie znajdują się resztki fabryk. Ale nikt nie zareagował. Wulkanizator nakładał oponę. Ludzie na przystanku niecierpliwie wyglądali autobusu. W spożywczaku trwały zakupy. A samochody jechały tam, dokąd wcześniej. Miasto przygotowywało się do weekendu.

W Kramatorsku syreny alarmów przeciwlotniczych w zasadzie nie milkną. W telefonie co kilkanaście–kilkadziesiąt minut wibrują ostrzeżenia: „KAB-y kierunek Kramatorsk", „Uwaga, bezpilotowce", „Alarm przeciwlotniczy, wszyscy do schronów", „Nadlatują Lancety", „Mołnie (rakiety – przyp. red.) zbliżają się do miasta", „Meldunek o aktywności rosyjskich samolotów", „Drony FPV". (Kiedy piszę te słowa, za oknem wyje syrena, telefon melduje o pociskach kierowanych zbliżających się do miasta, słychać wybuchy). Gdyby ludzie mieli na to wszystko reagować, musieliby żyć w piwnicach. Pozostaje im obojętność, liczenie na łut szczęścia.

Front

Rozmowa z ukraińskim dowódcą. – Jak sytuacja na froncie? – *Stabilnie chu...owo!* To dość popularna odpowiedź. – *Klasycznej linii frontu nie ma. Luki między pozycjami ukraińskimi dochodzą do kilkuset metrów, nawet do kilometra* – mówi oficer. – *Te miejsca starają się zająć Rosjanie. Wchodzą w grupach po dwóch, trzech żołnierzy. Często przebierają się w cywilne ubrania. Kiedy zbierze się już oddział kilkunastoosobowy, rozpoczynają działania dywersyjne – starają się organizować zasadzki, podkładają miny, atakują ukryte w drugiej linii stanowiska pilotów dronów i artylerzystów.* W rezultacie zamiast linii frontu mamy szarą strefę albo strefę śmierci, która nie wiadomo do kogo należy. Czasem jej szerokość to kilka, kilkanaście, a czasem nawet 20 km.

Przenieśmy się tam na chwilę. Na skraju takiej szarej strefy ukryta jest piwnica, w której siedzą nasi znajomi „żołnierze przyszłości": Teo, Dima, Kola, Sierhij, Witalik. Na laptopowej mapie widnieje zaznaczona na czerwono droga, którą najczęściej podróżują Rosjanie. W pobliże ukraińskich pozycji idą tygodniami. Po kilkadziesiąt, 100 m dziennie. Korzystają z mgły, deszczu. Przykrywają się „pelerynami niewidzialności" – to szare termiczne poncza, kolor chroni przed wzrokiem operatora, izolacja cieplna nie pozwala dostrzec celu kamerze termowizyjnej.

Przeciwnik zalega w kryjówkach. – *Niezłe z nich krety. Znajdą jakąś dziurę, przerwę między betonowymi płytami w hangarach i zaczynają ryć tunele. Lubią drążyć pod jakimś dużym drzewem. Rury. Opuszczone domy. Cmentarz. Wszystko to jest w sferze podejrzenia* – mówi Dima, operator drona FPV.

Nad strefą śmierci bezustannie wiszą drony zwiadowcy. Reagują na każdy najmniejszy ruch. Kiedy coś dostrzegą, rozkaz do ataku natychmiast dostają operatorzy dronów kamikadze. Albo Witalik, który ładuje na Wampira kilkunastokilogramowe bomby i rusza, by rozbić kryjówkę wroga. Niektóre podejrzane miejsca bombardowane są profilaktycznie po kilka razy. Mimo to przeciwnicy jakoś przesączają się w pobliże ukraińskich pozycji. Ostatni regularny szturm na tym odcinku był w zeszłym roku.

Zapewne gdyby linia frontu była rzeczywiście linią, takie rzeczy zdarzałyby się rzadziej. Tyle że na to Ukrainie nie wystarcza już sił. Mobilizacja przebiega marnie, dawno skończyli się chętni do wojaczki. Różnymi metodami, w tym pod przymusem, udaje się zmobilizować na front ok. 30 tys. żołnierzy. Problem w tym, że w tym samym czasie z frontu ucieka od kilku do kilkunastu tysięcy żołnierzy. Samowolne oddalenia się z jednostki są zmorą armii.

Dziury w froncie zatykają wojska szturmowe. Wydzielone zostały niedawno, na bazie istniejących już elitarnych jednostek. – *To straż pożarna frontu. Mają najlepsze uzbrojenie i pierwszeństwo w wyborze żołnierzy wśród nowo zmobilizowanych. Pobierają wyższy żołd. O to dba sam gen. Ołeksandr Syrski, są oczkiem w głowie głównodowodzącego* – mówi ukraiński dowódca.

W okrążeniu

Rosjanie rozpoczęli już regularne polowania na operatorów dronów. I zwiadowcze bezpilotowce regularnie latają nad piwnicą, w której siedzi Teo. Nic w tym dziwnego. – *Nie ma czołgu, którego nie zatrzymałby dron za 400 dol.* – mówi Robert Brovdi, pseudonim Madziar, który jest dowódcą ukraińskich Sił Systemów Bezzałogowych.

Wojska dronowe to szansa dla Ukrainy. Skoro nie ma dość ludzi, by powstrzymać Rosjan, niech ludzi wspomogą maszyny. Nabór do wojsk dronowych, obok naboru do brygad szturmowych, jest priorytetem. – *Młodzi znacznie chętniej idą do dronów niż do piechoty* – zauważa ukraiński oficer. – *Oczywiście służba w wojskach dronowych też jest niebezpieczna, ale przecież to zupełnie inna bajka niż służba w piechocie.*

Kola, Teo, Dima i Witalik wiedzą to dobrze. Sami byli jeszcze rok temu w piechocie, odbijali rosyjskie szturmy i uciekali przed dronami kamikadze. Witalik: – *Pod Bachmutem szturmy zaczynały się po zmroku i trwały do samego świtu. Spaliśmy na zmiany. Jedni spali, drudzy się ostrzeliwali.* Teraz Witalik już jako operator drona stara się wspomóc piechotę: – *Im dalej zatrzymujemy ruskich, tym chłopcy w okopach mają większe szanse na przeżycie.*

Czasami się to nie udaje, przeciwnik jest już zbyt blisko. Tak jak w Kupiańsku, kilka kilometrów stąd – trwają tam walki uliczne. Jeśli miasto padnie, mnóstwo ukraińskich żołnierzy z przeszłości i z przyszłości znajdzie się w okrążeniu.

PAWEŁ RESZKA

eprasa.pl e445b60032





Na każdy temat
z każdej strony

tokfm

eprasa.pl e445b60032

Cichy powrót pańszczyzny



Własny dom, jak kiedyś ziemia, staje się gwarantem wolności i praw politycznych. Ale wkrótce mało kogo na Zachodzie będzie na niego stać – twierdzą zwolennicy tezy o mieszkaniowym feudalizmie.

ŁUKASZ WÓJCIK

Prezydenci USA bywali wcieleniami swoich czasów. Gdy trzeba było walczyć, zostawali nimi generałowie, jak George Washington. W czasach budowania nowego państwa przyszła kolej na prawników – Thomasa Jeffersona, Abrahama Lincolna. Gdy nastała epoka kolorowych mediów, do Białego Domu wprowadził się aktor Ronald Reagan. Nie ma więc przypadku w tym, że dziś prezydentem jest deweloper.

Donald Trump, korzystając ze swojej pozycji politycznej, w bezpardonowy sposób rozbudowuje własne imperium nieruchomości. W zaprzyjaźnionych państwach (m.in. w Serbii, Kazachstanie, Indonezji) stawia biurowce i hotele na preferencyjnych warunkach. Wkrótce wraz z kolegami z nowojorskiej deweloperki ma się zająć „odbudową" Strefy Gazy, ale przecież nie mieszkań dla palestyńskich uchodźców, lecz zapewne rokokowego kurortu zapowiedzianego już przecież w planie gazańskiej riwiery.

Trump podskórnie musi czuć ten fundamentalny dla współczesności związek rosnących w nieskończoność cen nieruchomości i nagiej władzy. Związek, w wyniku którego pozycja człowieka znów w coraz mniejszym stopniu wynika z przyrodzonej mu godności, a w coraz większym z tego, co ma. Z tej perspektywy bez majątku, najlepiej zawartego w czymś tak stałym jak dom, jesteś nikim, nie masz praw.

To współczesna kalka średniowiecznego feudalizmu. W jego pierwotnej formie właścicielem całej ziemi był władca. I tylko od jego widzimisię zależało, kto ją otrzyma, a kto straci. W ten sposób kontrola nad ziemią dawała kontrolę polityczną, a brak ziemi skazywał na niewolnictwo. Dziś wielu myślicieli i ekonomistów, szczególnie na amerykańskiej prawicy, przekonuje, że jesteśmy już w początkowej fazie neofeudalizmu, w którym władza nad nieruchomościami – jak kiedyś nad ziemią – determinuje ekonomiczną, społeczną i polityczną pozycję właściciela. A jej brak skazuje na niewolnictwo w tychże sferach.

1 Idea „zombie-czegoś" jest już mocno zgrana, ale akurat do tego przypadku pasuje doskonale. Na początku września „Wall Street Journal" opisał, jak amerykańskie fundusze inwestycyjne, wcześniej niekoniecznie związane z rynkiem nieruchomości, na potęgę skupują osiedla

eprasa.pl e445b60032



Naród właścicieli domów jest nie do pokonania – powiadał Roosevelt. Komuś to przeszkadzało?

domów jednorodzinnych na przedmieściach – w pakietach, po kilkanaście ulic naraz, jak np. dwa miesiące temu pod Bostonem. I przez wiele miesięcy świadomie pozwalają im niszczeć.

Zamrażają w ten sposób kapitał, jednocześnie ściągając domy z rynku, co błyskawicznie winduje ceny kupna i wynajmu w okolicy. Wtedy cały ten pakiet „zombie-nieruchomości" znów wraca na rynek. Korporacyjni właściciele wynajmują go za niebotyczne pieniądze albo sprzedają wyspecjalizowanym funduszom – jak np. międzynarodowy gigant Blackstone – które wynajmują je za jeszcze większe pieniądze.

Garść danych dla jasności obrazu. Według badań Uniwersytetu Stanforda w 2022 r. 28 proc. sprzedanych w USA domów trafiło w ręce „kupców instytucjonalnych". W 2024 r. było to już 37 proc. W bieżącym roku niektóre prognozy przewidują, że już co drugi sprzedany dom trafi w ręce „instytucji". Zdaniem branżowego pisma „Private Equity Real Estate" w obecnym tempie inwestorzy korporacyjni już za pięć lat mogą kontrolować blisko 50 proc. mieszkań i domów jednorodzinnych w USA. Podobnie jest w innych zamożnych krajach, pod tym względem Ameryce po piętach depczą Australia i Kanada, ale niedaleko jest też Wielka Brytania.

Trudno się dziwić, że dach nad głową stał się w ostatnich latach tematem numer jeden lub dwa – naprzemiennie z imigracją – w polityce wewnętrznej wspomnianych państw. Nawet w USA, gdzie sprawa kontroli granic nie schodzi z pierwszych stron gazet, w najnowszym sondażu dla „Washington Post" 64 proc. respondentów jako największy problem kraju wskazuje rosnące koszty wynajmu i kupna mieszkań, dopiero w drugim rzucie (52 proc.) wymieniając imigrację. W grupie przed 35.rokiem życia „przewaga" mieszkalnictwa nad imigracją jest jeszcze większa – 71 proc. do 40 proc.

Dla wielu młodych mieszkańców Zachodu jedynym sposobem, aby zamieszkać u siebie, jest dziś dziedziczenie przywilejów, trochę jak w feudalizmie. Dziedziczenie w sensie dosłownym, po dziadkach i rodzicach, ale też „grzanie się" w blasku ich majątków. Tu ekstremalnym przykładem jest Los Angeles – w 2024 r. 40 proc. kredytów hipotecznych udzielanych w tym mieście było poręczanych przez rodzinę (jej majątek stanowi zabezpieczenie kredytu), a jeszcze 15 lat temu było ich zaledwie 25 proc. Tym młodym ludziom banki nie pożyczyłyby grosza na podstawie ich własnych oszczędności, bieżących czy nawet prognozowanych zarobków.

Ma to oczywiście związek z gwałtownie rosnącymi cenami nieruchomości przy jednoczesnej stagnacji płac. „The Economist" ilustruje to tak: 50 lat temu przeciętna amerykańska rodzina, w której pracował tylko ojciec, mogła sobie pozwolić na przyzwoity dom przy racie kredytu hipotecznego nieprzekraczającej 15 proc. dochodu brutto. Dziś na ten cel idzie ok. 40 proc. rodzinnego dochodu przy obu małżonkach zatrudnionych na etat. Albo jeszcze inaczej: czynsz za dom z trzema sypialniami niedaleko Bostonu ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e445b60032

▶ – przeciętna okolica – pochłania dziś 70 proc. mediany dochodu rodzinnego w USA po opodatkowaniu.

W rezultacie dla młodych osób o przeciętnych zarobkach, które nie mają wsparcia rodziny, zakup domu na kredyt oznacza raty przez resztę życia bez gwarancji, że je spłacą. – *Grozi im, że nigdy nie staną się właścicielami kupionego domu* – twierdzi Joel Kotkin, związany z amerykańską prawicą historyk urbanistyki, jeden z twórców idei neofeudalizmu. – *W sumie więc wszystko jedno, czy go wynajmą, czy wezmą na niego niespłacalny kredyt (w tym przypadku też w zasadzie wynajmują, tylko że od banku). Mają znikome szanse na „zbudowanie" własnego kapitału i raczej do śmierci będą spłacać właścicieli akcji instytucji finansowych.*

2 To wszystko już było. Drobni właściciele (głównie ziemscy) przez wieki byli bastionem oporu przed autorytarną władzą. W antycznym Rzymie obrona ich prawa własności stała się zalążkiem praw człowieka i ustroju republikańskiego. Do czasu, aż rzymskich rolników i rzemieślników zaczęli wypierać niewolnicy „importowani" z peryferii imperium. Zawody i status społeczny coraz częściej były dziedziczone. Pod koniec republiki ponad 75 proc. całego majątku należało do ok. 3 proc. ludności, 80 proc. nie posiadało żadnej własności. Te właśnie nierówności utorowały drogę cesarstwu, a wieki później – średniowiecznemu feudalizmowi.

Bliższy i bardziej optymistyczny przykład to Republika Holenderska (Zjednoczonych Prowincji), która swoje lata świetności przeżyła w XVII w. Powstała tam wówczas pierwsza chyba na świecie klasa średnia. A jej pozycja, oparta na własności prywatnej, na posiadaniu ziemi i nieruchomości, ostatecznie podkopała rolę arystokracji, zwiastując koniec feudalizmu w Europie.

Polityczne znaczenie własnego kąta dało się zauważyć po drugiej wojnie światowej, gdy z frontu zaczęli wracać weterani zachodnich armii. Aby zachować spokój po rewolucji społecznej, jaką była wojna, Harry Truman w USA i Clement Attlee w Wielkiej Brytanii rozpoczęli wielkie programy mieszkaniowe. W ich wyniku miliony młodych mężczyzn u progu życia rodzinnego stało się właścicielami niewielkich, ale własnych mieszkań i domów. Do takich rozwiązań jeszcze przed wojną namawiał Franklin Delano Roosevelt, który zapewniał, że „naród właścicieli domów" jest nie do pokonania.

Jak twierdzi brytyjski historyk Niall Ferguson w książce „Rynek i ratusz", po drugiej wojnie światowej mobilność społeczna i rozproszona własność nieruchomości okazały się „tajnym dodatkiem", który sprawił, że liberalny kapitalizm stał się strawny dla osób spoza elit. Cytowane przez niego badanie obejmujące Wielką Brytanię, Holandię i USA wykazało, że we wszystkich tych krajach między latami 20. XIX w. i 70. XX w. nastąpił gwałtowny spadek koncentracji bogactwa. W latach 1940–50 dochody najuboższych 40 proc. Amerykanów wzrosły o ok. 40 proc., podczas gdy wśród 20 proc. najbogatszych było to zaledwie 8 proc., a dochody 5 proc. najbogatszych nawet nieznacznie spadły.



Dla młodych, średnio zarabiających osób, które nie mają wsparcia rodziny, zakup domu na kredyt oznacza raty przez resztę życia.

3 To już jednak przeszłość. W latach 1945–73 1 proc. najbogatszych Amerykanów przejął zaledwie 5 proc. całkowitego wzrostu dochodów w USA w tym okresie; w ciągu kolejnych dwóch dekad ta superbogata kohorta pochłaniała już jego większość. Łączny majątek 400 najbogatszych Amerykanów przekracza dziś łączny majątek 200 mln ich współobywateli z drugiego końca skali majątkowej. W ciągu ostatnich trzech dekad udział tych naj-najbogatszych (0,1 proc.) w ogólnym majątku gospodarstw domowych wzrósł z 7 do 22 proc.

Jednak różnica między dawnymi a dzisiejszymi superbogaczami polega nie tylko na ilości, ale też na jakości. – *Ci współcześni, zwani już technologicznymi oligarchami, od poprzedników z ery przemysłowej różnią się przede wszystkim podejściem do konkurencji* – tłumaczy Kotkin. – *Ci dawni upatrywali konkurentów wśród innych bogaczy, dla tych nowych konkurencją jest całe społeczeństwo. Dlatego tak zależy im na „odepchnięciu drabiny", zablokowaniu ścieżek awansu społecznego.*

Zdaniem Kotkina za grube pieniądze realizują oni program „oligarchicznego socjalizmu", którego fundamentem będzie dochód powszechny. Ma on za zadanie utrzymać w stanie latentnym „potencjał rozwojowy ludzi", którym te „bezpłatne pieniądze" wystarczą do przeżycia. Stać ich (nas?) będzie na gry komputerowe, na serwisy streamingowe, a może nawet na regularne używki, ale już wyraźna większość do końca życia nie zakumuluje kapitału wystarczającego na kupno mieszkania.

Nietrudno sobie wyobrazić polityczne skutki. Pozbawiona majątku większość w naturalny sposób tworzy opozycję wobec coraz węższej elity posiadaczy – panów feudalnych, co jako żywo przypomina odległe konflikty klasowe. Młodzi Amerykanie według wszystkich dostępnych badań w większości skręcają w lewo, czego dowodem jest m.in. niespodziewana kariera Zohrana Mamdaniego, mało znanego aktywisty, który w listopadzie prawdopodobnie zostanie burmistrzem Nowego Jorku. A to za sprawą jego pomysłów dotyczących np. stworzenia sieci miejskich supermarketów (z minimalną marżą), darmowej komunikacji miejskiej, rozbudowy systemu opieki przedszkolnej, a przede wszystkim kontroli czynszów w horrendalnie już drogiej metropolii. Pod tym względem opowieść o powracającym feudalizmie, popularna dziś na amerykańskiej prawicy, ma wiele punktów wspólnych z hasłami lewicy.

I w takim ujęciu neofeudalizm nie ogranicza się do rynku nieruchomości. Współcześni oligarchowie od lat promują ideę ekonomii współdzielenia (sharing economy), w której własność staje się przestarzała, a konsumenci coraz częściej

eprasa.pl e445b60032



Zohran Mamdani, mocny kandydat na burmistrza Nowego Jorku, zdobył popularność m.in. obietnicą kontroli czynszów w tej piekielnie drogiej metropolii

polegają na usługach na żądanie. Tylko że Bill Gates, który wciąż przekonuje, że znaczną część współczesnej gospodarki napędzają „niematerialne aktywa", takie jak oprogramowanie („coś, czego nie można dotknąć"), jednocześnie w ciągu ostatnich kilku lat kupił w Stanach 1 tys. km kw. ziemi.

Obietnica nowoczesności była prosta: pracuj ciężko, przestrzegaj zasad, a osiągniesz sukces. I przez całe pokolenia sprowadzała się do jednego marzenia – własnego domu. Dla wielu dziś wydaje się to nierealne, koszty mieszkaniowe stały się mordercami ludzkich aspiracji.

To już zjawisko systemowe, a nie przejściowe, co potwierdzają publikacje ekonomistów młodszego pokolenia, choćby Thomasa Piketty'ego („Kapitał w XXI w.") czy Gabriela Zucmana (ten od podatku dla najbogatszych). W dużym skrócie – na podstawie danych podatkowych wskazują oni, że zwroty z kapitału od lat przewyższają wzrost gospodarczy, co przekłada się na coraz większe i strukturalne nierówności majątkowe.

Czy w przypadku mieszkań można ten proces jakoś zatrzymać? Niektóre europejskie miasta stawiają na mieszkalnictwo publiczne, czyli położone w centrum osiedla budowane na miejskich gruntach za miejskie pieniądze, a w nich lokale wynajmowane za relatywnie niski czynsz. Wszystko to nie jako rozwiązanie awaryjne, dla najbiedniejszych, lecz jako pomysł systemowy. Przypadek Wiednia od lat udowadnia, że jeśli takich mieszkań komunalnych jest w dzielnicy wystarczająco dużo, to ich niskie czynsze ciągną w dół również okoliczne czynsze komercyjne.

Oprócz Wiednia należy też wyróżnić Amsterdam. Oba miasta uniknęły największej pułapki – budowania takich mieszkań na przedmieściach (bo taniej). Tak powstają osiedla ubóstwa i przestępczości. Dobrze to widać na przykładzie Paryża – mieszkańcom banlieue doskwierają słabe połączenia komunikacyjne oraz niski poziom szkół i usług publicznych, co prowadzi do regularnych napięć społecznych. Budownictwo socjalne na przedmieściach doprowadziło do segregacji i odizolowania mieszkańców. Jednocześnie we wszystkich tych krajach, również w wolnorynkowych Stanach, pojawiają się pomysły, żeby prawnie ograniczyć korporacyjne zakupy nieruchomości. Ostatnio w Izbie Reprezentantów za sprawą Alexandrii Ocasio-Cortez wybrzmiało nawet hasło, że „mieszkanie to nie towar".

Można jednak pójść dalej. Ingrid Robeyns, belgijsko-holenderska filozofka z uniwersytetu w Utrechcie, w książce „Limitarisme" wzywa do ograniczenia majątków np. do 250-krotności mediany dochodów w danym kraju (w USA byłoby to ok. 20 mln dol.; majątek Elona Muska niedawno przekroczył 500 mld dol.). Miałoby „na nowo powiązać akumulację majątku z rzeczywistymi zasługami". Prędzej czy później jakiś populistyczny polityk coś takiego zaproponuje. A jeśli mainstream nie znajdzie pośredniego rozwiązania – choćby na wzór podatku Zucmana – może znajdzie się i taki lider, który wraz ze swoimi zwolennikami bez domów i ziemi chwyci za widły i ruszy na dwór z płonącymi pochodniami.

W przeciwnym razie może się ziścić scenariusz zapowiadany przez Steve'a Bannona, byłego doradcę Trumpa i ideologa ruchu MAGA. Gdy już pokłócił się z prezydentem m.in. o robione przez niego „na boku" deale na rynku nieruchomości i deweloperki, które sam nazwał „początkami neofeudalizmu", rzucił dziennikarzom: „Jesteście niczym więcej niż XVIII-wiecznymi rosyjskimi chłopami pańszczyźnianymi. Może lepiej odżywieni, lepiej ubrani i lepiej wykształceni. Ale niczego nie posiadacie. I niczego nie będziecie posiadać".

ŁUKASZ WÓJCIK

© JOE RAEDLE/GETTY IMAGES, ADAM GRAY/GETTY IMAGES

eprasa.pl e445b60032

Pochłonął nas gniew



Miasto Gaza po izraelskim ataku. Nie tylko Palestyńczycy przegrali w tej wojnie.

W Tel Awiwie rozmawiamy z byłym premierem Izraela Ehudem Olmertem o końcu wojny w Strefie Gazy, o koniecznym państwie dla Palestyńczyków. I o tym, dlaczego Izrael zatracił się w odwecie.



Ehud Olmert (ur. 1945) – w latach 2006–09 premier Izraela, wcześniej burmistrz Jerozolimy. Prowadził rozmowy pokojowe z Palestyńczykami, które jednak – mimo wysiłków prezydenta USA Baracka Obamy – nie doprowadziły do przełomu. Karierę polityczną zaczynał w prawicowej partii Likud, z której wywodzi się też Beniamin Netanjahu. W 2005 r. z ówczesnym premierem Arielem Szaronem współzakładał ugrupowanie Kadima i został jego liderem. W 2014 r. skazany na sześć lat za korupcję (wyrok skrócono do 27 miesięcy, przesiedział 16 miesięcy). W 2017 r. ułaskawiony przez ówczesnego prezydenta Reuwena Riwlina. Felietonista lewicowo-liberalnego dziennika „Haarec".

AGNIESZKA ZAGNER: **– Kto wygrał tę wojnę?**

EHUD OLMERT: – Tu nie ma prostej odpowiedzi. 70 proc. budynków w Strefie Gazy jest zrównanych z ziemią, setki tysięcy Palestyńczyków straciło domy, dorobek życia, wszystko. Zginęło 60–80 tys. ludzi, niektórzy mówią nawet o 100 tys. Z pewnością jest to druzgocąca klęska Hamasu. Ale sposób, w jaki ta wojna się rozpoczęła, był niezwykłą porażką Izraela, która jeszcze przez lata będzie miała dla nas swoje konsekwencje. Palestyńczycy również przegrali. Jeśli ich celem było podważyć pozycję Izraela na Bliskim Wschodzie, to stało się odwrotnie: Syria – rozpadła się, jemeńscy Huti – nie są prawdziwym graczem, Hamas – zniszczony, Iran – utracił swą wcześniejszą siłę odstraszania, poważnie osłabiony przez izraelskie ataki. Więc oni wszyscy także przegrali.

W takim razie czy Izrael wygrał?

Patrząc dziś na status Izraela na świecie – nie. Stracił pozycję kraju atrakcyjnego, pozytywnie postrzeganego przez społeczność międzynarodową. Najbardziej wymownym przykładem był szczyt w Szarm el-Szejk, dokąd zaproszono połowę Europy, kraje arabskie. Jednego kraju nie zaproszono – Izraela. Dlaczego? Bo gdyby został zaproszony, inni by nie przyjechali.

Może to jest właśnie zwycięstwo Hamasu? Wniósł sprawę palestyńską na poziom międzynarodowy.

eprasa.pl e445b60032

Można tak powiedzieć. Ale trzeba też zadać pytanie, jakim kosztem.

Kto ma tę krew na rękach? Hamas czy Izrael?

Winny jest Hamas, bo to oni zaczęli. Bez tego nie byłoby rozlewu krwi ani po jednej, ani po drugiej stronie. Można natomiast kwestionować proporcjonalność działań. Prezydent Joe Biden powiedział kiedyś w Izraelu: „Po 11 września w Ameryce byliśmy tak rozjuszeni, że straciliśmy poczucie proporcji. Nie pozwólcie, żeby emocje was pochłonęły, bo stracicie proporcje". A my daliśmy się pochłonąć emocjom.

Jako jeden z niewielu izraelskich polityków mówi pan o zbrodniach wojennych popełnionych przez Izrael w Gazie.

To prawda, ale muszę zastrzec, że nie było tam ludobójstwa. Nie było polityki eksterminacji Palestyńczyków, nie było planu zbrodni. Przez pewien czas ta wojna miała szerokie poparcie. Świat mówił: „Izrael ma prawo walczyć z Hamasem". Wszyscy wiedzieli, że Hamas ukrywa się na gęsto zaludnionym obszarze, więc będą ofiary cywilne. Ale świat powiedział: „Nie dyskutujmy o tym teraz". To się jednak skończyło. Byli dowódcy armii, Mosadu, służb bezpieczeństwa, tysiące zasłużonych oficerów podpisało petycję, że ta wojna jest nielegalna. A jeśli wojna jest nielegalna, a giną żołnierze i cywile – zakładnicy też byli narażeni – to z definicji jest to zbrodnia.

Wiemy, że wojna mogła się skończyć już w 2024 r., gdy Hamas zgodził się uwolnić wszystkich zakładników. Dlaczego tak się nie stało?

Beniamin Netanjahu nie chciał wtedy ich uwolnienia. To jedyny powód.

To co się zmieniło?

Prezydent Donald Trump zrobił to, co mógł zrobić już wcześniej – zmusił Netanjahu do zakończenia wojny. Kluczowe jest to słynne zdjęcie z Gabinetu Owalnego: Netanjahu siedzi, a Trump przekazuje mu telefon i mówi: „Teraz przeprosisz Katarczyków" (za izraelski atak z 9 września – przyp. red.). Gdyby tego nie zrobił, Katarczycy nie pośredniczyliby w zawarciu umowy z Hamasem. A bez nich to by się nie udało.

Atak na Katar to był największy błąd Netanjahu?

Na pewno jeden z wielu. Przede wszystkim Netanjahu oddalił Izrael od Partii Demokratycznej w USA. Ostrzegaliśmy go, że relacje Izraela z Ameryką opierają się na dwupartyjnym poparciu. Poleganie wyłącznie na Republikanach musiało się źle skończyć. Teraz w Ameryce nie ma nikogo, do kogo Netanjahu mógłby się zwrócić. Poza Trumpem, ten więc może go zmusić do wszystkiego.

Co dalej? Czy jest szansa na powrót do rozwiązania dwupaństwowego?

Nie ma innego rozwiązania. Izrael musi wybierać: albo utrzyma obecny stan z obecnością wojskową w części Strefy Gazy, Hamasem odbudowującym potencjał militarny i za kilka lat powrotem wojny, albo zdecyduje się na dialog z Palestyńczykami. Gdyby ktoś po drugiej wojnie światowej powiedział Niemcom, Francuzom czy Polakom, że za 40 lat będą najlepszymi przyjaciółmi, nikt by nie uwierzył. A jednak tak się stało. Tak samo może być tu.

Prawie 20 lat temu powiedział pan w Annapolis: „Jeśli nadejdzie dzień, w którym rozwiązanie dwupaństwowe się załamie i będziemy musieli zmierzyć się z walką o równe prawa wyborcze (również dla Palestyńczyków na terytoriach zależnych) na wzór RPA, to Państwo Izrael będzie skończone".

Niestety, to jest wciąż aktualne i prawdziwe. Albo znajdziemy polityczne, rozsądne i akceptowalne dla obu stron rozwiązanie, albo będziemy kontynuować okupację i konfrontację, co wstrząśnie fundamentami Państwa Izrael, a nawet może je zniszczyć.

Tylko czy Izrael ma partnera po drugiej stronie? Netanjahu przez lata twierdził, że nie ma z kim rozmawiać.

Jak to nie ma z kim? Proszę spojrzeć na ten dokument – to oświadczenie, które podpisałem w lipcu 2024 r. z byłym ministrem spraw zagranicznych Autonomii Palestyńskiej Naserem al-Kudwą, który obecnie jest po przeciwnej stronie obozu politycznego niż prezydent Mahmud Abbas. W tej chwili znów jest w Ramallah i może być jednym z kandydatów do przywództwa w Autonomii. Napisaliśmy w tym oświadczeniu, że chcemy współpracować na rzecz pokoju między narodem palestyńskim i izraelskim – i szerzej na Bliskim Wschodzie. Że możliwe jest państwo palestyńskie obok izraelskiego na podstawie granic z 1967 r. Jest tu również mowa o aneksji 4,4 proc. terytorium palestyńskiego ze względów „praktycznych i bezpieczeństwa" z odpowiednimi rekompensatami na rzecz Palestyńczyków i o utworzeniu korytarza łączącego Zachodni Brzeg Jordanu ze Strefą Gazy. Gdy dziś czytam 21 punktów planu Trumpa, mam poczucie déjà vu. Nasz dokument to esencja planu Trumpa, tyle że my przedstawiliśmy go 15 miesięcy temu.

Szkopuł w tym, że pod pana dokumentem nie widnieje podpis Abbasa i Netanjahu, ale byłego palestyńskiego ministra skłóconego ze swoim prezydentem, a pan nie jest już od dawna premierem.

Ale ten dokument przeczy twierdzeniom, że „po tamtej stronie nie ma z kim rozmawiać". To absurd, bo są tu podpisani Izraelczycy i Palestyńczycy. Taki lub podobny dokument można było podpisać już półtora roku temu. A teraz za zaniechanie płacimy sporą cenę.

Nie szczędzi pan pod adresem Netanjahu ostrych słów, nazwał pan nawet jego rząd „przestępczym gangiem". Skoro jest takim fatalnym premierem, czemu jeszcze trwa u władzy?

Izrael wciąż pozostaje demokracją, wybory mamy w 2026 r. Mam jednak nadzieję, że Netanjahu ich nie wygra. Zrobię wszystko, by tak się nie stało. Netanjahu pójdzie do domu albo do więzienia.

Czy nad izraelskimi premierami wisi jakaś klątwa?

Ma pan osobistą satysfakcję, patrząc na jego kłopoty?

Netanjahu był manipulatorem, który działał na różne sposoby, wydając dziesiątki milionów dolarów, żeby wsadzić mnie do więzienia, co mu się w końcu udało, chociaż nigdy nie byłem w nic zamieszany.

Czuje pan urazę?

Nie, żadnej. Nikogo nie nienawidzę, nie mam ukrytych motywów. Po prostu chcę, żeby Netanjahu odszedł z polityki jak najszybciej, ponieważ niszczy podstawowe wartości naszego społeczeństwa. A Izrael, w który wierzę, to państwo demokratyczne, z otwartym społeczeństwem, ze swobodą przemieszczania się, debaty, z wolnością religijną.

Czy taki Izrael jest jeszcze możliwy, jeśli skrajna prawica rośnie w siłę, a całe społeczeństwo również przesuwa się na prawo?

To prawda, ale według sondaży ponad 60 proc. ludzi nie ufa Netanjahu, a blok partii dziś tworzących koalicję nie wygrałby głosowania. Do wyborów jeszcze wiele może się zdarzyć. Będę robił wszystko, by odsunąć Netanjahu od władzy. Będziemy walczyć. ■

© OMAR ASHTAWY/AP/EAST NEWS, ABIR SULTAN/EPA/PAP

eprasa.pl e445b60032



Wojny karaibskie

Gangi z Ameryki Środkowej to dla Białego Domu idealny pretekst, by uderzyć w „coś" na południe od USA

Ataki US Navy na wenezuelskie statki noszą wszystkie znamiona wojny. Ale dlaczego akurat na te statki? I dlaczego wenezuelskie? Tego być może nie wie nawet Donald Trump.

MATEUSZ MAZZINI

Dla osób wnikliwie obserwujących Amerykę Donald Trumpa nic w tej historii nie powinno być zaskoczeniem. Może poza krajem, którego obywatele zostali ostatecznie „zlikwidowani". Według oficjalnych danych do końca ubiegłego tygodnia działania amerykańskiej armii doprowadziły do śmierci 27 obywateli Wenezueli w ramach pięciu operacji morskich.

O kolejnych atakach na łódki rzekomo należące do wenezuelskich gangów i przewożące narkotyki na rynek amerykański można było się dowiedzieć z... profilu Trumpa na jego platformie Truth-Social – to były dwa pierwsze przypadki. O trzecim i piątym wiemy, bo prezydent niemal od niechcenia rzucił informację o nich reporterom w czasie konferencji prasowych. Czwarty został ujawniony przez sekretarza wojny Pete'a Hegsetha, także w mediach społecznościowych.

Na pierwszy rzut oka operacje te stoją w sprzeczności z deklarowanym izolacjonizmem Trumpa. Prezydent USA nadal przekonuje, że jego administracja będzie wojny kończyć, a nie zaczynać. Co więcej, amerykańska armia miała nie angażować się już w żadne działania poza granicami kraju. Nie licząc Los Angeles, na którego ulice trafili marines, jedynym miejscem na planecie, w którym liczebność wojsk USA uległa zwiększeniu, jest granica kraju z Meksykiem.

Tymczasem mamy prezydenta, który w stylu typowym raczej dla George'a W. Busha i Dicka Cheneya wysyła kongresmenom list z deklaracją wojny. W dodatku nie do końca wiadomo, komu tę wojnę wypowiada (kartelom?) i czy czasem nie łamie przy tym prawa – krajowego i przede wszystkim międzynarodowego. Bo w tej historii chodzi o władzę, kontrolę nad służbami i agencjami federalnymi, odpowiednią narrację, ale przede wszystkim – o definicje.

Według Trumpa latynoskie karteli szmuglujące narkotyki stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa USA. Po części można to wytłumaczyć rasizmem, którego Trump nawet nie próbuje ukrywać, co ma odzwierciedlenie w bieżącej kampanii masowych deportacji i prześladowań imigrantów, głównie z krajów latynoskich. Dla niego przybysze z tej części świata z definicji są przestępcami, dlatego trzeba ich usunąć z kraju.

Meksyk czy Wenezuela

Gdyby rzeczywiście chodziło o kartele, prezydent stawiałby raczej na wzmocnienie DEA, federalnej agencji ds. walki z narkotykami, a nie ICE, czyli służby wykorzystywanej w łapankach na imigrantów. Budżet tej ostatniej został tak mocno zwiększony przez obecną administrację, że – jak wyliczył portal The Bulwark – dzisiaj jest ona 17. najlepiej opłacanym podmiotem zbrojnym na świecie. Latynoscy mieszkańcy USA stali się więc dla Trumpa pewną figurą polityczną – zbiorem obcych odpowiedzialnych za społeczne i gospodarcze problemy kraju.

© GETTY IMAGES

eprasa.pl e445b60032

Nie zmienia to faktu, że przez ostatnie lata takie gangi jak wenezuelski Tren de Aragua, ale też tzw. maras, działające w całej Ameryce Środkowej MS-13 i Barrio 18, stały się problemem na całej półkuli zachodniej. Wywodzą się z Wenezueli, Salwadoru czy Hondurasu, ale doskonale sobie radzą na terenach innych państw, także tych do niedawna wolnych od przestępczości zorganizowanej, jak Chile. Przenikają też do społeczności imigranckich. To skomplikowana sieć zależności: część imigrantów jest już na miejscu zastraszana, ma dług do spłacenia albo ochrania pozostałą w ojczyźnie rodzinę, współpracując z gangami, bo nie ma innego wyboru.

Problem polega na tym, że kartele, zwłaszcza wenezuelskie, ani nie stanowią zagrożenia dla amerykańskiej demokracji, ani nie są źródłem fentanylu i innych opioidów zabijających obywateli USA na masową skalę. Nie wiadomo, czy Trump tego nie wie, czy taką wiedzę ignoruje. Dotychczasowe działania jego administracji każą raczej myśleć, że bardzo mu zależy, żeby uderzyć w coś lub kogoś na południe od własnej granicy.

Dlatego jedynym zaskoczeniem jest fakt, że pierwszymi ofiarami stali się właśnie Wenezuelczycy, a nie np. Meksykanie. Bo przecież już w pierwszej kadencji, co wiadomo z licznych wywiadów Johna Boltona, jego byłego głównego doradcy ds. bezpieczeństwa, Trump chciał użyć baterii rakiet Patriot przeciw kartelom meksykańskim, ale został powstrzymany przez doradców. A w marcu CIA zaczęła wysyłać drony nad laboratoria produkcji opioidów na obrzeżach stolicy Meksyku. Już samo to można byłoby uznać za naruszenie suwerenności państwa meksykańskiego.

W sierpniu „The Washington Post" ujawnił, że Trump rzeczywiście chciał uderzyć za pomocą wojska (a więc nie agencji wywiadowczych) w cele głęboko na terytorium Meksyku, ale opór w samej administracji znów był zbyt duży. To ważne, bo pozwala zrozumieć, skąd wzięła się wrześniowa eskalacja działań wobec wenezuelskich grup przestępczych. Tu nie ma żadnej głębokiej filozofii, prezydent chciał urządzić pokaz siły gdzieś na południu, a w przypadku Wenezuelczyków było to łatwiejsze i politycznie mniej kosztowne.

Trump już za pierwszej kadencji szczerze nie cierpiał prezydenta Wenezueli Nicolása Maduro. Wówczas jednak nikt w Waszyngtonie nie miał jeszcze apetytu na bezpośrednią konfrontację. Dziś jest inaczej, co widać nawet w doborze osób, które w administracji USA odpowiadają za odcinek wenezuelski. Nie pracują już tam zawodowi dyplomaci, nawet mówiący płynnie po hiszpańsku sekretarz stanu Marco Rubio ma niewiele do powiedzenia.

Niespodziewany Nobel

Głównodowodzącym jest Richard Grenell, były trumpowski ambasador w Niemczech, a dziś jeden z trzech prezydenckich „specjalnych wysłanników". Pozostali to Steve Witkoff, nowojorski deweloper, który ma rozwiązać problemy Ukrainy i Bliskiego Wschodu, oraz Erik Prince, założyciel najemniczej firmy Blackwater, zajmujący się głównie Afryką i zabezpieczeniem źródeł zasobów naturalnych.

Grenell jeszcze w styczniu ściskał dłoń Maduro w czasie oficjalnej wizyty w Wenezueli. Co skłania do przypuszczenia, że na początku Biały Dom liczył na porozumienie z wenezuelskim dyktatorem. I znów – nie byłoby to takie dziwne, skoro prezydent USA zaprzyjaźnił się z Nayibem Bukele, autokratą z Salwadoru, i odnowił relację z Aleksandrem Łukaszenką. Autokraci ewidentnie mu nie przeszkadzają, wręcz przeciwnie – uważa ich za konkretnych polityków, z którymi łatwo się dogadać.

Maduro nie odpowiedział jednak na zaproszenie do dyplomatycznej gry, bo nienawiść do Ameryki, od lat sponsorującej prawicową wenezuelską opozycję, pozostaje jedną z niewielu płaszczyzn retorycznych, na których reżim jest jeszcze wiarygodny. Jakiekolwiek ustępstwa w tym zakresie mogłyby być śmiertelnym zagrożeniem dla sypiącej się od środka dyktatury. Migranci nadal docierali do USA, narkotyków nie ubywało, przynajmniej według Białego Domu. Ale sam Maduro niewiele mógł tu zdziałać, bo nie kontroluje Tren de Aragua. Już prędzej jest na odwrót. To ten kartel korumpuje wojskowych i polityków reżimu, aby ułatwić sobie przerzuty migrantów na północ (do USA) i południe (do Peru i Chile).

Trump jednak nie bawi się w niuanse. Podniósł nagrodę za ujęcie Maduro do 50 mln dol., wpisał Tren de Aragua na listę „zagranicznych organizacji terrorystycznych", a w sierpniu zezwolił Pentagonowi na użycie wojska przeciw latynoskim kartelom. Żeby Wenezuelczycy zrozumieli, że gra toczy się na poważnie, Amerykanie wysłali w pobliże tamtejszych wód terytorialnych kilka jednostek marynarki wojennej (łącznie na ich pokładzie było 4,5 tys. żołnierzy).

Na dodatek 10 października María Corina Machado, liderka wenezuelskiej opozycji, dostała Pokojową Nagrodę Nobla. Dla Trumpa był to spory problem – sam oczekiwał tego wyróżnienia, ale jednocześnie bliska mu ideowo laureatka wielokrotnie dziękowała za twardą politykę wobec reżimu Maduro. Do zmiany władzy w Caracas wprawdzie jeszcze daleko, a sam Nobel niewiele zmienia w sytuacji ukrywającej się Machado, ale już widać, że gdyby to ona zastąpiła Maduro, relacje z Waszyngtonem z dnia na dzień stałyby się bliskie ideału. Tym bardziej dziwić mogą ostatnie działania amerykańskiej marynarki.

Gdzie te opioidy?

Nie wiadomo, kim byli ludzie zabici we wrześniu przez US Navy ani czy na pewno brali udział w przemycie narkotyków. Już samo użycie okrętów bez asysty straży przybrzeżnej było precedensem, podstawy prawne interwencji też są dość kontrowersyjne. Służby mundurowe mogą dążyć do eliminacji wrogów, gdy ci stanowią bezpośrednie zagrożenie dla strony amerykańskiej. Trudno uwierzyć, żeby kuter z czterema osobami na pokładzie mógł zagrozić okrętowi.

Doszło więc do sytuacji, w której Trump kazał zatopić obce statki bez informacji wywiadowczych i specjalnego celu strategicznego. Kartelom wydaje wojnę, choć trudno stwierdzić, kto walczy po drugiej stronie. Przemytnicy i gangsterzy nie noszą wszak mundurów i w przeciwieństwie do chociażby Al-Kaidy nie chwalą się swoimi dokonaniami ani nie życzą śmierci Ameryce. Nie mówiąc już o jednym drobnym szczególe.

To miała być wojna z fentanylem i opioidami. One nie trafiają jednak do USA z Wenezueli, lecz z Meksyku, gdzie są produkowane z chińskich chemikaliów. Niedawno na łamach „The Atlantic" Nick Miroff zauważył, że zdecydowana większość skonfiskowanych narkotyków płynących drogą morską to kokaina i marihuana. Wystarczy przejrzeć informacje prasowe amerykańskiej straży przybrzeżnej: dużo tam o białym proszku, słowo „fentanyl" nie pada ani razu. ■

eprasa.pl e445b60032





Oko w oko

Czy na tle innych ssaków w ludzkim spojrzeniu jest coś wyjątkowego? Odpowiadają dr hab. Dariusz Danel, dr hab. Sławomir Wacewicz i dr Juan Olvido Perea-García, badacze ewolucyjnej roli wyglądu oczu.

KASPER KALINOWSKI: **– Amerykański antropolog Donald D. Brown, tworząc listę ludzkich uniwersaliów (zachowań obecnych w każdej kulturze), zaliczył do nich komunikowanie się za pomocą wzroku. Ludzkie oczy są wyjątkowe?**

SŁAWOMIR WACEWICZ: – Wyjątkowa jest przede wszystkim tolerancja człowieka na cudze spojrzenie. To podstawa, która umożliwia nam komunikację za pomocą wszystkich sygnałów wykorzystujących oczy. Mam na myśli zarówno mimikę, jak i kierunek spojrzenia. W przypadku ludzi przyzwolenie na kontakt wzrokowy jest o wiele większe niż u pozostałych małp człekokształtnych, gdzie w większości wypadków spojrzenie komuś prosto w oczy to sygnał agresji.

W horrorach nietypowe oczy odbierają człowieczeństwo. W realnych relacjach także są problemem?

S.W.: – Tak. Na przykład przyciemnienie twardówki sprawia, że darzymy kogoś o wiele mniejszym zaufaniem. Badania wskazują, że zachowują się tak już małe dzieci: są w stanie zaufać osobom mającym jakieś nietypowe cechy (np. szpiczaste uszy), ale nie osobnikom z ciemną twardówką.

JUAN OLVIDO-PEREA GARCÍA: – Jako ludzie jesteśmy wyspecjalizowani w „odczytywaniu twarzy". Nie wąchamy się nawzajem, jak psy czy inne gatunki, więc chcąc ocenić czyjeś intencje czy stan emocjonalny, polegamy wyłącznie na informacjach wizualnych. Takie sygnały przetwarzamy szybko i automatycznie. Dlatego ciemne oczy są tak przerażające. Niepokoją nas nawet niewielkie zmiany w stosunku do wzorca, który uważamy za normalny – to podstawa ksenofobii. Ciemne oczy ukrywają również kierunek spojrzenia i utrudniają odczytanie intencji.

Na czym polegało wasze badanie nad hominidami?

S.W.: – Stworzyliśmy komputerowo twarze „małpoludów". Nie były to rekonstrukcje faktycznie żyjących kiedyś hominidów, lecz twarze o zmieszanych cechach ludzkich i małpich. Badanym z całego świata pokazywaliśmy je w dwóch wersjach – z „ludzką", białą twardówką i z bardzo ciemną twardówką. Te pierwsze były oceniane jako młodsze, zdrowsze, atrakcyjniejsze i budzące większe zaufanie, mniej agresywne. Użyliśmy „małpoludów", ponieważ ich twarze wyglądają naturalnie w obu wersjach. Gdybyśmy tak samo zmodyfikowali ludzkie oblicza, ich nienaturalny wygląd od razu rzuciłby się w oczy.

Jaśniejsza twardówka była dla *Homo* w toku ewolucji korzystna?

S.W.: – Na pewno! Mimo pewnej różnorodności ludzie na całym świecie mają względnie białe twardówki, co wskazuje, że mogła tu działać jakaś presja selekcyjna. W innym wypadku ta różnorodność byłaby dużo większa, jak np. u bonobo, gdzie zdarzają się osobniki zarówno o dość ciemnych, jak i zaskakująco jasnych twardówkach. Ba, ubarwienie twardówki w prawym oku bonobo może znacznie różnić się od tego w lewym.

Nie dowiemy się, jak wyglądały oczy naszych ewolucyjnych przodków. Może to cecha, która odróżniała *Homo sapiens*, i dlatego ciemne oczy budzą strach?

S.W.: – W tym przypadku nie mamy właściwie żadnych twardych danych! Wszystkie rekonstrukcje naszych prehistorycznych





eprasa.pl e445b60032




przodków bazują wyłącznie na spekulacji. Czy jasna twardówka pojawiła się np. u pierwszych *Homo erectus*, a może wcześniej lub później? Możemy oczywiście zgadywać, ale...

J.O.P-G.: – Być może w niedalekiej przyszłości uda nam się uzyskać dość dobre przybliżenie. Wciąż się dowiadujemy, które geny są odpowiedzialne za wygląd poszczególnych części oka. W przypadku koloru tęczówki jest ich co najmniej kilkadziesiąt. Szczególnie ciekawa jest też koncepcja, według której wygląd oczu odróżniał nas od blisko spokrewnionych gatunków. Znane są przypadki, w których gatunki rozwijają ozdoby (np. specyficzne pióra u ptaków), aby zapobiec krzyżowaniu się dwóch blisko spokrewnionych gatunków. W przypadku wymarłych gatunków ludzi mogło być podobnie.

W eksperymentach, gdy nad puszką organizacji humanitarnej umieszczono zdjęcie oczu, wysokość datków wzrosła niemal trzykrotnie, a oczy nad stojakami na rowery zmniejszyły kradzieże jednośladów o 60 proc. Dlaczego?

DARIUSZ DANEL: – Chodzi tu o tę drugą funkcję, o której powiemy jeszcze dalej – informacyjną, sygnalizacyjną. Do tego odnosiły się eksperymenty, które postulowały istnienie tzw. efektu patrzących oczu. Ten symbol sygnalizuje nam, że jesteśmy obserwowani, kontrolowani, że ktoś nam patrzy na ręce. Przez to, często zupełnie podświadomie, staramy się zachowywać w sposób bardziej uczciwy i prospołeczny. Według autorów tych klasycznych badań świadomość bycia obserwowanym powodowała znaczne zmniejszenie liczby kradzieży. Analogiczne wyniki zaobserwowano w przypadku prób ograniczenia śmiecenia. W szerszej perspektywie eksperymenty te pokazują również, jak mocno w naszej naturze zakorzeniony jest strach przed utratą prestiżu, statusu, dobrego imienia – nie tyle wskutek przekroczenia norm społecznych, ile z powodu bycia widzianym. Można to wykorzystywać w działaniach prewencyjnych. Nie bez powodu wiele infografik używa symbolu patrzących oczu.

Może więc oczy powinny wisieć w każdym urzędzie i na salach egzaminacyjnych. Zadziałałyby?

D.D.: – Bardzo dobry trop! Być może wszyscy w naszych społecznościach lepiej wywiązywaliby się ze swoich zobowiązań i rzetelniej wykonywaliby swoje obowiązki. Choć musimy mieć też świadomość, że mogłoby dojść do tzw. habituacji bodźca – przyzwyczailibyśmy się do wiszących na każdym kroku patrzących oczu i nasze reakcje uległyby osłabieniu. Poza tym z późniejszych badań wynika, że efekt patrzących oczu jest słabszy niż pierwotnie zakładano i zależy od kontekstu społecznego, np. od stopnia anonimowości sytuacji.

Wiemy, jakie oczy są atrakcyjne?

D.D.: – Badań nad pięknem oczu jest mnóstwo. Niektóre skupiają się na ich ogólnym wyglądzie: rozmiarze, kształcie, kolorze tęczówki. Względnie duże i okrągłe oczy kobiet są często traktowane jako wskaźnik atrakcyjności fizycznej. Prace z lat 90. XX w. wiązały to zjawisko z neotenią, czyli młodzieńczością. A w ujęciu biologii ewolucyjnej była to cecha premiowana przez dobór płciowy, bo wskazywała na duży potencjał reprodukcyjny kobiet.

Bardziej współczesne badania skupiają się na precyzyjnej analizie związku z atrakcyjnością poszczególnych struktur oka. Okazuje się chociażby, że bardzo ciekawą i nieoczywistą cechą jest tzw. pierścień rąbkowy – struktura niekiedy widoczna w postaci ciemnego okręgu otaczającego tęczówkę. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni o mocno zarysowanym pierścieniu rąbkowym mogą być postrzegani jako bardziej atrakcyjni z powodu podejrzewanej korelacji z tą strukturą takich atrybutów jak młodość i zdrowie. Inne cechy to np. źrenica i tęczówka. O ile gdy sam kolor tej drugiej nie musi mieć bezpośredniego i prostego przełożenia na atrakcyjność, o tyle jej wielkość już tak. Niedawno opublikowane wyniki badań wykazują, że zwężone źrenice, a więc szerokie tęczówki – zarówno u kobiet, jak i u mężczyzn – mogą być atrakcyjne. Sam kolor tęczówki wydaje się mieć znaczenie drugorzędne.

Badania naszego zespołu, finansowane z grantu Opus NCN (2023/49/B/HS6/02343), również dostarczają ciekawych obserwacji. We wspomnianej pracy dotyczącej zabarwienia tzw. białka oka, czyli widocznej części twardówki, u naszych ewolucyjnych przodków wykazaliśmy, że tzw. małpoludy z jaśniejszą ▶

© SHUTTERSTOCK (8)




eprasa.pl e445b60032



▶ twardówką były postrzegane jako młodsze, zdrowsze, mniej agresywne, godne większego zaufania oraz ogólnie bardziej atrakcyjne. Co ciekawe, gdy badaliśmy ogólny kształt szpary ocznej (względną szerokość i wysokość), nie zauważyliśmy związku z atrakcyjnością. Niemniej w innym badaniu odkryliśmy, że kształt szpary ocznej istotnie różni się między płciami. W porównaniu z kobietami mężczyźni mieli szerszą szparę oczną, z bardziej wydłużoną białą częścią oka, czyli twardówką, występował u nich silniej zaznaczony kontrast między tęczówką a twardówką. Jeszcze bardziej zaskakujące było odkrycie, że zaobserwowane różnice międzypłciowe są szczególnie wyraźne prawdopodobnie tylko u osób o białym kolorze skóry.

Z czego w takim razie mogą wynikać?

D.D.: – To bardzo dobre pytanie. Po pierwsze, wyniki naszych prac nie są ostateczne. Teraz wraz z naszymi przyjaciółmi z Uniwersytetu Karola w Pradze inicjujemy duży międzynarodowy projekt poświęcony badaniu zróżnicowania etnicznego morfologii oka. Chcemy objąć badaniami populacje z różnych kontynentów reprezentujące możliwie najwięcej środowisk życia. Dotychczas nikt tego nie robił, a co gorsza, panowały błędne przekonania o tym, że np. oczy wszystkich ludzi na świecie cechują się jednorodnie białą twardówką. Dziś wiemy już, że to nieprawda.

Wracając jednak do naszych roboczych hipotez. W świecie zwierzęcym mechanizmów, które prowadzą do wytworzenia różnic międzypłciowych, może być kilka. Tym najbardziej klasycznym jest dobór płciowy. W dużym uproszczeniu, jeśli dana cecha osobnika przyczynia się do zwiększenia sukcesu reprodukcyjnego pary zwierząt, to będzie preferowana przez płeć przeciwną. Zatem cechy mogą ewoluować odmiennie u obu płci.

Problem polega na tym, że w takim przypadku spodziewaliśmy się właśnie jakiegoś związku kształtu oka z atrakcyjnością, a tego nie stwierdziliśmy. Sugeruje to, że rola doboru płciowego w ewolucji odkrytego dymorfizmu płciowego mogła być ograniczona. Inny mechanizm, który może tłumaczyć nasze wyniki, wiąże się ze specjalizacją środowiskową, jaka może wystąpić u obu płci. W takim przypadku należałoby założyć, że na mężczyzn i kobiety działała inna presja selekcyjna, która doprowadziła do ewolucji tego zróżnicowania. Musiałaby jednak działać szczególnie w przypadku przodków obecnie żyjących populacji białoskórych. Dziś trudno jednoznacznie zdefiniować takie czynniki różnicujące.

Możliwe jest także to, że odkryte zróżnicowanie płciowe nie ma żadnego znaczenia funkcjonalnego i jest jedynie produktem ubocznym ewolucji innych cech, np. struktur twarzy, głowy.

Uczciwie musimy powiedzieć, że w tej chwili nie wiemy, co doprowadziło do wytworzenia takiego dymorfizmu płciowego ani czy rzeczywiście jest on charakterystyczny tylko dla osób pochodzenia europejskiego. Liczymy, że na te pytania odpowiedzą nasze dalsze badania. Jeśli jednak różnice płciowe w morfologii oczu faktycznie nie wiążą się z doborem płciowym, to mechanizm ich powstania byłby niezwykle zaskakujący.

Powszechnie przyjęta teoria mówi, że wygląd ludzkich oczu to cecha, która nasilała współpracę. Zgadzacie się z nią?

S.W.: – Kiedy ok. 10 lat temu zaczynaliśmy nasze badania, byłem bardzo gorącym zwolennikiem tej hipotezy. Dla zwierzęcia takiego jak człowiek oczy są najważniejsze nie na jeden, lecz na dwa sposoby: dostarczają kluczowych informacji, ale też takie zdradzają. Każde działanie poprzedza spojrzenie: zanim coś podniesiesz lub kogoś uderzysz, musisz na to coś lub na tego kogoś spojrzeć. Widząc, na co patrzysz, dostaję kluczowe informacje pozwalające mi z dużą dokładnością przewidzieć, co zamierzasz zrobić.

I tu zaczyna się najciekawsza sprawa: jeśli działamy wspólnie, np. razem naprawiamy samochód albo wnosimy szafę na czwarte piętro, to moje przewidywanie twoich działań jest korzystne dla nas obu i pozwala nam lepiej współpracować. Jeśli jednak ze sobą rywalizujemy, to przewidując twoje działania, zdobywam przewagę. Mogę np. zabrać ci żywność, którą zdobyłeś, albo uniknąć twojego ciosu. Z tego względu w warunkach współpracy zależy nam, żeby spojrzenie było czytelne (przesuń szafę w tamtą stronę), a w warunkach konkurencji jest dokładnie na odwrót. Nieprzypadkowo pokerzyści zakładają ciemne okulary – odsłaniając oczy, dają bowiem przeciwnikom przewagę w postaci dostępu do swoich emocji i intencji.

Wydaje się, że podobnie sytuacja wygląda u małp człekokształtnych, gdzie spojrzenie w oczy jest generalnie zakazane. I w latach 90. stan badań, zwłaszcza przełomowe prace Japończyków, doskonale pasował do tego obrazka: inne małpy konkurują ze sobą, więc morfologia oczu sprzyja ukrywaniu kierunku spojrzenia, a my, ludzie, współpracujemy, stąd też mamy całkowicie inne ubarwienie oczu, które kierunek spojrzenia uwydatnia. Ostatnie kilka lat przyniosło jednak badania, które przeczą tym – wydawałoby się bardzo sensownym – założeniom.

J.O.P-G.: – Nie zgadzam się, że sensownym. To pomysł, który intuicyjnie wydaje się poprawny, ale opiera się na niezrozumieniu niektórych rzeczy. Pomija choćby to, jak wyglądają ludzkie oczy i oczy innych naczelnych, i wyolbrzymia to, co czyni nas, ludzi, wyjątkowymi. Jego podstawą jest założenie, że nasze oczy są wyjątkowe wśród naczelnych, ponieważ są wyraźnie widoczne. W ciągu ostatniej dekady wykazałem, że u innych naczelnych jest podobnie. Niektóre mają wyraziste oczy, ponieważ ich „białka" są bardzo jasne, a tęczówki ciemniejsze. Inne, jak szympansy, mają wyjątkowo ciemne „białka", ale ich tęczówki są bardzo jasne. W momencie formułowania hipotezy o współpracy naukowcy dysponowali jedynie bardzo słabymi i nielicznymi pomiarami. Nie mieli wystarczająco dużo danych. Próbując zrozumieć, co sprawia, że ludzie są wyjątkowi, zauważyłem też, że mamy tendencję do myślenia, że coś nas wyróżnia, ale później odkrywamy, że tak nie jest. Przez lata pracy nad tym zagadnieniem stało się dla mnie jasne: my tylko myślimy, że jesteśmy wyjątkowi. Częścią pracy biologów jest wyjście poza takie absurdalne przekonania.

I to im się udaje.

J.O.P-G.: – Jeszcze kilkadziesiąt lat temu tak się stało w przypadku narzędzi. Później – z umiejętnością rozpoznawania



Dr **Juan Olvido Perea-García** – profesor na Uniwersytecie Las Palmas de Gran Canaria (ULPGC). Jako badacz multidyscyplinarny stara się zrozumieć różnice w wyglądzie zewnętrznym oczu u ssaków naczelnych.

eprasa.pl e445b60032



siebie w lustrze, co rzekomo oznaczało, że mamy pojęcie „jaźni". Jeszcze później ludzi miała wyróżniać umiejętność „myślenia o tym, co myślą inni" (tzw. teoria umysłu), a niedawno dotyczyło to również snów czy odczuwania smutku po śmierci bliskich (żałoba). Im lepiej rozumiemy inne gatunki, tym bardziej zdajemy sobie sprawę, że nie jesteśmy aż tak specyficzni w tym, jak współpracujemy. Kiedy jakieś badania mówią coś innego, podchodzę do tego sceptycznie. Czekam na kolejne dane.

Jeśli nie współpraca, to co?

J.O.P-G.: – Cokolwiek. A może nawet nic! Istnieje pogląd, że w biologii wszystko pełni jakąś funkcję. Określa się to adaptacjonizmem. Ewolucja nie polega jednak na „wybieraniu tego, co funkcjonuje, i przenoszeniu tego w przyszłość", lecz na „selekcji lub eliminacji tego, co szkodzi". A zatem działa „przeciw" cechom obniżającym dostosowanie. Istnieje wiele cech, które nie są szkodliwe, więc selekcja ich nie dotyczy. Kolor oczu może być jedną z nich. Być może nie ma żadnego znaczenia. Byłby to więc czysty przypadek.

Istnieje również wiele konkurencyjnych hipotez. Najlepiej udokumentowana dotyczy fotoprotekcji – podobnie jak nasza skóra przyjęła różne kolory, aby chronić nas przed szkodliwym działaniem promieniowania UV, tak samo mogło się stać z „białkami" oczu u naczelnych. Ma to na celu ochronę wyspecjalizowanych komórek, które odnawiają rogówkę (przezroczystą warstwę pokrywającą oko). Gdy słońce je uszkadza, mogą zacząć działać nieprawidłowo. Jeśli staną się nieprzezroczyste, ślepniemy. U naczelnych pigment w „białkach" może więc chronić te komórki. U ludzi jest trochę inaczej – te komórki są chronione przez górną i dolną powiekę, więc nie potrzebujemy tak dużo pigmentu jak inne gatunki naczelnych.

Badałeś orangutany w środowisku naturalnym. Ich oczy różnią się od ludzkich?

J.O.P-G.: – W zależności od osobnika, niektóre są bardzo podobne do naszych – z jasnymi białkami i brązowymi tęczówkami. Sam byłem zszokowany, gdy 10 lat temu po raz pierwszy zobaczyłem orangutana sumatrzańskiego. Zdarzają się jednak także oczy z bardzo ciemnymi białkami i jaśniejszymi tęczówkami – jak u szympansów. Tyle że cała nasza wiedza pochodzi z obserwacji gołym okiem i zdjęć wykonanych w niekontrolowanych warunkach. Łącznie to cztery badania, które uwzględniły nie więcej niż 100 zdjęć orangutanów.

Jeszcze dwa lata temu naukowcy sądzili, że szympansy posiadają czarne twardówki…

J.O.P-G.: – Recenzowane publikacje często pozostają daleko w tyle za aktualnym stanem wiedzy. Przez ponad 20 lat badacze odwoływali się do artykułu z 1997 r., który jako jedyny analizował kolor oczu szympansów. Dopiero dwa lata temu inne badanie wykazało, że niektóre szympansy mają białą twardówkę. Zupełnie jak ludzie. Dopiero wtedy ta wiedza się upowszechniła.

S.W.: – Dowiedzieliśmy się także w ostatnim czasie, że nawet nieczłekokształtne małpy, jak makaki, także potrafią czerpać informacje z kierunku spojrzenia innej małpy. Obserwują ruch jej oczu, a nie tylko ruch głowy, jak zakładaliśmy wcześniej.

Co z innymi ssakami?

S.W.: – Tu również sytuacja jest skomplikowana. Niektórzy badacze sądzą, że jasna twardówka to jedna z cech, które wiążą się z domestykacją. W 2023 r. zespół niemieckich naukowców porównał 13 gatunków udomowionych (np. pies czy świnia domowa) z ich dzikimi odpowiednikami (wilk, dzik). Okazało się jednak, że twardówki tych drugich wcale nie są ciemniejsze.

J.O.P-G.: – Aby udzielić zwięzłej odpowiedzi, pozwolę sobie na pewną spekulację, ale opartą na wiedzy naukowej. Domyślnym kolorem twardówki jest biały. Biel nie jest adaptacyjna, nie jest czymś, co ewolucja „wybrała". To produkt uboczny materiałów, z których zbudowane jest oko – włókien kolagenowych. Jak w przypadku kości, które są białe, ale nie ma to żadnego znaczenia.

A jednolity wygląd oczu w obrębie całego gatunku *Homo sapiens*? Tu również mamy komplikacje?

S.W.: – Może trudno w to uwierzyć, ale nie ma tu wystarczających danych. Można jednak dość bezpiecznie stwierdzić, że różnorodność w naszym gatunku jest dużo większa, niż się powszechnie uważa. Dotyczy to koloru twardówki, ale także tęczówki.

J.O.P-G.: – Tak, wciąż nie przeprowadzono odpowiednich pomiarów i rzetelnych badań. Wszystko oceniamy jedynie „na oko", więc to głównie subiektywne wrażenia. Zaledwie kilka badań zawierało niskiej jakości zdjęcia wykonane w niekontrolowanych warunkach. Dlatego obecnie trudno o wnioski. Poznaniu globalnego zróżnicowania zewnętrznej morfologii oka ma być poświęcony wspomniany już nasz międzynarodowy projekt badawczy.

Słowem, ludzkie oczy są mniej unikatowe, niż sądziliśmy?

J.O.P-G.: – Zdecydowanie! Powtórzę: przestańmy obsesyjnie skupiać się na sobie i spójrzmy na różnorodność świata przyrody. Jesteśmy jednym z kilkuset gatunków naczelnych. Być może nasze oczy są przystosowane do komunikacji w otwartym środowisku, w którym ewoluowali nasi przodkowie, a oczy szympansów ewoluowały do komunikacji w gęstym lesie?

ROZMAWIAŁ KASPER KALINOWSKI

© SHUTTERSTOCK (2), TAMMY HO, ARCHIWUM PRYWATNE, ANDRZEJ RYMAŃSKI



Dr hab. **Dariusz Danel**, prof. IITD PAN – biolog, profesor w Instytucie Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN we Wrocławiu.



Dr hab. **Sławomir Wacewicz**, prof. UMK – kognitywista, językoznawca, filozof, badacz ewolucji języka. Kieruje Centrum Badań nad Ewolucją Języka (CLES) na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, które założył z prof. dr. hab. Przemysławem Żywiczyńskim.

eprasa.pl e445b60032

Odplamianie plemion

Za polityczną polaryzację i rozpad wspólnoty często obarcza się winą „instynkt plemienny". Czy słusznie? Odpowiada amerykański psycholog kulturowy prof. Michael Morris.

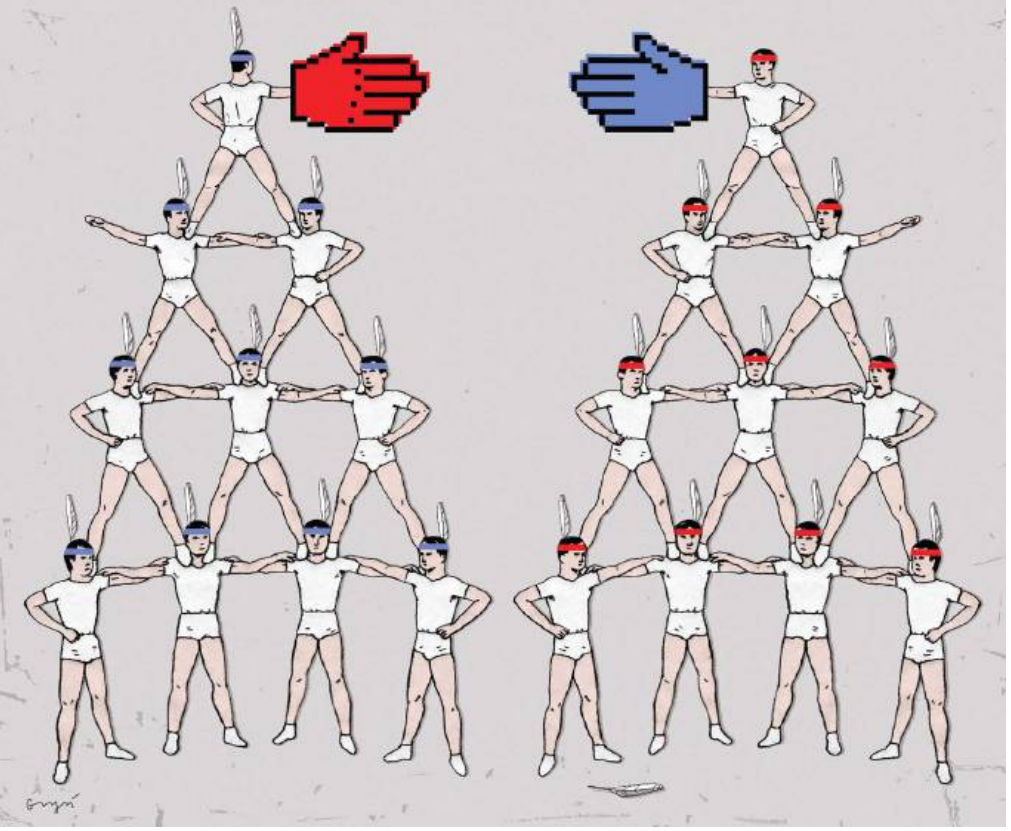

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

TOMASZ TARGAŃSKI: **– Czym są instynkty plemienne?**

MICHAEL MORRIS: – To ewolucyjne adaptacje, które przesądziły o sukcesie *Homo sapiens* – a nie usterki systemu, które prowadzą na manowce i przeszkadzają w rozwoju zasadniczo racjonalnego naszego gatunku.

Są naszym „oprogramowaniem" kulturowym?

Raczej są częścią hardware'u – okablowaniem mózgu. Sięgająca jeszcze XIX w. kontrowersja „natura czy kultura" straciła rację bytu, bo naukowe odkrycia ostatnich dekad nie pozostawiają wątpliwości, że za naturę ludzką odpowiada wychowanie. A kody kulturowe kierują naszymi myślami i działaniami jak autopilot, umożliwiając koordynację z członkami grupy.

Co zwróciło na nie pańską uwagę?

Zacząłem o nich myśleć na poważnie, kiedy jako wykładowca na uniwersytecie w Hongkongu obserwowałem, z jaką sprawnością moi studenci pokonywali bariery istniejące między Wschodem a Zachodem. Idąc na kampus, rozmawiali dyskretnie w języku kantońskim, pozdrawiali przyjaciół machaniem ręką, okazywali szacunek przechodniom, schodząc im z drogi. Gdy jednak przekraczali bramę uczelni, zaczynali rozmawiać po angielsku, śmiali się głośniej, rozpierzchali na całą szerokość chodnika i witali, przybijając piątki. Jeszcze w latach 90. XX w. badacze dwukulturowości pisali, że takie osoby są zawieszone między dwiema kulturami. Kolejne studia z raczkującej wtedy mojej dziedziny – psychologii kulturowej – wykazywały jednak, że ludzie mają zdolność przechodzenia między kodami kulturowymi automatycznie, podświadomie. Robią to niczym kameleony, odpowiadając na wskazówki kontekstowe, które nazywam „plemiennymi wyzwalaczami". Może to być język, ubiór albo swojsko wyglądająca twarz.

Skąd w nas ten automatyzm?

Ludzkie mózgi są zaprogramowane do naśladowania innych. 99 proc. tego, co każdy z nas wie o świecie, odziedziczył i podpatrzył, a nie odkrył. Nasi dalecy przodkowie byli częścią swojej grupy rodzinnej. Kilka takich grup składało się na klany, te z kolei tworzyły większe plemiona. Wewnątrz każdej z tych wspólnot jednostka pełniła inne funkcje. Tak samo dziś w życiu społecznym musimy internalizować wiele plemion naraz. Możemy to robić, bo kody kulturowe są dynamiczne poznawczo. Nie musimy o nich myśleć i ich aktywować – są wyzwalane przez bodźce z bezpośredniego otoczenia. Kto czytał Prousta, ten pamięta, że bohater „W poszukiwaniu straconego czasu" nie myślał o mieście swojej młodości, dopóki pewnego dnia nie skosztował zanurzonej w herbacie magdalenki. Ona w jego umyśle „wyczarowała" niezwykle sensualne obrazy i środowisko tamtego miejsca.

Wyróżnia pan trzy instynkty: grupy, bohatera i przodków. Kiedy się pojawiły i jaką konkretną przewagę nam dały?

Pierwszy był instynkt grupowy – jego pojawienie się jest datowane na ok. 1 mln lat temu. Koduje zachowanie większości i skłania do dostosowania się. Dzięki wiedzy, jak inni w grupie polują na zwierzynę, zbierają rośliny czy unikają drapieżników, mogliśmy czerpać korzyści z koordynowanych działań, co przekraczało zdolności innych naczelnych.

Instynkt bohatera rejestruje zachowania najbardziej szanowanych członków grupy i pobudza ambicję, aby pójść w ich ślady. Stąd fascynacja celebrytami, szefami wielkich firm czy gwiazdami sportu – pragnienie sławy, ale też dokonania

eprasa.pl e445b60032

czegoś dla innych. Według archeologów świadectwa przewodniej roli wybitnych jednostek można odnaleźć na stanowiskach datowanych na ok. 500 tys. lat temu – wówczas na scenę wkroczył nowy gatunek: *Homo heidelbergensis*. Pojawiły się nowe narzędzia, np. oszczepy z krzemiennym ostrzem, i nowe praktyki, jak polowanie na wielkiego zwierza. Wtedy też możliwe stało się rozszerzenie współpracy międzyludzkiej na grupy większe niż pojedyncza drużyna łowiecka.

Najmłodszy ewolucyjnie jest instynkt przodków, który odpowiada za nostalgię i otuchę, jaką odnajdujemy w tradycjach. Pojawił się w epoce kamiennej już wśród *Homo sapiens*. Archeolodzy od dawna zwracali uwagę, że tamte narzędzia często sprawiają wrażenie zestandaryzowanych w obrębie danej grupy, jakby rzemieślnicy powielali projekty dawnych mistrzów. Choć zapewne w grę wchodzi tu wiele czynników, np. większa gęstość zaludnienia, a zatem większa szansa znalezienia artefaktów z przeszłości. A pewnie i potrzeba przekazywania następnym pokoleniom przeszłych zwyczajów. Nasz ówczesny przodek uczył się więc ze znalezionych artefaktów, od starszyzny klanowej i od innych klanów. Kontaktował się z sąsiadami i upodobniał do nich.

Czytając pana książkę „Plemienni", nie można się oprzeć wrażeniu, że instynkty plemienne są jak magiczne dźwignie, które wystarczy pociągnąć, aby uzyskać pożądany rezultat.

To nie takie proste. Owszem, mogą sprawiać wrażenie „supermocy", ale nieporozumieniem jest myślenie, że możemy je włączać i wyłączać, kiedy chcemy. Choć w niektórych przypadkach celowe wprowadzenie rozwiązań odwołujących się do psychologii kulturowej zadziałało nadspodziewanie dobrze. W latach 90., kiedy linie lotnicze Korean Air zaczęły używać Boeingów 747, dochodziło do bardzo wielu niebezpiecznych sytuacji, a nawet katastrof. Niezależne śledztwo wykazało, że problem tkwi w hierarchicznych normach społecznych. Analizy rozmów z kokpitu wykazały, że drudzy piloci z zasady nie kwestionowali decyzji kapitanów. Firma wprowadziła więc obowiązek porozumiewania się w języku angielskim. Członkowie załogi zaczęli się postrzegać jako bardziej równi sobie i od tamtej pory żaden samolot nie uległ katastrofie. Dziś wiele przedsiębiorstw rezygnuje z pracy zdalnej, gdyż się okazało, że wprawdzie produktywność jednostek wzrosła, ale ta kolektywna spadła. Bo pracownicy nie przebywają w jednej przestrzeni, są odcięci od symboli i ceremonii swojej organizacji – trudno zatem, żeby myśleli i działali jak jeden organizm.

Plemienność jest jednak jedną z najbardziej potępianych cech naszej kultury. Uważa się np., że kierująca się nią polityka rozbija zachodnie systemy demokratyczne.

To prawda, w ostatniej dekadzie plemienność stała się niemal obelgą. Jawi się jako coś w rodzaju atawistycznej siły przebudzonej po to, aby pogrzebać demokrację, międzynarodową współpracę i religijny pluralizm. Została uznana za winną całego zła, z polityczną polaryzacją na czele. Z pewnością jest częścią problemów, zatem ta modna teza może bronić się jako temat podkastów czy debat telewizyjnych. Nie przybliża nas jednak ani o centymetr do rzetelnego zrozumienia tego, co się dzieje.

Możemy więc być choćby ksenofobiczni?

Ewolucjonista czy behawiorysta nie powiązałby tego z instynktami plemiennymi. Powtórzę: one są adaptacjami powstałymi wyłącznie w celu współpracy. Gdyby w naszej konstrukcji psychicznej zakodowana była nieufność wobec innych, nigdy jako gatunek nie zaszlibyśmy tak daleko. Prawdą jest, że instynkty grupowe często prowadzą do konfliktów z ludźmi „z zewnątrz". Jednak ten antagonizm nie wynika z wrodzonej wrogości – jest mechanizmem obronnym wynikającym z solidarności z „naszymi". Kiedy przypisujemy nienawiść drugiej stronie, jest bardziej prawdopodobne, że odwzajemnimy się tym samym. Nie sposób też nie widzieć, że nasze instynkty plemienne – szczególnie grupowy – w połączeniu z nowymi technologiami informacyjnymi przynoszą opłakane skutki. Media społecznościowe stworzyły mechanizm, który nagradza bezmyślne powtarzanie opinii grupy w celu zdobycia uznania i pochwały. Ten konformizm wzmacnia jedność w obrębie np. partii politycznych, ale pogłębia przepaść między nimi. Jako społeczeństwa powinniśmy naciskać na regulację i większą przejrzystość działalności platform internetowych. A jako jednostki musimy umieć się wylogować i kontaktować twarzą w twarz. Wystawianie się na nowe sytuacje lub informacje może być pierwszym krokiem do przerwania zaklętego kręgu plemiennej partyjności. Zamiast zwalczać plemienność, powinniśmy raczej zaprząc ją do pracy dla wspólnego dobra.

Tylko jak?

Musimy wyjść od przekonania, że jako zwierzęta plemienne jesteśmy naturalnie zorientowani na działanie na rzecz grupy, bohaterów albo przodków, a nie własnego interesu. Małe wspólnoty w obliczu niedoboru nie zagarniają wszystkich zasobów dla siebie, lecz ustanawiają zasady sprawiedliwego podziału. Jak wykazały badania, instalacja paneli fotowoltaicznych na dachu jednego domu sprawiła, że sąsiedzi w ciągu kilku lat przekonywali się do tej technologii, ponieważ „ludzie podobni do nich tak robią". Zrozumienie plemienności pomaga dostrzec efekt domina w naszych działaniach. Myślę, że musimy zrozumieć, z jakich powodów wymyka się ona spod kontroli. Istnieje przecież także wiele przykładów jej zbawiennego wpływu na wspólnoty narodowe, choćby były premier Lee Kwan Yew, który odwołując się do różnych mechanizmów kulturowych, de facto nadał nową tożsamość mieszkańcom Singapuru.

Współczesne państwa narodowe powstały jednak w opozycji do kultur plemiennych. Nie widzi pan tu sprzeczności?

Nie, ponieważ przyjmuję szerszą definicję słowa „plemienny". Z ewolucyjnego punktu widzenia plemię to społeczność złączona wspólną ideą. W tym sensie współczesne narody to wiele różnych plemion złączonych na wyższym poziomie. Nie ulegałbym więc fatalizmowi tych liderów opinii, którzy twierdzą, że plemienność nas zabije. Wbrew temu, co sądzą niektórzy, nie jesteśmy *Homo oeconomicus*, ale – czy chcemy, czy nie – *Homo tributus*, a racjonalność nie jest naszą mocną stroną. Jeśli instynkty plemienne odpowiadają za wiele obecnych problemów, to muszą też być częścią rozwiązania. ■



Michael Morris – profesor Uniwersytetu Columbia i wykładowca Columbia Business School. Był doradcą do spraw kulturowych podczas kampanii prezydenckich Baracka Obamy i Joe Bidena. Autor książki „Plemienni. Jak instynkty kulturowe mogą nas jednoczyć".

© WIKIPEDIA

eprasa.pl e445b60032



Polacy, którzy przyjechali z ZSRR, czekają na transport na Ziemie Zachodnie, kwiecień 1946 r.

Odzyskane czy przyznane?

Mija 80 lat od objęcia przez polskie władze administracji na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Rocznica raczej przemilczana. Mogłaby przypomnieć o ich dewastacji i o złym traktowaniu autochtonów.

eprasa.pl e445b60032

JANUSZ A. MAJCHEREK

Jest tylko częściowo zgodne z prawdą, że tereny na wschód od Odry, należące przed drugą wojną światową do Niemiec, zostały przyznane Polsce przez aliantów (na zakończonej 2 sierpnia 1945 r. konferencji poczdamskiej) dla zrekompensowania utraty Kresów Wschodnich. Już wcześniej Opolszczyzna, północna Wielkopolska, południowa część Prus Wschodnich i Gdańsk były przedmiotem polskich roszczeń przedstawionych przez Romana Dmowskiego podczas konferencji wersalskiej po pierwszej wojnie. Po ostatecznym wytyczeniu granic między II Rzeczpospolitą a Republiką Weimarską niektóre obszary pozostawały przedmiotem analiz rewindykacyjnych, podejmowanych w środowisku Związku Obrony Kresów Zachodnich, późniejszym Polskim Związku Zachodnim.

W trakcie drugiej wojny formułowano podobne plany w kręgach polskiego państwa podziemnego, niekoniecznie zdając sobie sprawę z rozmiaru nieuchronnych strat terytorialnych na wschodzie. „Nie ma Polski bez Wilna, Krzemieńca, Lwowa, jak nie ma Polski bez Gdańska, Poznania i Opola" – głosiła deklaracja Stronnictwa Narodowego, a Obóz Polski Walczącej obwieszczał odrodzenie Polski „terytorialnie ogarniającej na zachodzie obszar całych Prus Wschodnich, Pomorza Szczecińskiego i całego Śląska, na wschodzie powiązanej ścisłym współdziałaniem w ramach jednej państwowości z elementem ukraińskim, litewskim i białoruskim". Podobne postulaty głosiły partie reprezentowane we władzach emigracyjnych, choć oficjalne stanowisko rządu londyńskiego było powściągliwe i stopniowo redukowało roszczenia co do granicy zachodniej, by bronić jej przebiegu na wschodzie.

Władze komunistyczne nie miały ani złudzeń, ani oporów co do utraty ziem wschodnich, ale przezornie nie wspomniały o nich w manifeście PKWN z 22 lipca 1944 r., wzywając w nim „do walki o wolność Polski, o powrót do Matki Ojczyzny starego polskiego Pomorza i Śląska Opolskiego, o Prusy Wschodnie, o szeroki dostęp do morza, o polskie słupy graniczne nad Odrą", choć miały znikomy wpływ na kształtowanie granic zachodnich. Inne władze też zapewne by go nie miały, bo decydowała Wielka Trójka w Jałcie i Poczdamie.

Historyczne losy obszarów włączonych w polskie granice po 1945 r. były rozmaite. Niektóre (Gdańsk, Warmia, część Pomorza, północna Wielkopolska) należały dłużej lub krócej do Rzeczpospolitej, więc określanie ich mianem „odzyskanych" ma podstawy. Wszak Adam Mickiewicz włożył w usta Sędziego w „Panu Tadeuszu" słowa: „miasto Gdańsk, niegdyś nasze, będzie znowu nasze".

Część, co dotyczy zwłaszcza Śląska, wchodziła w skład państwa polskiego w średniowieczu i już w tamtej epoce od niego odpadła, co przypieczętował Kazimierz Wielki zrzeczeniem się praw do niego. Ostatni potomek Piastów śląskich, książę legnicko-brzeski Jerzy Wilhelm, zmarł w 1675 r. i jego władztwo przeszło legalnie w ręce Habsburgów, którym podlegała już wówczas reszta Śląska. Skądinąd Ślązacy zżymają się na określanie ich ziem jako będących pod zaborami, weszły bowiem drogą legalnych sukcesji w zależność od Czech, potem w skład monarchii Habsburgów, a następnie zostały odbite w XVIII w. przez Prusy w wyniku wojen śląskich nie Polsce, lecz Austrii, by stać się częścią Rzeszy po jej powołaniu pod pruską egidą w 1871 r.



Wrocław 1945 r., usuwanie niemieckich tablic przy ul. Obornickiej

Obchodzone w obecnym roku 500-lecie hołdu pruskiego przypomina, że nawet Prusy Książęce były niegdyś polskim lennem, a w trakcie wojny trzydziestoletniej zostało ustanowione nowe województwo, ze stolicą w Królewcu, mające być wcielonym do Polski (do czego ostatecznie nie doszło, bo pokój toruński postanawiał inaczej).

Po drugiej wojnie nienawiść do wszystkiego co niemieckie i pragnienie odwetu były wśród Polaków powszechne. To jeden z czynników legitymizacji komunistycznej władzy. Komuniści rozpętali jednak wręcz nacjonalistyczną histerię wokół „powrotu na odwiecznie polskie ziemie", czyniąc z niego jeden z głównych argumentów mających utrwalić ich rządy. W służącym temu pseudoreferendum z 1946 r. wśród trzech pytań zadali następujące: „Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic Państwa Polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?". Według ustaleń prof. Andrzeja Paczkowskiego było to prawdopodobnie jedyne, na które większość Polaków odpowiedziała pozytywnie, choć aż jedna trzecia głosujących była przeciwna. To zapewne wyraz protestu wobec utraty Kresów Wschodnich, bo ustanowienie granic na zachodzie część kresowiaków rozumiała jako przypieczętowanie losu ich rodzinnych ziem. ▶

© PAP, FOTOPOLSKA.EU

eprasa.pl e445b60032

▶Wielu mieszkańców Lwowa i Wilna opłakiwało utracone miasta, ale liczni przesiedleńcy z zabiedzonych wiosek Polesia i Wołynia dostrzegli i docenili wyższość standardu gospodarstw i infrastruktury Dolnego Śląska czy Pomorza. Przesunięcie granic na zachód pozytywnie oceniało wówczas i później także wielu niezależnych intelektualistów i analityków, dalekich od komunistycznego aparatu. Liczyły się względy geopolityczne, lecz także cywilizacyjne, choć ilościowo transfer nie był korzystny (zyskano nieco ponad 100 tys. km kw., gdy na wschodzie utracono ok. 180 tys. km kw.).

Korzystne dla sytuacji owych Ziem Odzyskanych okazało się ustanowienie komunistycznego państwa po drugiej stronie granicy. Władze Niemieckiej Republiki Demokratycznej nie śmiały podważać przebiegu granicy. Z tym wiąże się wstydliwy problem sowieckich gwarancji dla tej granicy. Jej przebieg został jednak zaakceptowany także przez aliantów zachodnich. Po 1989 r. zjednoczone Niemcy jej nie zakwestionowały i dziś prawno-międzynarodowy status tych ziem jest bezdyskusyjny.


RZECZPOSPOLITA POLSKA
MINISTERSTWO ROLNICTWA
AKT NADANIA
STARE ZIEMIE PIASTOWSKIE WRÓCIŁY DO MACIERZY

© FOKA/FORUM

Dokument nadania ziemi z 1959 r.

Ziemie te zostały jednak uprzednio przez Armię Czerwoną zdewastowane, a przez Związek Sowiecki wyeksploatowane. Sowieccy żołnierze i funkcjonariusze także pałali żądzą odwetu na Niemcach, dlatego z furią niszczyli wszystko, co było „poniemieckie". Niektóre miasta sowieccy zdobywcy zamieniali w morze ruin i pogorzeliska. Swoje dokładali też Polacy tam napływający. Słowo „szaber" trwale skojarzyło się z pierwszym okresem polskich rządów na tych terenach. Zjawisko miało też charakter zinstytucjonalizowany: zorganizowanego i masowego wywożenia maszyn, urządzeń, nawet cegieł rozbiórkowych. Ale także dzieł sztuki, do dziś zdobiących galerie w głębi kraju mimo nalegań władz lokalnych o ich zwrot do miejsc pochodzenia.

I może najbardziej wstydliwy aspekt: zdewastowanie i doprowadzenie do ruiny wielu wspaniałych obiektów zabytkowych. Zwłaszcza Dolny Śląsk był nimi licznie zabudowany, zamki, pałace, arystokratyczne i mieszczańskie rezydencje stanowiły ozdobę przejmowanych obszarów. Znaczna ich część została po wojnie zniszczona.

To rezultat nie tylko nastawienia do dziedzictwa niemieckiego, lecz i komunistycznej wrogości do arystokracji i burżuazji. Podobnej rujnacji uległo mnóstwo dworów i rezydencji w Polsce Centralnej i Wschodniej. Na ziemiach poniemieckich liczne PGR-y lokowano w zabytkowych obiektach. Po 1989 r. część z nich znalazła nowych właścicieli, ratujących je przed całkowitą zagładą, ale straty z czasów komunistycznych są niepowetowane.

Haniebnym procederem było dewastowanie i likwidowanie dawnych cmentarzy jako świadectw pochodzenia i wyznania poprzednich mieszkańców. Władze komunistyczne szły w tym ręka w rękę z kościelnymi, zainteresowanymi unicestwianiem śladów protestanckich. Takie praktyki mają miejsce do dziś – niedawno w mazurskiej Nowej Wsi Ełckiej ksiądz wynajął buldożer do zniwelowania starej nekropolii.

Innym wstydliwym aspektem przejmowania tzw. Ziem Odzyskanych było traktowanie ludności autochtonicznej. O wysiedleniach Niemców zdecydowali alianci, pomni co po traktacie wersalskim wyczyniała ludność niemieckojęzyczna pozostawiona w granicach innych państw, np. w czechosłowackich Sudetach. Skądinąd wysiedlenia ludności niemieckiej zapoczątkował sam Hitler, który po podpisaniu tajnego protokołu układu Ribbentrop–Mołotow, oddającego Związkowi Sowieckiemu republiki bałtyckie, nakazał opuszczenie ich nieświadomym niczego Niemcom. Po wojnie usuwanie ludności niemieckiej miało wszędzie burzliwy przebieg.

Ale niezrozumiałe było nieprzychylne podejście do autochtonów opcji polskiej czy polskojęzycznych, których obecność na Śląsku, Warmii, Mazurach i Pomorzu miała być jednym z uzasadnień przejmowania tych ziem. Ślązacy mówią do dziś o tragedii górnośląskiej, która obejmowała szeroką gamę szykan i represji, od gwałtów i rabunków po wysiedlanie i wywożenie do Związku Sowieckiego. Brały w tym udział polskie władze, organizujące niesławne obozy koncentracyjne w Świętochłowicach, Jaworznie oraz innych miejscach odosobnienia i pracy przymusowej. Większość autochtonów mazurskich i warmińskich, a także pomorskich (Słowińcy) i wielu śląskich opuściło Polskę i wyjechało do Niemiec Zachodnich. Decydowały przeważnie względy ekonomiczne, narastające różnice w poziomie życia między komunistyczną Polską a demokratyczną i kapitalistyczną Republiką Federalną. Nie bez wpływu na takie decyzje był jednak stosunek ludności napływowej do autochtonicznej.

Dzisiaj Wrocław, Szczecin czy Olsztyn są w sposób niekwestionowany miastami polskimi, a Śląsk, Pomorze, Warmia i Mazury polskimi regionami. Przez długi czas ich polskość była jednak, mimo komunistycznej propagandy spod hasła „Byliśmy, jesteśmy, będziemy", niepewna. Badania socjologiczne wykazywały powściągliwość nowych mieszkańców w inwestowaniu i remontowaniu zastanych siedzib z obawy przed powrotem dawnych właścicieli.

Dzisiaj to już tylko anegdotyczne wspomnienia. Ale polskość największych miast zmienia się wraz z napływem innych migrantów, cudzoziemskich, osiedlających się głównie w największych polskich metropoliach, do których należą Wrocław czy Gdańsk. Potomkowie dawnych przesiedleńców i osadników są bardziej przychylni przybyszom niż zasiedziali mieszkańcy centralnej, a zwłaszcza wschodniej Polski.

JANUSZ A. MAJCHEREK

Korzystałem z opracowania Bogdana Zalewskiego „Poglądy głównych ośrodków politycznych w kraju i na emigracji w czasie II wojny światowej w sprawie dostępu Polski do morza".


POMOCNIK HISTORYCZNY
Z Kresów na Kresy
Wielkie przesiedlenie Polaków

KUP TERAZ

Więcej przeczytasz
w Pomocniku Historycznym POLITYKI
„Z KRESÓW NA KRESY",
dostępnym na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl e445b60032



ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

© ALAMY/BE&W, BE&W

Matka czarownica

Procesy o czary były prototypem terroru państwowego – mówi Agata Czarnacka, pracująca nad książką o tragicznych dziejach i współczesnej fascynacji czarownicami.

MARTYNA BUNDA: **– Czarownica. Ćwierć wieku temu to słowo było obelgą. Dziś stało się symbolem niezależności, myślenia pod prąd.**

AGATA CZARNACKA: – A w pewnym sensie również walki o prawa kobiet w Polsce, bo czerwone błyskawice plus czerń ubrań w czasie czarnych protestów okołoaborcyjnych to były atrybuty kojarzone z wiedźmami. Słowa „czarownica", „wiedźma" pojawiały się zresztą po obu stronach: protestujące wyzywano od czarownic, ale i one same niosły transparenty typu: „Jesteśmy wnuczkami tych, których nie zdołaliście spalić".

W toku zbierania materiałów do przygotowywanej właśnie książki „Demokracja według czarownic" stało się dla mnie jasne, że hasło „czarownica" odnosiło się do kobiet mówiących głośno, że coś im się nie podoba, a więc potencjalnie groźnych dla społeczności. Tym słowem – a właściwie torturami i kaźnią, które się za nim kryły – przywoływano je do porządku.

Czarownica to wciąż ważny motyw popkultury. Kreskówki dla dzieci, seriale, filmy – na czele z „Sabriną, nastoletnią czarownicą" i nowszą „Sabriną" na Netflixie.

Ten ostatni przypadek najlepiej pokazuje różne meandry zmiany dotyczącej pojęcia czarownicy. O ile Sabrina w pierwowzorze serialu kręconym w latach 90. jest po prostu nastolatką, o tyle w wersji z Netflixa staje się osobą, która nieustannie ratuje całą społeczność, w końcu poświęcając siebie. Więc niby jest czarownicą, bo ma magiczne cechy, ale też jednocześnie jest jej zaprzeczeniem – bo nie mówi „nie", nie chroni siebie. Jest w pewnym sensie kolejną wersją matki Polki. Społecznie akceptowaną formą dobrze wrośniętego w kulturę modelu kobiecości.

Procesy i spalenia kobiet to ważny element naszej kultury, który jednak w sensie historycznym od kilku lat, gdy zyskaliśmy łatwiejszy dostęp do dawnych akt miejskich, okazuje się wyglądać zupełnie inaczej, niż przywykliśmy myśleć. Długo racjonalizowano procesy o czary, potem wpisywano je w różne fantazje: że kobiety palono ze względu na nienawiść oświeceniowego rozumu do natury czy – jak u Silvii Federici – że były to pogromy osób świadczących usługi kontroli urodzin, bo państwo potrzebowało mięsa armatniego i siły roboczej. Dziś mówi się natomiast wprost, że procesy o czary czy – jak to czasem nazywają historycy – „szaleństwo czarownic", to były po prostu zbrodnie sądowe. Patrząc na to od strony filozofii polityki, nazywam je wręcz prototypem terroru państwowego. Prototypem, bo też to nie były państwa, jakie znamy, chodziło raczej o umacnianie się władzy na poziomie analogicznym do dzisiejszych samorządów – kosztem niepokornych najsłabszych.

Akta istniały. Leżały w archiwach miejskich.

Ale dostęp do danych jest znacznie łatwiejszy, kiedy są digitalizowane. Historie procesów o czary znajdowano zwykle przypadkiem, bo przecież nie istniał katalog takich zbrodni. Na podstawie ograniczonych geograficznie danych zebranych w latach 50. w Polsce oszacowano liczbę tych procesów na ok. 50 tys. (mniej więcej co drugą oskarżoną spotykała kara śmierci, przy czym niemal w całej ▶

eprasa.pl e445b60032

▶ Europie kobiety stanowiły ok. 80 proc. oskarżonych). Z takim wynikiem byliśmy na mapie Europy państwem z mocno obciążoną kartoteką.

Od kilkunastu lat te akta są cyfryzowane i dziś powstają internetowe archiwa akt procesowych. Procesy czarownic zaczęto liczyć jeden po drugim – historyczka Małgorzata Pilaszek doliczyła się ich już 1316, z czego 558 skazań na śmierć na przestrzeni kilku stuleci. Ale każdy z nich profesjonalnie nagłaśniano. Po procesach heroldzi jeździli od miasta do miasta, opowiadając detale gawiedzi. Kolportowano obrazki pokazujące stosy i czarownice. Narracja o czarownicach zapisała się więc w historycznych skryptach głębiej niż inne.

Oczywiście w sensie indywidualnym każda z tych spraw była czyimś dramatem. Jeśli kobiecie jakimś cudem udało się oczyścić z oskarżeń, to prawdopodobnie przeszła przez tortury, została inwalidką, w międzyczasie jej majątek nierzadko zostawał rozkradziony, rodzina i wioska wyrzucały ją poza margines, często w sensie dosłownym.

Co ciekawe, w Polsce oskarżeń o używanie czarów i zbrodni sądowych byłoby znacznie więcej, gdyby nie błąd (lub świadome działanie) tłumacza łacińskiego kodeksu stosowanego wówczas m.in. w Niemczech, którego używały polskie sądy. Dr Pilaszek wykryła, że w polskiej wersji kodeksu słowo oznaczające czarownicę przetłumaczono jako trucicielkę. A przecież ta, która warzy eliksiry, i ta, która warzy truciznę, to dwie różne kategorie. Jeśli oskarżamy kogoś, że warzy eliksiry, i mamy dowód w postaci tego, że krowa ma liszaj, to sprawa jest raczej stracona. Przy truciźnie, której działanie jest bardziej oczywiste, jest nieco większe pole do obrony przed pomówieniem, są szanse, żeby uznać oskarżenie za bezpodstawne.

Kogo oskarżano o czary?

Zwykle kogoś, kto zawadzał. Badaczka Katarzyna Dysa opisuje proces młodej wdowy odwiedzającej kolejno żony czterech mężczyzn z pretensjami. Z kontekstu nie wynika, czy padła ofiarą przemocy seksualnej, choć wydaje mi się to bardzo prawdopodobne, wiadomo tylko, że mężczyźni zgodnie oskarżyli ją o czary. Podobnie wyglądało wiele procesów: oskarżano tę, która się awanturowała. Mogła potem powołać inne kobiety, czyli przyznać się, że czarowała, ale nie robiła tego sama. Chcę tu zwrócić uwagę, że kobietom do dzisiaj skargi więzną w gardle – znacznie łatwiej nam domagać się sprawiedliwości dla innych niż dla samych siebie.

Dobrym przykładem jest opisywana przez Annę Brzezińską Sydonia von Borck, która prowadziła z siostrą procesy sądowe przeciw bratu, po tym jak z pogwałceniem ówczesnego prawa okradł je ze spadku. Sądy początkowo przyznawały rację siostrom, ale nie egzekwowały wyroków. Im dłużej trwała patowa sytuacja, tym wyraźniej sądy w kolejnych sprawach zwracały się przeciw kobiecie, która nie chciała się uciszyć. Finalnie ścięto ją jako czarownicę. Brat pozostał z majątkiem.

Przejawem takiego myślenia był brytyjski pamflet z XVII w., w którym autor udowadniał, że kobieta, która przeklina kogoś za swoją krzywdę, nie jest chrześcijanką, tylko czarownicą, którą trzeba wyeliminować, żeby taka klątwa się bowiem ziściła, potrzeba ingerencji diabła...

Główną karą było spalenie na stosie?

Brak jest precyzyjnych opracowań, ale częściej stosowano powieszenie albo ścięcie toporem. Stosy były spektakularne, ale drogie. Żeby spalić kogoś żywcem, trzeba osiągnąć odpowiednią temperaturę, czyli potrzeba było dużo drewna... Ale gdy przyjrzeć się tematowi z perspektywy antropologicznej, okaże się, że niemal każda kultura świata miała swoje procesy o czary, w takiej czy innej formie. Również dlatego, że to zawsze było świetnym sposobem na skanalizowanie różnych złości społecznych. A z drugiej strony służyło utrzymaniu hierarchii.



Agata Czarnacka
(ur. 1981) – filozofka polityki, tłumaczka, działaczka feministyczna i publicystka. W 2016 r. członkini obywatelskiego Komitetu Ustawodawczego Ratujmy Kobiety, współorganizatorka Czarnych Protestów i Strajku Kobiet w Warszawie. Otrzymała stypendium m.st. Warszawy za rok 2024 na projekt „Demokracja według czarownic".

Wróćmy do ewolucji pojęcia czarownicy.

Czarownice w kulturze wciąż pojawiają się i znikają. Pierwszy autor o masowym zasięgu, który zajął się czarownicami przychylnie, starając się zrozumieć ich fenomen, to był francuski historyk z XIX w. Jules Michelet. Pokazywał ciemną stronę oświecenia, jego podszewkę – osoby pozostawione na marginesie, kobiety, które z biedy, z braku łączności z szerszym społeczeństwem, wchodziły w nietypowe role. To była nieco dziwna narracja, ale po raz pierwszy pełna współczucia dla tzw. czarownic. Plus wątki romantyczne – ciemny las, księżyc, odludzie... Tę krytyczną wobec oświecenia narrację współcześnie podjęła Mona Chollet w bestsellerowych „Czarownicach. Niezwyciężonej sile kobiet", w których wykorzystała figurę czarownicy jako metaforę rzucającą światło na to, ilu rzeczy kobietom w zachodnich społeczeństwach „nie wolno": żyć na własny rachunek, nie chcieć dzieci czy nawet... zestarzeć się!

Od Micheleta datuje się fantazmat o czarownicy zielarce, może aborterce, której los stawiał zadania, jakim nie była w stanie sprostać. W każdym razie i czarownica, i prowincja pojawiały się w tej opowieści jako coś interesującego poznawczo. Ale też skojarzenia Micheleta są dobrze osadzone w znacznie wcześniejszych wątkach kultury europejskiej.

Jakich?

Czarownica jako starsza kobieta „opętana seksem" pojawia się choćby u Seneki. Opisał on lubieżne staruchy, które potrzebują uśmiercić dziecko, żeby uwodzić młodych mężczyzn. U Lukiana pojawia się Erichto, odrażająca fizycznie nekromantka, która zagryza główką niemowlęcia baby wydłubane z nosa. Ale pierwszą czarownicą naszego kręgu kulturowego jest Kirke z „Odysei".

Nie kojarzy się tak.

Kirke posługuje się magią, negocjuje pomiędzy światem żywych i umarłych. Rzuca czary, zmienia ludzi w zwierzęta. Ale pozostaje przy tym piękną kobietą, a nie staruchą z krostami... Nie do końca wiadomo, czy jest boginią, czy nie, ale schodzi z panteonu, osiedla się na najdalszej wyspie Ajai. W pewnych wersjach mitu wybiera śmiertelność. Zajmuje się magią, ale rozumianą jako ochrona samej siebie. Gdy zamienia Odysa i jego ludzi w wieprze, nie robi tego dla żartu, ale po to, żeby zażegnać zagrożenie. Uwalnia go spod tej postaci, gdy już ustalą bardziej równościowe zasady gry. Wejdą w relację bezpieczniejszą, czyli romantyczno-erotyczną.

W opowieści o Kirke mieści się też, obecny już w kulturze, wątek rozmów pomiędzy światami. W tym sensie czarownica jest tłumaczką, pośredniczką.

© ARCHIWUM POLITYKI

eprasa.pl e445b60032





Od lewej: **wiedźmy z Lancashire, ilustracja z broszury z 1612 r. Pławienie podejrzanych o czary, drzeworyt z XVII w.**

Przodkowie żyjący poza czasem wiedzą, co się wydarzy w przyszłości. Ona ma do nich dostęp. A jeśli wróżenie nawiązuje się w kontakcie z przodkami, stąd już jeden krok do nekromancji. Ale były i inne postaci. Na przykład syreny.

I zatykanie uszu woskiem, żeby nie dać się zwieść ich głosom. Wedle jednej z interpretacji w „Odysei" chodziło nie o piękno ich śpiewu, ale o wiedzę. O to, że syreny zdradzały słuchaczom jakąś głębszą wiedzę o świecie, a tego zwykły człowiek nie był w stanie unieść. To groziło szaleństwem. Lepiej nie wiedzieć za dużo.

W kulturze Zachodu magia i religia są w gruncie rzeczy kontinuum. Społeczeństwa myślące magicznie charakteryzowały się tym, że duchowość – możliwości wynikające z kontaktu z tym, co nadprzyrodzone – była na wyciągnięcie ręki. „Wszyscy chodzimy po największej bogini, czyli Gai". W tym ujęciu duchowość zawsze wynikała z kontaktu – bezpośredniego albo zapośredniczonego tylko kijkiem, różdżką.

Z biegiem stuleci populacje zagęszczały się, hierarchizowały. Plemionami, które zamieniały się w narody, trzeba było jakoś zarządzać. Żeby utrzymać hierarchię – przypisać sobie jakiś rodzaj boskości. U Sumerów mamy więc królów, którzy sypiają z boginią i właśnie dzięki temu stają się królami.

Im bliżej nas dzieją się losy świata, tym bogowie stają się bardziej odlegli, niedosiężni. Można ich tylko błagać. Możliwe, że w miarę hierarchizowania się społeczeństw taką obecną przy ludziach boginię zastąpiła właśnie czarownica.

Pisze pani, że Kościół początkowo stał na stanowisku, że żadne czarownice nie istnieją. Istnieć miała za to magia. I dlatego, nim zaczęto skazywać na śmierć kobiety, skazywano np. koty. Urządzano im podobnie męczeńską śmierć w płomieniach.

W jednym z opisywanych przypadków ta, która rzekomo miała się parać magią, uchodzi z życiem. Na śmierć skazana zostaje jej sąsiadka, która odkupiła od niej kota – w tej opowieści kot jest awatarem diabła, a magia wynika z układu z diabłem poprzez kota, którego czarownica karmi i obsługuje na różne sposoby.

W nowożytności zaskakuje ogromna spójność wiedzy o tym, czym są czarownice i czym są czary. Zapewne wynika to z faktu, że inkwizytorzy mieli skrypty przesłuchań, w których pojawiał się zawsze ten sam zestaw win: spółkowanie z diabłem, sabat, „czarne msze", używanie zwierząt jako atrybutów czy środka transportu (identyczne imaginarium można znaleźć wcześniej w dokumentach Kościoła opisujących heretyków).

W antropologii znamy dziesiątki różnych ról bliskich czarownicy, np. upiory – ludzie, którym przypisywano magiczne cechy. Żyli w społecznościach, ale po śmierci ich ciała musiały być przebite kołkiem. Te procesy „nominacji do roli" przejawiały się czasem zabawnie: zdarzało się, że przychodził do ciebie sąsiad i kazał ci położyć ręce na zdechłej kurze, żebyś zdjął urok, który rzuciłeś... Pierwsze słyszysz, ale posłusznie macasz tego kurczaka. W końcu możesz zacząć myśleć: „A może faktycznie ta dziwna gorączka to przeze mnie...".

Ale przecież wiemy, że podobne mechanizmy działają w systemach rodzinnych, gdzie jedno dziecko bierze na siebie rolę kozła ofiarnego. Mogę sobie wyobrazić, że ktoś zgadzał się zostać „upiorem", skoro taka była presja wioski. Antropologia uczy, że im trudniej, mniej bezpiecznie, tym większa potrzeba magiczności.

Czasami czarownica zostawała terapeutką rodzinną.

W przeprowadzonych w Bretanii w latach 70. XX w. badaniach na temat praktyk magicznych tego regionu pojawia się np. pani Flora odczyniająca uroki. Badaczka Jeanne Favret-Saada uczestniczyła w jej seansach – i opisała rodzaj całkiem fachowo poprowadzonego procesu terapeutycznego, który sprawił, że osoby uważające się za dotknięte nieszczęściem były w stanie przejść nad tym do porządku dziennego i wydobyć się z kryzysu. Pani Flora dociekała, „kto te uroki może rzucać", ale tak naprawdę pracowała z parą nad uwolnieniem napięcia, mimochodem wzmacniając rolę kobiety w tym związku. Finalnie „zły urok" zostawał zdjęty – i tylko nominowany na czarownika sąsiad nie miał pojęcia, dlaczego mili dotychczas znajomi przestali mu się odkłaniać...

A więc jednak dobra, opiekuńcza czarownica...

Szczęśliwie nie wszystkie czarownice muszą się poświęcać, jak Yennefer czy Sabrina. Pani Flora ułożyła sobie dobre i godne życie w swojej społeczności. Myślę, że współczesnym „czarownicom" też dokładnie o to chodzi.

ROZMAWIAŁA MARTYNA BUNDA

eprasa.pl e445b60032



film

Prorok zagłady 5/6

Franz Kafka, reż. Agnieszka Holland, prod. Czechy, Polska, Niemcy, Francja, 136 min, w kinach od 24 października

Agnieszka Holland stworzyła zaskakująco odważny, pogłębiony intelektualnie portret artysty, bliższy esejowi niż klasycznej biografii. Niektórzy mogą się krzywić na nielinearność i eksperymentalną narrację, ale „Franz Kafka" jest triumfem reżyserskiej konsekwencji. Życiorys genialnego pisarza zderza się tu z jego mitem i staje kanwą dla refleksji o wybraniu, Holokauście, naturze ludzkiej. Osią, na której reżyserka buduje dramaturgię, jest napięcie między męczeństwem, mesjanizmem a dopisaną później legendą. Próbując wydobyć autora „Kolonii karnej" spod hagiografii, pomników i – jak powtarza – „spod nadmiaru słów", Holland burzy utrwaloną w XX-wiecznej ikonografii wizję mrocznego, kapryśnego, wiecznie przygnębionego Kafki, koncentrując się na jego niebywałej wrażliwości, sile twórczej, która pozwoliła mu tworzyć wbrew trawiącemu go poczuciu wyobcowania, świadomości odrzucenia przez ojca i problemów z kobietami.
Pomijając świetną kreację **Idana Weissa** w roli Kafki, najmocniejszą stroną filmu wydaje się warstwa wizualna, z wybitnymi zdjęciami Tomasza Naumiuka, odnajdującego w tej fragmentarycznej, mozaikowej strukturze nieprawdopodobną intensywność, wręcz magię. Dynamika scen jest nieprzewidywalna. Największe zdziwienie budzą wstawki mockumentalne, gdzie bohaterowie łamią czwartą ścianę, tłumacząc wprost do kamery motywację niejasnych zachowań pisarza niczym entomolog dokonujący anatomii owada. Ta parodia reality show – absurdalno-kafkowski z ducha zabieg – wprowadza dystans, ale też pomaga odczuć wielowymiarowość postaci, uszanować jej tajemnicę. Holland przekonuje, że istnieje wspólnota postaw oddzielonego od rzeczywistości ekranem komputera pokolenia zetek – jak jej bohater bojącego się bliskości, wyalienowanego, niezdolnego do działania i uciekającego w świat wyobraźni. Skoro Kafka ma być szalenie współczesny, nie jest to dobry sygnał dla naszych czasów. A jeśli nawet tak nieszablonowy obraz nie trafi do wrażliwości młodych, na koneserach kina na pewno zrobi wrażenie.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

film

Na rozdrożach 4/6

Springsteen: Ocal mnie od nicości, reż. Scott Cooper, prod. USA, 119 min, w kinach od 24 października

Na pierwszy rzut biografia Bruce'a Springsteena przypomina niedawny film o Bobie Dylanie: relacja z kilku miesięcy z życia muzyka w przełomowym momencie kariery, z wpisanym w tło wątkiem romantycznym. Scott Cooper próbuje jednak uciekać od gatunkowych stereotypów. Nie prowadzi przez ekran parady sobowtórów gwiazd rocka, nie odtwarza z pietyzmem wielkich koncertów, niemal całą uwagę skupiając na emocjach głównego bohatera. „Boss" – przekonująco zagrany przez **Jeremy'ego Allena White'a** – jest tu już gwiazdą przyciągającą tłumy fanów i uwagę mediów. Wytwórnia chce od niego kolejnych hitów (a „Born in the USA" już czeka na nagranie), ale on jest coraz bardziej zmęczony rosnącą sławą. Zmaga się z depresją i nieprzepracowanymi relacjami z rodzicami, a smutek, gniew i bunt przeciwko światu zamienia w „Nebraskę", swoją najbardziej osobistą (i zapewne najlepszą) płytę. Cooper zdołał ocalić na ekranie intymną atmosferę tego albumu, jest bardzo blisko swojego bohatera, wnikliwie przygląda się jego relacjom z ówczesną partnerką, menedżerem, starzejącym się ojcem. Scenariusz, inspirowany reporterską książką Warrena Zanesa, wpada czasami w melodramatyczne koleiny, być może zachowawczo unika politycznych tematów (choć „Boss" jest dziś jednym z symboli oporu wobec administracji Donalda Trumpa), lecz to jedna z najciekawszych rockowych biografii sfilmowanych w ostatnich latach.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Jeremy Allen White przekonuje jako Springsteen. Rozmowa z aktorem – s. 93.

© KINO ŚWIAT, DISNEY, HBO, PAP/TOMASZ GZELL, MAREK KRZYŻANEK/MNG

eprasa.pl e445b60032



serial

Zawieja w radiowozie 4/6

Odwilż 3, scen. Kevin Rundle i Bartosz Janiszewski, reż. Xawery Żuławski, 6 odc., HBO Max

Ekipa „Odwilży", z obu stron kamery, wróciła do zimnego, mglistego Szczecina, by nakręcić kolejną część rodzimego nordic noir z niecofającą się przed niczym na drodze do odkrycia prawdy policjantką Katarzyną Zawieją (**Katarzyna Wajda**) w centrum. W poprzednim sezonie pytanie „Zawieja, co ty odpi...asz?!" padało tak często – i to nie tylko ze strony jej bliskich, ale też przełożonych – że nową odsłonę bohaterka rozpoczyna nie jako detektywka, lecz patrolujący okolicę oficer prewencji w oczekiwaniu na ewaluację, która zdecyduje, czy będzie mogła wrócić do śledztw. W radiowozie czy nie, Zawieja pozostaje sobą, więc kiedy w Szczecinie kolejne osoby, w tym dzieci, padają ofiarą fentanylu, a do tego się okazuje, że do miasta wrócił jeden z gangsterów, z którymi miała na pieńku, rusza do akcji w dawnym stylu. W „Odwilży" praca policjantów i ich życie rodzinne są silnie powiązane, tak jest też tym razem. Do starej obsady (Bartłomiej Kotschedoff czy Juliusz Chrząstowski) dołączają w rolach nowych kolegów z pracy Zawiei: Karol Dziuba, Marta Malikowska i **Piotr Trojan**. To wciąż nie jest serial silący się na oryginalność (czy prawdopodobieństwo wątków), nigdy nie miał takich ambicji. Jako odprężająca rozrywka sprawdza się jednak nieźle.

ANETA KYZIOŁ

scena

Hipisi w Warszawie 3/6

Era wodnika, scen. Jarosław Murawski, reż. Małgorzata Warsicka, muz. Kamil Pater, Teatr Dramatyczny w Warszawie

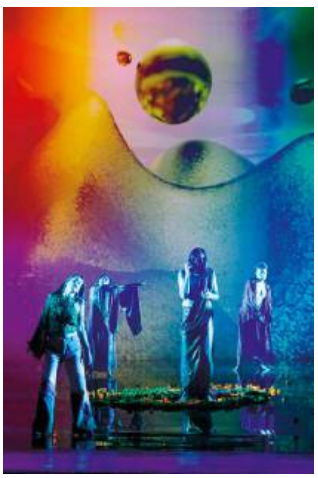

Ambicje były duże: opowiedzieć o początkach i ideałach ruchu hipisowskiego, o tym, co pozostało z tego dziedzictwa, oraz o tęsknocie za lepszym światem, która dziś odżywa, napędzana rosnącym poczuciem samotności w turbokapitalizmie i zbliżającej się (multi)katastrofy. W rezultacie „Era wodnika" jest spektaklem pełnym banałów, rozdartym między opowiadaniem historii i oddaniem hołdu tamtemu marzeniu i estetyce (z odwołaniami do musicalu „Hair" na czele) a dzisiejszą krytyką dzieci kwiatów za świat, jaki nam zostawiły. Akcja zaczyna się współcześnie, gdy Adam (dobry Paweł Tomaszewski) zgodnie z ostatnim życzeniem zmarłej matki czyści piwnicę i znajduje tam kasety z głosem swojego ojca. Pamięta go jako alkoholika i przemocowca, ale podróż jego śladem przynosi nieoczekiwane odkrycia. Prowadzi od PRL-u, gdzie guru lokalnych hipisów jest Pies, późniejszy polityk PiS, przez komunę w Kalifornii, po plaże indyjskiego Goa, niegdyś hipisowskiego raju, dziś rozjeżdżanego przez buldożery pod budowę kolejnych hoteli. Nowe „1989" to zdecydowanie nie jest, spektaklowi Warsickiej bliżej do niedawnych „Aniołów w Warszawie" z tego samego teatru: tu też głównym problemem jest tekst (częściowo, co zaskakujące, rymowany). Ale są też momenty żywsze, prawdziwsze – najczęściej w wykonaniu głównego bohatera, oczy cieszą psychodeliczne wizualizacje, a grana na żywo muzyka bywa intrygująca. AK

galeria

Stan zawieszenia 5/6

Opowiem Wam o półsnach, Muzeum Narodowe w Gdańsku, do 22 marca 2026 r.

Rzadko się zdarzają wystawy podzielone na dwie części. A takie rozwiązanie przyjęto w ramach prezentacji kolekcji „m jak malarstwo" podarowanej gdańskiemu Muzeum Narodowemu przez mBank. Pierwsza odsłona miała miejsce w tegoroczne wakacje. I tamten poziom udało się utrzymać. Panorama młodego polskiego malarstwa znów robi wrażenie rozmachem. Dwa piętra naszpikowano dziełami kilkudziesięciorga twórców. Co istotne, to nie tylko modne nazwiska z kręgu tzw. młodej sztuki. Dużym walorem jest właśnie możliwość spotkania ze sztuką twórców spoza galeryjnego mainstreamu. Ekspozycja stwarza świetną okazję do głębszego poznania krajowej sceny. I to jest kolejny walor, bo wystawę można polecić nie tylko stałym bywalcom galerii. W Zielonej Bramie udało się stworzyć klimat tytułowego półsnu. Panuje specyficzny nastrój dezorientacji. Wszystko wydaje się zawieszone w mniejszej lub większej niepewności. Płótna i inne obiekty malarskie tworzą zapis początku lat 20. Momentu, który można nazwać rozwidleniem historii. Jeden kryzys nakładał się na kolejny. Skończyła się pandemia, zaczęła wojna i wypatrywanie przyszłości z lękiem. Przemierzając sale wystawowe, można się więc złapać na tym, że czegoś brakuje: optymizmu.

ALEKSANDER ŚWIESZEWSKI



Konrad Żukowski, „Dwóch jeźdźców i ognisty wyziew", 2020 r.

eprasa.pl e445b60032



Poza systemem 5/6

Zyta Rudzka, **Tylko durnie żyją do końca**, W.A.B., Warszawa 2025, s. 208

Była Roma i Wera, a teraz jest Lida – nauczycielka WF z wiejskiej szkoły, która dołącza do grona bohaterek Rudzkiej. Wyjechała z miasta, co wypomina jej ojciec, mecenas. Żyje sobie z dwoma mężczyznami: hydraulikiem i geodetą, i pędzą bimber z pigwy. Życie tej starzejącej się trójki nie jest sensacją, mieszkają w stadzie, które się wspiera, razem ze świniakiem Elvisem, kogutem w depresji, psami i kurami. W poprzednich powieściach Rudzkiej bohaterki same mierzyły się ze światem, tu jest inaczej. I język tej powieści jest inny, mniej drapieżny i bojowy, tutaj płynie jak Lida w rzece, ale wyławiamy z niego sformułowania „rudzkie", choćby „umorusać się w złości" czy „skosić wzrokiem". I Lida jest tu kluczowa, zbudowana bez psychologizowania, odtwarzamy jej historię z urywków. Ojciec chciał dać jej imię Temida i ona rzeczywiście okazuje się tą sprawiedliwą, która nie gada dużo, ale pomaga. Rudzka zbudowała ten świat w kontrze do współczesnego przegadania, do atrakcyjnych słów, które niczego nie zmieniają. To stadko żyje sobie poza systemem, jest w tym rodzaj oporu wobec wymagań strażników moralności i trzeźwości oraz łatwych ocen czyjegoś życia. Ale życie to nie sielanka, więc w kadr wchodzi śmierć. Dobrze, że umarli czasem pomagają. Rudzka potrafi sportretować jak nikt inny starzejące się ciała i to życie już na niższych obrotach. Ono też ma swój niepiękny urok: „Zapomnieliśmy, tu wszystko ma swoją urodę (…). Może to nie jest ładna uroda, ale to ciągle uroda jak się patrzy". Bardzo sugestywny jest ten obraz, aż chciałoby się do niego wskoczyć.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



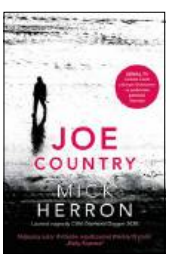

Smutna ironia 5/6

Mick Herron, **Joe Country**, przeł. Robert Kędzierski, Anna Krochmal, Wydawnictwo Insignis, Kraków 2025, s. 436

Choć serial „Kulawe konie" wiernie przenosi na ekran prozę Micka Herrona, warto sięgać po oryginały. Brytyjski autor mistrzowsko porusza się po terytorium powieści szpiegowskiej, pisze ze zjadliwą ironią, lecz także z olbrzymią dawką czułości dla swoich nieortodoksyjnych bohaterów, nawet tak irytujących jak Jackson Lamb, szef niewydarzonej ekipy agentów ze Slough House, czy zadufany w sobie mitoman Roddy Ho. Telewizyjna adaptacja jest tak udana, że podczas lektury trudno wyrzucić z pamięci twarze aktorów – zwłaszcza Gary'ego Oldmana – ale „Joe Country", szósty tom serii, jeszcze na ekranizację czeka. A jest to powieść nieco inna niż poprzedniczki, koncentrująca się na indywidualnych misjach poszczególnych postaci, zwłaszcza Rivera Cartwrighta, który próbuje załatwić porachunki ze swoim ojcem, oraz Louisy Guy, poszukującej zaginionego syna swojego nieżyjącego już kochanka. Pojawia się także nowa postać, szczególnie istotna z punktu widzenia polskich czytelników: agent Lech Wicinski, którego domniemane przewiny są tak okropne, że lepiej, by nie okazały się prawdą. Poszczególne wątki splatają się w intensywnym finale, lecz Herron odpowiednio dużo czasu poświęca na budowanie postaci, które niby już znamy, a które wciąż odkrywają przed czytelnikami swoje tajemnice. W „Joe Country" wciąż jest sporo ironii i czarnego humoru, lecz również więcej niż zwykle smutku, goryczy i poczucia klęski.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Historia w kolorze

Marcin Rustecki w rozmowie z Jakubem Demiańczukiem, **Projekt Rust. Wywiad rzeka**, Bum Projekt, Warszawa 2025, s. 270

Bohatera tych snutych w długiej rozmowie wspomnień Marcina Rusteckiego nie trzeba przedstawiać 40-letnim fanom komiksu. Wydawnictwo TM-Semic w latach 90. wprowadzało do Polski superbohaterskie amerykańskie historie z Marvela i DC Comics w przystępnej, zeszytowej formule, a on był redaktorem naczelnym. Jednak nie jest to książka tylko dla fanów komiksu. Rustecki to typ gawędziarza, zdaje się pamiętać każdy szczegół historii wydawnictwa i tej swojej, prywatnej. A ta ostatnia układa się w ciekawą opowieść o pokoleniu, które w okresie transformacji ustrojowej budowało tu rynek popkultury. On sam wrócił wówczas z emigracji, z doświadczeniami pracy na zmywaku i w budowlance w Londynie, ale też z ambicjami grafika, by zrządzeniem losu dostać posadę w nowym wydawnictwie i poprowadzić komiksową serię. A później podbić nią Polskę dzięki powszechnemu głodowi zachodniej kultury obrazkowej, ale i własnej pasji. Wystarczyło zaproponować ludziom, jak celnie zauważa, „kolor zamiast szarości". To historia pełna paradoksów – takich jak zaskakująca pierwsza polska wizyta gwiazdy Marvela Stana Lee (z którym nagrała wtedy telewizyjny wywiad Grażyna Torbicka). Rozmowa prowadzona przez naszego redakcyjnego kolegę (stąd brak gwiazdek w ocenie, kompetencje potwierdza stale na łamach POLITYKI) Jakuba Demiańczuka pokazuje też dynamiczny wzrost, a później spadek zainteresowania komiksowym medium, wzlot i upadek wydawniczego biznesu, także na poziomie międzynarodowym. „Staliśmy się na pięć minut gwiazdami rocka" – mówi Rustecki, który zresztą gwiazdą rocka być może by został, gdyby nie cała ta przygoda z „Punisherem" i „Spider-Manem".

BARTEK CHACIŃSKI

© MACIEJ JAŹWIECKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, TOMASZ KACZOR, KINO ŚWIAT, TEATR RAMPA, MP (7)

eprasa.pl e445b60032

komiks

Historia i pamięć

Najbardziej kontrowersyjny bohater polskiego komiksu obchodzi w tym roku okrągłe urodziny. Zbiorczy album **„The Best of Likwidator. 30 lat słusznych likwidacji" (Wydawnictwo Kameleon, 5/6)** ma rozmiar równie słuszny, co misja zamaskowanego mściciela (ponad 400 stron) i przypomina kluczowe epizody stworzonej przez **Ryszarda Dąbrowskiego** serii i uzupełnia je wyborem tekstów prasowych, które próbowały jakoś ogarnąć fenomen zamaskowanego mściciela. Bo rzecz to wybitnie prowokacyjna: Likwidator bierze na cel – dosłownie – kler, myśliwych, nacjonalistów, a przede wszystkim polityków, od Kaczyńskiego po Trumpa i Putina, jego szlachetne intencje ubrane są zaś w formę komiksu brutalnego i szyderczego. Kontrowersyjne? Oczywiście. Lecz nie da się ukryć, że to jedna z najważniejszych serii we współczesnym polskim komiksie, a Dąbrowski uczcił jej rocznicę z rozmachem.

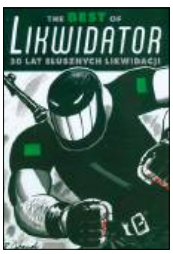

Także Jeż Jerzy, uroczy abnegat, amator deskorolki, piwka i marihuany, bohater serii, która przed laty ukazywała się na łamach miesięcznika „Ślizg", kończy w tym roku 30 lat. Twórcy postaci, scenarzysta **Rafał Skarżycki** i rysownik **Tomasz Lew Leśniak**, urodzinowo przygotowali album **„Jeż Jerzy. Przebudzenie" (Kultura Gniewu, 4/6)**, zestawienie odcinków znanych już z wcześniejszych wydań zeszytowych. Jest to lektura pyszna, autoironiczna, brawurowo nawiązująca do komiksów z dawnych lat, lecz zarazem kpiąca z fali nostalgii za latami 90. Skarżycki pisze świetne dialogi, a Leśniak fantastycznie bawi się cartoonową estetyką, zwłaszcza w dynamicznych scenach akcji. Jedyną wadą może być stosunkowo skromna objętość. Z drugiej strony Jeż Jerzy doczekał się kilka lat temu solidnego pięciotomowego opracowania, a ciąg dalszy zapewne nastąpi.

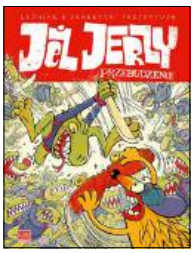

Na finał coś poważniejszego: **„Krótka historia długiej wojny" (scenariusz: Mariam Najem, rysunki: Julija Wus, Iwan Kypibida, Timof Comics, 5/6)**, czyli opowieść o Ukrainie walczącej z rosyjskim najeźdźcą. I wbrew pozorom nie jest to telegraficzny skrót wydarzeń z ostatnich lat, narracja sięga znacznie głębiej niż aneksja Krymu czy nawet Pomarańczowy Majdan. Twórcy albumu przypominają historię Ukrainy, a także próby jej wymazywania od stuleci podejmowane przez Rosję. „Nie jesteśmy pierwszym pokoleniem Ukraińców, które umiera z powodu niesprawiedliwości" – mówi jedna z bohaterek. Ważny i potrzebny album – zwłaszcza gdy coraz częściej zdarza nam się zapominać, że Ukraina walczy nie tylko o swoją wolność, lecz o przyszłość całej Europy.



JAKUB DEMIAŃCZUK

muzyka

Bardziej tam niż tu 3/6

Grzegorz Turnau, **Szósta godzina**, Mystic



Lider sceny „krainy łagodności" powraca po 11 latach od ostatniego albumu z nowym autorskim materiałem i śpiewa od razu o miłości dla dojrzalszej grupy słuchaczy. I w pewnym sensie cała „Szósta godzina" to rzecz „dozwolona od lat 50". Bo z jednej strony Grzegorz Turnau śpiewa tu wiersze poetów (m.in. Bronisława Maja, Józefa Czechowicza) i swoje teksty, pisane z ambicją eleganckiej zabawy słowem w stylu Kabaretu Starszych Panów („Czasem, zwłaszcza podczas wczasów, zdarza nam się tracić czas/ Bo ponadczasowy zasób ma przed sobą każdy z nas" – zaczyna w „Mamy czas"), a śpiewanie poezji niektórzy potrafią dziś zamienić w młodzieżowy szał. Z drugiej – rzecz jest unurzana w klimacie modnych lat 90., niewiele się zmieniło w aranżacjach na fortepian i kameralny skład, z melodiami oboju albo saksofonowymi solami. Tyle że uniwersalne opowieści Turnaua wydają się emocjonalnie przepływać obok. Nawet w „Płomieniu" z tekstem Adama Zagajewskiego – jest przejmująco, ale z pokoleniowym bohaterem zbiorowym, bezosobowo, a pejzaż piosenki premiuje indywidualne przeżywanie. Tu łatwo westchnąć nad pięknem, trudniej uznać za swoje, czasem nawet w zarysowanej na wstępie grupie docelowej. BCH

nie przegap



Warszawa w budowie: Starsze miasto, Muzeum Woli, do 29 marca 2026 r.

Siedemnasta już edycja wystawy, która wypracowała formułę łączenia narracji historycznej, społecznej, ekonomicznej lub politycznej ze sztuką. Tym razem o unikanym często problemie starości. Jaka jest współczesna kondycja seniorów żyjących w mieście (na przykładzie, rzecz jasna, Warszawy)? Jak ułatwiać im życie? Sporo przykładów ciekawych inicjatyw społecznych, ale też i ciekawej sztuki (m.in. prace Hasiora, Opałki, Libery). PSARZ



Światłoczuła, reż. Tadeusz Śliwa, prod. Polska, 93 min, Netflix

Wzruszająca wersja historii Romea i Julii, zderzająca dwa światy: warszawskich celebrytów i osób niewidomych. Dzięki fantastycznym kreacjom aktorskim nagrodzonej na festiwalu w Gdyni Matyldy Giegżno oraz Ignacego Lissa ogląda się to świetnie zrealizowane widowisko bez poczucia emocjonalnego fałszu, co przy tak nietypowej opowieści już samo w sobie wydaje się sporym osiągnięciem. JW



Zły. Warszawska jazz opera, reż. Jerzy Jan Połoński, Teatr Rampa na Targówku, Warszawa

Kolejne teatralne podejście do słynnej powieści. Tym razem musicalowe, z naciskiem na podejrzany w jej czasach jazz. Próba odważna, bo skleja „Złego" z „Dziennikiem 1954" Tyrmanda w konwencji groteskowo-komiksowej. Powściągliwość kostiumów i scenografii rekompensuje muzyka i bardzo dobra gra aktorska. W niemej tytułowej roli można zobaczyć wybitnego choreografa Jarosława Stańka. PSARZ

eprasa.pl e445b60032

Instrukcja przeżycia

Świat wygląda dziś na powtórkę lat 30. XX w. i okazuje się, że od tamtego czasu nie wypracowaliśmy żadnych mechanizmów bezpieczeństwa – mówi reżyserka **Maja Kleczewska** przed premierą „Sublokatorki” w Teatrze Powszechnym w Warszawie.



© MARCIN OBARA/PAP

eprasa.pl e445b60032

ANETA KYZIOŁ: **– Uważasz, że nie było lepszego momentu na przeniesienie na scenę reportaży Hanny Krall o Zagładzie i pamięci niż obecny. Dlaczego?**

MAJA KLECZEWSKA: – W ogóle myślę, że za mało Krall czytamy, za mało jest obecna w naszej świadomości. Ale myślę też o tym, że ona przekazuje nam coś ważnego teraz dla nas wszystkich: instrukcję przeżycia na wypadek, gdyby taka instrukcja miała nam być potrzebna.

Jaka to instrukcja?

Jednoznacznego przepisu nie ma, dzisiejsze wojny różnią się od minionych, pytanie coraz częściej brzmi: gdzie się ukryć przed rakietą czy dronem. Ale w tych reportażach są ukryte różne strategie przetrwania. I mamy główną bohaterkę, małą dziewczynkę, która jest specjalistką od przeżywania. „Sublokatorka" to opowieść o nieobliczalności świata. Bardzo mnie porusza fragment o czerni ocznej: że Janeczka mi powiedziała, że nie można podchodzić do parapetu, bo za oknem są kosmici, którzy polują na czerń oczną, bo ona jest napędem silników ich pojazdów. W tym jest uniwersalność opisywanych przez Krall historii: świat w każdym momencie może zacząć polować na kogokolwiek. Teraz na osobę, która się przedostała przez granicę białoruską, ale już czujemy, że zaraz kontrakt sublokatorski może zostać wypowiedziany Ukraińcom, którzy są w Polsce. Bo kontrakt sublokatorski, jak przypomina Krall, właśnie na tym polega, że można go w każdej chwili po prostu wypowiedzieć.

W Stanach ścigani są imigranci z nieuregulowanym pobytem, palestyński Hamas polował na Izraelczyków, ci w Gazie na palestyńskich cywili, Rosjanie kolejny rok zabijają Ukraińców…

Każdy z nas może się nagle stać osobą nielegalną, na którą się poluje. Świat jest zdestabilizowany, jesteśmy w szponach oszalałych przywódców i nie mamy mechanizmów, żeby ich zatrzymać. Niby jest ONZ, wydawane są jakieś rezolucje, ale okazuje się, że nikogo to już do niczego nie zobowiązuje. Wygląda to wszystko na powtórkę lat 30. XX w. i okazuje się, że od tamtego czasu nie wypracowaliśmy żadnych mechanizmów bezpieczeństwa. Nie mam poczucia, że robimy spektakl historyczny o 1943 r., język Krall odsyła cały czas do poszukiwania luster, związków między naszym doświadczeniem a tym przez nią opisywanym. Ale to się nie zestarzało także dlatego, że to nie jest utyskiwanie na nieszczęsny los, tylko opowieść w odcinkach o poszukiwaniu cudów, cudownie ocalonych, dziwnych, niewytłumaczalnych zdarzeń. A dlaczego tak? A dlaczego ten się uratował? A dlaczego kula mu utknęła w szczęce? Ciekawe. Tam podskórnie przebija się myśl czy przeczucie, że losem ludzkim rządzi jakiś wielki scenarzysta, istnieje zapisany scenariusz i żeby przeżyć, trzeba go odszyfrować, złamać kod. Tylko jak?

I jakie są wnioski?

Na pewno, jak pisze Krall, nie należy ulegać smutkowi, smutek szkodzi. I to jest bardzo ważne. Podobnie jak to, że o przeżycie trzeba zabiegać, ale nie za bardzo. „Krzątać się wokół tego za bardzo nie należy" – poucza ze swoim poczuciem humoru. Ale na przykład nie należy się też zlewać z tłumem, bo to też szkodzi. Trzeba się wydobyć, wyodrębnić i zadbać o swoje przeżycie. To są z jednej strony enigmatyczne, a z drugiej bardzo konkretne przekazy, jak się zachować w sytuacji wielkiego zagrożenia.

W tekście jest też konkretne pytanie, czy jak lecą rakiety, to lepiej być w bloku w mieście, czy gdzieś na wsi? Chyba wszyscy próbujemy to dziś rozgryźć.

O tym się dziś rozmawia. Trzeba mieć jakiś plan.

Ty masz?

Oczywiście. Na przykład nie kupiłam mieszkania, bo uważam, że sensowniej jest wynajmować, być mobilnym, lekkim, nieobciążonym materią.

Jesteś warszawianką, może to tutejsze dziedzictwo, przekazywane w rodzinnych opowieściach obrazy spalonego do gołej ziemi miasta?

Tu się nie opłacało nic mieć, bo i tak potem to wszystko znika, więc tak, to może być tutejszy przekaz, bo znajomi z Poznania mają już kupione mieszkania w Hiszpanii. Jest duże prawdopodobieństwo, że Kraków nie zostanie zburzony, więc może Galicja, tam zawsze najbezpieczniej: Wawel, czakram, Dziwisz… *(śmiech)*

Podstawą scenariusza jest „Fantom bólu", czyli 1,2 tys. stron z okładem, na jakiej zasadzie wybieraliście z dramaturgiem Grzegorzem Niziołkiem historie do spektaklu?

Oprócz „Fantomu bólu" są jeszcze „Szczegóły znaczące" i „Jedenaście". Ogrom. Kiedy po raz pierwszy pojechaliśmy do Hanny Krall, każde z nas dostało cały „Fantom bólu" skserowany pojedynczo, strona po stronie – w dużej reklamówce. Poczuliśmy dosłownie wagę tego tekstu. Przy kolejnej wizycie dostaliśmy trzy strony, na których długopisem Krall napisała, od czego trzeba zacząć i które opowieści są w tej narracji ważniejsze od innych, wszystko wypunktowane. Zaznaczyła, że to tylko propozycja, ale to była bardzo ważna mapa, drogowskaz. Proces adaptacji trwał długo. Przed wakacjami czytaliśmy pierwszą wersję scenariusza, po wakacjach drugą, skróconą, ale aktorzy chcieli wracać do niektórych pominiętych przez nas historii. Bardzo lubię tę strategię Krall – nawracania – w kilku miejscach jest opisana niby ta sama historia, ale nie ta sama, bo zmieniają się szczegóły. Co się z tego przyglądania jeszcze raz może wyłonić, odsłonić? Teatr jest idealny do takich zabiegów, do grania z realnością: nagle aktorzy zamierają i wszystko się zaczyna jeszcze raz.

W scenariuszu, który mi przesłałaś, nie ma imion bohaterów, są imiona grających ich aktorów. To jest robocza wersja czy ostateczna?

Robocza. Część aktorów gra kilku bohaterów, przechodzą z postaci w postać, morfują. Inni nie morfują, jeszcze inni się rozszczepiają, a jeszcze kolejni są sobowtórami innych. To skomplikowana struktura, równie trudna do ogarnięcia jak budowa scenariusza. Dostaną swoje imiona, gdy już wszystko opanujemy. ▶

Maja Kleczewska (ur. 1973 r.) – reżyserka, absolwentka krakowskiej AST (studiowała też psychologię). Ma na koncie głośne i nagradzane spektakle, realizowane na najważniejszych scenach w kraju, w tym prokobiece i antyreżimowe „Dziady" i „Wesele" z Teatru im. Słowackiego w Krakowie. Laureatka m.in. Paszportu POLITYKI (2006 r.) i Srebrnego Lwa na teatralnym La Biennale di Venezia (2017 r.). Od września dyrektorka Teatru Powszechnego w Warszawie, gdzie 25 października będzie miała premierę „Sublokatorka" w jej reżyserii i według reportaży Hanny Krall.

eprasa.pl e445b60032



© KAROLINA JÓŹWIAK

Próba do spektaklu „Sublokatorka"

▶ To też głębsze pytanie: o sposób narracji, na ile i jak widz ma się utożsamić z bohaterami? Krzysztof Warlikowski w inspirowanej reportażami Hanny Krall „Odysei. Historii dla Hollywoodu" zadawał pytanie, jak przekazać pamięć o Holokauście kolejnym pokoleniom bez upiększania czy banalizowania samej Zagłady.

Ten język się cały czas tworzy. Hanna Krall opowiada, jak była na próbach u Kazimierza Dejmka do „Zdążyć przed Panem Bogiem" i on jej wyjaśniał, że zawsze trzeba się pytać teatru, scena odpowie. I rzeczywiście: kiedy trzech aktorów mówiło tekst przodem do widzów, czuło się, że jest niedobrze, a jak stanęli bokiem, okazało się, że jest lepiej. To żartobliwy przykład, ale coś w tym jest: podczas prób intuicyjnie czujesz, kiedy coś nie pasuje i tego odczucia trzeba słuchać. Generalnie jednak nasz spektakl to opowieść dziejąca się obecnie, z rakietami lecącymi w stronę Iranu, Tel Awiwu, Kijowa, Mokotowa, w której sięgamy do historii, do 1943 czy 1946 r. Krall jest uniwersalna, to wielka literatura, nie jest sentymentalna, nie jest po to, żeby kogoś przestraszyć, to tajemny przekaz, a wiedzę czerpiemy od jakiejś tajemniczej, czarnej dziewczynki. Nie wiadomo, jak się nazywa, dziwne dziecko, przetrwało i z jego doświadczenia możemy korzystać.

Zawsze czytałaś Krall pod takim – survivalowym, powiedzmy – kątem?

To wszystko nagle ożyło, zrobiło się szalenie aktualne i bliskie, ale zawsze czytałam te reportaże jako minieseje czy przypowieści o losie: ten wylosował taki los, a tamten wylosował inny, a Krall nam cierpliwie tłumaczy, jak z tymi losami jest. Że Kafka na przykład jest ciemny, a Singer jasny, Dostojewski jest ciemny, a Mann jasny. To nie jest podział na lepszych i gorszych, nie wiadomo, co to za podział, po prostu rodzisz się i rodząc się, losujesz.

Wierzysz w zapisany los i istnienie jakiegoś wielkiego scenarzysty?

Wydaje się, że chyba istnieje. Jest w scenariuszu postać, Tomasz Blatt. Przeżył egzekucję. Leżał w dole razem z dwoma chłopcami, oni zginęli, jemu kula utkwiła w szczęce. Po wojnie bardzo chciał się dowiedzieć, ile było strzałów. I ja rozumiem, dlaczego on tak docieka. Bo jeżeli padły trzy strzały, to po jednej kuli dla Szmula, Fredka i dla niego. Ale jeżeli strzałów było sześć? Rachunek prawdopodobieństwa: im więcej strzałów, tym cud większy. Albo scena na komisariacie. Policjant wypuszcza dwie kobiety i dziewczynkę, choć na logikę powinny wszystkie zginąć. Każdy z nas sam musi znaleźć wyjaśnienie, moje brzmi: cud. Coś niezrozumiałego zaszło w psychice, w umyśle tego policjanta. Mówię o tym Hannie Krall, a ona na to: wykluczone, to adresatka dziecięcej modlitwy „Anioł pański" wysłuchała i pomogła. Tak więc dużo jest humoru w tym przedstawieniu też...

Jakie czasy, taki humor? Od spektaklu odwołującego się do Zagłady rozpoczynasz swoją dyrekcję w Teatrze Powszechnym.

Zaczynamy spektakl trochę ironicznie sceną, w której bohaterka wybiera historie holokaustowe, przebiera w nich, bo jest ich mnóstwo, rozgałęziają się, a my już je nieraz słyszeliśmy, czytaliśmy i wszyscy, także na widowni, są już nimi zmęczeni. Więc ona chce, żeby było krótko. Czy ja nie za długo mówię? – upewniają się co chwila jej rozmówcy. Autorka też z tym gra i my też, pokazując jednocześnie, że wciąż mamy dużo wspólnego z tamtym światem. Jak mawia Hanna Krall: Zagłada – bardzo pojemny temat.

To jaka w świetle tego początku będzie twoja dyrekcja? Mocnym echem w środowisku odbiła się twoja niedawna wypowiedź dla miesięcznika „Teatr", że Powszechny

eprasa.pl e445b60032

za poprzedniej dyrekcji był zakładnikiem „ekstremalnej lewicy ze Zbawiksa".

To była prowokacja, ale wydaje mi się, że teatr musi być krytyczny zawsze i nie może mieć zaufania do nikogo. Lewicy też się należy krytyczny ogląd. A zaczynamy od Zagłady, bo zaczynamy od Warszawy. Chciałabym, żeby tu były grane „Ocalone", monodram Agnieszki Przepiórskiej o masowych gwałtach i rzezi cywilów na Ochocie z początków powstania warszawskiego. Myślę też, żeby się przyjrzeć w dalszej przyszłości np. archiwum Ringelbluma, żeby sobie przypomnieć czy wyobrazić tamto miasto. Ciekawe jest choćby to, że w teatrach w getcie grano komedie i recenzenci byli tym zdegustowani, a ludzie chodzili. Ale będzie też m.in. „Zły" Tyrmanda w reż. Krzysztofa Garbaczewskiego oraz spojrzenie na nasze sąsiedztwo, warszawską Pragę, pod hasłem „born to be free".

Drugie hasło, które się przebiło z twojego wywiadu w „Teatrze", to krytyka „teatru na macie do jogi", minimalistycznego w formie i treści, robionego przez „introwertyczne, skupione na sobie pokolenie: jaki jestem, jakie mam choroby, jaka jest moja tożsamość". A jednocześnie chcesz promować młode pokolenie reżyserów. Pod warunkiem że będą robić teatr, jaki tobie się podoba?

To jest kwestia rozmowy z nimi, spotkania. Reżyserów, których zaprosiłam do pracy, znam, to są byli studenci moi i Grzegorza Niziołka, wiem więc, że mają w sobie gotowość i odwagę mówienia o świecie i patrzenia na świat. Bo wydaje się, że jest tak, jak w Gdyni mówiła Agnieszka Holland: to jest bal na „Titanicu", światem rządzą potwory i artyści powinni się zajmować poważnymi tematami. Sztuka musi patrzeć tam, gdzie nikt nie chce patrzeć, to nasz obowiązek. Więc zapraszam do pracy osoby, które znam, jak Aleksandra Bielewicz i Kamil Białaszek, i daję im poważne teksty kultury, jak „Trojanki" czy „Hamlet". Rozmawiamy o nich, o ich osadzeniu w naszych czasach, o kwestii polityczności. Z czym Hamlet walczy, dlaczego Klaudiusz chce go zabić? Ciekawi mnie, jakiego świata broni dziś dwudziestoparolatek.

Czyli zadajesz im prace domowe?

Bardziej chodzi o uzgadnianie tematów, żeby konkretne spektakle w sezonie układały się w większy sens. Ale to przecież nic nowego, w lutym będę miała własną premierę „Wyzwolenia" w krakowskim Teatrze im. Słowackiego i z dyrektorem Krzysztofem Głuchowskim godzinami wisimy na telefonie. Dzięki takim rozmowom jako reżyserka czuję, że mam w dyrektorze partnera, który jest zainteresowany tym, co mi siedzi w głowie. Chcę być taką dyrektorką dla reżyserów pracujących w Powszechnym. Mam nadzieję, że będzie woda w Wiśle, bo planujemy rejs statkiem, a podczas niego debatę i burzę mózgów – chodzi o to, żeby oni poczuli, że Powszechny to jest ich miejsce, do którego, jak ja do Słowaka, będą wracać, żeby kolejnymi spektaklami kontynuować rozmowę z aktorami i widzami. Tylko tak możemy się rozwijać.

Liczysz na kontynuację teatru politycznego, który jest znakiem firmowym twojego pokolenia?

Chyba nie do końca. Ja bym powiedziała: niech to będzie neopolityczne albo niech powstanie nowa nazwa. Niech oni po prostu używają teatru jako narzędzia, które coś robi z rzeczywistością: może ją ogląda, może jest dla niej lustrem, może ją opisuje, może chce ją zmieniać.

Jak w naszych galopujących czasach odgadnąć, jaka będzie rzeczywistość za pół roku?

Zadawać jak najwięcej pytań i cierpliwie czekać, aż pojawią się odpowiedzi.

Nie boisz się, że ludzie, przybici rzeczywistością, nie będą chcieli się z nią mierzyć dodatkowo w teatrze? Może – zachowując wszelkie proporcje – nie bez powodu w getcie grano komedie?

Dlatego zapraszam na wieczór sylwestrowy w reżyserii Karoliny Adamczyk, który – taką mam umowę z realizatorami – będzie bardzo śmieszny. Nie można być w nieustannym napięciu i ciągle zadawać fundamentalnych pytań, a śmiech łączy, buduje poczucie wspólnoty.

ROZMAWIAŁA ANETA KYZIOŁ

REKLAMA

Poranna rozmowa w RMF

poniedziałek-piątek po godz. 8.00

Dołącz do rozmowy - zadaj pytanie!



Tomasz Terlikowski

eprasa.pl e445b60032

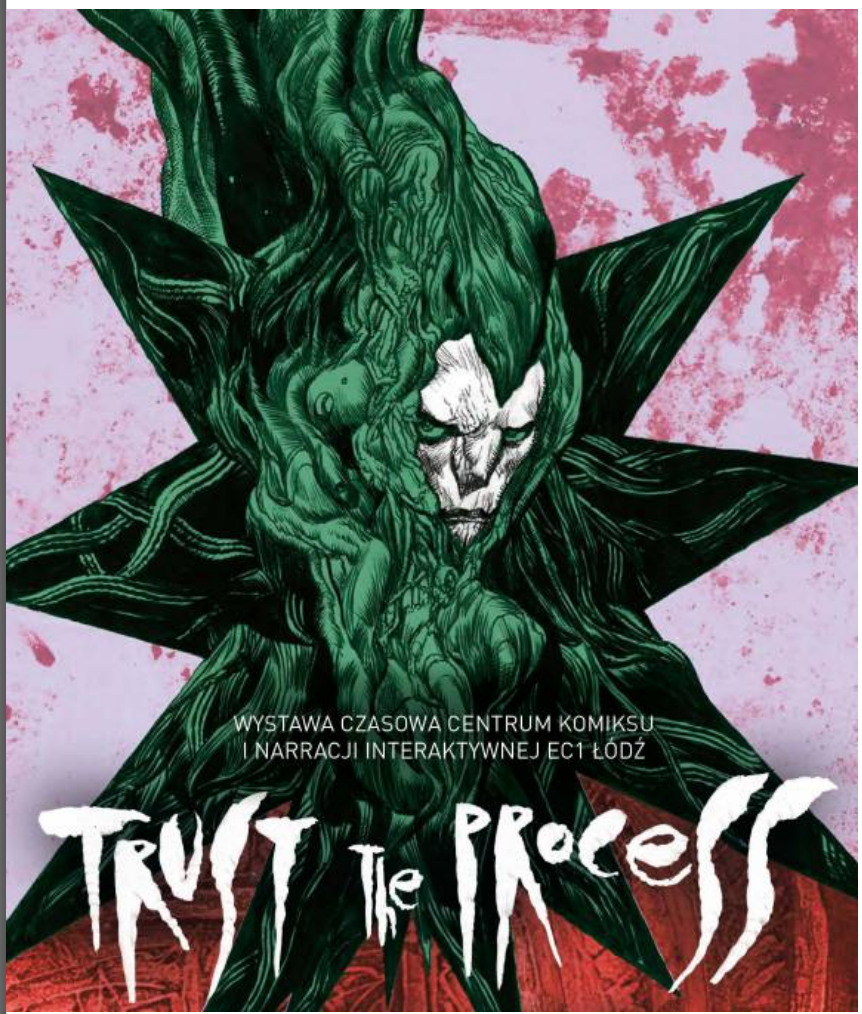

Polscy artyści są gwarancją nowych wartości. Świat na nich czeka

Łódzkie Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej EC1 zaprasza na „Trust the Process", przekrojową wystawę prac Przemysława Truścińskiego, jednego z najważniejszych artystów w historii polskiego komiksu.


© JACEK POREMBA

Wystawa „Trust the Process" w Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej EC1 w Łodzi to jedna z największych dotychczasowych prezentacji twoich prac. Jednak nie jest podsumowaniem twojej dotychczasowej twórczości, a raczej właśnie przeglądem różnych dróg artystycznych.

Przemysław Truściński: Raz na kilkanaście lat porywam się na tego typu wystawy. To wychodzi naturalnie, bo przecież cały czas funkcjonuję jako grafik, artysta i twórca komiksów i chcę się dzielić z publicznością tym, co robię. Centrum Komiksu i Narracji interaktywnej EC1 to spełnienie marzeń. Mamy wystawy stałe, które na serio każdy w Polsce powinien zobaczyć. Bo to są multimedialne przestrzenie do pokazywania sztuki. I mamy te wielkie wystawy czasowe, które już stały się tradycją Festiwalu Komiksu. Pierwsza była wystawa Grzegorza Rosińskiego, potem Tadeusza Baranowskiego, i po tych dwóch mistrzach jestem ja jako przedstawiciel średniego pokolenia artystów. Chciałem pokazać swoje prace jako proces twórczy, stąd tytuł wystawy „Trust the Process". Oprócz tego ilustracje, plakaty, okładki – za każdym razem interesowało mnie to, żeby pokazać proces dochodzenia do ostatecznego efektu. Przy doborze prac blisko współpracowałem z kuratorem Jakubem Woynarowskim, bo on ma bardzo podobne podejście do komiksu jako sztuki, jako elementu całości działań artystycznych.

Wśród zgromadzonych prac znalazły się dwa projekty, które robię od lat i są moją wizytówką: album „Andzia", który zbierał świetne recenzje we Francji i we Włoszech, a także projekty do „Witchera", czyli gry na podstawie książek Andrzeja Sapkowskiego o wiedźminie. Łącznie z pierwszym rysunkiem, od którego ta współczesna historia wiedźmina jako bohatera gry się rozpoczęła. Do tego plansze z nowego komiksu o wiedźminie, który rysuję dla wydawnictwa Dark Horse i jako pierwsi na świecie dostaliśmy zgodę, żeby je pokazać publicznie.

Niemal wszystkie prace na wystawie są oryginalne, jest niewiele wydruków, i to tylko w przypadku prac takich jak komiksy reporterskie dla „Gazety Wyborczej", bo one były jeszcze miksowane w Photoshopie. Ale to również chciałem pokazać: jak pracuję z różnymi mediami i jak je potem miksuję, jak pracuję z modelem, bo-

eprasa.pl e445b60032

haterem, zdjęciami. Są tam i prace realistyczne, i surrealistyczne, i bardziej cartoonowe. To wszystko jest częścią mojego artystycznego DNA.

I rzeczywiście nie traktuję tej wystawy jako podsumowania, lecz jako otwarcie nowego etapu. Ekscytuję się tym, co może być za kilkanaście lat.

Organizacja takiej ekspozycji była możliwa dzięki przestrzeniom EC1. Wreszcie mamy komiksową instytucję na wielką skalę.

Na wernisażu wystawy, niby żartem, ale w sumie zupełnie na serio powiedziałem, że wcale nie czekaliśmy tak długo na komiksową normalność. Od czasu, gdy zaczęliśmy tworzyć festiwale komiksu, kiedy w naszych nastoletnich jeszcze umysłach pojawiły się pierwsze myśli, że może kiedyś w Polsce powstaną muzea i galerie poświęcone komiksowi, minęło zaledwie trzydzieści parę lat. I dziś już to mamy: Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej w Łodzi, komiks jest obecny na wielu płaszczyznach popkultury, ugruntował się w społecznej świadomości jako medium i dziedzina sztuki. Mamy instytucje, prace naukowe, a przede wszystkim mamy twórczynie i twórców na najwyższym światowym poziomie. Obserwuję rozwój polskiej sceny komiksowej od początku, od pierwszego konwentu. Naprawdę nie ma na co narzekać. I nie mamy powodów do kompleksów.

Chyba wciąż niewielu artystów patrzy na to z takim optymizmem jak ty.

Może mamy to w genach, że musimy na coś ponarzekać. Ale ja naprawdę patrzę na nasz rynek i na życie realistycznie. Jasne, zawsze mogłoby być lepiej. Rynek mógłby być większy, wydawnictwa mogłyby sprzedawać dziesięć razy więcej komiksów, a w programach telewizyjnych zamiast internetowych influencerów występowaliby komiksiarze, którzy mówią o kolejnych sukcesach. Ale mamy coraz więcej artystów, którzy robią komiksy dla zachodnich wydawnictw – ja sam teraz pracuję nad jednym albumem dla francuskiego wydawnictwa Éditions Daniel Maghen i nad wiedźminem dla Dark Horse – więc musimy doceniać to, co mamy. Jasne, na Zachodzie też zderzasz się często z rzeczywistością, która nie dorasta do twoich marzeń. Zawsze mogę znaleźć powód do narzekania. Mogę marudzić, że na festiwalu w Łodzi zrobiłem sto wrysów w albumach i jestem zmęczony. Ale wolę cieszyć się z tego, że aż sto osób ustawiło się w kolejce po autograf Truścińskiego.

W tym sensie sztuka jest pełna uniesień. Jestem szczęśliwcem, że tworzę, że zostałem obdarzony talentem i mogę go w swoim życiu wykorzystywać. A to, że są ludzie, którzy chcą czytać moje komiksy, kupować moje prace, to już jest megafart. Każdy artysta jest narcyzem (śmiech). Każdy z nas potrzebuje kontaktu z publicznością, choćby dlatego, żeby nakręcić ten swój motor do działania, poczuć, że sztuka jest dla kogoś ważna. Nie ma nic piękniejszego w życiu artysty, choć to piękno okupione często wielkim wysiłkiem, o czym też rzadko się mówi. A nie możemy liczyć na dofinansowanie od państwa, jeśli nasze prace, nasze komiksy źle się sprzedają.

Wystawa w Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej jest przedsięwzięciem na wielką skalę.

Śmiem twierdzić i chcę, żeby to wybrzmiało, że to jedna z najlepszych wystaw, jakie można było w Polsce obejrzeć w ostatnich latach. I to z całego rynku sztuki. Światowy poziom. I mówię nie tyle o moich pracach, lecz o tym, jak ta ekspozycja została przygotowana. Pracowało nad nią wiele osób i przez cały czas miałem wrażenie, że wszystkim zależy na tym, by te moje rysunki zostały pokazane w jak najlepszy sposób. Nic nie zostało tam zepsute, a wszystko jest dopracowane w najdrobniejszych szczegółach. Jak mam się tym nie ekscytować?

Jesteś bardzo świadomy wartości swojej sztuki. Nie chowasz się za fasadą fałszywej skromności.

Tworzę wiele lat, myślę, że to, co robię od czasów liceum, to już są w miarę rozwinięte formy intelektualne i plastyczne. Więc mam za sobą około 40 lat pracy. Wielu rzeczy jestem pewny. Ale ta pewność jest oparta na tym, że wiem, czego jeszcze nie umiem. Mam wyznaczone perspektywy, cze-



© MARTA WOŹNIAK

eprasa.pl e445b60032

go jeszcze powinienem się nauczyć, ale w związku z tym jest mi o wiele łatwiej powiedzieć, że jestem świadom tego, co osiągnąłem. Powtarzam to studentom, gdy jestem zapraszany na gościnne wykłady, że już mają prawo czuć się szczęściarzami. Znaleźli talent i go szkolą, chcą się w nim realizować i są już na najlepszej drodze. A dalej już muszą być świadomi tego, co osiągnęli, tak samo jak tego, co mają jeszcze do osiągnięcia.



© HUBERT TKACZYŃSKI

A droga artysty ma tyle ścieżek, tyle rozwidleń, że czasami nie wiesz, w którą stronę się obrócić. Mnie do wszystkiego doprowadził komiks. To dzięki fascynacji komiksem zacząłem rysować, trafiłem do liceum plastycznego, a później na Akademię Sztuk Pięknych. Oczywiście sztuka to przede wszystkim praca, praca, praca. Ale dzięki tej pracy można robić tyle wspaniałych rzeczy. Rysować, malować, tworzyć komiksy, ilustracje, okładki do płyt, scenografie do przedstawień teatralnych, animacje do filmów i gier.

Taka różnorodność zleceń jest chyba dana nielicznym?

Dlatego trzeba otwarcie mówić o tym, że droga artysty wymaga decyzji i wyborów, czasami trudnych. Ja wiele ścieżek wybrałem źle, na szczęście udało mi się wrócić na te dobre i odnalazłem drogę do konstruktywnych rzeczy. Ważna jest otwartość. Nie interesuje mnie jako artysty szukanie tylko w jednym, wąskim zakresie możliwości graficznych. Mnie interesuje wszystko.

Oprócz tego, że mam swoje biurko i swój świat, mam również osoby, które mi zawsze bardzo dużo dawały. Dzięki nim ja również miałem ochotę bardzo dużo dawać od siebie. W podstawówce pani Spałek, nauczycielka plastyki, powiedziała mi, że jest w ogóle coś takiego jak liceum plastyczne. Dała mi adres, napisała, jakim tramwajem dojadę, pomogła mi wypełnić teczkę. W liceum spotkałem takich samych nerdów jak ja. Utalentowanych i zafascynowanych tymi samymi tematami: komiksem, fantastyką, filmami, muzyką. I jeszcze pomógł nam upadek komunizmu w Polsce, otworzyły się nowe możliwości. Pojechaliśmy na pierwszy konwent komiksowy do Kielc, ale kiedy stamtąd wracaliśmy, to już byliśmy pewni, że następny robimy w Łodzi. Zaczęło się od kilkunastu osób, dziś mamy imprezę, na którą przyjeżdżają największe gwiazdy światowego komiksu jak Bill Sienkiewicz, Keum Suk Gendry-Kim, Sean Murphy czy Enrico Marini.

Zdarzały ci się na tej drodze jakieś chwile zwątpienia?

Raz, jak sobie niemal obciąłem przez przypadek rękę, to myślałem, że już jest pozamiatane. Przyjechała karetka, wchodzą pielęgniarze, ręka zwisa bezwładnie, mieszkanie zalane krwią, a ja zadaję pytanie, czy będę jeszcze kiedyś rysował. Przez pierwszy tydzień po wypadku myślałem, że to już koniec. A potem się ogarnąłem.

I nauczyłeś się rysować lewą ręką.

Przez półtora roku w ogóle nie byłem w stanie poruszyć żadnym palcem. Więc musiałem coś zrobić. Gdy po tygodniu wreszcie zaczęły działać środki przeciwbólowe, miałem siłę popatrzeć na świat z nadzieją. Powiedziałem: dajcie mi blok, przyrządy do rysowania, nauczę się lewą ręką. Pierwsze nagrody na konwencie w Łodzi dostałem za komiksy narysowane lewą ręką.

Co za determinacja.

To nie determinacja. To konieczność. To jak z oddychaniem, po prostu muszę rysować, jest mi to organicznie potrzebne. Więc było dla mnie oczywiste, że muszę rysować lewą ręką, bo ją mam i działa. Ręka jest narzędziem. Wszystko się dzieje w głowie, w centrum zarządzania. Musisz nauczyć mózg, jak korzystać z narzędzi, jakie masz do dyspozycji.

Co cię natchnęło do rysowania komiksów?

Był koniec lat 70., miałem jakieś osiem lat. Moi rodzice postanowili mnie zostawić na wakacje u babci w Siedlcach. Już na miejscu strasznie się rozryczałem i moja mama, żeby ratować sytuację, kupiła mi w kiosku na dworcu „Relax". To był jakiś przebłysk, może pomyślała, że skoro młody rysuje, to trzeba mu kupić jakiś magazyn z komiksami. Miał zieloną okładkę z rysunkiem Rosińskiego: Thorgal i Gandalf opędzają się mieczami od jakichś futrzastych gości. Mózg mi eksplodował. Od tej pory jedyne co się liczyło, to komiksy. I pamiętam, że jak przeglądałem ten numer „Relaxu", to świadomie zdecydowałem, że będę rysował komiksy. A dziś z Grzegorzem Rosińskim jestem na ty, mistrz chwali moje prace. Kosmos.

Robisz komiksy dla zachodnich wydawców, coraz więcej naszych artystek i artystów publikuje na Zachodzie. Czy polski komiks może być międzynarodowym fenomenem?

Polska ilustracja i komiks naprawdę mają potencjał na zawojowanie świata. I to już się dzieje. Nasza sztuka powoli wkracza w te miejsca, w których mogła być już znacznie wcześniej. Wchodzimy na zachodnie rynki i jesteśmy przyjmowani z zaskoczeniem i ciekawością. Bo polscy artyści są gwarantem czegoś świeżego, nowych wartości. Świat na nie czeka, więc najwyższa pora, żebyśmy coś z tym zrobili.

Wystawa TRUST THE PROCESS odbywa się w Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej EC1 w Łodzi do 8 marca 2026 r.

eprasa.pl e445b60032

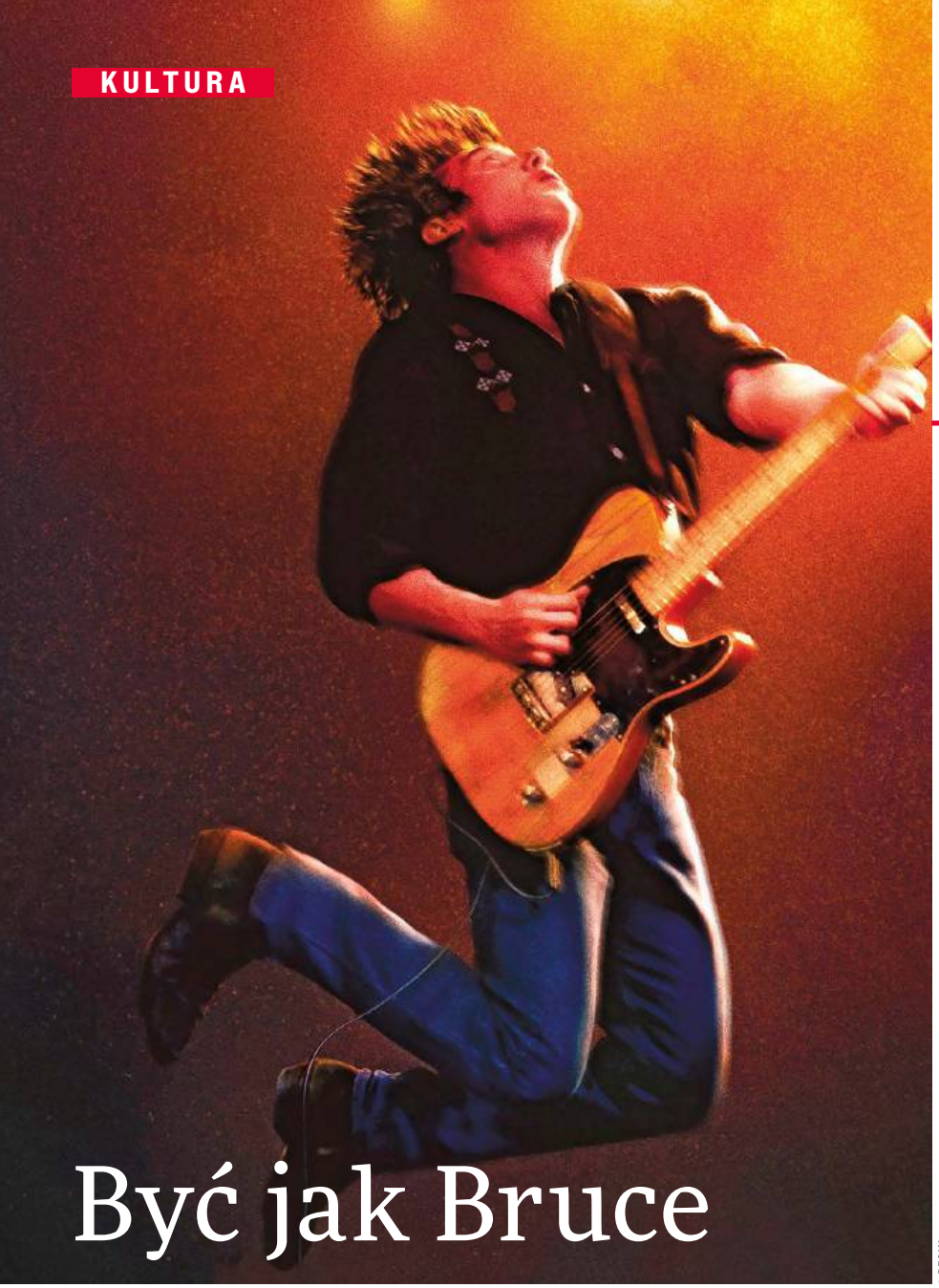

© BE&W

Być jak Bruce

Jeremy Allen White (ur. 1991 r.) – amerykański aktor, urodzony na Brooklynie, któremu serial „The Bear" i rola Carmena „Carmy'ego" Berzatto, szefa kuchni wracającego do rodzinnego Chicago, by ocalić rodzinny bar, przyniosła sławę i nagrody: Złote Globy i Emmy. Film „Springsteen: Ocal mnie od nicości" wchodzi do polskich kin 24 października.

Do sceny koncertowej wcisnęliśmy ludzi z okolicy, którzy kochali Bruce'a. A on im mnie przedstawił i rozgrzał publiczność. Wszystko tam było prawdziwe oprócz mnie – mówi Jeremy Allen White, który zagrał artystę w filmie „Springsteen: Ocal mnie od nicości".

ARTUR ZABORSKI: **– Czy przed angażem w filmie „Springsteen: Ocal mnie od nicości" słuchał pan muzyki Bruce'a Springsteena? To pańskie rejony muzyczne?**

JEREMY ALLEN WHITE: – Tak, byłem fanem muzyki Bruce'a. Choć, przyznaję, nie miałem jakiejś głębszej wiedzy o jego dyskografii. Nigdy też nie widziałem go na żywo. Dla mnie Bruce był kimś, kogo wszyscy znali od zawsze – nie pamiętam nawet dokładnie momentu, kiedy jego nazwisko czy muzyka zagościły w moim życiu. On po prostu był i to wydawało mi się naturalne. Dorastałem na Brooklynie, bardzo blisko New Jersey, na początku lat 90., a Springsteen był od zawsze istotną częścią tamtejszej kultury. Zawsze byłem świadom jego obecności, podziwiałem głębię jego tekstów. Ale myślę, że tak naprawdę stałem się dużo większym fanem i dużo bardziej go doceniłem dopiero w trakcie pracy nad tym projektem.

Zagrać taką ikonę to musi być ogromny stres dla aktora. Jedni Springsteena uwielbiają, inni mają z nim problem, bo nigdy nie ukrywał swoich poglądów politycznych. Nie bał się pan, że rola przełoży się na to, jak postrzegają pana?

Oczywiście, że się bałem. Pokonanie tego strachu to był chyba pierwszy prawdziwy próg do przekroczenia przy tym projekcie. On jest tak uwielbiany – i słusznie – że naprawdę się niepokoiłem, że w jakiś sposób, nawet nieświadomie, zakłócę tę niezwykłą więź, jaką Bruce ma ze swoją publicznością. Jest w niej coś czystego i bardzo intymnego. I to ma sens, bo on przez tyle lat był wobec swoich odbiorców szczery. Ma w sobie ogromne pokłady empatii i zrozumienia. Wiedziałem, że spoczywa na mnie ogromna odpowiedzialność, by oddać temu człowiekowi sprawiedliwość. A im więcej się o nim dowiadywałem, im bardziej go podziwiałem, czułem tylko większą presję. Jedyny moment, w którym naprawdę zaznałem spokoju podczas przygotowań, to ten, gdy na chwilę odsunąłem od siebie wizerunek Bruce'a Springsteena i skupiłem się po prostu na młodym mężczyźnie, który wraca do domu i jest muzykiem. Dopiero wtedy znalazłem punkt zaczepienia i własną drogę do tej roli.

Zagrał pan ostatnio dwóch mężczyzn, którzy realizują się poprzez swoją pasję: w „The Bear" serialowy Carmy wyraża ją poprzez gotowanie, filmowy Bruce poprzez muzykę. Obaj są perfekcjonistami, obaj zmagają się z trudnością w nawiązywaniu relacji. Czy widzi pan związek między gotowaniem i pisaniem piosenek jako formami obsesji, ale jednocześnie sposobami na przetrwanie? ▶

eprasa.pl e445b60032

▶Tak, bo pasja to pasja. A zarówno Carmy, jak i Bruce to ludzie pełni pasji. Dwóch mężczyzn, którzy najlepiej komunikują się właśnie przez to, co kochają robić. Ale poza tym obszarem pasji – przynajmniej na tym etapie życia Bruce'a Springsteena, o którym opowiada film, podczas pracy nad albumem „Nebraska" – nie są zbyt dobrzy w komunikacji z innymi ludźmi. Dużo myślałem o tym, jak wiele ich łączy, już na samym początku pracy nad rolą Bruce'a. Widziałem w nich przede wszystkim dwóch bardzo zdeterminowanych ludzi.

Na „Nebrasce" Bruce przeszedł od ogromnego sukcesu z dużym składem do muzyki intymnej, nagrywanej solo. Na ile czerpał tu pan ze swoich emocji po sukcesie „The Bear"?

Myślę, że zawsze – przynajmniej mam taką nadzieję – dążymy do tego, żeby zrobić coś innego. Jako aktor zawsze patrzysz naprzód, próbujesz iść dalej. Myślę, że jeśli masz szczęście i potrafisz dobrze słuchać samego siebie, to możesz wybierać projekty, które naprawdę coś dla ciebie znaczą – i może w ten sposób uciszasz pewne oczekiwania albo presję. I wydaje mi się, że Bruce właśnie z tym zmagał się w tamtym okresie – z oczekiwaniami, presją, tym, jak pozostać wiernym sobie. To rzeczy, które ja bardzo dobrze znam, są mi bliskie. On miał w sobie ogromną artystyczną uczciwość i umiejętność słuchania samego siebie – i właśnie dlatego powstała „Nebraska". To cecha, którą bardzo w nim podziwiam. I to też coś, czego chciałbym się trzymać w przyszłości – jeśli będę miał szczęście dalej robić to, co robię, chciałbym pozostać szczerym wobec siebie i kierować się własnym głosem przy podejmowaniu decyzji.

Dlaczego pańskim zdaniem ta historia powstawania albumu „Nebraska" jest tak ważna? I czego może nas nauczyć w kontekście bycia osobą publiczną i mierzenia się z oczekiwaniami?

Myślę, że w tym kontekście każda historia o tworzeniu dzieła sztuki jest ważna. Dla mnie samo czytanie książki, na której oparty jest ten film, było niezwykle inspirujące. To opowieść o człowieku, który dąży do wyrażenia siebie za wszelką cenę. I wydaje mi się, że kluczowa jest w tym filmie świadomość, że ta cena bywa ogromna: dla czyjejś duszy, zdrowia i psychiki. Tak naprawdę 75 proc. pracy artysty polega na tym, żeby o siebie zadbać. Przypadek Bruce'a zawsze był dla mnie historią właśnie o tym – o pielęgnowaniu długowieczności, o znalezieniu równowagi. Bardzo cenię opowieści o artystach, którzy pozwalają sobie być zdrowi, którzy potrafią się uwolnić od wiecznej walki z samym sobą, od tworzenia sztuki tylko dla samego cierpienia. Gdyby Bruce nie nagrał „Nebraski" w taki właśnie sposób, nie wiadomo, czy byłby w stanie przepracować to wszystko, co wtedy przeżywał – w rozmowach z Jonem [legendarny producent muzyczny, menedżer i bliski współpracownik Bruce'a Springsteena, w filmie gra go Jeremy Strong – przyp. AZ], a potem z terapeutą, w pracy nad sobą. Myślę, że właśnie dzięki temu mógł później prowadzić taką karierę i takie życie, jakich naprawdę pragnął. Ten proces poszukiwania otworzył mu drogę nie tylko do tworzenia kolejnych albumów, ale też do pełnego życia poza muzyką – a to właśnie zapewniło mu długowieczność. Moim zdaniem nie da się przetrwać, czerpiąc wyłącznie ze swojej sztuki.



Bruce Springsteen i Jeremy Allen White na Festiwalu Filmowym Telluride w Kolorado

© VIVIEN KILLILEA/GETTY IMAGES

Jakie emocje towarzyszyły panu podczas pierwszej sceny, w której wykonuje pan „Born to Run"?

Świetnie mi się grało. Bycie na scenie okazało się niesamowitym doświadczeniem. Pamiętam, że w przygotowaniach do tego najważniejsze było dla mnie, że Bruce, ilekroć występuje, naprawdę daje z siebie wszystko: fizycznie i emocjonalnie. On dosłownie stawia swoje ciało na szali za każdym razem, kiedy gra. I będzie to robił, dopóki fizycznie będzie w stanie. Miałem też pewien wzorzec, na którym się opierałem.

Jaki?

Jego występ w Arizonie w 1980 r., właśnie z utworem „Born to Run". Grałem tę scenę tak, jak gdyby to był ostatni utwór tego wieczoru, tego koncertu, całej trasy „The River". Wiedziałem, jak bardzo musiał być wtedy wyczerpany, więc moim celem było doprowadzić samego siebie do podobnego fizycznego i emocjonalnego zmęczenia. Znalazłem prawdziwą radość w tych scenach koncertowych, ale największa przyszła do mnie w tej, która rozgrywa się w klubie

eprasa.pl e445b60032

The Stone Pony. To było miejsce pełne życia, mały lokal na ok. 300 osób – a my wcisnęliśmy tam pewnie z 350! Wszyscy byli z okolic Asbury Park i wszyscy kochali Bruce'a Springsteena. A Bruce sam im mnie przedstawił i... rozgrzał przede mną publiczność. Więc gdy stanąłem na scenie z chłopakami z zespołu Greta Van Fleet i z Jayem Buchananem, wszystko było prawdziwe – oprócz mnie. I to pozwoliło mi dać się ponieść w sposób, który zdarza się bardzo rzadko, a który jest zawsze celem każdego aktora.

Jak to było wcielić się w Bruce'a Springsteena z 1982 r.?

W tamtym czasie Bruce przechodził najciemniejszy okres w swoim życiu. Rozmawiając z nim, ucząc się o nim i próbując zrozumieć, co działo się wtedy w jego głowie, widziałem, jak głęboki to był kryzys. Nie mógłbym powiedzieć, że przeżywałem to samo, ale na pewno miałem w życiu momenty, które emocjonalnie były do tego zbliżone. Starałem się więc wydobyć z siebie te uczucia i te emocje, co bywało momentami bardzo nieprzyjemne. Poza chwilami, które spędzałem na planie filmu, starałem się też spędzać dużo czasu sam, tak jak Bruce wtedy, ucząc się, przygotowując, próbując zrozumieć jego sposób bycia i to, jak się zachowuje podczas występów.

Które aspekty życia Bruce'a były dla pana najbardziej inspirujące podczas pracy nad tym projektem?

Przed rozpoczęciem pracy nad filmem miałem pewne wyobrażenie o Springsteenie, znałem oczywiście „Born to Run", „The River" i wiele jego radiowych przebojów, ale nie znałem głębiej jego procesu twórczego. Dopiero próbując zrozumieć „Nebraskę" i towarzyszący jej proces twórczy, zobaczyłem coś naprawdę odkrywczego i imponującego.

Co takiego?

Zauważyłem wiele podobieństw między sposobem, w jaki Bruce śpiewa, opowiada historie, zmienia perspektywy, ton, głos i postać. Rozmawianie o tym i próby zabawy tymi elementami były fascynujące. No i uczenie się o jego inspiracjach muzycznych – tych sprzed „Nebraski", ale też tych konkretnych, tak dobrze udokumentowanych w książce Warrena Zanesa i pokazanych w filmie – to wszystko samo w sobie było niezwykle inspirujące. Odkrywanie, co napędza moich idoli albo kto był ich ulubionym artystą... Bruce był naprawdę zafascynowany zespołem Suicide, czytał Flannery O'Connor – bardzo mnie to ciekawiło. Taka wiedza daje małe okruchy informacji, które pozwalają lepiej zrozumieć ikony, a jednocześnie sprowadza je trochę na ziemię. Pokazuje, że nic nie bierze się znikąd, że nawet wielcy artyści muszą stworzyć sobie przestrzeń, by otworzyć się na inspirację, więc może w gruncie rzeczy jest to osiągalne dla każdego z nas.

Z tego, co wiemy, Bruce Springsteen był obecny na planie dość często podczas kręcenia filmu. Musiało to być dla pana stresujące...

Owszem. Szczególnie na początku paraliżowała mnie myśl, że mam Bruce'a tuż obok siebie. Samo wejście na plan po raz pierwszy – niezależnie od tego, czy grasz postać fikcyjną, czy prawdziwą – jest już wystarczająco stresujące. A kiedy grasz żyjącą osobę, i to taką, która dosłownie stoi obok ciebie, wtedy napięcie jest ogromne. W pierwszym tygodniu, czyli w czasie, kiedy byłem najbardziej niepewny siebie i tego, jak wypadnę, mój wewnętrzny głos podpowiadał mi: „Bruce jest tu tylko po to, żeby mnie oceniać. Albo żeby oceniać Scotta [Coopera, reżysera filmu – przyp. AZ], albo cały film". Ale z czasem jego obecność stała się czymś zupełnie naturalnym. A przychodził coraz częściej... Napięcie minęło, kiedy zrozumiałem, że on naprawdę jest tam po to, żeby nas wspierać. Jego obecność dawała mi i Scottowi poczucie, że mamy od niego coś w rodzaju takiego cichego pozwolenia – że robimy coś, co on akceptuje. Podczas zdjęć Bruce często wysyłał mi wiadomości wieczorami – pisał o konkretnych momentach, które uznał za szczere. Czasem chodziło o wykonanie piosenki, jak „Born to Run" czy „Born in the U.S.A.", a czasem o coś bardziej banalnego – chociażby sposób, w jaki siedziałem przy stoliku w dinerze.

Czy po obejrzeniu gotowego filmu podzielił się z panem swoimi wrażeniami na temat pańskiej roli, jak i całego filmu?

Bruce'owi spodobał się efekt, który osiągnęliśmy. A ja czuję ogromną ulgę, satysfakcję i zaszczyt, że udało nam się stworzyć coś, co on uważa za prawdziwe.

ROZMAWIAŁ ARTUR ZABORSKI

REKLAMA

AFF
TAURON
16. american film festival
6–11.11.2025, wrocław
6–23.11.2025, online

Polityka prezentuje się dobrze również na ekranie

Zobacz filmy polityczne, dzięki którym lepiej zrozumiesz Stany Zjednoczone: *Czerwoną linię* Sidneya Lumeta, *Syndykat zbrodni* Alana J. Pakuli czy *Prezydentka: Miłość w białym domu* Roba Reinera.

Weź udział w spotkaniach z autorami *Podkastu Amerykańskiego*, współtwórcami sekcji *Polityka na ekranie*.

program festiwalu i opisy filmów na **americanfilmfestival.pl**



wszystkie stany kina

TAURON · Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego · Filmoteka Narodowa Instytut Audiowizualny · Polski Instytut Sztuki Filmowej · KNH · stowarzyszenie nowe horyzonty · Wrocław miasto spotkań


Tianyao Lyu


Kevin Chen


Shiori Kuwahara


Zitong Wang

Werdykty osobiste

Kto powinien był wygrać Konkurs Chopinowski zdaniem krytyków, którzy śledzili jego przebieg? I kto pozostanie cichym bohaterem tegorocznej edycji?

Konkursowe jury pod przewodnictwem Garricka Ohlssona miało trudne zadanie. Poziom XIX Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina publiczność i prasa zgodnie uznały za wyjątkowo wysoki. Swój werdykt (o którym informujemy na polityka.pl) jurorzy ogłosili nocą z 20 na 21 października, koncerty laureatów potrwają do czwartkowego wieczoru.

Są jednak tacy, których zadanie było jeszcze trudniejsze: troje krytyków – Dorotę Szwarcman z POLITYKI, Jacka Hawryluka z radiowej Trójki oraz Krzysztofa Stefańskiego z „Ruchu Muzycznego" – poprosiliśmy o wytypowanie ich faworytów i ich konkursowych rozczarowań jeszcze przed ostatnim wieczorem przesłuchań. Komentarze te układają się w opowieść o tym, co się działo na scenie Filharmonii Narodowej przez ostatnich kilkanaście dni.

Zaskoczenia do końca

Tianyao Lyu, Kevin Chen, Shiori Kuwahara – wielki talent, techniczne popisy i prawdziwe wzruszenia.



Nic nie wiemy. I jury też nic nie wie. Kto ile ma punktów, czy jest już na straconej pozycji, czy jeszcze nie. A tym bardziej kto miałby wygrać – piszę te słowa po drugim dniu finałów Konkursu Chopinowskiego.

Ocenianie jest tym trudniejsze, że po każdym etapie odpadały kolejne osobowości, które mogły być w następnych etapach lepsze od tych, które przeszły dalej. A te, którym udało się wejść do finału, również w ich trakcie zmieniają swoją pozycję; większość wypada gorzej, niż można było się spodziewać. Niektórzy z kolei prezentują się dość równo, ale przecież też nie wiemy, jaka była ich wcześniejsza pozycja.

Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, który pilnie śledzi finały, siedząc na balkonie sali koncertowej Filharmonii Narodowej, ogłosił w mediach społecznościowych, że jego faworytką jest Tianyao Lyu. 17-letnia Chinka, która od roku studiuje w Poznaniu u prof. Katarzyny Popowej-Zydroń, stała się prawdziwą maskotką konkursu (na poznańskiej uczelni mówią o niej nasza Marysia). To rzeczywiście wielki talent, a jej występ w finale był najrówniejszy. Bo większość finalistów w nerwach nie ustrzegła się, niestety, błędów.

W serwisie bukmacherskim STS „Marysia" spadła już jednak drugiego dnia finałów o oczko w dół; wyprzedziła ją Japonka Shiori Kuwahara, pianistka, która budzi respekt, a jej gra prawdziwie wzrusza. Na pierwszym miejscu jednak jest tam niezmiennie Kanadyjczyk Kevin Chen. Mimo bardzo młodego wieku (20 lat) najbardziej utytułowany z uczestników, zwycięzca paru ważnych konkursów (w Tel Awiwie i Genewie), znany już także dobrze w Polsce, zaprawiony w trudach życia koncertowego. Wydaje się pewniakiem. Jego występy na konkursie były równe, na wysokim poziomie, może tylko w drugim etapie trochę przesadnie popisywał się techniką w etiudach.

A może reprezentant Stanów Zjednoczonych William Yang? Czarny koń tego konkursu, tegoroczny zwycięzca z Miami, o nieskazitelnej technice i zaskakującej antyromantycznej estetyce, jakby wyzbyty emocji. Jego finałowy występ wywołał sprzeczne reakcje. Czy to jeszcze Chopin? Czy to może nowy Chopin? Nieco podobną estetykę reprezentuje krajan Yanga Eric Lu, który wrócił na Konkurs Chopinowski po 10 latach (w 2015 r. otrzymał na nim IV nagrodę), podczas których często gościł z koncertami w naszym kraju. Technikę ma też wspaniałą, a dźwięk piękniejszy niż Yang. Kto z nich zdobędzie więcej punktów?

W naszym konkursowym podkaście wyraziliśmy z Bartkiem Chacińskim swój podziw dla gry chińskiej pianistki Zitong Wang, niezwykle muzykalnej i wrażliwej. Jednak po jej finałowym występie, podczas którego przydarzyły jej się przykre wpadki, trudno już liczyć na jej wygraną. Podobnie w przypadku jedynego polskiego finalisty Piotra Alexewicza – tu również, pod koniec znakomitej interpretacji Koncertu f-moll, coś się zapadło. Także sympatyczny młody Chińczyk Tianyou Li miał w finale podobną sytuację: rażący błąd na tle dobrego występu. Jak

© WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI (2), KRZYSZTOF SZLĘZAK (2), MICHAL MUTOR/AGENCJA GAZETA, WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

eprasa.pl e445b60032

jurorzy się do tych ekscesów odniosą, trudno przewidzieć.

Nie sposób kogokolwiek typować w tej sytuacji. Przed ostatnim dniem finałów wszystko zależy od tego, czy Kevin Chen utrzyma swój wysoki poziom, czy Gruzin David Khrikuli nas jeszcze czymś zaskoczy (po ciekawej interpretacji Fantazji f-moll w I etapie można się spodziewać równie interesującego, pokrewnego jej Poloneza-fantazji), no i czy Shiori Kuwahara pokaże nam raz jeszcze, co potrafi. Czekam zwłaszcza na tę ostatnią. Może to ona wygra? Bo jeśli nie, to chyba również stawiam na Chena. Ale Tianyao Lyu zapewne też znajdzie się wysoko.

DOROTA SZWARCMAN

Sztafeta bohaterów



Kevin Chen ma w rękach i głowie wszelkie potrzebne do zwycięstwa kompetencje.

„W miarę rosnącego udręczenia ziemi cywilizacją materialną, zapewne pogłębiać się będzie nasza tęsknota do metafizycznych wartości sztuki" – tak Jerzy Waldorff zakończył w 1980 r. swój ostatni felieton o konkursach chopinowskich, zamieszczony w „Wielkiej Grze". W 2025 r. te słowa są aktualne. Tęsknimy za tymi trzema tygodniami z Chopinem. Najpierw się nim zachłystujemy, potem narzekamy na zmęczenie, wreszcie żałujemy, że to już koniec.

Konkurs ma swoją specyfikę, wyjątkową atmosferę, wreszcie regulamin i system oceniania (w tym roku zmodyfikowany). Kolejne werdykty – wyłaniające tych, którzy grają dalej – zawsze wzbudzają emocje. Tak było i będzie, niemniej skandali w Warszawie od lat coraz mniej. Co cieszy, zwłaszcza że uzasadniony wybór laureata pierwszej nagrody zamyka usta krytykom i wyznawcom teorii spiskowych. Sytuacja, by powtórzył się *casus* Pogorelicia z 1980 r., jest mało realna.

Wbrew docierającym z różnych stron opiniom decyzje jury przyjmowałem ze spokojem. Demagogiczne głosy o niesprawiedliwościach, niejasnych sytuacjach puszczałem mimo uszu. Pamiętajmy: do barwnej historii konkursu przechodzą także ci, którym się nie powiodło i którzy w Warszawie mają zaprzysięgłych fanów (Eddie „Orzeł" Edwards, najgorszy skoczek świata, też ich miał).

Moje preferencje? Chętnie słuchałbym w kolejnych etapach młodziutkiego Mateusza Dubiela, tyle że najpierw musiałby się zameldować w drugim. W jego grze odnalazłem „arystokratyczną" elegancję oraz powiew świeżości. Zaintrygował mnie Włoch Gabriele Strata i jego „pozasystemowy" Chopin. Wybaczyłbym mu przewinienia i pozwolił grać dalej (nie przeszedł do trzeciego etapu), ale tabela w Excelu była bezwzględna. Japonka Yumeka Nakagawa najpierw irytowała mnie grą na pełnych obrotach, ale potem ukręciła mi głowę tak, że nie mogłem się od niej oderwać. Żałuję „naszego" Koreańczyka Hyuka Lee (starszego z braci), ale nie dlatego, że mówi po polsku i opycha ▶

REKLAMA



▶ się pierogami, tylko że jest otwartym, mądrym artystą.

To jednak tylko drobne żale, bo poziom pianistyki podczas tej edycji był wyśrubowany i co chwila dochodziły kolejne olśnienia. Porannych bohaterów zastępowali popołudniowi. A co z naszymi? Polacy, nic się nie stało? Jednak się stało. Wiemy to nie od dziś. Mamy szczęście, że w finale zagrał choć Piotr Alexewicz, najrówniejszy z całej ekipy. Nadzieje publiczności na udział Pawlaka i Prokopowicza w finałowej rozgrywce zostały radykalnie zweryfikowane. W tej stawce nie mieli szans.

Kto powinien wygrać Konkurs Chopinowski w 2025 r.? Kevin Chen – kapitalny chłopak, mający w rękach i głowie wszelkie kompetencje. Kompletem Etiud z op. 10 wzbudził mój zachwyt. Jest piekielnie zdolny, świetnie ukształtowany i podobnie jak Bruce Liu ma talent nie tylko do Chopina. Tymi samymi atutami obdarzona jest, druga w moim rankingu, Japonka Shiori Kuwahara. Nie bierze jeńców: gra dużym, krystalicznym dźwiękiem, od razu przykuwa uwagę, perfekcyjna w każdym etapie. Uwiodła mnie Sonatą h-moll, także Scherzem cis-moll i Polonezem As-dur. Gdyby okazało się, że jury zamieni ich miejscami, wyjątkowo nie będę kładł się Rejtanem. Oboje są zwycięzcami. Podium uzupełnia Amerykanin William Yang, który przeskoczył o kilka pozycji świetnie zagranym ostatnim etapem: Polonezem-fantazją i Koncertem f-moll. Wrażliwiec.

Zabawne byłoby widzieć na czwartej pozycji Erica Lu, który przyjechał do Warszawy po 10 latach, by poprawić... czwartą pozycję. Zacząłem mu kibicować od trzeciego etapu (Sonata h-moll) i finału (Koncert f-moll). Lu to rasowy pianista, nieco zdystansowany, wręcz lodowaty (w przeciwieństwie do swej partnerki Kate Liu), jego sztuka pianistyczna nie potrzebuje już kolejnych weryfikacji.

Moją szóstkę zamykają Chinka i Polak. Tianyao Lyu – „porcelanowa księżniczka", tak na nią wołają – właśnie zaczyna 17. wiosnę. Jej perlista gra iskrzy się radością i wdziękiem, tyle że w muzyce Chopina zawarty jest także kawał dramatu. Chciałbym, by Lyu nie tylko grała, ale także coś opowiadała. Piotr Alexewicz zaś udowodnił, zwłaszcza w finale, że można grać Chopina, ot tak, zwyczajnie, po prostu, z dobrym wyczuciem stylu, elegancją i bardzo naszą nostalgią.

Tyle wróżenia z fusów, czyli z konkursowych notatek. Co postanowiło jury, i tak już wszyscy wiemy.

JACEK HAWRYLUK,
POLSKIE RADIO PROGRAM 3

Parytet Chopina

Zitong Wang zaliczyła najbardziej spektakularny powrót na Konkurs Chopinowski.



Pianistki miały w tym konkursie jakby pod górkę – w eliminacjach było ich niecałe 30 proc., potem ich udział oscylował wokół jednej piątej stawki. Tym bardziej cieszy, że komplet uczestniczek trzeciego etapu stawił się w finale. Największą sympatią publiczności cieszyły się fantastycznie zdolna Tianyao Lyu i Shiori Kuwahara, wydobywająca z fortepianu niemal organowe brzmienie, które dobrze sprawdzało się w jej dramaturgicznych wizjach Chopina. Ja zaś mam nadzieję, że w gronie laureatów znalazła się Zitong Wang – pierwsza osoba, przy której nazwisku postawiłem w tym konkursie pełnego plusa, bez żadnych zastrzeżeń.

Wtedy zwróciła uwagę połączeniem poezji i precyzji oraz wydobywaniem linii melodycznych w Etiudzie gis-moll op. 25 nr 6. W drugim etapie zapunktowała jednym z najoryginalniejszych programów – z Écossaises op. 72 i Presto con leggierezza As-dur WN44, w których pokazała dość zawadiacką pianistykę brillant. Najciekawiej ze wszystkich rozegrała finałowe Preludium d-moll z op. 28, z trzema całkiem różnymi uderzeniami w zakończeniu, a zagrany potem Mazurek op. 68 nr 4 zyskał ton żałobny. Chętnie bym ją widział z nagrodą Polskiego Radia za mazurki, bo w op. 50 ukazała różne charaktery, nie zgubiła tanecznych rytmów i uzyskała bodaj najszerszą paletę brzmieniową na fortepianie Shigeru Kawai. Pozwoliła jej tak bardzo nasycić melancholią Walc E-dur WN 18, że nie raził, wykonany po przejmującej Sonacie b-moll op. 35. Podziwiam wyobraźnię dźwiękową pianistki, dzięki której tworzy nieszablonowe interpretacje, bez uciekania się do skrajności. Te jakości potwierdziła w finale w arcywirtuozowskim i heroicznym wykonaniu Koncertu e-moll op. 11 oraz przejmującym pianissimo w op. 61 – i to mimo niepewnego wejścia w temat polonezowy.

Wang niewątpliwie zaliczyła najbardziej udany powrót na konkurs – cztery lata temu jej przygoda zakończyła się na pierwszym etapie. Swoje osiągnięcia na pewno poprawili półfinaliści ostatnich zmagań Miyu Shindo i Piotr Alexewicz – oboje prezentujący wyważone i bardzo przemyślane interpretacje. Nie udało się to natomiast Hyukowi Lee i Hao Rao, finalistom XVIII Konkursu. Zdobyte przez cztery ostatnie lata doświadczenie i dojrzałość okazały się niewystarczające. Szanse na podwójną koronę stracili też Piotr Pawlak i Eric Guo, laureaci Konkursu Chopinowskiego na instrumentach historycznych, choć wyraźna tendencja do grania delikatniejszego i większego skupienia na detalu teoretycznie powinna premiować ich kompetencje.

Do końca – barwnym Polonezem-fantazją As-dur op. 61 i pełnym emocji Koncertem f-moll op. 21 – o podium walczył Eric Lu, przed dekadą zdobywca IV nagrody, choć plany mogła mu pokrzyżować silna konkurencja: przede wszystkim niezawodny i znakomity technicznie Kevin Chen, introwertyczny, ale jakże ciekawy William Yang i wspomniana Shiori Kuwahara. A nie należy też zapominać o Davidzie Khrikulim, bardzo swobodnie dysponującym tempem i dynamiką, co pozwoliło mu stworzyć jedną z bardziej zajmujących kreacji Preludiów op. 28 w II etapie.

Ta runda zmagań okazała się zresztą najciekawsza. Większa dowolność w doborze repertuaru zaowocowała nietuzinkowymi i nieraz ambitnymi programami. To kierunek, który warto kontynuować, choć jednocześnie należałoby pomyśleć nad skróceniem konkursowych recitali. Nieraz miałem wrażenie przemęczenia uczestników i mało który występ obył się bez choć drobnych potknięć. W ćwierćfinale pożegnałem też troje artystów, których widziałem już nawet w gronie laureatów: Jonasa Aumillera, Gabrielego Stratę i Yanyan Bao. Pierwsi dwaj na pewno nie pojawią się już w Warszawie w charakterze uczestników. Natomiast chińska pianistka mogłaby jeszcze startować dwukrotnie. Jeśli się na to zdecyduje, z pewnością będę jej kibicował.

KRZYSZTOF STEFAŃSKI,
„RUCH MUZYCZNY"

© BARTEK BARCZYK/RUCH MUZYCZNY

eprasa.pl e445b60032

Porozmawiajmy o tańcu

Od dyrekcji Kieleckiego Teatru Tańca

Projekt *Recenzja dla tańca* jest dla nas bardzo ważnym działaniem dla rozwoju tańca w Polsce. Jako liderzy i twórcy instytucjonalnego teatru tańca od 30 lat staramy się rozwijać tę dziedzinę sztuki głównie artystycznie, pedagogicznie i organizacyjnie. Cieszy nas współpraca środowisk twórczych z krytycznymi, bowiem po raz kolejny krytycy i krytyczki z ZASP towarzyszą nam w działaniach promujących taniec.

Dyrekcja Kieleckiego Teatru Tańca
dr Elżbieta Pańtak
dr Grzegorz Pańtak

Zoom na taniec

Krajobrazy rozmaitych form tańca przyciągają coraz częściej uwagę nowej publiczności, a choreografia wciąż jest niezbadaną do końca przestrzenią, otwartą na poszukiwania twórcze. Ta swoista *terra incognita*, choć ma stałych mieszkańców i osadników kusi swoim potencjałem, nowymi językami, koncepcjami i kształtami, otwartością do absorbowania innych kodów. Taniec jako sztuka wciąż jest młody i to daje mu niezwykłą siłę do przeobrażeń, do podejmowania ryzyka w szukaniu odpowiedniej formy dla siebie. W tej przestrzeni wciąż jest miejsce na eksperyment, ale i na powracające znane libretta baletów z nowymi interpretacjami.

Z radością obserwujemy rosnące zainteresowanie tańcem w wielu przejawach życia społecznego i kulturalnego.

Jego dynamiczny rozwój skłonił nas do przybliżenia bogatego spektrum tej sztuki, prezentując przegląd recenzji z bieżących spektakli – zarówno scen instytucjonalnych, jak i alternatywnych – przywołując przy tym nazwiska kluczowych twórców i wykonawców. Pragniemy otworzyć Was na nowe doświadczenia, które niesie taniec i choreografia. Repertuar taneczny w Polsce jest niezwykle rozbudowany i rozciąga się od tradycji do awangardy. Obejmuje on zarówno klasyczny balet wystawiany w teatrach operowych, jak i bogatą ofertę tańca współczesnego, często wzbogaconą o innowacyjne praktyki. Nie brakuje również gatunków bardziej masowych, takich jak dynamiczne widowiska musicalowe, a także wyspecjalizowanych wydarzeń – od festiwali i konkursów w wielu technikach po pielęgnację dziedzictwa w postaci polskich tańców narodowych.

Taniec jako medium poruszające najważniejsze tematy

Wśród różnorodności współczesnego świata, taniec pozostaje jednym z najpotężniejszych, a zarazem najbardziej subtelnych narzędzi do komentowania rzeczywistości. Zarówno treści spektakli, jak i rola tańca mogą być sposobem na omówienia i problematyzowania istnienia oraz eksplorowanie głębokich zagadnień filozoficznych, psychologicznych i społecznych.



fot. Ewa Krasucka / *Prometeusz*

Miniony sezon udowodnił, że taniec to znacznie więcej niż ruch; to medium zdolne do poruszania najważniejszych tematów – od traumy i genezy ludzkiego charakteru, po mityczne ostrzeżenia i poszukiwanie wspólnoty w chaosie „tu i teraz".

Niedawno rozpoczął się nowy sezon artystyczny. To długo wyczekiwany moment, nadejścia którego wielbiciele tańca i melomani odliczają dni, zwłaszcza że od kilku lat możemy obserwować dużą różnorodność spektakli. Widzimy, jak pewne choreografie przechodzą do klasyki repertuaru danego teatru, jak rozwijają się festiwale oraz jak niektóre formuły się wyczerpują. Zacznijmy od stolicy: w sezonie 2025/26 w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie będziemy mogli ponownie oglądać *Prometeusza* **Krzysztofa Pastora**. Polski Balet Narodowy kładzie zdecydowany nacisk na współczesnych rodzimych twórców, takich jak **Robert Bondara**, **Anna Hop**, Krzysztof Pastor, **Isadora Weiss**. Zobaczymy w tym sezonie także wielką klasykę – *Bajaderę*.



fot. Klaudyna Schubert / *Chcę żyć poprzez swoje ciało*

Odwrotnie prezentuje się repertuar Teatru Wielkiego w Łodzi. Z zeszłorocznych premier powraca *Morze* o współczesnej tematyce. Teatr stawia jednak na klasyczny repertuar: w okresie zimowym będzie można zobaczyć nieschodzącą z afisza propozycję dla najmłodszych *Królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków*. Czekamy też z zainteresowaniem na międzynarodowy festiwal Łódzkie Spotkania Baletowe. Idąc tropem festiwali, w Operze Nova w Bydgoszczy czekamy na perełki taneczne podczas Bydgoskiego Festiwalu Operowego, natomiast w Teatrze Wielkim w Poznaniu po raz trzeci zagości *Przedwiośnie Baletowe* podkreślające lokalnych twórców. W sezonie będzie można zobaczyć spektakle Roberta Bondary jak *R+J Romeo i Julię*, *Królowa śniegu* Zych/Bondara oraz *4: Pastor* / ***León & Lightfoot*** / *Bondara*, ponadto powrócą

eprasa.pl e445b60032

Nie upilnuje nas nikt: ***Donlon*/*Jung*/*Kozielska***; oraz nadchodzące premiery: *Don Kichot* w chor. **Michala Štípy** i *Stabat Mater* Szymanowski i Pergolesi – nowe interpretacje **Danieli Cardim** i **Edwarda Cluga**.

Do Opery Wrocławskiej powrócą premiery z poprzednich sezonów takie jak: *Napoli 1841* w choreografii **Johana Kobborga** i **Augusta Bournonville'a**, *Frida* **Annabelle Lopez Ochoi** i *Królowa Śniegu* **Małgorzaty Dzierżon**, obecnej dyrektorki baletu. Będą też inne spektakle, w tym premiery, w tym choreografii **Jiřiego Kyliána**.

Celem zamówionych tekstów krytycznych jest opisywanie szerokiej panoramy gatunków tańca, odzwierciedlającej zainteresowania autorek i autorów oraz aktualne trendy w obszarze sztuk performatywnych i choreografii. Gdzie szukać dodatkowych informacji? Na portalu taniecPOLSKA.pl oraz w wyspecjalizowanych czasopismach: kwartalnik „TANIEC", „Teatr", „Dwutygodnik", „NieTakt", „Sceny Polskie", „Performer", „Didaskalia", by wymienić najważniejsze. O tańcu można bowiem pisać wielorako, a recenzje są zróżnicowane ze względu na przyjmowanie odmiennych perspektyw adekwatnie do gatunków i omawianych spektakli.

dr Anna Królica, dr Marianna Jasionowska


fot. Enen Studio / *Frida*

Wrocław / Opera Wrocławska / *Frida*
chor. Annabelle Lopez Ochoa
Kolory życia
Alicja Iwańska

7 czerwca Opera Wrocławska zaprosiła widzów do świata jednej z najbardziej charyzmatycznych postaci XX wieku – Fridy Kahlo. Premierowy spektakl baletowy *Frida* to nie tylko artystyczne wydarzenie sezonu, ale przede wszystkim taneczna opowieść o bólu i pięknie, sile kobiecej ekspresji i sztuce, która stała się dla artystki medium do wyrażania siebie i odnajdywania siły w walce z przeciwnościami losu. Po ubiegłorocznym balecie *Napoli 1841* w choreografii **Augusta Bournonville'a** i **Johana Kobborga**, młody międzynarodowy zespół baletowy Opery Wrocławskiej, działający pod kierunkiem Małgorzaty Dzierżon, przedstawił kolejną pracę zagranicznego artysty. Tym razem szefowa wrocławskiego baletu zaprosiła do współpracy wybitną choreografkę **Annabelle Lopez Ochoę**, znaną ze swoich baletów narracyjnych.

Warszawa / Teatr Wielki Opera Narodowa / *Prometeusz*
chor. Krzysztof Pastor
Przeklęte dary bogów
Katarzyna Gardzina

Ogień prometejski to w naszej europejskiej kulturze symbol postępu, ale przede wszystkim ożywczej iskry, która tchnęła w gliniane twory Prometeusza, czyli w nas, ludzi – życie. To boskie tchnienie (choć Prometeusz był w mitologii greckiej tytanem, nie bogiem), a także poświęcenie siebie i swojego bezpieczeństwa w imię ważniejszych celów. Ogień – bez przymiotników, to żywioł, który tyleż kojarzy nam się z ciepłem, cywilizacją i bezpieczeństwem, co z zagrożeniem i zniszczeniem. „Świat spłonie" – to ostrzeżenie przed zgubą, przed konfliktem, wojną, kataklizmem, zmianami klimatycznymi, wojną nuklearną…


fot. Joanna Miklaszewska
Morze

Łódź / Teatr Wielki / *Morze*
Wielki Błękit na scenie Teatru Wielkiego
Anna Królica

Morze. Balet w trzech częściach jest efektem pracy trójki choreografów z wybranym materiałem muzycznym. Ten tajemniczo brzmiący tytuł pozornie nie zdradza zbyt wielu informacji krytykom i innym widzom. Nie odnosi się do tradycji wystawianych wcześniej baletów. To niedookreślenie będzie towarzyszyć tryptykowi do końca, jest to bowiem propozycja zostawiająca sporo miejsca publiczności na indywidualną interpretację. Tytułowe *Morze* jest zaproszeniem do kontemplacji i obserwacji tego, co przynosi fala, jest sensualną podróżą przez zakamarki skojarzeń i możliwości dotykania granic własnej wyobraźni. [...] Z pewnością zainteresowanie widzów przyciągają nazwiska uznanych choreografów, bowiem mamy do czynienia z taneczną „pierwszą ligą": **Emanuel Gat**, **Jacek Przybyłowicz** i **Douglas Lee**.

Świebodzin / 24-25.05.2025/ Relacja z II Festiwalu Tańca Współczesnego TAŃCZmy
„Tańczmy, tańczmy inaczej będziemy zgubieni"
Marek Zadłużny

Powyższe słowa ikonicznej **Piny Bausch** wypowiedziane w filmie *Pina* w reżyserii Wima Wendersa od dawna pozostają jednym z najtrafniejszych wyrazów przekonania o sile

eprasa.pl e445b60032

tańca jako przestrzeni sensu i przetrwania. To właśnie ta fraza stała się hasłem przewodnim drugiej edycji Festiwalu Tańca Współczesnego TAŃCZmy zorganizowanego przez Fundację Obiekt Kulturalny w Świebodzińskim Domu Kultury. Za jego koncepcją i realizacją stoją związane z lokalnym środowiskiem artystycznym **Wiola Jocz** i **Aleksandra Charabin**, którym udało się stworzyć wydarzenie o skali i jakości, jakiej nie powstydziłyby się ośrodki taneczne w największych polskich miastach.

Kraków / Krakwskie Centrum Choreograficzne
Chcę żyć poprzez swoje ciało
Julia Hoczyk

Spektakl **Joanny Leśnierowskiej** stworzony na zamówienie Krakowskiego Centrum Choreograficznego jest ruchową medytacją, ćwiczeniem (z) uważności tancerzy i widzów, wspólnym zanurzeniem się w tym, co koi i daje poczucie bezpieczeństwa; w nieoceniającej obecności innego. Pozwala zatrzymać się w codziennej bieganinie, przerwać dewastujący ciała i umysły *rushmageddon*. Razem z performerami podróżujemy po abstrakcyjnej czasoprzestrzeni, która zawiera w sobie wszystkie krajobrazy – realne i wyobrażone, fizyczne i emocjonalne. Jesteśmy jednocześnie „tu i teraz", jak i „tam, kiedyś". Ale to żywa obecność w teraźniejszości, w danej chwili, staje się *sine qua non* istnienia w ogóle, w każdych okolicznościach i każdej konfiguracji.

Kraków / Opera Krakowska
chor. Jacek Tyski
Nasze wczoraj determinuje to, kim jesteśmy dziś.
Igraszki miłosne. Carmen
Jacka Tyskiego – powiew świeżości
w repertuarze Opery Krakowskiej
Agnieszka Narewska-Siejda

„To, co przeżywamy w dzieciństwie, kształtuje nasze dorosłe życie" – napisał kiedyś Carl Jung. Wydaje się, że idea ta mogła


fot. PatMic / *M4G1C BL0W*


fot. A. Kotelnikov
Igraszki Miłosne. Carmen

posłużyć jako inspiracja dla **Jacka Tyskiego**, który w swoim balecie *Igraszki miłosne*. *Carmen* stawia pytanie o to, co doprowadziło tytułową bohaterkę do tego, iż stała się bezwzględną łamaczką męskich serc. *Igraszki*... to balet utrzymany w technice neoklasycznej z elementami tańca współczesnego. […] Tancerze są bardzo zaangażowani, ekspresyjni, pełni wyrazu. Brawo! Choreografia Tyskiego stawia przed artystami zarówno techniczne, jak i aktorskie wyzwania. […] Na wielkie uznanie zasługuje **Marta Koncewoj**, twórczyni kostiumów do baletu. […] Jej kostiumy są piękne i funkcjonalne, a także obdarzone symbolicznym znaczeniem[...].

Warszawa/ Komuna Warszawa / *M4G1C BL0W*
Deo-deo, riki-tiki, sprzedajemy narkotyki – nowa epoka w tańcu i choreografii
Hanna Raszewska-Kursa

Zespół spektaklu *M4G1C BL0W* w opisie pracy niemal zupełnie rezygnuje z łączenia funkcji z nazwiskami; wyodrębniono tylko autorstwo choreografii. Obeznana z tańcem widownia wie, że **Adrianna Kazimierz**, **Rafał Matusiak**, **sos k.osowska**, **Szymon Tur** i **ana szopa** tworzą taneczno-choreograficzny kolektyw PLUR, **Teresa Fazan** jest dramaturżką, **Marta Szypulska** – kostiumografką, **Julek Ploski** – muzykiem, a **Okime Emiko** – artystką wizualną. Stopka, horyzontalnie określająca grupę jako „osoby tworzące spektakl", ma jednak podkreślać, że w procesie twórczym specjalizacje były raczej wskazówkami niż granicami, a propozycje poszczególnych osób przenikały się. Taka postawa łączy się z jednym z tematów spektaklu: jednoczącą, prowspólnotową ideą rejwu.

KIELECKI TEATR TAŃCA
OPERATOR PS 2024 - 2025
ZASP
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Narodowy Instytut Muzyki i Tańca
Zadanie finansowane ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programu Przestrzenie Sztuki – Taniec, realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.
Przestrzenie Sztuki

eprasa.pl e445b60032



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Jakub Żulczyk zaprezentował na Instagramie swoją miłość. Pani nazywa się Kasia Golomska, jest DJ-ką, a jej zdjęcia wystarczająco tłumaczą tytuł powieści Żulczyka „Zrób mi jakąś krzywdę".

●

Anna Mucha spotkała się z Pauliną Smaszcz w sądzie w sprawie ujawnienia przez tę drugą adresu zamieszkania pierwszej. Wzruszyłem się. 25 lat temu też robiłem wszystko, żeby się dowiedzieć, gdzie Ania mieszka.

●

Detektyw Rutkowski zamieścił w sieci zdjęcia wraz z małżonką w trakcie wspólnej kąpieli w wannie. Pełnej kwiatów i namiętności. Wanny dzielimy na okrągłe, narożne, wolno stojące lub przyścienne. Detektyw ewidentnie jest pod ścianą.

●

Maciej Pela znów przypomina o sobie, informując, że aktualnie jest „swoją, a nie najlepszą wersją siebie". Medialny rozwód to dramat czterech stron. Jej, jego, dzieci i czytelników.

●

Publicysta, dziennikarz i restaurator Piotr Kędzierski napisał książkę o UFO w stolicy „Warszawskie UFO". Jak widać, atak sfrustrowanych elit na Rafała Trzaskowskiego trwa.

●

Tomasz Karolak nie jest już katolikiem. Aktualnie jest protestantem i koncentruje się na bezpośredniej relacji z Bogiem. Nie dziwię się. Ostatnie informacje o Tomku pokazały, że pośrednicy i wysokie procenty wpędziły go w długi.

●

Łukasz Mejza, znany śpiewak hotelowy, został zatrzymany przez policję, jak pędził 200 km na godzinę na trasie S3. Poseł mandatu nie przyjął, bo doszedł do wniosku, że jeden już ma.

Janusz Palikot ponownie odwiedził podkast Żurnalisty, w którym objawił światu, że to on jest autorem powiedzenia „Bieda to stan umysłu". A następnie całą rozmową to twierdzenie udowodnił.

●

Robert Mazurek nauczał kindersztuby influencera Mikołaja Bagińskiego w Kanale Zero. Poszło o to, kto komu pierwszy podaje rękę. Wielka afera. Mógł zaatakować jego teścia lub zapytać, kim był w obławie augustowskiej.

●

Małgorzata Rozenek wyznała prawdę o operacjach plastycznych: „Po to je robiłam, żeby zostały zauważone". I temat zakończony. Choć często bywa, że kobietę obraża wszystko. Nawet nic.

●

Na YouTube rusza kanał TAK, którego autorami będą Tulicki, Adamczyk i Karnowski. Panowie mają być uśmiechnięci, energetyczni i na luzie. Super. A na rozkładówkę proponuję Mariannę Schreiber.

Marcin Hakiel ujawnił mediom, że kontaktują się z byłą małżonką mailowo, pisząc: „Szanowny Panie" lub „Szanowna Pani". Oraz „Z poważaniem" na końcu. Jest. Nareszcie. Ktoś traktuje Kasię Cichopek poważnie.

●

Tomasz Kammel wyznał, że jest z partnerką o ponad 20 lat młodszą. TVP młodsza o 20 lat była rządzona przez Bronisława Wildsteina. To jest możliwe.

●

Daniel Martyniuk poinformował, że nie będzie już ze swoją żoną Faustyną, gdyż do siebie nie pasują. Oznajmił także, że znika z social mediów i nie pojawi się na chrzcinach syna. Niesamowity chłopak. Potrafi nie zrobić tylu rzeczy naraz.

●

W podkaście Onetu WojewódzkiKędzierski padł cytat, że Donald Tusk „jest jednocześnie ojcem chrzestnym oraz eleganckim grabarzem aktualnej koalicji". Premier bardzo chciał poznać dane autora tej tezy. Ustaliłem dopiero dziś. To byłem ja.



© FOTON/PAP

Helena Englert, ubrana w suknię z pościeli, położyła się na czerwonym dywanie podczas premiery filmu „Seks dla opornych". To nowy solowy zabieg. Bo zwykle wcześniej producenci potrafili położyć całe filmy.

eprasa.pl e445b60032



Pytanie do Radia Erewan

W czasach słusznie minionych mieliśmy parę dobrych rzeczy, na przykład dowcipy. Niektóre okazały się nieśmiertelne. „Czy to prawda, że w Moskwie na placu Czerwonym rozdają samochody?" – pytał słuchacz Radia Erewan. Redakcja odpowiadała: „Tak, to prawda, tylko że nie w Moskwie, a w Leningradzie, i nie na placu Czerwonym, a na placu Powstania, i nie samochody, a rowery, i nie rozdają, a kradną". Dziś do Radia Erewan można by skierować pytanie: „Czy to prawda, że w Polsce wkrótce zostanie uchwalona ustawa o związkach partnerskich?. Uszami wyobraźni słyszę odpowiedź: „Tak, to prawda, tylko nie o związkach, a o statusie osoby najbliższej, i nie na pewno, a tylko być może, i nie wkrótce, a Bóg jeden wie kiedy".

Katarzyna Kotula – do niedawna ministra równości, a po skasowaniu jej urzędu przez premiera już tylko sekretarz stanu w jego kancelarii – przykroiła swój wałkowany od dwóch lat projekt ustawy o związkach partnerskich do wyobrażeń PSL o życiu i uzyskała od tzw. ludowców jakiś rodzaj akceptacji. Tym samym w kwestii związków partnerskich zwyciężył punkt widzenia cherlawego koalicjanta, który w sondażach poparcia od dawna ląduje poniżej progu wyborczego. Jak to możliwe, że tycie ugrupowanko, które po rozpadzie koalicji musiałoby zniknąć ze sceny, wywiera decydujący wpływ na politykę rządu?

> Lewica i PSL dołożyły wszelkich starań, by pary tej samej płci nie poczuły się uznane w swoich prawach na poziomie symbolicznym.

Dobre pytanie. Chyba ktoś musi mu na to pozwalać. Choć nie należy zapominać również o zdradzie Nowej Lewicy, która w zamian za stanowiska dla swoich liderów zgodziła się nie nalegać, by związki partnerskie zostały wpisane do umowy koalicyjnej po wyborach w 2023 r. Jako potencjalna beneficjentka rzeczonej ustawy i zarazem wyborczyni lewicy piszę to więc z nożem wbitym w plecy przez Włodzimierza Czarzastego.

Na szczęście dla rządzących prezydent Karol Nawrocki dostarcza im w tej sprawie żelaznego alibi. Już w czasie kampanii wyborczej zapowiedział wszak, że nie podpisze niczego, co sankcjonowałoby związki osób jednej płci jako „quasi-małżeństwo", i niedawno stanowisko to podtrzymał. Pod naciskiem dziennikarzy zadeklarował, że ewentualnie byłby gotów rozmawiać o statusie osoby najbliższej. Jak się to ma do jawnej kpiny, jaką był podany przez niego podczas pamiętnej debaty z Rafałem Trzaskowskim przykład wolontariusza i kombatanta jako potrzebujących uregulowania swego statusu tak jak pary jednopłciowe, trudno powiedzieć. Czas pokaże, czy kompromis Lewicy i PSL odpowiada jego politycznym kalkulacjom. Niewątpliwie byłby to doskonały trolling, gdyby po dekadach bezowocnej walki o związki partnerskie to właśnie Nawrockiemu trzeba było podziękować za pierwszy realny krok w ich kierunku.

Kompromisowa ustawa zakłada, że najbliższość będzie potwierdzana przez notariusza i także przez niego zgłaszana do urzędu stanu cywilnego, gdzie połączona statusem para zostanie wciągnięta do specjalnego rejestru, na razie nieistniejącego. Bez wygłupów typu uroczystość, wymiana obrączek i życzenia. Wygodnie o tyle, że wolontariusz będzie mógł za jednym zamachem podpisać z kombatantem umowę o przeniesieniu prawa do lokalu w zamian za opiekę, co wszak w USC nie jest możliwe i trzeba by fatygować seniora dwa razy.

Lewica i PSL dołożyły wszelkich starań, by pary tej samej płci nie poczuły się uznane w swoich prawach na poziomie symbolicznym. Haniebnie pominięto też potrzeby tęczowych rodzin z dziećmi. Wszystkim przyznano natomiast pewne udogodnienia finansowe, w tym dotyczące dziedziczenia. To ważne. Gdy jeden partner umrze, drugi nie może być pewien, że wspólny majątek pozostanie przy nim, choćby został mu zapisany w testamencie. A gdyby nawet testament nie został obalony przez krewnych, wdowiec będzie musiał zapłacić państwu podatek od spadku – w przypadku związków nieformalnych nalicza się go według przewidzianej dla osób obcych najwyższej stawki – oraz zachowek dla wstępnych i zstępnych zmarłego.

Powiedzmy, że kiedyś dwie osoby tworzące związek kupiły mieszkanie w Warszawie za 300 tys. zł na zasadzie współwłasności. Wiele lat później jedna z nich umiera. Nie były bogate. Zadbały o testament, więc lokal przechodzi na tę drugą. Ponieważ jego wartość rynkowa wzrosła przez ten czas pięciokrotnie, państwo zażąda ok. 150 tys. zł, zachowek zaś wyniesie ok. 350 tys. zł. Jako hasło „dziedziczenie" brzmi bardzo dobrze, ale warto by wiedzieć, co konkretnie oznacza. Żeby znieść zarówno zachowek, jak i podatek, regulacja musiałaby wprowadzać dziedziczenie ustawowe oraz zaliczać statusowców do pierwszej grupy pokrewieństwa. Czy tak będzie, tego nie wie nikt.

Czy należy krytykować Katarzynę Kotulę za tak daleko idące ustępstwa? Moim zdaniem nie. Nie ją i nie w obecnej sytuacji. Więc cieszyć się z ustawy? Również nie. To wciąż smętny ochłap. Czy w takim razie brać, co dają? Należało się, więc brać jak najbardziej. A po radość celebrowania swojej miłości w świetle dnia jechać tam, gdzie ludziom nie każe się żebrać o szacunek. W końcu ile można czekać.

RENATA LIS

eprasa.pl e445b60032



Co nam w schronie gra

Usłyszałam w radiowej Dwójce, jak komentator konkursu chopinowskiego witał się ze słuchaczami z Filharmonii Narodowej, gdzie „rozpoczął się właśnie trzeci etap zmagań pianistów". Słowo „zmagania" pasuje mi raczej do sportu. Pamiętam z dzieciństwa, że podczas któregoś mundialu w sąsiednim domu defenestracji uległ telewizor Rubin (ponad 50 kg na licencji radzieckiej!) po niekorzystnej dla naszych orłów sędziowskiej decyzji. U nas na dzielni jeszcze żaden telewizor, komputer czy radioodbiornik nie wyleciały przez okno. Tankujemy Chopina od pokoleń, więc mamy go w żyłach. Słyszysz fortepian, myślisz „Chopin" – i na odwrót. Niektórzy jednak przedawkowali...

Mój syn Antoni ma doskonały słuch, jest bardzo muzykalny, ale chyba przesadziłam ze słuchaniem Dwójki w samochodzie, bo gdy słyszy muzykę z epoki romantyzmu, rzuca się, by zmienić stację, krzycząc: „Niesiopen, niesiopen". To nie Chopin, synku, tylko Sibelius. „Wyłącz, wyłącz". No, ale jak któryś z polskich śpiewaków czy pianistów robi karierę na świecie albo gdy trzeba emitować wysokiej jakości transmisję na cały glob, to wtedy politycy stają się melomanami. Musowo trzeba zrobić sobie z jakimś pianistą rolkę na socjale, wiadomo.

Na co dzień kulturę odkłada się jednak na pawlacz, żeby nie gęgała i nie zawracała gitary o dotacje. Przecież gołym okiem widać, że na takim flecie czy skrzypkach można sobie na ulicy czy w przejściu podziemnym pograć. Poza tym czy ta cała kultura nie docenia, że politycy dali kilkadziesiąt milionów na kościoły? Tam jest akustyka i mnóstwo pustych miejsc, a takie np. organy też mają klawiaturę, to się nadadzą dla pianistów.

> Tankujemy Chopina od pokoleń, więc mamy go w żyłach. Słyszysz fortepian, myślisz „Chopin" – i na odwrót.

Doszedł niedawno kolejny argument: kultura musi poczekać, bo teraz budujemy schrony. Polska pozyskała cztery miliardy euro dla samorządów na schrony dla cywilów. Chyba będą drukowane w 3D, bo na organizowanie przetargów samorządy mają termin do końca bieżącego roku. W tak krótkim czasie to chyba można zamówić Boltem jedynie żywność i napoje, np. flaszki Chopina – do tych schronów. Może i to jest jakaś myśl: proszę, bierzcie, samorządowcy. Schron może być na łapu-capu, trochę starego azbestu z leśnego wysypiska, trochę desek od szwagra, ale dużo konserw na wyposażeniu, pod Chopina ma się rozumieć. Na szkoleniach wojskowi mówią, że cywile muszą wcześniej, już przed nalotami dronów czy rakiet, bywać w tych schronach, żeby umieć trafić, wiedzieć, jak tam jest. Moskaliki w occie, pasztet z soczewicy, radyjko na baterie z transmisją – i suweren będzie wracał.

W tegorocznym konkursie chopinowskim najbardziej zszokowali mnie jednak dziennikarze i publiczność swymi reakcjami pełnymi wielu zachwytów. Tygodniami na zmianę: a to cmokanie, że Koreańczyk z przytupem mazurzył, a to Amerykanin zalotny w scherzo, a Chinka fenomenalna, Polak czaruje itd. Chciałam koleżankę na grzyby wyciągnąć, ale wolała siedzieć przy ekranie. Bo ta jesień, te liście, ten Chopin... Serio? Czy ja dobrze słyszę? Wszyscy nagle zapomnieli o nieszczęśliwym dzieciństwie tych muzyków? Przecież gołym uchem słychać, że ci młodzi ludzie, którzy przyjechali na konkurs, na ten wyścig szczurów, na tę chorą rywalizację drużyn narodowych (Włosi jednego dnia przeciw Francuzom grali), to beztroskiego dzieciństwa nie mieli.

A ten nasz wrażliwy geniusz Piotr Alexewicz to widać, że na normalne dzieciństwo (dopalacze, mefedron, ustawki, nocowanki, edukacja zdrowotna w akademiku) nie miał czasu, bo stracił najlepsze lata na katorżniczej harówce. I nie wiem, czy czytaliście – ten Piotrek w Szwajcarii uczył się grać. A przecież psychologowie mówią, że rodzicielstwo bliskości i kontakt z matką są dla chłopców ważne. Jak można dziecko za granicę z domu wypychać? Fakt, może miejsca nie mieli na fortepian albo sąsiedzi pukali w kaloryfery, gdy Piotrek walił patetycznie w klawisze, no ale wyprowadzać z domu chłopców przed czterdziestką, żeby cisnęli naukę, to patologia.

Rywalizujące, niewystarczająco dobre matki to jedno. A przemocowe nauczycielki w ondulacjach albo ironiczni profesorowie, niedoszłe Rubinsteiny, z oczekiwaniami z sufitu? Profesor Drzewiecki mówił w radiu, że każdą nutkę i pauzę godzinnego recitalu na pamięć wzrokowo też każe uczniom znać. Heloł bumer, nie słyszałaś o ejaj? Jako matka dwóch synów od dekad przysłuchuję się polskim rodzicom i czytam komentarze dziennikarzy na temat programów szkolnych. Układ scalony półprzewodnika ma pewnie ok. 1 mm – a to i tak byłaby za duża grubość podstawy programowej, by zadowolić rodziców dzieci w szkołach. Dzieci na hobby nie mają czasu, na trzepak. A w dzisiejszych czasach bez oryginalnego hobby – czy to *slow cooking*, czy miejskie ogrodnictwo – trudno na socjalach błysnąć.

Muzycy na tym tle to jakiś margines. Choć raz na kilka lat naprawdę aż miło tych wirtuozów posłuchać w czasie *home office* czy w drodze na weekend.

AGATA PASSENT

eprasa.pl e445b60032



Przywracanie polskości napalmem

Europosła Bocheńskiego, wicesz efa PiS, w polskim samolocie zaatakowało niemieckie masło. Nie ma informacji, czy europoseł wrogie masło połknął, czy w ostatniej chwili zdołał je wypluć. Sprawa jest przykra: Bocheński dużo lata i nie wiadomo, ile niemieckiego masła zdążył zjeść, zanim na opakowaniu doczytał się, kto je wyprodukował.

Prowokację w postaci niemieckiego masła Bocheński uważa za skandal i domaga się wyprowadzenia go z polskich samolotów. Dobrze, że europoseł ten nie chodził do filharmonii na przesłuchania w ramach Konkursu Chopinowskiego. Nie wiem, czy było tam niemieckie masło, ale propisowski portal wPolityce i tak ostrzegł, że konkurs jest konsekwentnie odzierany z polskości i że z wydarzenia polskiego „zaczyna się przeradzać w kosmopolityczną imprezę świata zewnętrznego". W tym roku szczególnie dotkliwy był brak narodowej symboliki, orła i biało-czerwonej flagi na scenie oraz komunikatu dla mniej zorientowanych słuchaczy, że Chopin Polakiem był, a nie Francuzem czy Chińczykiem. W dodatku jako Polacy musieliśmy się wstydzić za obrzydliwie rozkopane, kto wie, czy nie celowo, okolice filharmonii.

Fakt, że startujący w konkursie Niemiec odpadł już w drugiej rundzie, można uznać za miły propolski akcent, ale trudno zaakceptować, że przewodniczącym jury był Amerykanin, a nasi nie mieli narodowej przewagi w składzie jurorów, co według melomanów obdarzonych szczególnie dobrym słuchem doprowadziło do wypaczenia wyników. wPolityce.pl pyta wprost: „Czy ktoś próbuje przejąć Konkurs Chopinowski?". I delikatnie wskazuje na Niemców z Deutsche Grammophon, którzy od lat zarabiają na polskiej muzyce Chopina, bo mają monopol na wydawanie płyt laureatów.

Na szczęście jest szansa, że po wystąpieniu patrioty Bąkiewicza na manifestacji PiS polskość konkursu zostanie przywrócona. Z jego słów wynika, że dni kosmopolitów i niemieckich agentów z Deutsche Grammophon oraz Koalicji Obywatelskiej są policzone. Zostaną oni mianowicie razem z innymi chwastami (a także, miejmy nadzieję, z niemieckim masłem) wyrwani z polskiej ziemi, a następnie dobici kosą, różańcem i napalmem.

Cóż, może to dobry sposób na przywracanie polskości; w końcu Jarosław Kaczyński zapewnia, że Bąkiewicz jest mądrym człowiekiem. Z tym że z rzucaniem napalmu na polską ziemię bym zaczekał. Zwłaszcza na ziemię w okolicy filharmonii, na której po tym, jak została przez ekipę Trzaskowskiego zryta i zdewastowana niekończącymi się remontami, żaden chwast i tak długo nie wyrośnie.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.),*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWCZY
Piotr Zmelonek (dyrektor) *22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka (dyrektor) *67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk (dyrektor)

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30,*
e-mail: infolinia@polityka.pl
tel. 22 451-61-00, 451-61-15

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16,*
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Print Leipa

eprasa.pl e445b60032



Tegoroczni laureaci. Od lewej: **Marek Wodziński, Aleksandra Wdowczyk, Mariola Paruzel-Czachura, Tomasz Gąsior, Piotr Olechowski.**

25. raz odbyła się gala Nagród Naukowych POLITYKI. Finaliści obdarowali nas wiedzą, energią i radością, my ich stypendiami, wdzięcznością i tortem. A w powietrzu unosił się zapach zupy pomidorowej.

Przepis na sukces

KATARZYNA CZARNECKA

Wszystko się od pomidorowej zaczęło. Z okazji okrągłej rocznicy możemy to wreszcie ujawnić. Poza tym każdy, kto gotuje, wie, że podczas tej prozaicznej czynności głowa przestawia się na tryb swobodnomyślicielski. A wtedy rodzą się osobliwe, ale często trafne idee.

Nad kuchenką owego dnia na przełomie wieków stała Ewa Wilk, szefowa działu społecznego POLITYKI. Z chochlą w ręku zastanawiała się nad przygotowywanym wówczas przez dziennikarzy tekstem o sytuacji ekonomicznej młodych polskich badaczy. Sytuacji tragicznej – dodajmy. „I nagle wpadłam na pomysł – mówiła podczas niedzielnej gali. – A gdyby tak do tego tekstu dołączyć pieniądze dla jednego wybranego wybitnego naukowca, żeby on miał co do garnka włożyć". Usłyszawszy o tym, redaktor naczelny POLITYKI Jerzy Baczyński stwierdził: „Co dla tam jednego, spróbujmy dla kilkunastu od razu". Co się wtedy rzekło, to się stało. I dzieje się już 25 lat.

Każdy, kto gotuje, wie, że aby danie się udało, trzeba umiejętnie połączyć różne komponenty. Podobnie jak w nauce. Czego tu potrzeba do sukcesu?

Talent. Tego nasi laureaci mają pod dostatkiem. I jest to udokumentowane: najważniejszymi nagrodami, publikacjami w prestiżowych pismach, książkami, patentami, zastosowaniami. Gdyby chcieć wymienić wszystkich 15 finalistów NNP, niedzielna gala trwałaby do poniedziałku, a może i wtorku.

Składniki. Pięć podstawowych ma odzwierciedlenie w kategoriach, w jakich przyznajemy stypendia. W nich mieści się – zależy, jak liczyć, stwierdził przewodniczący Kapituły Profesorskiej prof. Tomasz Szapiro – 29 albo 33 obszary. Finaliści NNP dysponują nimi swobodnie w zależności od potrzeb badawczych. Sami zresztą są wykształceni najczęściej niejednokierunkowo. Mają pełną świadomość, że nauka dziś jest skuteczna m.in. swoją interdyscyplinarnością. Przykład: „Moje wykształcenie – biotechnologia, fotonika i elektronika – pozwala mi prowadzić badania łączące światy technologii czujnikowych, biologii i medycyny" (dr inż. Monika Janik, finalistka w kategorii Nauki o życiu).

Na marginesie: i my staramy się sprostać temu wyzwaniu. Jurorzy coraz rzadziej oceniają zgłoszenia samodzielnie – konsultują się ze specjalistami z innych dziedzin, nawet bardzo (dziś właściwie teoretycznie) odległych.

Współpraca. „Nauka indywidualna odchodzi do przeszłości – stwierdziła dr hab. Mariola Paruzel-Czachura, laureatka w kategorii Nauki społeczne. – Żeby zrobić coś sensownego, potrzebujemy dużych zespołów". Powtórzył tę myśl dr hab. n. med. Tomasz Gąsior (zwycięzca w kategorii Nauki o życiu): „Wyniki badań są rezultatem współpracy i pracy wielu badaczy z wielu krajów, wielu ośrodków uniwersyteckich. Nauka, która ma zmieniać paradygmaty, i która ma duże zastosowanie praktyczne, nigdy nie odbywa się w izolacji".

Dzielenie się. Żeby w przestrzeni publicznej przestało się pojawiać pytanie (a wciąż tak się dzieje) „A po co nam nauka?", ▶

© TEODOR KLEPCZYŃSKI/FOTOGRAFIAEVENTOWA.PL

eprasa.pl e445b60032

NAUKI HUMANISTYCZNE

Dr Piotr Olechowski. Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.
Historyk. Zajmuje się badaniem losów Polaków w ZSRR – od lat 20. po koniec XX w. Interesuje go nie tylko polityka represji NKWD, ale też codzienne życie ludzi w warunkach opresji. Sięga do akt śledczych, relacji rodzinnych i lokalnej pamięci, by „uczłowieczyć" znane statystyki martyrologii i przywrócić głos zwykłym ofiarom. Doktorat obronił z wyróżnieniem, we wrześniu 2025 r. ukazała się jego książka habilitacyjna „Skazani za polskość". Dr Olechowski to laureat stypendium Ministra Nauki dla wybitnych młodych naukowców (2025–28).

NAUKI SPOŁECZNE

Dr hab. Mariola Paruzel-Czachura, prof. UŚ. Wydział Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego oraz Perelman School of Medicine University of Pennsylvania.
Psycholożka moralności. Bada m.in., jak ludzie rozpoznają dobro i zło oraz dlaczego czasami postępują wbrew własnym zasadom. Rozgłos przyniosły jej prace nad wpływem alkoholu na moralność – wykazały np., że jeden drink nie zmienia ocen, ale zwiększa gotowość do złych czynów. Badaczka analizuje również, jak silnie i w jakich okolicznościach jednomyślna większość przesuwa indywidualny „kompas" etyczny. Jej plany badawcze na kolejne kilka lat to zagadnienia takie jak: czy po alkoholu ludzie częściej oszukują (np. w grze w karty) i w jaki sposób zmieniają się emocje moralne (wina, wstyd, wstręt) po przekroczeniu norm. Zamierza również testować mechanizmy presji grupowej w odmiennych kulturach, m.in. afrykańskim plemieniu zbieracko-łowieckim Hadza. Oba projekty są finansowane przez NCN. Prof. Paruzel-Czachura na stronie internetowej MojaMoralnosc.pl udostępnia interaktywny test kompasu etycznego.

NAUKI O ŻYCIU

Dr hab. n. med. Tomasz Gąsior, prof. AWSB. Collegium Medicum – Wydział Medyczny, Akademia WSB.
Kardiolog. Doktorat obronił w 2020 r. na Śląskim Uniwersytecie Medycznym w Katowicach, badając mechanizmy związane z chorobami sercowo-naczyniowymi i metabolicznymi. Prowadził badania m.in. na Vanderbilt Universit, University of Cambridge i Universität Zürich. Do jego kluczowych osiągnięć należy wykazanie, że inhibitory SGLT2 mogą wpływać na zmniejszenie ryzyka hospitalizacji z powodu niewydolności serca po zawale. A także badania nad infekcyjnym zapaleniem wsierdzia po zabiegach TAVI, które wpłynęły na wytyczne Amerykańskiego, Europejskiego oraz Japońskiego Towarzystwa Kardiologicznego. Obecnie, wraz z zespołem z Uniwersytetu Cambridge, kontynuuje badania nad wyzwaniami systemowymi w obszarze badań klinicznych.

NAUKI ŚCISŁE

Dr inż. Aleksandra Wdowczyk, Wydział Inżynierii Kształtowania Środowiska i Geodezji Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu.
Jej prace dotyczą głównie badań nad opracowaniem efektywnych, tanich i przyjaznych środowisku technologii oczyszczania odcieków ze składowisk odpadów komunalnych. Jej wysiłki mogą doprowadzić do stworzenia metody, którą będzie można stosować na całym świecie, gdyż nie będzie wymagała skomplikowanej infrastruktury. Ma to ogromne znaczenie dla ochrony środowiska i zdrowia publicznego, tym bardziej że być może uda się ją zaimplementować do oczyszczania ścieków z wielu różnych branż przemysłu. Dr inż. Wdowczyk za swoją działalność naukową została nagrodzona stypendium START przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej.

NAUKI TECHNICZNE

Dr inż. Marek Wodziński, Wydział Elektrotechniki, Automatyki, Informatyki i Inżynierii Biomedycznej Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie.
Prowadzi prace ukierunkowane na rozwój algorytmów sztucznej inteligencji w obrazowaniu medycznym. Opracowane przez niego metody znalazły zastosowanie m.in. w poważnych operacjach rekonstrukcji czaszki i diagnostyce oraz usuwaniu nowotworów. Prowadzi też pracę dydaktyczną oraz uczestniczy w kilku projektach badawczych. Jeden z nich – DeepImplant, finansowany w ramach programu LIDER przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju – jest ukierunkowany na wdrożenie do przemysłu strategii szybkiego projektowania implantów czaszkowych, aby skrócić czas oczekiwania pacjentów na operację. Dr inż. Wodziński jest laureatem stypendium FNP START, przez trzy lata otrzymywał stypendium ministra nauki dla wybitnych młodych naukowców.

Poza pięcioma stypendiami przyznaliśmy **10 nagród finałowych**, które otrzymali: dr **Paweł Bukowski** – Instytut Nauk Ekonomicznych, Polska Akademia Nauk; dr **Łukasz Fiedeń** – Wydział Geografii i Geologii, Uniwersytet Jagielloński; dr inż. **Monika Janik** – Wydział Elektroniki i Technik Informacyjnych, Politechnika Warszawska; dr hab. n. med. i n. o zdr. **Paulina Krawiec** – Wydział Lekarski, Uniwersytet Medyczny w Lublinie; dr **Agnieszka Razim** – Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej im. Ludwika Hirszfelda PAN we Wrocławiu; dr **Krzysztof Sękowski** – Wydział Filozofii, Uniwersytet Warszawski; dr **Emil Sowiński** – Wydział Filologiczny, Uniwersytet Łódzki; dr inż. **Monika Topa-Skwarczyńska** – Wydział Inżynierii i Technologii Chemicznej, Politechnika Krakowska; dr inż. **Szymon Jakub Zelewski** – Wydział Podstawowych Problemów Techniki, Politechnika Wrocławska; dr hab. inż., prof. P. Wr. **Andrzej M. Żak** – Wydział Chemiczny, Politechnika Wrocławska.
Więcej: **polityka.pl/stypendia**

Partner Główny
Nagród Naukowych POLITYKI 2025

KOPIPOL

Partnerzy
Nagród Naukowych POLITYKI 2025

Dr Irena Eris

CONSULTRONIX

zaKS sprzyjamy wyobraźni

Patron honorowy

Marcin Kulasek
Minister Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Patroni medialni

TVP info

tokfm

FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl e445b60032

▶ naukowcy muszą o swojej pracy opowiadać. Nawet – co w naszej kulturze niesłusznie podlega krytyce – chwalić się. Potrafią to coraz lepiej. Doskonale znają różnice między publikacjami naukowymi i popularnonaukowymi. Piszą więc artykuły do mediów takich jak nasz portal popularnonaukowy Pulsar, występują w podkastach, nagrywają filmy na temat swoich badań, są aktywni w mediach społecznościowych. Pomagają też – kursami czy warsztatami – swoim młodszym kolegom odnaleźć się w świecie, w którym trwa walka z druzgocącą społecznie dezinformacją.

Znów na marginesie: popularyzacja od 25 lat jest jednym z głównych celów i naszego programu stypendialnego i działań wydawniczych w obszarze nauki. W tym roku zaś Ministerstwo Nauki planuje podniesienie jej rangi, czyniąc z niej jeden z elementów ewaluacji instytucji naukowych i badawczych.

Każdy, kto gotuje, wie jeszcze jedno: jakość wymaga nakładów. Czy potrzeby są duże? Tak. „Budżet na naukę i szkolnictwo wyższe, mówiąc delikatnie, nie jest budżetem marzeń, ani moim, ani resortu, ani tym bardziej środowiska akademickiego" – mówił 11 października podczas szczecińskiej konferencji nt. współpracy nauki z biznesem minister Marcin Kulasek. I naprawdę trudno się z nim nie zgodzić. (Przy okazji: pierwszy raz od lat MNiSW objęło NNP patronatem honorowym, a podczas gali gratulacje laureatom złożyła wiceminister Karolina Zioło-Pużuk).

„Jako kraj marzący o byciu potęgą gospodarczą wydajemy na naukę jedynie 1,027 proc. PKB, a ok. 1,46 proc. wliczając inwestycje przemysłu w rozwój i badania – piszą w apelu o dofinasowanie nauki w budżecie na 2026 r. badacze z »Pokolenia NCN«. – Według wspólnych ustaleń krajów Unii Europejskiej naszym celem powinno być 3 proc.".

Czy takie marzenie jest wygórowane? To dyskusyjne, bo „zależy, jak liczyć". Nauka to koszt, ale przede wszystkim inwestycja. W świadomość społeczeństwa, a więc w jego bezpieczeństwo – psychiczne, materialne, fizyczne. W zdrowie populacji. W rozwój technologiczny i gospodarczy kraju. A także w jego pozycję i prestiż na arenie międzynarodowej. „Potrzebujemy wsparcia także od przemysłu" – kilkakrotnie stwierdzali finaliści NNP. I trudno ich w tym nie poprzeć. Każda złotówka wydana na badania naukowe z każdej dziedziny zwraca się w dwójnasób. „Naszym założeniem było – mówiła Ewa Wilk – nie rozliczać tych stypendiów w taki sposób, tak jak to bywa przy grantach czy stypendiach ściśle naukowych. Wydawajcie na lodówki, na buty dla dziecka, na cokolwiek – zachęcaliśmy. Z naszego ankietowego sondażu wynikało jednak, że wszystko ci stypendyści roztrwonili: a) na książki, b) na komputery, c) na kwerendy zagraniczne itd.".

Na marginesie: to, że i my dokładamy się do tej lokaty kapitału społecznego i kulturowego, zawdzięczamy fundatorom. Wielu z nich jest z nami od początku, a i dołączają nowi. Nasza organizacyjna kuchnia – zarządzana od lat wspaniale przez Dominikę Nowak-Kajtowską – działa bez zarzutu. 25 lat Nagród Naukowych POLITYKI to już 407 laureatów, 7,5 mln zł przekazanych w formie stypendiów, 60 fundatorów, także czytelnicy wpłacający 1,5 proc. podatku na Fundację Tygodnika POLITYKA. Dziękujemy partnerom. I gratulujemy laureatom.

KATARZYNA CZARNECKA

Pulsar nagrodzony!

Ogromnie miło nam poinformować, że nasz portal popularnonaukowy Pulsar otrzymał Nagrodę Specjalną POP Science 2025 – Wybitny Popularyzator Nauki. Ten prestiżowy tytuł za całokształt działalności przyznawany jest przez największy festiwal naukowy w Polsce, czyli przez Śląski Festiwal Nauki Katowice.

W uzasadnieniu czytamy: „Wyróżnia Państwa wszechstronność i rzetelność oraz pokazywanie w praktyce, czym różni się działalność popularnonaukowa od edukacyjnej. Wykraczacie Państwo poza tę drugą – nie tylko przekazujecie informacje o najnowszych wynikach badań naukowych, ale zwracacie uwagę również na to, czym i po co jest nauka".

W 2025 r. Nagrodę Specjalną POP Science otrzymał także dziennikarz radiowy Jarosław Juszkiewicz, który od ponad 30 lat – pracując dla Polskiego Radia Katowice, a następnie Radia 357 – stworzył wiele audycji radiowych popularyzujących naukę.

To kolejna prestiżowa nagroda dla naszego wyjątkowego projektu. W 2024 r. Pulsar w konkursie serwisu Nauka w Polsce, wydawanego przez fundację Polskiej Agencji Prasowej, zdobył tytuł Popularyzatora Nauki w kategorii Media, czyli najważniejszą nagrodę, jaką w naszym kraju może zdobyć medium popularnonaukowe.

POLITYKA na Igrzyskach

„Czasy niepewności" – tak brzmi hasło tegorocznych Igrzysk Wolności i trzeba przyznać organizatorom, że trudno byłoby o lepszy slogan komentujący współczesność. Europa znów drży: od Wielkiej Brytanii po Polskę rośnie fala brunatnego populizmu, a za wschodnią granicą wciąż trwa wojna. Rosja, choć ugrzęzła w Donbasie, coraz śmielej sięga po arsenał działań hybrydowych, testując odporność Zachodu. Z niepokojem śledzimy też sytuację na Bliskim Wschodzie, gdzie nadzieja na trwałe porozumienie jest wyczekiwana po obu brzegach Jordanu.

W takim świecie trudno zachować spokój, zwłaszcza tym, którzy wciąż wierzą w sens rozmowy, empatii i wspólnoty. Jak odnaleźć się w epoce chaosu – intelektualnie, emocjonalnie, obywatelsko? Na to pytanie spróbują odpowiedzieć dziennikarze POLITYKI, którzy będą wśród najważniejszych gości tegorocznych Igrzysk.

Rafał Kalukin oceni rząd Donalda Tuska na półmetku jego kadencji, Agnieszka Zagner i Łukasz Wójcik przyjrzą się zjawisku Pax Hebraica – nowej architekturze siły i wpływów na Bliskim Wschodzie, a Bartek Chaciński zabierze słuchaczy w podróż po świecie dźwięków i ciszy podczas panelu „Manipulacja dźwiękiem: hałas / cisza".

Igrzyska Wolności odbędą się 24–26 października w EXPO Łódź. Trzy dni debat, spotkań, rozmów i koncertów – dla tych, którzy mimo wszystko wciąż wierzą, że wolność zaczyna się od myślenia.

© ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl e445b60032

ODCHODZIĆ PO LUDZKU

Poradnik dla opiekunów: ściągnij, wydrukuj, zachowaj

Już blisko rok POLITYKA prowadzi akcję „Odchodzić po ludzku”, w ramach której na naszych łamach pokazujemy, jak w praktyce wygląda starość w Polsce. Przyglądamy się jej z bliska, pod różnym kątem, bez upiększeń i różowych okularów. Opisujemy codzienność ludzi starszych, niesamodzielnych, chorych i gasnących, a także ich bliskich i opiekunów. Wskazujemy nie tylko problemy, ale i konieczne rozwiązania – jak choćby wprowadzenie tzw. szybkiej ścieżki dla seniorów trafiających na SOR (POLITYKA 5). Naszą akcję od samego początku wspiera Puckie Hospicjum pw. św. Ojca Pio. To właśnie dzięki naszemu partnerowi – i przy jego wydatnym merytorycznym wsparciu – opracowaliśmy poradnik dla opiekunów domowych osób starszych, chorych i niesamodzielnych, w którym znajdą Państwo niezbędne informacje pomocne przede wszystkim w pierwszych

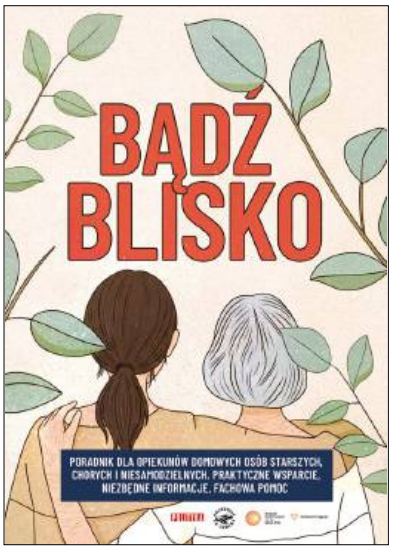

dniach i tygodniach, kiedy trzeba de facto na nowo zorganizować życie bliskiej osoby, która z powodu niesamodzielności lub choroby wymaga naszej opieki w domu.

Z Państwa listów i wiadomości, które przez ten blisko rok otrzymujemy, wiemy, jak istotna to sprawa i jak wiele zależy od sprawnej organizacji i opanowania chaosu tych pierwszych dni. Silne emocje, lęk o bliską osobę, poczucie zagubienia w gąszczu formalności i procedur, których trzeba dopełnić, nie ułatwiają odnalezienia się w nowej sytuacji. Dlatego wyciągamy pomocną dłoń, oferując Państwu poradnik „Bądź blisko”. To broszura opracowana na podstawie specjalistycznego serwisu **bliskochorego.pl**, uruchomionego przez Puckie Hospicjum, którą mogą Państwo ściągnąć na swój komputer, tablet lub telefon, choć zachęcamy także do jej wydrukowania – tak, aby zawsze była pod ręką, na wszelki wypadek.

Znajdą tam Państwo praktyczne porady, jak opiekować się w domu osobą chorą lub niesamodzielną, w tym: jak ją pielęgnować, karmić lub z nią ćwiczyć. Wskazujemy też m.in., w jaki sposób przystosować dom, jaki sprzęt wybrać, a także na jakie refundacje i dofinansowania można liczyć. Skupiamy się również na bólu: zarówno tym fizycznym, jak i psychicznym. Pokazujemy, co robić, kiedy wystąpią duszności, panika oddechowa, nudności czy problemy gastryczne, a także jak zapobiegać odleżynom. Ostatnią część poświęcamy zaś problemom samych opiekunów – piszemy, jak radzić sobie ze stresem, wypaleniem, żałobą i gdzie szukać wsparcia.

Nasz poradnik „Bądź blisko” – jak również wszystkie dotychczasowe materiały, które ukazały się w ramach cyklu „Odchodzić po ludzku” – znajdą Państwo w specjalnej zakładce na naszej stronie: **polityka.pl/odchodzicpoludzku**

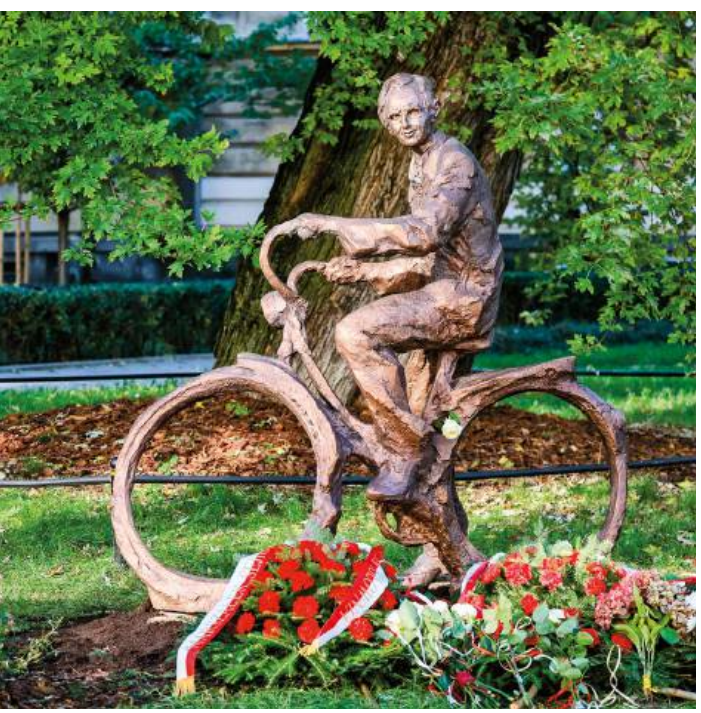

Pomnik Bartoszewskiego

Trzy lata temu, w związku z setną rocznicą urodzin Profesora, celebrowaliśmy Rok Władysława Bartoszewskiego. Nasz tygodnik patronował temu wydarzeniu, w ramach którego na warszawskim skwerze Bartoszewskiego przy ul. Białej organizowano m.in. Wiec Przyzwoitości. Jak wówczas informowaliśmy, zwieńczeniem obchodów miało być wzniesienie na skwerze pomnika Profesora. Ruszyła zbiórka i się udało!

Tak oto w samo południe, w niedzielę 19 października na skwerze Władysława Bartoszewskiego odsłonięto Jego pomnik. Monument autorstwa Jacka Kicińskiego przedstawia młodego Bartoszewskiego na rowerze – człowieka, który w trudnym wojennym czasie sam ukształtował swój charakter, a później całe życie pracował na rzecz pojednania między narodami. Prowadził wykłady w Niemczech, był uhonorowany jako Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, a potem dla wspólnego dobra służył tym relacjom jako minister spraw zagranicznych. Był też autorem pamiętnych słów „Warto być przyzwoitym, choć nie zawsze się to opłaca”.

Na pomniku umieszczono tablicę: „Młody WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI po wyjściu z obozu koncentracyjnego zaangażował się w pomoc prześladowanym Żydom i pracę dla Polski. Umiał też zwalczyć w sobie nienawiść do narodu niemieckiego. To uformowało go na całe życie”.

REDAKCJA

eprasa.pl e445b60032



PODRÓŻE



Polowanie na trufle we Włoszech warte setki i tysiące euro to zajęcie co najmniej tak ekscytujące jak zbieranie grzybów w Polsce. I dostępne dla turystów.

Łowcy białego złota

Oskar spokojnie podąża leśną ścieżką, co jakiś czas przystaje, zbliża nos do ziemi albo podnosi głowę i charakterystycznie nią potrząsa, jakby wciągał powietrze. Szuka zapachu dojrzałych trufli, bo właśnie wtedy pachną najintensywniej. **Oskar** to pies rasy **lagotto romagnolo** i już jedenasty rok „poluje na trufle" w lasach w pobliżu Savigno. Miejscowość położona godzinę drogi od Bolonii, w rejonie Emilia-Romania, słynie z **czarnych trufli**, ale i uważanych za jedne z najlepszych białych (*Tuber magnatum pico*) we Włoszech, też rzadkich i drogich. Są cenione za intensywny aromat i wyjątkowy smak, lekko czosnkowy, z nutami ziemi i wilgotnego drewna. Każdego roku w październiku i listopadzie w Savigno odbywa się Narodowy Festiwal Białych Trufli, który przyciąga smakoszy i szefów kuchni z całego świata.

Za Oskarem krok w krok podąża jego właściciel Guido Cecconi. – *Najlepiej zbierać trufle rano, jeszcze przed wschodem słońca, i potem do godziny po zachodzie. Piesek może polować na trufle maksymalnie trzy razy w tygodniu, do trzech godzin dziennie, bo to męczące zajęcie. Do szukania lepsze są suczki, natomiast samce są bardziej wytrzymałe* – wyjaśnia.

Szkolenia psów, które mają wyczuwać unikalny zapach trufli ukrytych pod ziemią, zaczynają się już w wieku czterech miesięcy, zazwyczaj od nauki poprzez zabawę i nagrody. Dawniej do poszukiwania „czarnych diamentów" i „białego złota", jak nazywa się czarne i białe trufle, wykorzystywano świnie. Psy są jednak bardziej posłuszne i, co ważne, nie zjadają cennych zdobyczy. A cenne są naprawdę. We Włoszech kilogram „czarnych diamentów" kosztuje kilkaset euro, a „białego złota" – nawet i 7 tys. euro.

Nagle Oskar przyspiesza i zaczyna kopać w jednym miejscu. Guido podchodzi do niego, wyciąga z kieszeni specjalne narzędzie (*zappetta*) i wydobywa grzyb. Za znalezienie tym razem czarnej trufli Oskar dostaje oklaski od grupki turystów, która towarzyszy jemu i Guido od początku polowania. Udział w polowaniu na trufle możliwy jest już w wielu regionach Włoch. Stowarzyszenie truflarzy z Savigno zabiera turystów na takie eskapady kilka razy w miesiącu do okolicznych lasów. Oczywiście w sezonie na trufle – czyli najczęściej jesienią, zimą, do wczesnej wiosny. W grupie może być maksymalnie 20 osób, a koszt wycieczki to ok. 20 euro. Polowanie na trufle największym zainteresowaniem cieszy się wśród Amerykanów i Włochów. Oskar dostaje od Guido nagrodę w postaci kawałka parówki. I szukamy cennych grzybów dalej.

We Włoszech polowania na trufle odbywają się w lasach Piemontu, Umbrii, Toskanii czy właśnie Emilii-Romanii. Jak mawiają o nich Włosi, to tajemna sztuka i tradycja przekazywana ustnie z pokolenia na pokolenie. W całym kraju jest kilkadziesiąt Krajowych Federacji Włoskich Stowarzyszeń Trufli, do których należy ok. 74 tys. truflarzy.

– *Na dziedzictwo i tradycję polowania na trufle składa się kilka rzeczy. To nie jest tylko chodzenie z psem po lesie* – opowiada Remo Guidotti, prezes stowarzyszenia truflarzy z Savigno. – *Przede wszystkim to starodawna tradycja, która łączy pokolenia i Włochy od północy po południe. Każdy truflarz musi mieć wiedzę o środowisku naturalnym i ekosystemie, bo trufle potrzebują specjalnych warunków. Rosną zazwyczaj w symbiozie z korzeniami drzew, takich jak dęby, topole, wierzby, lipy czy leszczyny. Bardzo ważne są też relacje między ludźmi i zwierzętami, bo łączą wiedzę łowcy trufli i zdolności węchowe psa. Bez tego nie ma dobrego polowania.*

Po polowaniu warto zaś osobiście sprawdzić, czy trufle warte są swojej ceny. Świetnie nada się do tego klasyczny makaron z regionu Emilia-Romania – nazywanego też kulinarnym sercem Włoch – czyli tagliatelle. W wersji z truflami powinien nasycić każdego. ■



Magdalena Gorlas
– dziennikarka w podróży. Publikowała m.in. w „Chicago Tribune", POLITYCE, „Vogue'u", „Dużym Formacie" czy „Piśmie. Magazynie Opinii".

© KAROLINA JONDERKO (2), ARCHIWUM PRYWATNE, EZRA ACAYAN/GETTY IMAGES, TIKTOK.COM/@MLODYKORDEN8

eprasa.pl e445b60032

WIRAL

Popsymbole oporu



Dlaczego podczas protestów na całym świecie można spotkać pirackie flagi? Najpierw anegdota. W militarnej powieści science fiction „Wrzesień" Tomasza Pacyńskiego młodzi polscy partyzanci inspirują się elfami z wiedźmińskiej sagi Sapkowskiego. Chociaż książka wyjątkowo źle zniosła próbę czasu, ta obserwacja trafia w sedno – popkultura dostarcza symboli do walki z opresją. Oto na TikToku ktoś zaproponował projekt flagi, który wygląda dość dziwnie. Tło jest jeszcze dość zrozumiałe – to znana tęcza LGBT, chociaż pewnie nie każdy rozpozna jej najnowszy progresywny wariant, z kółkiem symbolizującym osoby interpłciowe. Mniej zrozumiałe są dwa dodane elementy: głowa robota w słomkowym kapeluszu i skrzyżowane piszczele.

Czy to symbol partii komputerowych piratów? Oczywiście, że nie. Głowa robota to G.I. Robot z serialu animowanego „Koszmarne komando", którego akcja dzieje się w tym samym świecie co najnowsze kinowe przygody „Supermana". W skład tytułowego komanda wchodzą postacie rodem z horrorów (takie jak narzeczona Frankensteina). Rzeczony robot został zbudowany w czasie drugiej wojny światowej i zaprogramowany do zabijania nazistów. Gdy zostaje uruchomiony w dzisiejszych czasach, przypadkowo trafia na zebranie amerykańskiej altprawicy i wpada w morderczy szał. G.I. Robot stał się więc symbolem antyfaszystowskiego sprzeciwu wobec coraz większej systemowej przemocy pod rządami Trumpa i kultu MAGA.

Słomkowy kapelusz i piszczele to z kolei element piackiej flagi z mangi i serialu „One Piece" (recenzja w POLITYCE 38/23). To szalona wizja fantastycznego świata, w którym piracka załoga walczy z opresyjnym Globalnym Rządem. Siła przyjaźni i poświęcenia przeciwstawiona jest korupcji i tyranii. Nic dziwnego, że flaga kojarzona z wyzwoleniem stała się popularnym symbolem widocznym na antyrządowych protestach na Filipinach czy w Indonezji, można ją było także dostrzec w czasie propalestyńskich demonstracji. Popkulturowe symbole pozwalają oszukać cenzurę (czy Trump zbanuje serial Warner Bros.?) i odwołują się do czytelnych wartości.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Ciężki tuff

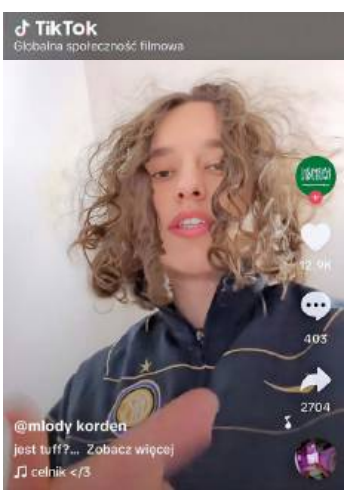

Piszą do siebie uczniowie liceum: „Mega tuff ta matematyka". Czyli megatrudna. Od angielskiego *tough* (oznaczającego coś trudnego, ciężkiego, ale też kogoś twardego, nieustępliwego), które w niedbałym, młodzieżowym zapisie „tuff" dawno już pojawiło się także w polszczyźnie. Tuff może być przedmiot w szkole albo i życie samo w sobie. Awatar w grze wideo również, tylko w tym drugim przypadku będzie chodziło o wizerunek jakiegoś twardziela. Nie będzie to wszystko odkryciem dla fanów metalowej grupy Tuff Enuff (ang. wystarczająco twardy) założonej na Śląsku jeszcze w latach 90.

MÓWIĄ RYMY
A jeśli płacisz hajs za OnlyFans, tobyś miał
Zmienione na SIMP litery twoich blach
Avi feat. Kaz Bałagane, Monarcha, 2025 r.
simp – mężczyzna uległy wobec kobiet
blachy – rejestracja

Ci ostatni mogliby jednak być zaskoczeni, widząc w social mediach zdjęcie butów i komentarz: „Myślę, że za taką cenę jest to tuff". Albo czytając wymianę zdań na temat stroju youtubera Friza sprzed paru lat – bluza, buty sportowe, maseczka z jakimś atrakcyjnym wzorem – „Wtedy to musiał być tuff fit". Tu już nie chodzi o trudność ani twardość.

Odnotowuje to nowe znaczenie Obserwatorium Języka i Kultury Młodzieży przy Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach: „modny, ciekawy, atrakcyjny". I podsuwa przykład użycia z TikToka: influencer i producent muzyczny **Młody Korden** zapowiada „polecajkę tuff spodni", a w tej krótkiej polecajce – w formie wideo rzecz jasna – zachwala te spodnie jako „megatufiaste". Jeden z komentarzy pod filmem – „Czemó to jest takie tuff" – sugeruje, że zaglądają na jego profil ci sami ludzie, którzy głosują w plebiscycie na Młodzieżowe Słowo Roku, który właśnie się rozpoczął. Słowo „tuff" jak nic znajdzie się wśród zgłoszeń. Dlaczego? Jest na tyle tuff, żeby go używać, ale zarazem wystarczająco tuff, żeby mieć problemy z jego zrozumieniem.

BARTEK CHACIŃSKI

eprasa.pl e445b60032

W Paryżu i w Mediolanie ożywienie. Tamtejsze fashion weeki zdominowały debiuty. Ale nie chodzi wcale o młodych gniewnych.

TREND



Prościej, zwyklej, ładniej

Giganci pokroju Chanel, Diora, Versace, Gucciego czy Balenciagi w ostatnim czasie wymienili swoich głównych projektantów na „nowych", a ci pokazali teraz swoje pierwsze kolekcje. Przy czym „nowych" jest tu słowem nieprecyzyjnym – wszyscy są znani, działali wcześniej dla konkurencji, często bezpośredniej. Czemu największe marki nie postawiły na świeżą krew? Nie chciały ryzykować. To miliardowe biznesy, więc sporo mają do stracenia. Ale też startują z niskiego artystycznie pułapu.

Najwięcej ekscytacji wzbudził **debiut Matthieu Blazy'ego** u Chanel. Eksprojektant Bottegi Venety, minimalistycznej marki, jednej z ostatnich nieepatujących logo, musiał zmierzyć się z koturnowym monstrum, jakim Chanel się stało jeszcze za rządów Karla Lagerfelda, logomanią wręcz opętanego. Udało się, nadał jej lekkości. W sensie dosłownym, bo dawne tweedowe kostiumy straciły na wadze, a zyskały na wdzięku. Modelki prezentowały nowe typy torebek, skrócone garnitury inspirowane – jak to u Coco – męską garderobą oraz hit tej mimo wszystko zachowawczej kolekcji: wieczorowe koszule uszyte we współpracy z legendarną manufakturą Charvet.



Michał Zaczyński – dziennikarz lifestylowy, ekspert branży mody, autor podkastów i bloga michalzaczynski.com, wykładowca ASP w Łodzi.

Odważniej poczynił sobie JW Anderson w kolekcji dla wstecznego i trywialnego do niedawna Diora. Przemycił obcy tej marce surrealizm i dowcip, którym posługiwał się we własnej twórczości. Zaczął od de facto demolki wykreowanego w 1947 r. przez mistrza Christiana „New Looku", wydłużając linie, zmieniając proporcje, dodając „złowieszcze", jak skomentowały to media, kapelusze trikorny, popularne w wieku XVIII. Fetowany wcześniej za kolekcje dla marki Loewe, pożonglował stylami, epokami i przeznaczeniem garderoby: w 2026 r. nawet ta najdroższa ma być jednak do noszenia. Na co dzień i przez każdego (kogo stać).

Stąd w mediach społecznościowych jęk zawodu, że gdzieś zagubił się artyzm, że za takie pieniądze zamiast oszałamiających kreacji mamy ciuchy do szafy. Tyle że na czymś marki muszą zarabiać. A z tym bywa dziś krucho. Luksus jest w kryzysie. Rozczarowuje obniżającą się jakością, banałem, brakiem etyki produkcji, absurdalnym wzrostem cen. Niektórzy tracili w ostatnich kwartałach nawet 60 proc. wartości. Choćby Gucci, który pod nowymi rządami Gruzina Demny Gvasalii z dołka raczej nie wyjdzie, patrząc na niektóre jego pomysły, jak skórzane torebki, od razu porysowane i poniszczone. Trik, który stosował w swoim poprzednim miejscu pracy, Balenciadze, już się opatrzył. Poza tym niepewne czasy sprawiają, że klient jest drażliwy i sprzedawanie mu za pełną kwotę rzeczy wyglądających na używane może nie przejść. Zwłaszcza że moda z drugiej ręki stanowi już niemal 10 proc. rynku.

Balenciaga, tym razem pod sterami Pierpaola Picciolego (wcześniej pracował w Valentino, któremu teraz szefuje Alessandro Michele z Gucciego), zachwyciła nawiązaniami do projektów *haute couture* słynnego Cristóbala, znów: w zwyklejszym wydaniu. Była więc nowa wersja sukienki worka z 1957 r., wydłużona do kostek, noszona z rękawiczkami operowymi i „owadzimi" okularami, a także płaszcz „kokonowy" i trapezowa sukienka. Piccioli porównał ten sposób projektowania do pracy architekta: „tworzenia kształtów, które nigdy nie dotykają ciała, ale myślenia cały czas o osobach, które będą się w nich poruszać".

W podobny sposób Versace po przejęciu przez grupę Prady i pod sterami Daria Vitalego wróciło do radosnych lat 90. i patentów założyciela marki, Gianniego, z warholowskimi kreacjami w sitodruki włącznie. O ile w przypadku Versace powrót można uznać za udany, o tyle Duran Lantink, nowy szef niegdyś campowej marki Jean-Paul Gaultier, przeszarżował. Jego kostiumy z nadrukiem nagiego męskiego ciała bardziej ośmieszały modelki, niż bawiły publikę. Podobnie zresztą jak pomysły Glenna Martensa z domu mody Margiela, wpychającego modelkom w usta rozwierak – chodziło o nawiązanie do wyglądu charakterystycznych szwów zastępujących metkę tej firmy, ale wyszło opresyjnie. W 2026 r. uprzedmiotowianie kobiet – także na wybiegu – skazane jest na klęskę. Podobnie jak bylejakość i szpetota w modzie. Na szczęście w kolekcjach na przyszły sezon będzie jej mniej. ■

© EAST NEWS, ARCHIWUM PRYWATNE (2), ALICJA ROKICKA

eprasa.pl e445b60032



KUCHNIA

Wierzch delikatnie chrupie, a środek idealnie rozpływa się w ustach.

Szarlotka sypana

Szarlotka sypana to klasyk, który znały nasze babcie i mamy, a teraz poznają młodsze pokolenia. Można powiedzieć, że to ciasto było kwintesencją peerelowskiego sprytu – bez zagniatania, bez miksera, z kilkoma podstawowymi składnikami i chwilą cierpliwości.

Wertując książki kulinarne sprzed kilkudziesięciu lat, bez trudu można natknąć się na co najmniej kilka przepisów na szarlotkę sypaną. W tych najstarszych wersjach nie ma masła – łatwiej dostępna była margaryna lub uniwersalny olej. Tarte jabłka przekładano domową, mieloną bułką tartą. Później bułkę zamieniono na kaszę mannę lub mieszankę kaszy i mąki. Przepis ewoluował i dostosował się do lepszych czasów. Ale pomysł, forma i doskonały smak pozostały te same. Co się na niego składa? Przede wszystkim kruche ciasto i delikatnie kwaskowate jabłka, które podczas pieczenia zamieniają się w miękką, aromatyczną warstwę, pełną soku i cynamonu. Wierzch delikatnie chrupie, środek rozpływa się w ustach.

Do szarlotki sypanej najlepiej sprawdzają się jabłka twarde, lekko kwaskowe i soczyste, które w czasie pieczenia zachowują strukturę i aromat. Szara reneta – klasyka i absolutny numer jeden. Ma intensywny, lekko kwaskowy smak, a po upieczeniu staje się miękka, ale nie wodnista. To jej używano w dawnych przepisach – także w kuchni PRL. Jest dostępna niemal całą jesień. Antonówka – stara polska odmiana o wyraźnym, kwaśnym smaku, świetnie się rozpada podczas pieczenia, dzięki czemu masa jabłkowa jest wilgotna i aromatyczna. Coraz trudniej jednak tę odmianę kupić, jej sezon jest krótki i obejmuje początek jesieni. Jonagold lub ligol – to kompromis między słodyczą a kwasowością. Dobrze się pieką i są dostępne przez całą jesień i zimę.

Do szarlotki pasują różne przyprawy. Cynamon to klasyk, podbija smak jabłek, dodaje im ciepła i głębi, bez niego trudno wyobrazić sobie idealną szarlotkę. Mielone goździki nadają ciastu korzennego aromatu, z kolei imbir to propozycja dla tych, którzy lubią pikantne i rozgrzewające nuty. Niezbędnym składnikiem są też orzechy włoskie. Ich delikatna goryczka i głęboki maślany smak wspaniale przełamują słodycz jabłek, a przy tym zapewniają przyjemne „chrupnięcie”. ■



Alicja Rokicka
– autorka bloga Wegan Nerd i książek kulinarnych, entuzjastka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

Składniki:
- 170 g kaszy manny
- 170 g mąki pszennej, np. tortowa typ 450–550
- 150 g cukru
- łyżeczka proszku do pieczenia
- szczypta soli
- 7 jabłek
- łyżka cynamonu
- 150 g masła lub margaryny
- 200 g orzechów włoskich

Wykonanie:
- Masło/margarynę włóż do zamrażalnika na kilka godzin. Orzechy włoskie przesyp na suchą patelnię i praż powoli przez 4–5 min. Następnie posiekaj je drobno.
- Przygotuj dużą miskę i formę do pieczenia 20x20 cm lub tortownicę o podobnej średnicy. Do miski wsyp kaszę mannę, mąkę, cukier, proszek do pieczenia i szczyptę soli. Mieszaj widelcem lub trzepaczką przez 4–5 min. Wszystkie składniki muszą się naprawdę dobrze ze sobą połączyć. Następnie podziel mieszankę na trzy części.
- Formę, jej dno oraz boki posmaruj grubszą warstwą masła – reszta będzie potrzebna później. Jabłka obierz i zetrzyj na tarce o dużych oczkach. Trzyj od razu do miski. Do jabłek dodaj cynamon lub inne wymienione przyprawy. Wymieszaj.
- Wsyp na dno formy pierwszą część suchej mieszanki. Przykryj mieszankę połową startych jabłek. Znowu zasyp je drugą częścią suchych składników. Dodaj drugą połowę startych jabłek. Na koniec posyp ostatnią częścią suchej mieszanki i wcześniej posiekanymi orzechami włoskimi. Teraz zetrzyj na tarce resztę masła. Rób to bezpośrednio nad formą.
- Szarlotkę piecz góra–dół w 180 st. przez ok. 50 min. Po wyciągnięciu odczekaj 20 min, by ciasto zastygło. Na górnej warstwie powinna wyjść rumiana orzechowa „skorupka”.

eprasa.pl e445b60032

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Co wiemy o odnalezionej Mirelli?

Śląskiem – i całym krajem – wstrząsnęła historia Mirelli ze Świętochłowic, która miała 15 lat, gdy słuch o niej zaginął. Nie wróciła już do szkoły, zapadła się pod ziemię. Sąsiedzi ocknęli się niedawno, bo usłyszeli dziwne hałasy. Z mieszkania 82-latków wyłoniła się 42-letnia kobieta: Mirella, która wszystkie te lata spędziła zamknięta w domu. Na własne życzenie czy zmuszona przez rodziców? Co w tej sprawie wiadomo, a co pozostaje zagadką, opisuje na polityka.pl Jan Dziadul.



Fobia prezesa

Gdzie szukać przyczyn antyniemieckiej fobii Jarosława Kaczyńskiego? M.in. o to Marcin Zaremba pyta prof. Antoniego Dudka w podkaście historycznym POLITYKI. Dla prezesa PiS to element politycznej gry, ale szukamy jej praprzyczyn. Prof. Dudek sugeruje, że ślad na Kaczyńskim odcisnęła zwłaszcza jedna podróż do Niemiec w 1991 r. A nie podróżował i nie podróżuje często. Co się wtedy wydarzyło i jaką rolę odgrywa dziś – o tym w naszej obszernej rozmowie.



Jak dobrze pisać i jak nie zgnuśnieć

Żeby lepiej pisać, czasem trzeba czytać na głos – twierdzi pisarz i reporter Mariusz Szczygieł, gość podkastu Justyny Sobolewskiej. Mówimy też o literaturze naszego regionu, nobliście Lászlo Krasznahorkaim i Josefie Škvoreckým, o melancholii i smutku, o spotkaniach z Hanną Krall i poezji. A wreszcie o starości. Zastanawiamy się, jak mimo upływu lat zachować ciekawość i nie zgnuśnieć. Rozmowa jest dostępna na naszym YouTube.

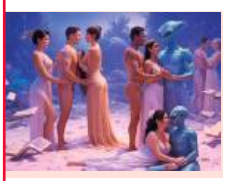

Świntuszenie z ChatGPT

„Mało która branża nadążała za postępem równie szybko co szeroko pojęty przemysł rozrywki dla dorosłych", pisze w serwisie POLITYKI Michał R. Wiśniewski. Był więc druk, była fotografia i telewizja, pora na branżę AI. ChatGPT ma się stać „mniej restrykcyjny", a „dorosłych traktować jak dorosłych". Musi, bo konkurencja, z Grokiem Elona Muska na czele, już dawno poluzowała reguły. Historia zatacza koło – wielkie wynalazki na końcu służą marnej pornografii.



Z kaskiem czy bez?

W nowym odcinku serii „Rowery, nie bajki" robimy coś, czego Państwu nie polecamy. Ale to już trzeba zobaczyć. Gościem Juliusza Ćwielucha jest dr Łukasz Rákász, ordynator Oddziału Neurochirurgii Szpitala Dziecięcego w Warszawie. Opowiada o kulisach swojej pracy i dzieciach, które musi ratować, bo jeżdżą na rowerze bez kasków. Polskie prawo ma to wkrótce zmienić. A dlaczego w Holandii kaski nie są tak potrzebne jak u nas? To też wyjaśniamy.

© PIOTR TUMIDAJSKI/FORUM, GROK AI, LESZEK ZYCH (3)

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl e445b60032

AKADEMIA
zwierciadła

ZAPRASZA NA WYDARZENIE

wolni od stresu

edycja piąta

Temat: ODWAGA

Celem naszych cyklicznych spotkań są: edukacja oraz budowanie świadomości w obszarze zdrowia i poczucia dobrostanu.



Martyna Wojciechowska

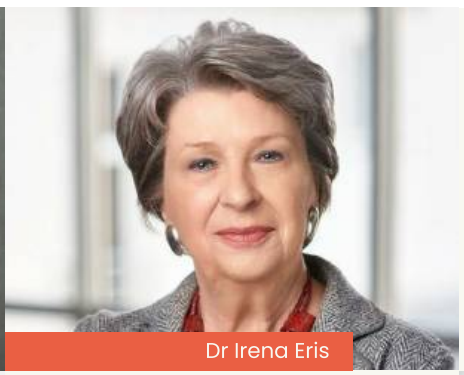

Dr Irena Eris



Dr Ewa Woydyłło

29 LISTOPADA 2025
GODZ. 9–19
SOBOTA

WARSZAWA | ONLINE
VIZJA PARK
UL. OKOPOWA 59



Marta Niedźwiecka

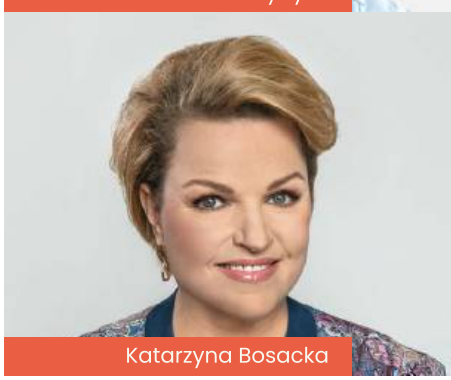

Katarzyna Bosacka



Dr Tadeusz Oleszczuk

ZDJĘCIA: WERONIKA KOSIŃSKA, MARTA WOJTAL, MARIUSZ SZACHOWSKI, KAMILA MARKIEWICZ-ŁUBAŃSKA, MATERIAŁY PRASOWE.

CENA
490 zł
W cenie biletu: udział w wydarzeniu, lunch oraz przerwy kawowe.

UWAGA!
Specjalnie dla czytelników
100 zł rabatu z kodem **POLITYKA**
do 19.11.2025

KUP BILET
Bilety dostępne na
sklep.zwierciadlo.pl

PARTNERZY: EVELINE COSMETICS, Logos Tour BIURO TURYSTYKI ZNP, MŁODE GŁOWY, UNAWEZA FUNDACJA

eprasa.pl e445b60032

PERSKI DYWAN DZIEJÓW



KUP TERAZ

W sprzedaży

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl e445b60032